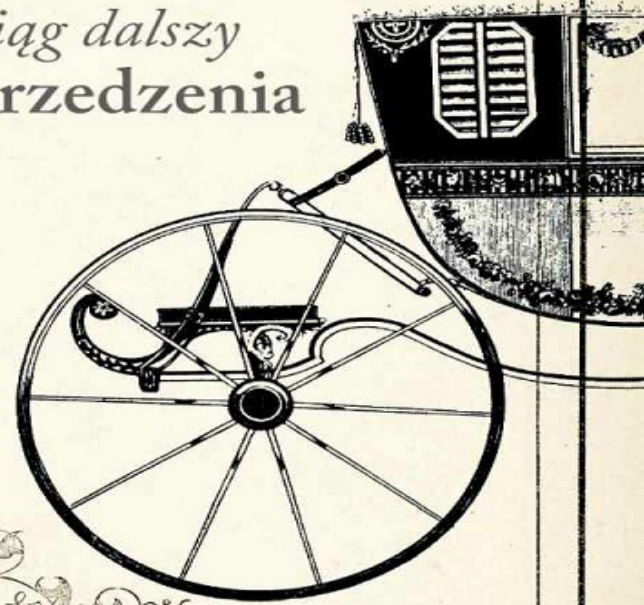


*Mroczny ciąg dalszy*  
Dumy i uprzedzenia



*P. D.*

# JAMIES

ŚMIERĆ PRZYBYWA

do

*Pemberley*

Wydawnictwo  
**ab**

P.D. James

# ŚMIERĆ PRZYBYWA DO PEMBERLEY

przełożył Paweł Lipszyc

## Spis treści

*Strona tytułowa*

*Dedykacja*

*Nota autorki*

Prolog. Bennetowie z Longbourn

Księga pierwsza. W przeddzień balu

1 2 3 4 5

Księga druga. Zwłoki w lesie

1 2 3 4 5

Księga trzecia. Policja w Pemberley

1 2 3 4 5 6

Księga czwarta. Śledztwo

1 2 3 4 5 6 7

Księga piąta. Proces

1 2 3 4 5 6

7 8 9 10 11

Księga szósta. Ulica Gracechurch

1 2 3 4 5 6

Epilog

*Przypisy*

*Dla Joyce McLennan*

*Przyjaciółki i asystentki, która od trzydziestu pięciu lat przepisuje moje powieści  
Z sympatią i wdzięcznością*

## Nota autorki

Cieniowi Jane Austen winna jestem przeprosiny za wplątanie jej ukochanej Elizabeth w traumatyczne śledztwo w sprawie morderstwa, tym bardziej że w końcowym rozdziale Mansfield Park panna Austen jasno przedstawiła swoje poglądy: „Niechaj inne pióra rozwodzą się nad występkiem i nieszczęściem. Ja, jeśli tylko mogę, uciekam od tak okropnych tematów, niecierpliwa przywrócić wszystkim, co zbyt nie zawinili, jaki taki spokój, a z całą resztą skończyć”<sup>[1]</sup>. Na moje przeprosiny odpowiedziałaby niewątpliwie, że gdyby pragnęła się zajmować tak odrażającymi tematami, sama napisałaby tę historię, zresztą lepiej.

P.D. James, 2011

# **Prolog**

Bennetowie z Longbourn

Wśród mieszkańek Longbourn panowało przekonanie, że Bennetom dopisało szczęście w wydaniu za mąż czterech z pięciu córek. Meryton, niewielkie miasteczko targowe w hrabstwie Hertford, nie leży na żadnej z tras krajoznawczych, nie jest bowiem malowniczo położone ani nie może się poszczycić świetną historią, a jedyna wielka posiadłość, Netherfield Park, choć imponująca, w ogóle nie jest wspominana w książkach o ciekawostkach architektonicznych w hrabstwie. W miasteczku znajduje się sala balowa, w której regularnie organizuje się tańce, nie ma jednak teatru, główne rozrywki odbywają się w prywatnych domach, gdzie plotki łagodzą nudę obiadów i umilają grę w wista, zawsze w tym samym towarzystwie.

Rodzina z pięcioma niezamężnymi córkami z oczywistych względów musi się stać obiektem pełnej współczucia troski wszystkich sąsiadów, zwłaszcza w miejscu, gdzie innych rozrywek jest jak na lekarstwo, a Bennetowie znajdowali się w szczególnie opłakanym położeniu. Z powodu braku męskiego potomka posiadłość pana Benneta miał odziedziczyć jego kuzyn, wielebny William Collins, który – co głośno i z lubością lamentowała pani Bennet – mógł wyrzucić ją z domu wraz z córkami, zanim ciało jej męża zdąży ostygnąć w grobie. Trzeba przyznać, iż pan Collins w miarę swoich możliwości próbował załagodzić sprawę. Choć wiązało się to z pewną niedogodnością, to przy aprobacie lady Catherine de Bourgh, swej budzącej grozę patronki, opuścił parafię w Hunsford w hrabstwie Kent i złożył wizytę Bennetom ze szczodrym zamiarem wybrania sobie żony spośród ich pięciu córek. Pani Bennet entuzjastycznie przyjęła ów zamiar, ostrzegła jednak wielebnego Collinsa, że najstarsza z córek najpewniej wkrótce się zaręczy. Wybór Williama padł więc na drugą w kolejności Elizabeth, która jednak stanowczo odrzuciła oświadczyzny. Pastor musiał szukać większego zrozumienia u jej przyjaciółki, panny Charlotty Lucas. Panna Lucas przyjęła oświadczyzny z satysfakcjonującym pośpiechem, a przyszłość, jakiej mogły się spodziewać pani Bennet z córkami, została przypieczętowana, nie budząc zresztą żalu ogółu sąsiadów. Po śmierci pana Benneta pan Collins planował umieszczenie pań w jednym z większych domów w posiadłości, gdzie sam zamierzał zadbać o ich strawę duchową, strawa fizyczna miała zaś pochodzić z resztek kuchennych pani Collins, wzbogacanych od czasu do czasu darowaną dziczyzną lub połciem boczku.

Szczęśliwym zrządzeniem losu Bennetowie uniknęli tych dobrodziejstw. Pod

koniec 1799 roku pani Bennet mogła sobie pogratulować bycia matką czterech zamężnych córek. Trzeba przyznać, że małżeństwo najmłodszej, Lydii, w wieku zaledwie szesnastu lat, nie rokowało dobrze. Lydia uciekła z George'em Wickhamem, porucznikiem milicji stacjonującej w Meryton, można się więc było spodziewać, że ta eskapada zakończy się, jak wszystkie tego typu przygody, porzuceniem Lydii przez Wickhama, wygnaniem jej z domu, usunięciem poza nawias społeczeństwa, wreszcie ostateczną degradacją, o której przyzwoitość nie pozwalała damom wspominać. Na szczęście ślub został zawarty, o czym pierwszy doniósł sąsiad William Goulding, który przejeżdżał obok powozu z Longbourn, gdy młoda pani Wickham oparła dłoń na otwartym oknie, by mógł dostrzec obrączkę. Siostra pani Bennet, pani Philips, pracowicie rozpowszechniała własną wersję ucieczki kochanków, zgodnie z którą para jechała do Gretna Green, ale na krótko zatrzymała się w Londynie, by Wickham mógł powiadomić matkę chrzestną o zbliżającym się ślubie, a po przybyciu pana Benneta poszukującego córki para przyjęła sugestię rodziny, że małżeństwo wygodniej będzie zawrzeć w Londynie. Nikt nie dawał wiary tym wymysłom, sąsiedzi uznali jednak, że winni przynajmniej udawać, iż przyjmują koncepty pani Philips z uwagi na ich oryginalność. George Wickham, rzecz jasna, już nigdy nie mógł zostać przyjęty w Meryton, aby nie kraść cnoty służącym ani zysków sklepikarzom, zgodzono się jednak, że gdyby jego żona pojawiła się w miasteczku, mogłaby liczyć na takie samo tolerancyjne traktowanie, z jakim dawniej spotykała się panna Lydia Bennet.

Sąsiedzi zachodzili w głowę, jak udało się doprowadzić do spóźnionego ślubu. Posiadłość pana Benneta nie przynosiła więcej niż dwa tysiące funtów rocznie, a według powszechnego przekonania pan Wickham musiał się domagać co najmniej pięciuset funtów oraz uregulowania wszystkich swoich rachunków z Meryton i innych, zanim przystał na małżeństwo. Pieniądze z pewnością wyłożył pan Gardiner, brat pani Bennet. Pan Gardiner uchodził za człowieka serdecznego, posiadał jednak rodzinę i z pewnością oczekiwał, że pan Bennet odda dług. W Lucas Lodge lękano się, iż powyższa konieczność uszczupli spadek zięcia, ale kiedy nie ścięto żadnych drzew, nie sprzedano ziemi, nie zwolniono służących, a rzeźnik wciąż jak co tydzień zaopatrywał panią Bennet, uznano, że pan Collins i droga Charlotte nie mają się czego obawiać i po przyzwoitym pochowaniu pana Benneta pan Collins będzie mógł objąć w posiadanie Longbourn pewien, że otrzymuje je w stanie nienaruszonym.



Za to zaręczyny, do których doszło niedługo po ślubie Lydii, mianowicie panny Bennet i pana Bingleya z Netherfield Park, przyjęto z aprobatą. Trudno je zresztą nazwać niespodziewanymi; podziw pana Bingleya dla Jane był widoczny już podczas ich pierwszego spotkania na balu. Jej uroda, łagodność i naiwny optymizm co do natury ludzkiej niepozwalający mówić źle o nikim sprawiały, że stała się ulubienicą wszystkich. Zaledwie kilka dni po zaręczynach najstarszej córki z panem Bingleyem doniesiono o jeszcze większym triumfie pani Bennet, do którego początkowo odnoszono się z niedowierzaniem. Oto panna Elizabeth Bennet, druga córka, miała poślubić pana Darcy'ego, właściciela Pemberley, jednej z najokazalszych posiadłości w hrabstwie Derby, przynoszącej ponoć dziesięć tysięcy funtów rocznie.

W Meryton powszechnie wiadomo, iż panna Lizzie nie znosi pana Darcy'ego, a stanowisko to podzielało towarzystwo biorące udział w balu, na którym pan Darcy po raz pierwszy pojawił się wraz z panem Bingleyem i jego dwiema siostrami, kiedy dał wyraz swojej dumie i pogardzie dla obecnych. Mimo zachęt ze strony przyjaciela, pana Bingleya, Darcy dał jasno do zrozumienia, że żadna z kobiet na balu nie zasługuje na to, by zostać jego partnerką. Kiedy sir William Lucas przedstawił mu Elizabeth, nie chciał z nią zatańczyć, wyjaśniając później panu Bingleyowi, że nie jest wystarczająco ładna, by go skusić. Uznawano więc, że żadna kobieta nie mogłaby zaznać szczęścia jako pani Darcy, albowiem, jak zauważyła Mary Lucas, „Kto chciałby przez resztę życia widzieć przy śniadaniu tę odpychającą twarz?”.

Nikt jednak nie mógł winić panny Elizabeth Bennet za przyjęcie postawy bardziej rozumnej i optymistycznej. W życiu nie można mieć wszystkiego, a każda młoda dama z Meryton zniosłaby więcej niż tylko odpychającą twarz przy śniadaniu, aby wyjść za dziesięć tysięcy rocznie i zostać panią Pemberley. Damy z Meryton solidarnie współczuły osobom dotkniętym nieszczęściem i chętnie gratulowały tym, którym się powiodło, ale uważały, że we wszystkim należy zachować umiar, a triumf panny Elizabeth przybrał doprawdy zbyt wielką skalę. Chociaż sąsiadki przyznały, że jest dość urodziwa i ma ładne oczy, to jednak niczym więcej nie mogła się zalecić mężczyźnie z taką fortuną; toteż wkrótce koteria największych plotkarek wysmażyła wytłumaczenie. Panna Lizzie zagięła parol na pana Darcy'ego już podczas pierwszego spotkania. Kiedy jej strategia stała się jasna, uznano, że od początku właściwie rozgrywała partię. Chociaż pan Darcy nie

zechciał z nią zatańczyć na balu, często zerkał na nią i jej przyjaciółkę Charlotte, która mając wieloletnie doświadczenie w polowaniu na męża, zręcznie wychwytywała wszelkie oznaki ewentualnego zainteresowania i przestrzegła Elizabeth, by jej oczywista słabość do George'a Wickhama, atrakcyjnego i cieszącego się wzięciem porucznika, nie popchnęła jej do urażenia mężczyzny dziesięciokrotnie bardziej znacznego.

Po balu panna Jane Bennet została zaproszona na kolację do Netherfield. Ponieważ matka nalegała, by zamiast brać rodzinny powóz, pojechała konno, dziewczyna w sam raz się przeziębila i musiała, zgodnie z planem pani Bennet, zostać kilka nocy w Netherfield. Elizabeth oczywiście wyprawiła się na piechotę, by odwiedzić Jane, a dobre maniere panny Bingley zmusiły ją do zaoferowania gościnności nieproszonej, dopóki jej siostra nie wróci do zdrowia. Prawie tydzień w towarzystwie pana Darcy'ego musiał wzmocnić nadzieje Elizabeth na powodzenie, z pewnością też w pełni wykorzystała tę przymusową bliskość.

W efekcie powyższych wydarzeń po namowach najmłodszych panien Bennet pan Bingley urządził w Netherfield bal, na którym Darcy zatańczył z Elizabeth. Siedzące pod ścianą przyzwoitki uniosły lorniony i podobnie jak reszta towarzystwa bacznie przyglądały się tańczącej parze. Ta co prawda niewiele rozmawiała, ale sam fakt, iż pan Darcy poprosił pannę Elizabeth do tańca, ona zaś nie odmówiła, budził zainteresowanie i domysły.

Kolejnym etapem kampanii Elizabeth była jej wizyta, wraz z sir Williamem Lucasem i jego córką Marią, u państwa Collinsów na plebanii w Hunsford. W normalnych warunkach panna Elizabeth z pewnością odrzuciłaby takie zaproszenie. Jakąż przyjemność mogła czerpać racjonalna kobieta z sześciotygodniowego towarzystwa pana Collinsa? Powszechnie wiadomo, że zanim został przyjęty przez pannę Lucas, oświadczył się właśnie pannie Lizzie. Takt, nie mówiąc już o innych powodach, powinien kazać jej się trzymać z dala od Hunsford. Elizabeth wiedziała jednak, że lady Catherine de Bourgh jest sąsiadką i patronką pana Collinsa, a pan Darcy, jej siostrzeniec, niemal na pewno będzie przebywał w Rosings podczas wizyty gości na plebanii. Charlotte, która informowała matkę o wszystkich szczegółach swego życia małżeńskiego, włączając w to zdrowie krów, drobiu oraz męża, napisała, że pan Darcy i jego kuzyn pułkownik Fitzwilliam, również przebywający z wizytą w Rosings, często odwiedzali plebanię podczas pobytu Elizabeth, doniosła też, iż pan Darcy przyszedł

raz bez kuzyna, kiedy Elizabeth była sama. Zdaniem pani Lucas dowodziło to niezbitości faktu, że pan Darcy się zakochał, napisała też, że według niej przyjaciółka córki powinna niezwłocznie przyjąć oświadczenia któregośkolwiek z dwóch dżentelmenów, gdyby do takowych doszło. Panna Lizzie wróciła jednak do domu z niczym.

W końcu wszystko się ułożyło, kiedy pani Gardiner wraz z mężem, bratem pani Bennet, zaprosili Elizabeth na letnią wycieczkę. Pierwotnie zamierzali się wybrać do Krainy Jezior, najwyraźniej jednak obowiązki służbowe zmusiły pana Gardinera do ograniczenia planów, mieli więc poprzestać na wyprawie do hrabstwa Derby. Wiadomość przekazała Kitty, czwarta córka Bennetów, ale nikt w Meryton nie wierzył w tę wymówkę. Zamożna rodzina, którą było stać na podróż z Londynu do Derby, z pewnością mogła przedłużyć wycieczkę do Krainy Jezior, gdyby tylko miała taką ochotę. Nie ulegało wątpliwości, że pani Gardiner, współniczka w planie matrymonialnym swej ulubionej siostrzenicy, wybrała hrabstwo Derby, ponieważ pan Darcy miał przebywać w Pemberley.

W rzeczy samej Gardinerowie i Elizabeth, którzy niewątpliwie zapytali w gospodzie, kiedy można zastać pana na Pemberley, złożyli tam wizytę, gdy pan Darcy wrócił. Zgodnie z wymogami uprzejmości Gardinerowie zostali przedstawieni, całą grupę zaproszono do Pemberley na kolację, a jeśli panna Elizabeth miała jakiegokolwiek wątpliwości co do sensu swego planu, by złowić pana Darcy'ego, jeden rzut oka na posiadłość utwierdził ją w postanowieniu, aby zakochać się w nim czym prędzej.

Po powrocie do Netherfield Park pan Darcy i jego przyjaciel pan Bingley niezwłocznie złożyli wizytę w Longbourn, gdzie szczęście panien Jane i Elizabeth zostało w końcu triumfalnie przypieczętowane. Zrękowiny Elizabeth, choć okazałe, nie dostarczyły takiej przyjemności jak zaręczyny starszej z sióstr. Lizzie nigdy nie cieszyła się popularnością. Co bystrzejsze z merytońskich dam podejrzewały czasem, że podśmiewa się z nich skrycie. Ponadto zarzucały jej, że jest sarkastyczna, i choć nie miały pewności, co to słowo oznacza, wiedziały, że nie jest to cecha pożądana u kobiety, ponieważ dżentelmeni szczególnie jej nie lubią. Sąsiadki, których zazdrość z powodu triumfu Elizabeth przewyższała zadowolenie z perspektyw małżeńskich, mogły się pocieszać zapewnieniami, iż duma i arogancja pana Darcy'ego oraz kostyczny humor żony sprawią, że ich życie będzie upływać w całkowitej udręce, której ani Pemberley, ani dziesięć tysięcy rocznie nie

zrekompensują.

Biorąc pod uwagę formalności, bez których wystawny ślub raczej nie mógł się odbyć – takich jak wykonanie portretów, czynności prawne, zakup nowych powozów i strojów – śluby panny Jane z panem Bingleyem oraz panny Elizabeth z panem Darcym zostały zawarte tego samego dnia w kościele w Longbourn z zadziwiająco małym opóźnieniem. Dzień ów mógł się stać najszcześniejszym w życiu pani Bennet, gdyby podczas uroczystości nie chwyciły ją palpacje wywołane lękiem, że groźna ciotka pana Darcy'ego lady Catherine de Bourgh pojawi się w drzwiach kościoła, by zapobiec małżeństwu. Dopiero po ostatnim błogosławieństwie mogła poczuć, że nikt nie odbierze jej triumfu.

Należy raczej wątpić, by pani Bennet brakowało towarzystwa drugiej córki, ale jej mężowi z pewnością tak. Elizabeth była jego ulubienicą. Po ojcu odziedziczyła inteligencję, cięty dowcip, zdolność śmiania się ze słabostek i niekonsekwencji sąsiadów. Longbourn House bez Elizabeth stał się samotniejszym i mniej rozumnym miejscem.

Pan Bennet był bystrym, czytającym książki człowiekiem, dla którego biblioteka stanowiła azyl i źródło najszcześniejszych godzin. On i Darcy szybko doszli do wniosku, że się lubią, i odtąd, jak często bywa między przyjaciółmi, akceptowali swoje rozmaite dziwactwa, uznając je za dowód wyższej inteligencji tego drugiego. Wizyty pana Benneta w Pemberley, często wtedy, gdy najmniej się go spodziewano, upływały głównie w bibliotece, jednej z najświetniejszych, jakie znajdowały się w prywatnych rękach. Trudno było go wyciągnąć z niej nawet na posiłki. Bingleyów w Highmarten odwiedzał rzadziej, ponieważ Jane większość uwagi poświęcała mężowi i dzieciom, co niekiedy drażniło pana Benneta. Ponadto nie było tam książek ani czasopism mogących go skusić. Majątek pana Bingleya pochodził z handlu. Nie odziedziczył rodzinnej biblioteki, choć po nabyciu Highmarten House zamierzał zgromadzić księgozbiór. Panowie Darcy i Bennet ochoczo zaoferowali pomoc. Niewiele jest przyjemniejszych rzeczy niż wydawanie pieniędzy przyjaciela ku własnej satysfakcji i jego korzyści, a jeżeli nabywcy ulegali czasem pokusie rozrzutności, pocieszali się myślą, że pana Bingleya na to stać. Chociaż półki biblioteczne, zaprojektowane według wskazówek i zaaprobowane przez pana Benneta, bynajmniej nie były jeszcze zapełnione, to przecież Bingley mógł się napawać wytwornym ustawieniem woluminów oraz lśniącymi skórzanymi okładkami; zdarzało się nawet, że wyjmował książkę, i widziano, jak ją czyta, kiedy

pora roku lub pogoda nie sprzyjały polowaniu, łowieniu ryb czy strzelaniu.

Pani Bennet towarzyszyła mężowi w odwiedzinach w Pemberley tylko dwukrotnie. Pan Darcy podejmował ją uprzejmie i cierpliwie, ale czuła przed zięciem taką bojaźń, że nie chciała przeżywać tego ponownie. Elizabeth podejrzewała, że matka większą przyjemność czerpie z raczenia sąsiadek opowieściami o cudach Pemberley, o rozmiarach i urodzie ogrodów, przepychu domu, liczbie służących i splendorze stołu w jadalni niż z faktycznego ich przeżywania. Ani pan Bennet, ani jego żona nie odwiedzali często wnuków. Pięć córek urodzonych w krótkich odstępach czasu pozostawiło żywe wspomnienie o zarwanych nocach, wrzeszczących niemowlętach, nieustannie utyskującej niańce i opornych pokojówkach. Wstępna inspekcja wkrótce po narodzinach każdego wnuka czy wnuczki potwierdzała zapewnienia rodziców, że dziecko jest nad wyraz urodziwe i już przejawia nieprzeciętną inteligencję, po czym Bennetowie zadowalali się regularnymi sprawozdaniami o postępach.

Na balu w Netherfield pani Bennet, powodując zresztą silne zażenowanie dwóch najstarszych córek, głośno oznajmiła, że po ślubie Jane z panem Bingleyem spodziewa się, iż inni zamożni panowie zainteresują się jej młodszymi córkami. Ku powszechnemu zdziwieniu Mary posłusznie wypełniła tę jakże naturalną macierzyńską przepowiednię. Nikt nie liczył na to, że wyjdzie za mąż. Kompulsywnie czytała książki, ale ani ich świadomie nie wybierała, ani nie rozumiała; pozbawiona talentu mozolnie ćwiczyła na klawikordzie; często rzucała banalne uwagi, którym brakowało mądrości i dowcipu. Z całą pewnością nigdy nie okazywała zainteresowania płcią męską. Bal był pokutą, którą znosiła tylko dlatego, że stwarzał okazję do znalezienia się w centrum uwagi przy klawikordzie i rozmyślnego zmuszenia oszołomionej publiczności do uległości. Od ślubu Jane upłynęły tylko dwa lata, gdy Mary została żoną wielebnego Theodore'a Hopkinsa, proboszcza parafii przylegającej do Highmarten.

Z powodu niedyspozycji wikarego z Highmarten przez trzy kolejne niedziele nabożeństwo odprawiał pan Hopkins. Ten chudy, melancholijny kawaler w wieku trzydziestu pięciu lat miał zwyczaj wygłaszać przesadnie długie, skomplikowane pod względem teologicznym kazania, co naturalnie przysporzyło mu reputacji bardzo mądrego człowieka, a choć trudno było go nazwać bogatym, prócz uposażenia posiadał więcej niż wystarczające prywatne dochody. Mary, goszcząca w Highmarten w jedną z niedziel, kiedy wygłaszał kazanie, po nabożeństwie została

mu przedstawiona przez Jane w drzwiach kościoła i natychmiast zrobiła na pastora wrażenie, komplementując jego mowę, wyrażając poparcie dla jego interpretacji Pisma, w dodatku tak często nawiązywała do kazań Fordyce'a, że siostra, która spieszyła się z mężem na lunch z sałaty i wędlin, zaprosiła proboszcza na następny wieczór na kolację. Później posypały się kolejne zaproszenia i przed upływem trzech miesięcy Mary została panią Hopkins, przy czym małżeństwo wzbudziło równie małe zainteresowanie ogółu, jak mało okazały był sam ślub.

Jedną z korzyści parafii okazała się wyraźna poprawa jedzenia na plebanii. Pani Bennet wpoila córkom znaczenie dobrego stołu dla harmonii domowej i przyciągania męskich gości. Wierni mieli nadzieję, że proboszczowi będzie tak spieszo do małżeńskiej szczęśliwości, że skróci nabożeństwo, ale chociaż jego tusza wzrosła, to długość kazań pozostała bez zmian. Nowożeńcy zamieszkali razem w pełnej zgodzie, z tym tylko że Mary na samym początku zażądała własnego pokoju, gdzie mogłaby spokojnie czytać. Jedyną wolną sypialnię przeznaczono więc na wyłączny użytek pani domu, co przyczyniło się do wzmocnienia przyjaznych stosunków między małżonkami, a w dodatku uniemożliwiło im zapraszanie krewnych na noc.

Jesienią 1803 roku, kiedy panie Bingley i Darcy obchodziły szóstą rocznicę szczęsnego małżeństwa, pani Bennet pozostała tylko jedna córka, Kitty, dla której nie znaleziono męża. Ani pani Bennet, ani Kitty nie przejmowały się zbyt matrymonialną porażką. Kitty cieszyła się prestiżem i pobjażaniem okazywanym jedynej córce w domu, regularnie odwiedzała Jane, gdzie była ukochaną ciotką, słowem: jeszcze nigdy nie żyło jej się lepiej. Wizyty Wickhama i Lydii stanowiły raczej marną reklamę dla instytucji małżeństwa. Przyjeżdżali w znakomitych humorach, wylewnie witani przez panią Bennet, zawsze radą zobaczyć ukochaną córkę. Jednak początkowa dobra wola szybko przeradzała się w kłótnie, oskarżenia i niskie utyskiwanie gości na biedę oraz skąpstwo Elizabeth i Jane, toteż pani Bennet żegnała ich z nie mniejszą radością, niż witała przy kolejnej wizycie. Tak naprawdę potrzebowała córki pod dachem, a Kitty, która po wyjeździe Lydii stała się znacznie bardziej przyjazna i pożyteczna, spisywała się bardzo dobrze. Tak więc w 1803 roku panią Bennet można było uważać za kobietę szczęśliwą, przynajmniej na tyle, na ile pozwalał jej charakter. Podobno nawet wzięła udział w czterodaniowym obiedzie w obecności sir Williama i lady Lucas, ani razu nie wspominając o niesprawiedliwym majoracie.

# **Księga pierwsza**

W przeddzień balu

O jedenastej w piątek czternastego października 1803 roku Elizabeth Darcy siedziała przy stole w swojej bawialni na pierwszym piętrze w Pemberley House. Pokój nie był duży, miał jednak szczególnie miłe proporcje i dwa okna, które wychodziły na rzekę. Bawialnię wybrała Elizabeth na własny użytek; kazała ją urządzić zgodnie ze swymi instrukcjami, meble, zasłony i dywany z zasobów Pemberley poleciła rozmieścić tak, jak tego sobie życzyła. Sam Darcy nadzorował pracę. Wyraz zadowolenia na mężowskiej twarzy, kiedy Elizabeth wzięła pokój w posiadanie, oraz staranne wypełnianie jej życzeń przez wszystkich uzmysłowiły jej, bardziej nawet niż ostentacyjny przepych domu, przywileje należne pani Darcy na Pemberley.

Pomieszczeniem, które dostarczało jej niemal tak wiele przyjemności jak bawialnia, była wspaniała biblioteka w Pemberley. Księgozbiór stanowił efekt pracy wielu pokoleń, obecnie zaś jej mąż z zainteresowaniem i radością postanowił go powiększyć. Biblioteka w Longbourn była domeną pana Benneta i nawet Elizabeth, jego ukochana córka, wchodziła tam jedynie na zaproszenie. Do biblioteki w Pemberley miała równie swobodny dostęp jak Darcy, a za jego aktywną i czułą zachętą przez ostatnie sześć lat przeczytała więcej, z większą radością i zrozumieniem niż w ciągu wcześniejszych piętnastu, wzbogacając wykształcenie, które, jak teraz pojmowała, było zaledwie podstawowe. Kolacje w Pemberley całkowicie różniły się od tych w Meryton, gdzie ci sami ludzie powtarzali te same plotki i wymieniali te same poglądy, gdzie rozmowę ożywiały tylko sir William Lucas rozwodzący się nad kolejnym szczegółem swej inwestytury w pałacu St. James. Teraz, kiedy chwytała spojrzenia kobiet i opuszczały panów, by mogli się zająć męskimi sprawami, nieodmiennie czuła żal. Fakt, że istnieli mężczyźni, którzy cenili w kobiecie inteligencję, był dla Elizabeth objawieniem.

Nazajutrz miał się odbyć bal lady Anne. Przez ostatnią godzinę Elizabeth z gospodynią panią Reynolds sprawdzały, czy przygotowania przebiegały należycie, teraz Elizabeth została sama. Pierwszy bal wydano, kiedy Darcy miał rok. W ten sposób uczczono urodziny jego matki; później, z wyjątkiem okresu żałoby po śmierci jej męża, bal urządzano co roku aż do śmierci samej lady Anne. Wydawany



w pierwszą sobotę po październikowej pełni księżyca zazwyczaj zbiegał się niemal z rocznicą ślubu Darcy'ego i Elizabeth, tę jednak zawsze spędzali kameralnie z Bingleyami, którzy pobrali się w tym samym dniu. Czuli, że okazja jest zbyt intymna i cenna, by świętować ją publicznymi zabawami. Na życzenie Elizabeth jesienny bal wciąż nazywano imieniem lady Anne. W hrabstwie uważano go za najważniejsze wydarzenie towarzyskie roku. Pan Darcy wyraził obawę, czy aby na pewno jest to pomyślny rok na bal, skoro spodziewana wojna z Francją została już wypowiedziana, a na południu kraju panował niepokój w związku z groźbą inwazji Bonapartego. Co więcej, marne zbiory pociągały oczywiste konsekwencje dla wiejskiego życia. Wielu dżentelmenów, podnosząc zatroskany wzrok znad ksiąg rachunkowych, skłaniało się ku przekonaniu, że w tym roku nie powinno się urządzać balu, ale wobec oburzenia żon i perspektywy co najmniej dwóch miesięcy domowych niesnasek panowie zgodzili się w końcu, że nic nie podnosi morale lepiej niż odrobina nieszkodliwej rozrywki, a Paryż z pewnością nie posiadałby się z radości i nabrałby nowego animuszu na wieść, że bal w Pemberley został odwołany.

Rozrywki i zabawy sezonowe, jakie oferuje życie na wsi, nie były ani tak liczne, ani pasjonujące, by ci z sąsiadów, którzy z racji pozycji mogli czerpać korzyść ze zobowiązań towarzyskich wielkiej posiadłości, je ignorowali. Małżeństwo pana Darcy'ego, kiedy opadło zdziwienie jego wyborem, obiecywało przynajmniej, że częściej niż dawniej będzie w domu, pozwalało też żywić nadzieję, iż młoda żona nie uchyli się od powinności. Po powrocie z podróży poślubnej aż do dalekich Włoch Darcy i Elizabeth musieli ścierpieć zwyczajowe formalne wizyty, przyjąć tradycyjne powinszowania i znieść banalne konwersacje z takim wdziękiem, na jaki tylko mogli się zdobyć. Darcy, od dzieciństwa świadom, że Pemberley zawsze mogło udzielać więcej benefitów niż przyjmować, znosił te spotkania z podziwu godnym spokojem, natomiast Elizabeth czerpała z nich skrytą rozrywkę, ponieważ sąsiedzi pragnęli zaspokoić ciekawość, a przy tym nadal uchodzić za ludzi dobrze wychowanych. Goście mogli liczyć na podwójną przyjemność: cieszyli się przepisowym półgodzinnym pobytem w bawialni pani Darcy, później zaś dyskutowali z sąsiadami na temat stroju, usposobienia i stosowności panny młodej oraz szans pary na szczęśliwość małżeńską. W ciągu miesiąca zapadł werdykt: na dżentelmenach zrobiła wrażenie uroda i inteligencja Elizabeth, ich żonom zaimponowała jej elegancja, przyjazne usposobienie oraz jakość poczęstunków.

Powszechnie się zgodzono, że Pemberley, mimo niefortunnego pochodzenia nowej pani, mogło zająć należne mu miejsce w życiu towarzyskim hrabstwa, jak to się działo za czasów lady Anne Darcy.

Elizabeth była na tyle realistką, by wiedzieć, że nie zapomniano o jej pochodzeniu, a każdą nową rodzinę, która zamieszkała w okolicy, raczono informacją o zdumiewającym wyborze pana Darcy'ego. Wszak znano go jako człowieka dumnego, przywiązującego kapitalne znaczenie do tradycji i reputacji rodzinnej, jego ojciec podwyższył status rodu, żeniąc się z córką hrabiego. Wydawać by się mogło, iż żadna kobieta nie była na tyle dobra, by zostać panią Fitzwilliamową Darcy, a on wybrał drugą córkę dżentelmena, którego posiadłość, obciążona majoratem wykluczającym z dziedziczenia jego córki, była niewiele większa niż ogrody w Pemberley, młodą kobietę z majątkiem wynoszącym ponoć zaledwie pięćset funtów, z dwiema niezamężnymi siostrami oraz tak hałaśliwą i wulgarną matką, że nie można jej było przyjmować w szanującym się towarzystwie.

Co gorsza, jedna z młodszych sióstr poślubiła George'a Wickhama, okrytego niesławą syna rządcy starego pana Darcy'ego. Ślub zawarto w okolicznościach, o których przyzwoitość nakazywała wspominać jedynie szeptem, i w ten sposób pan Darcy z rodziną został obciążony człowiekiem, którym tak pogardzał, że nazwiska Wickham nigdy nie wymawiano w Pemberley, a para nie miała prawa wstępu do domu. Trzeba przyznać, że sama Elizabeth cieszyła się szacunkiem i w końcu nawet sceptycy przyznali, że jest ładna, ma śliczne oczy, choć małżeństwo nadal budziło zadziwienie. Szczególnie irytowało ono kilka młodych dam, które za radą matek odrzuciły całkiem sensowne oferty w nadziei na zdobycie głównej nagrody, teraz zaś zbliżały się do niebezpiecznego wieku trzydziestu lat bez żadnych perspektyw. W zaistniałej sytuacji Elizabeth pocieszała się wspomnieniem własnej odpowiedzi udzielonej lady Catherine de Bourgh, kiedy oburzona siostra lady Anne wskazała na niedogodności, jakie przypadną w udziale Elizabeth, jeśli będzie miała czelność zostać panią Darcy. „To prawdziwa klęska, myślę jednak, iż żona pana Darcy'ego będzie miała tak niezwykle powody do szczęścia, nierozłącznie związane z jej pozycją, że ogólnie biorąc, nie będzie czego żałować”<sup>[2]</sup>.

Z perspektywy czasu pierwszy bal, na którym Elizabeth stanęła z mężem u szczytu schodów jako gospodyni, by witać wchodzących gości, jawił się jako swoista próba, ale przeszła ją triumfalnie. Elizabeth lubiła tańczyć i teraz mogła

powiedzieć, że bal dostarczył jej nie mniej przyjemności niż gościom. Lady Anne drobiazgowo zaplanowała całe wydarzenie, a oprawny w skórę notes z godłem Darcych, zapisany jej eleganckim pismem, wciąż był używany; tego ranka leżał otwarty przed Elizabeth i panią Reynolds. Lista gości pozostawała w znacznej mierze niezmieniona, choć powiększono ją o przyjaciół Darcy'ego i Elizabeth, w tym jej wujostwo Gardinerów; rozumie się, że Bingley i Jane przychodzili również, a w tym roku, podobnie jak w zeszłym, mieli przyprowadzić goszczącego u nich Henry'ego Alvestona, młodego prawnika, który jako przystojny, bystry i pełen życia młody człowiek był w Pemberley równie mile widziany jak w Highmarten.

Elizabeth nie martwiła się o powodzenie balu. Doskonale wiedziała, że wszystko przygotowano. Nacięto dość drzewa, by podsycać ogień, zwłaszcza w sali balowej. Piekarz odpowiedzialny za ciasta dopiero rano miał przygotować delikatne ciasteczka i słodczyce cieszące się powodzeniem wśród dam; z wiszących zarżniętych ptaków i innych zwierząt przyrządzi się bardziej treściwe dania, jakich oczekiwali panowie. Z piwnicy wytoczono już wina, utarto też wystarczającą ilość migdałów na popularną białą zupę. W ostatniej chwili doleje się do niej gorącego słodkiego wina z korzeniami, które znacznie poprawi smak i moc potrawy, przyczyniając się do ogólnej wesołości. Z cieplarni wybrano kwiaty i rośliny, które umieszczone w wiadrach miały trafić do oranżerii, by jutro po południu Elizabeth i Georgiana, siostra Darcy'ego, dopilnowały ich ułożenia. Mieszkający w leśnym domu Thomas Bidwell siedział pewnie teraz w spiżarni i polerował tuziny świeczników potrzebnych do sali balowej, oranżerii oraz saloniku dla pań. Bidwell, podobnie jak wcześniej jego ojciec, pracował jako stangret u świętej pamięci pana Darcy'ego. Z powodu reumatyzmu kolan nie mógł już pracować przy koniach, ale dłonie nadal miał krzepkie, więc w tygodniu poprzedzającym bal każdego wieczoru polerował srebra, pomagał odkurzać dodatkowe krzesła dla przyzwoitek, słowem: był niezastąpiony. Nazajutrz powozy właścicieli ziemskich i wynajęte kariolki skromniejszych gości wtoczą się na podjazd, wyleją się z nich otulone płaszczami przed jesiennym chłodem rozgadane pasażerki w muślinowych sukniach, z migotliwymi ozdobami we włosach, znowu wypatrujące pamiętnych rozkoszy balu lady Anne.

We wszystkich przygotowaniach do balu Elizabeth mogła polegać na pomocnej dłoni pani Reynolds. Elizabeth poznała ją, kiedy razem z wujostwem odwiedziła Pemberley i została po nim oprowadzona przez gospodynię, która znała Darcy'ego

od dzieciństwa i tak go chwaliła, zarówno jako człowieka, jak i pana, że Elizabeth po raz pierwszy przyszło na myśl, iż jej uprzedzenia wobec niego mogły być niesprawiedliwe. Nigdy nie rozmawiała z panią Reynolds o przeszłości, ale się zaprzyjaźniły, a gospodyni, taktownie wspierając nową panią, stała się dla niej nieoceniona. Jeszcze przed przybyciem do Pemberley w charakterze panny młodej Elizabeth pojęła, że bycie panią takiego domu, ponoszenie odpowiedzialności za tak wielką służbę, bardzo się różniło od obowiązków jej matki w Longbourn. Jej dobroć i szczerze zainteresowanie życiem służących utwierdziło ich w przekonaniu, że ich pomyślność leży na sercu nowej pani. Wszystko okazało się łatwiejsze, niż się spodziewała, nawet mniej uciążliwe niż prowadzenie Longbourn, ponieważ służba w Pemberley, w przeważającej mierze o długim stażu, została wyszkolona przez panią Reynolds i kamerdynera Stoughtona zgodnie z tradycją, wedle której rodzina nigdy nie może cierpieć niewygody i ma prawo oczekiwać nienagannej obsługi.

Jeśli Elizabeth tęskniła za czymś z poprzedniego życia, to jej myśli najczęściej biegły ku służącym z Longbourn: ku pani Hill, gospodyni znającej ich wszystkie sekrety, włącznie z niesławną ucieczką Lydii z ukochanym; ku pani Wright, kucharce, która nigdy nie skarżyła się na dość nierozsądne żądania pani Bennet; a także ku dwóm pokojówkom, które dodatkowo pełniły funkcję osobistych służących jej i Jane i układały im włosy przed każdym balem. Wszystkie one stały się częścią rodziny w sposób niedostępny dla służby w Pemberley, Elizabeth wiedziała jednak, że właśnie Pemberley, siedziba rodu Darcych, łączyło rodzinę, służbę i dzierżawców wspólnymi więzami lojalności. Wielu z nich było dziećmi i wnukami poprzednich służących, a dom wraz z jego historią mieli we krwi. Wiedziała też, że wydanie na świat dwóch zdrowych chłopców, teraz przebywających w pokoju dziecięcym na piętrze – Fitzwilliama, który miał prawie pięć lat, i dwulatka Charlesa – stanowiło jej ostateczny triumf. Dzięki temu służący mogli mieć pewność, że rodzina i jej potomstwo nadal będą dostarczać pracę im, a także ich dzieciom i wnukom, a Pemberley pozostanie w rękach rodu Darcych.

Blisko sześć lat wcześniej pani Reynolds, podczas rozmowy o liście gości, menu i kwiatach na pierwsze przyjęcie wydawane przez Elizabeth, zauważyła:

– Szczęśliwy to był dzień dla nas wszystkich, pani, kiedy pan Darcy przywiózł do domu swoją wybrankę. Najgorętszym pragnieniem mojej pani było dożyć chwili, gdy jej syn się ożeni. Niestety, nie było jej to pisane. Wiem, jak bardzo jej zależało, zarówno dla dobra syna, jak i Pemberley, aby szczęśliwie się ożenił.

Ciekawość Elizabeth przewyższyła dyskrecję. Przesuwając papiery na biurku, powiedziała lekko bez podnoszenia wzroku:

– Ale może nie taką żonę miała na myśli? Czyż lady Anne Darcy nie ustaliła z siostrą, że pan Darcy powinien poślubić pannę de Bourgh?

– Nie twierdzę, pani, że lady Catherine nie snuła takich planów. Często przywoziła pannę de Bourgh do Pemberley, kiedy wiedziała, że zastanie tu pana Darcy'ego. Ale to nie było możliwe. Panna de Bourgh, nieboraczka, zawsze była chorowita, a lady Anne przywiązywała wielką wagę do zdrowia panny młodej. Słyszeliśmy, że lady Catherine miała nadzieję, iż inny kuzyn panny de Bourgh, pułkownik Fitzwilliam, się oświadczy, ale nic z tego nie wyszło.

Powracając myślami do chwili obecnej, Elizabeth wsunęła notes lady Anne do szuflady, po czym, niechętna porzucić spokój i samotność, których nie zazna ponownie, póki bal się nie skończy, podeszła do jednego z dwóch okien wychodzących na długi łukowaty podjazd i rzekę, nad którą rósł słynny las Pemberley. Pewien znakomity ogrodnik posadził go kilka pokoleń wcześniej. Każde drzewo na skraju lasu, doskonałe i ozdobione ciepłymi, złotymi refleksami jesieni, stało w pewnym oddaleniu od innych, jakby podkreślając własną niepowtarzalną urodę; dalej drzewa rosły ciaśniej, żyzna, pachnąca łem samotność gęstwiny zmyślnie wabiła wzrok obserwatora. Na północnym zachodzie znajdował się drugi, większy las, w którym drzewom i krzewom pozwalano rosnąć naturalnie. W dzieciństwie Darcy lubił się tam bawić i miał swoje kryjówki. Jego pradziadek, gdy po odziedziczeniu majątku stał się odludkiem, zbudował tam domek, w którym się zastrzelił, a las – nazywany terenami leśnymi, w odróżnieniu od szkółki leśnej – wzbudzał zabobonny lęk w służących i dzierżawcach Pemberley, rzadko więc go odwiedzali. Wąska ścieżka przez las prowadziła do drugiego wejścia do Pemberley, ale korzystali z niej głównie handlarze. Goście na bal zatrzymywali się na podjeździe, powozy i konie odprowadzano do stajni, stangretów zabawiano w kuchni aż do zakończenia zabawy.

Elizabeth została dłużej przy oknie, odsunęła na bok troski związane z nadchodzącym dniem i pozwoliła, by znajomy, choć nieustannie zmieniający się widok ukoił jej oczy. Słońce świeciło na przejrzystym błękicie, nieliczne chudziutkie chmurki rozwiewały się jak dym. Krótki spacer, jaki zazwyczaj robiła z mężem na początek dnia, nauczył Elizabeth, że jesienne słońce jest zwodnicze, a mroźne poddmuchy, na które była słabo przygotowana, szybko wyganiały ich do domu. Teraz

spostrzegła, że wiatr przybrał na sile. Rzekę zmarszczyły drobne fale, które wygładzały się pośród nabrzeżnych traw i zarośli, a ich poszatutowane cienie drżały na wzburzonej wodzie.

Elizabeth ujrzała, że poranny chłód nie przstraszył dwojga ludzi; Georgiana i pułkownik Fitzwilliam wcześniej spacerowali nad rzeką, teraz zaś skręcali w stronę murawy i kamiennych schodów prowadzących do domu. Jaskrawa czerwień munduru pułkownika Fitzwilliama kontrastowała z łagodnym odcieniem niebieskiej pelisy Georgiany. Szli w pewnym oddaleniu od siebie, ale, jak myślała Elizabeth, w pełnej komitywie; co pewien czas stawali, gdy Georgiana przytrzymywała kapelusz, by nie porwał go wiatr. Kiedy podeszli bliżej, Elizabeth cofnęła się od okna, by nie poczuli, że ich śledzi, po czym wróciła do biurka. Trzeba było napisać listy, odpowiedzieć na zaproszenia, zdecydować, czy powinna odwiedzić wieśniaków pogrążonych w nędzy lub żalu, wyrazić współczucie bądź pospieszyć z praktyczną pomocą.

Zaledwie chwyciła za pióro, rozległo się ciche pukanie do drzwi i ponownie weszła pani Reynolds.

– Przepraszam, że pani przeszkadzam, ale pułkownik Fitzwilliam właśnie wrócił ze spaceru i pyta, czy mogłaby pani poświęcić mu kilka minut, jeśli nie jest to niedogodne.

– Jeśli chce zajrzeć do mnie teraz, jestem wolna – odparła pani Darcy.

Elizabeth domyślała się, o czym chciał z nią mówić, i chętnie oszczędziłaby sobie związanego z tym niepokoju. Darcy miał niewielu bliskich krewnych, a jego kuzyn, pułkownik Fitzwilliam, od dzieciństwa bywał częstym gościem w Pemberley. Na początku kariery wojskowej pojawiał się rzadziej, jednak w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy jego wizyty, choć krótsze, stały się częstsze. Elizabeth zauważyła, że zaszła subtelna, acz wyraźna zmiana w jego odnoszeniu się do Georgiany – w jej towarzystwie częściej się uśmiechał, chętniej niż dotychczas siadał obok niej i nawiązywał rozmowę. Od ostatniej wizyty na zeszłorocznym balu lady Anne w życiu pułkownika zaszła znacząca zmiana. Jego starszy brat, prawowity spadkobierca, zmarł za granicą i teraz to pułkownik Fitzwilliam dziedziczył tytuł wicehrabiego Hartlep wraz z majątkiem. Pułkownik wolał nie posługiwać się nowym tytułem, zwłaszcza wśród przyjaciół; postanowił poczekać z przyjęciem nowej godności oraz licznych związanych z tym obowiązków i nadal był powszechnie znany jako pułkownik Fitzwilliam.

Oczywiście będzie się chciał ożenić, zwłaszcza teraz, kiedy Anglia prowadziła wojnę z Francją i mógł polec, nie zostawiając spadkobiercy. Chociaż Elizabeth nigdy nie zaprzętała sobie głowy rodowym drzewem genealogicznym, to wiedziała, że pułkownik nie miał bliskich męskich krewnych, a gdyby zmarł, nie zostawiwszy syna, linia by wygasła. Nie po raz pierwszy się zastanawiała, czy szukał żony w Pemberley, a jeśli tak, jak zareaguje Darcy? Z pewnością musiało mu się podobać, że siostra pewnego dnia zostanie hrabiną, a jej mąż członkiem Izby Lordów i prawodawcą swego kraju. Wszystko to stanowiło powód do uzasadnionej dumy rodowej, ale czy Georgiana będzie ją podzielać? Teraz była dojrzałą kobietą, wolną od nadzoru opiekunów. Elizabeth wiedziała, że mimo to Georgianę bardzo by smuciło rozważanie małżeństwa z człowiekiem, którego nie mógłby zaaprobować brat. Poza tym istniała komplikacja w postaci Henryka Alvestona. Elizabeth widziała dość, aby się upewnić, że był zakochany lub na progu zakochania, ale co z Georgianą? Co do jednej rzeczy Elizabeth miała pewność: Georgiana Darcy nigdy nie wyjdzie za mąż bez miłości, albo bez owego silnego przyciągania, uczucia i szacunku, które, jak ufała kobieta, przerodzą się w miłość. Czyż nie wystarczyłoby to samej Elizabeth, gdyby pułkownik Fitzwilliam oświadczył się był podczas wizyty u ciotki, lady Catherine de Bourgh w Rosings? Myśl, że mogła bezwiednie utracić Darcy'ego i obecne szczęście, skwapliwie przyjmując oświadczyzny jego kuzyna, była jeszcze bardziej upokarzająca niż wspomnienie słabości do okrytego niesławą George'a Wickhama, toteż rezolutnie odsunęła ją na bok.

Pułkownik przybył do Pemberley poprzedniego wieczoru na kolację, ale po przywitaniu się niewiele czasu spędzili razem. Teraz, po tym jak cicho zapukał, wszedł i na zaproszenie Elizabeth usiadł obok niej przy kominku, odniosła wrażenie, że po raz pierwszy widzi go tak wyraźnie. Fitzwilliam był o pięć lat starszy od Darcy'ego, ale przy pierwszym spotkaniu w salonie w Rosings jego radosne usposobienie i pociągająca żywotność dodatkowo uwydatniały małomówność kuzyna, przez co pułkownik wydawał się młodszy od niego. Wszystko to jednak należało już do przeszłości. Obecnie jego dojrzałość i powaga sprawiały, że wydawał się starszy, niż był w istocie. Częściowo musiało to wynikać ze służby wojskowej, myślała, z wielkiej odpowiedzialności za podwładnych, podczas gdy zmiana statusu przyczyniła się nie tylko do większej powagi, ale – jej zdaniem – uwidoczniła dumę rodową z odrobiną arogancji, już mniej atrakcyjną.

Nie od razu się odezwał, a w ciszy, jaka zapadła, Elizabeth postanowiła, że skoro

to pułkownik poprosił o spotkanie, powinien przemówić pierwszy. Najwyraźniej szukał właściwych słów, choć nie sprawiał wrażenia zakłopotanego ani skrępowanego. W końcu, nachyliwszy się ku niej, rzekł:

– Przekonany jestem, droga kuzynko, że dzięki bystrości spojrzenia i twemu zainteresowaniu losem innych domyślasz się, co zamierzam powiedzieć. Jak ci wiadomo, po śmierci mojej ciotki lady Anne miałem przywilej, wraz z Darcym, być opiekunem jego siostry, a chyba wolno mi stwierdzić, że wypełniałem obowiązki z głębokim poczuciem odpowiedzialności i braterską sympatią do podopiecznej, które nigdy nie uległy zachwianiu. Teraz uczucia te się pogłębiły i przerodziły w miłość, jaką winien odczuwać mężczyzna do kobiety, którą ma nadzieję poślubić, niczego też bardziej nie pragnę niż zgody Georgiany na zostanie moją żoną. Nie zwróciłem się z formalną prośbą do Darcy'ego, on jednak świadom jest sytuacji, ja zaś żywię nadzieję, że moje oświadczenia spotkają się z jego aprobatą i zgodą.

Elizabeth uznała za rozsądne nie wspominać, że odkąd Georgiana osiągnęła pełnoletność, żadna zgoda nie była potrzebna.

– A Georgiana? – spytała.

– Dopóki nie uzyskam aprobaty Darcy'ego, nie czuję się uprawniony do zabierania głosu. W chwili obecnej przyznaję, że Georgiana nie powiedziała nic, co dawałoby mi podstawę do konkretnej nadziei. Zawsze odnosiła się do mnie z przyjaźnią, zaufaniem i, jak tuśzę, z sympatią. Mam nadzieję, że jeśli zachowam cierpliwość, zaufanie i sympatia mogą się przerodzić w miłość. Uważam, że do kobiety miłość częściej przychodzi po ślubie niż przed, co zresztą wydaje się słuszne i naturalne. Ostatecznie znam ją od dziecka. Przyznaję, że różnica wieku może stwarzać pewien problem, ale jestem tylko pięć lat starszy od Darcy'ego i nie widzę w tym żadnej przeszkody.

Elizabeth czuła, że stąpa po grząskim gruncie.

– Różnica wieku może nie być problemem, ale skłonność ku innej osobie owszem – powiedziała.

– Masz na myśli Henry'ego Alvestona? Wiem, że Georgiana go lubi, ale nie widzę nic, co sugerowałoby głębsze przywiązanie. Alveston to miły, bystry, zany młodzieniec. Słyszę o nim same dobre rzeczy. Oczywiście może mieć nadzieję. Z pewnością chciałby się wżenić w majątek.

Elizabeth się odwróciła. Pułkownik dodał pospiesznie:

– Nie zamierzam imputować chciwości ani nieszczerości, ale na Alvestonie



spoczywa wielka odpowiedzialność. Wobec godnego podziwu postanowienia, by powiększyć majątek rodzinny, wobec jego energicznych starań, by odbudować posiadłość i jeden z najpiękniejszych domów w Anglii, nie może sobie pozwolić na poślubienie biednej kobiety. Taki krok skazałby ich oboje na niedolę, nawet nędzę.

Elizabeth milczała. Znowu myślała o ich pierwszym spotkaniu w Rosings, o rozmowie po kolacji, muzyce, wesołości, częstych wizytach pułkownika na plebanii, atencji, jaką ją darzył, zbyt jawnej, by dało się ją przeoczyć. Podczas tamtego wieczornego przyjęcia lady Catherine z pewnością zobaczyła dość, by zacząć się niepokoić. Nic nie uchodziło jej czujnej uwagi. Elizabeth pamiętała wołanie lady Catherine: „O czym rozmawiacie? Niechże i ja to usłyszę”. Elizabeth wiedziała, że zaczęła się wówczas zastanawiać, czy mogłaby zaznać szczęścia z tym człowiekiem, jednak nadzieja, o ile była na tyle silna, by nazwać ją nadzieją, zgasła, gdy nieco później się spotkali, przypadkiem lub zgodnie z planem pułkownika, kiedy Elizabeth spacerowała samotnie po parku Rosings, on zaś zawrócił, by odprowadzić ją na plebanie. Pułkownik utyskiwał na swoje ubóstwo, ona zaś droczyła się, pytając, cóż to za niedogodności mogą nękać młodszego syna hrabiego. Fitzwilliam odparł, że młodsi synowie „nie mogą się żenić, z kim chcą”. Wtedy się zastanawiała, czy ta uwaga miała charakter ostrzegawczy, a podejrzenie to wprawilo ją w zakłopotanie, które próbowała ukryć, kierując rozmowę na milsze tematy. Wspomnienie o tamtym zdarzeniu bynajmniej nie było przyjemne. Pułkownik Fitzwilliam nie musiał jej przypominać, czego mogła oczekiwać po małżeństwie dziewczyna z czterema niezamężnymi siostrami. Czy mówił, że dobrze urodzony młody człowiek może czerpać przyjemność z towarzystwa takiej kobiety, nawet dyskretnie z nią flirtować, ale rozsądek podpowiadał mu, że nie wolno wzbudzać w niej większych nadziei? Niewykluczone, że przestroga była konieczna, jednak nie sformułował jej zręcznie. Jeżeli nigdy nie hołubił myśli o niej, właściwiej by postąpił, gdyby nie darzył jej tak otwartą atencją.

Pułkownik Fitzwilliam świadom był milczenia Elizabeth.

– Czy mogę liczyć na pani aprobatę?

Elizabeth zwróciła się do niego i powiedziała stanowczo:

– Pułkowniku, nie mogę brać w tym udziału. Sama Georgiana musi zdecydować o swoim szczęściu. Powiem tylko, że jeśli zgodzi się za pana wyjść, w pełni będę podzielać radość mego męża z takiego związku. Nie mogę jednak wpływać na tę kwestię. Musi to pozostać w gestii Georgiany.

– Sądziłem, że mogła z panią rozmawiać.

– Nie zwierzała mi się, nie byłoby też stosowne, gdybym poruszała tę kwestię w rozmowie z nią, dopóki sama tego nie uczyni.

To zdawało się na chwilę zadowolić Fitzwilliama, później jednak, jakby pod wpływem przymusu, powrócił do człowieka, którego uważał za rywala.

– Alveston jest przystojnym i miłym mężczyzną, ładnie się przy tym wyraża. Niewątpliwie czas i dojrzałość utemperują pewną nadmierną pewnością siebie oraz skłonność do okazywania starszym mniejszego szacunku, niż to stosowne w jego wieku, skłonność pożałowania godną u kogoś tak zacnego. Bezsprzecznie jest mile widziany w Highmarten, choć dziwi mnie, że potrafi tak często odwiedzać pana i panią Bingleyów. Wzięci prawnicy zazwyczaj nie szafują tak swoim czasem.

Elizabeth nie odpowiedziała, Fitzwilliam zaś pomyślał może, iż krytyka, zarówno faktyczna, jak i sugerowana, była nierozważna. Dodał:

– Z drugiej strony bywa w hrabstwie Derby w soboty i niedziele oraz wtedy, gdy nie ma posiedzeń sądu. Przypuszczam, że każdą wolną chwilę przeznaczają na naukę.

– Siostra wspominała mi, że jeszcze nie miała gościa, który spędzałby tyle czasu w bibliotece – powiedziała Elizabeth.

Po kolejnej chwili milczenia pułkownik, budząc jej zdziwienie i zakłopotanie, zapytał:

– Rozumiem, że George’a Wickhama nadal nie przyjmuje się w Pemberley?

– Nigdy. Ani ja, ani pan Darcy nie widzieliśmy go, nie mieliśmy też z nim kontaktu od jego wizyty w Longbourn po poślubieniu Lydii.

Po długim milczeniu pułkownik Fitzwilliam rzekł:

– Niefortunnie się stało, że tak wielkie nadzieje pokładano w Wickhamie w dzieciństwie. Wychował się z Darcym, jakby byli braćmi. W dzieciństwie obaj czerpali może z tego korzyść. Biorąc pod uwagę sympatię nieboszczyka pana Darcy’ego dla rządu, po śmierci tego drugiego naturalną kolejną rzeczą było przejęcie odpowiedzialności za jego syna. Ale wobec charakteru Wickhama – człowieka wyrachowanego, ambitnego, skłonnego do zawiści – niebezpiecznie było obdarzyć go przywilejami, z których nie mógł korzystać po osiągnięciu dorosłości. Na uniwersytecie uczęszczali do innych college’ów, a Wickham oczywiście nie wziął udziału w podróży Darcy’ego po Europie. Zmiany w statusie i oczekiwaniach okazały się może zbyt drastyczne, zbyt nagłe. Nie mam powodu sądzić, że lady Anne

dostrzegą to zagrożenie.

– Wickham nie mógł się spodziewać, że weźmie udział w podróży po Europie – zauważyła Elizabeth.

– Nie wiem, czego się spodziewał, ale zawsze oczekiwał więcej, niż mu się należało.

– Możliwe, że okazane mu we wczesnym wieku fawory były do pewnego stopnia nierozważne, ale zawsze łatwo jest kwestionować osąd innych w sprawach, o których nie jesteśmy może w pełni poinformowani.

Pułkownik poruszył się niezręcznie na krześle.

– Przecież nie może być usprawiedliwienia dla nadużycia zaufania, jakim była próba uwiedzenia panny Darcy przez Wickhama. Żadna różnica urodzenia czy wychowania nie tłumaczy takiej hańby. Jako współopiekun panny Darcy dowiedziałem się oczywiście o tej niegodnej historii od Darcy'ego, ale całkiem o niej zapomniałem. Nigdy nie rozmawiam o niej z Darcym i proszę o wybaczenie za poruszenie tej kwestii teraz. Wickham odznaczył się podczas kampanii irlandzkiej i obecnie jest swego rodzaju bohaterem narodowym, nie może to jednak wymazać przeszłości, choć może dać mu nadzieję na godniejsze i pomyślniejsze życie w przyszłości. Nie powinienem wspominać jego imienia w rozmowie z panią.

Elizabeth nie odpowiedziała, a po krótkiej przerwie pułkownik wstał, skłonił się i wyszedł. Doskonale zdawała sobie sprawę, że żadnemu z nich rozmowa nie przyniosła zadowolenia. Pułkownik Fitzwilliam nie uzyskał szczerzej aprobaty ani zapewnienia o poparciu dla jego sprawy, a Elizabeth nabrała obawy, że jeśli nie uda mu się zdobyć Georgiany, upokorzenie i zażenowanie zniszczą przyjaźń trwającą od dzieciństwa, którą, jak wiedziała, jej mąż bardzo cenił. Nie wątpiła, że Darcy zaaprobuje pułkownika Fitzwilliama jako męża Georgiany. Dla siostry pragnął nade wszystko bezpieczeństwa, a w takim małżeństwie miałyby je zapewnione; nawet różnicę wieku postrzegano by pewnie jako atut. Po pewnym czasie Georgiana zostałaby hrabiną, a szczęśliwy człowiek, który by ją poślubił, nigdy nie musiałby się martwić o pieniądze. Elizabeth pragnęła, by sprawa została w ten czy inny sposób wyjaśniona, może nazajutrz podczas balu. Wiadomo, że bal – kiedy nadarzała się okazja, by usiąść obok siebie albo szeptać poufnie w tańcu – doprowadzał do końca wydarzenia, szczęśliwe i nieszczęśliwe. Elizabeth miała tylko nadzieję, że wszyscy zainteresowani będą zadowoleni, ale potem uśmiechnęła się, myśląc, jak nikłe są na to szanse.

Elizabeth z satysfakcją myślała o zmianie, jaka od jej ślubu z Darcym zaszła w zachowaniu Georgiany. Początkowo siostra Darcy'ego była zdziwiona, niemal zszokowana, gdy słyszała, jak Elizabeth droczy się z jej bratem, jak często on odwzajemnia się tym samym i razem się śmieją. Przed przybyciem panny Bennet w Pemberley rzadko słyszało się śmiech, a przy taktownej, łagodnej zachęcie nowej pani domu Georgiana uwolniła się nieco od typowej dla Darcych nieśmiałości. Teraz kiedy podejmowali gości, pewniej zabierała głos, chętniej wyrażała własne zdanie przy stole. W miarę poznawania szwagierki Elizabeth nabierała przekonania, że pod nieśmiałością i rezerwą kryje się w niej inna cecha Darcych: silna wola. Czy jej mąż zdawał sobie z tego sprawę? Czy nie uważał, że Georgiana wciąż jest kruchą piętnastolatką, dzieckiem, które należało otaczać bezpieczną, uważną miłością, jeśli miało uniknąć katastrofy? Nie znaczy to, że nie pokładał zaufania w honorze i cnocie siostry – podobna myśl graniczyłaby dla niego z bluźnierstwem – ale do jakiego stopnia ufał w jej osąd? Co się tyczy Georgiany, to po śmierci ojca Darcy stał się głową rodziny, mądrym, spolegliwym bratem o ojcowskim autorytecie, bratem darzonym miłością oraz nie tyle lękiem – bowiem miłość nie może istnieć obok lęku – ile bojaźliwym uwielbieniem. Georgiana nie wyszłaby za mąż bez miłości, nie wyszłaby też jednak za mąż bez aprobaty brata. Gdyby musiała wybierać między pułkownikiem Fitzwilliamem, kuzynem i przyjacielem zabaw dziecinnych Darcy'ego, dziedzicem tytułu hrabiowskiego, dzielnym żołnierzem, znającym Georgianę całe życie, a przystojnym, ujmującym młodym prawnikiem, który z pewnością budował swoją karierę, ale niewiele o nim wiedzieli, cóż wtedy? Alveston miał odziedziczyć baronię, i to starą; Georgiana dostałaby dom, który po dorobieniu się męża i odbudowie stałby się jednym z najpiękniejszych w Anglii. Jednak Darcy nie był wolny od dumy rodowej, nie ulegało też wątpliwości, który z kandydatów zapewnia większe bezpieczeństwo i bardziej świetlaną przyszłość.

Wizyta pułkownika zmąciła spokój Elizabeth, zmartwiła ją i nieco rozdrażniła. Miał rację, mówiąc, że nie powinien był wspominać nazwiska Wickhama. Darcy nie kontaktował się z nim od spotkania w kościele, kiedy brali z Lydią ślub, do którego by nie doszło, gdyby Darcy nie wyłożył odpowiedniej sumy. Elizabeth miała pewność, że tej tajemnicy nigdy nie wyjawiono pułkownikowi Fitzwilliamowi, ale wiedział oczywiście o ślubie i musiał się domyślać prawdy. Czyżby usiłował się upewnić, że Wickham nie uczestniczył w życiu Pemberley, że Darcy kupił jego milczenie, aby świat nigdy nie mógł powiedzieć, że na reputacji panny Darcy

z Pemberley ciąży skaza? Wizyta pułkownika zaniepokoiła Elizabeth, zaczęła więc chodzić tam i z powrotem, by rozproszyc obawy – miała nadzieję, że irracjonalne – i choć w pewnej mierze odzyskać dotychczasowy spokój.

Do stołu zasiedli tylko we czworo, dlatego też lunch trwał krótko. Darcy, umówiony z rządcą, udał się do swego gabinetu, by go oczekiwać. Elizabeth miała się spotkać z Georgianą w oranżerii, by obejrzeć kwiaty i zielone gałęzie przyniesione przez ogrodnika z cieplarni. Lady Anne lubiła wielobarwne, skomplikowane kompozycje, jednak Elizabeth wolała używać tylko zieleni i dwóch dodatkowych kolorów, tak komponowanych w najróżniejszych, dużych i małych wazonach, aby w każdym pomieszczeniu znalazły się słodko pachnące kwiaty. Na jutro zaplanowała kolor różowy i biel. Teraz z Georgianą pracowały i naradzały się pośród silnej woni róż o długich łodyżkach i geranium. Gorąca, parna atmosfera oranżerii zaczęła ją przytłaczać; nagle zapragnęła odetchnąć świeżym powietrzem i poczuć wiatr na policzkach. Czyżby konsternacja spowodowana obecnością Georgiany i wyznanie pułkownika ciążyły na całym dniu jak brzemię?

Nagle pojawiła się pani Reynolds.

– Droga pani, powóz państwa Bingleyów wjeżdża na podjazd – oznajmiła. – Jeśli się pani pospieszy, zdąży ich pani powitać w progu.

Elizabeth krzyknęła z zachwytu, po czym pobiegła do wejścia, Georgiana zaś w ślad za nią. Stoughton właśnie otwierał drzwi, kiedy powóz powoli się zatrzymał. Elizabeth wybiegła, czując chłodne tchnienie nasilającego się wiatru. Jej ukochana Jane przyjechała i na chwilę wszelki niepokój utonął w radości spotkania.

Po ślubie Bingleyowie nie zabawili długo w Netherfield. Bingley był najbardziej tolerancyjnym i przyjaznym z ludzi, ale Jane pojęła, że bliskość jej matki nie przyczyni się do mężowskiej wygody ani do spokoju ducha jej samej. Natura obdarzyła Jane serdecznością, a jej lojalność i miłość do rodziny były silne, jednak szczęście Bingleya stało na pierwszym miejscu. Obojgu się spieszyło, by osiąść w pobliżu Pemberley, kiedy więc dzierżawa Netherfield dobiegła końca, na krótko przenieśli się do Londynu do pani Hurst, siostry Bingleya, po czym, z niejaką ulgą, zamieszkali w Pemberley, skąd wygodnie mogli poszukiwać stałej siedziby. Darcy aktywnie uczestniczył w poszukiwaniach. On i Bingley chodzili do tej samej szkoły, jednak z powodu różnicy wieku, choć tylko kilkuletniej, nie widywali się często w dzieciństwie. Przyjaciółmi zostali dopiero w Oksfordzie. Darcy – dumny, zdystansowany i już wtedy źle znoszący towarzystwo – czerpał radość ze szczodrego charakteru przyjaciela, jego łatwości w nawiązywaniu kontaktu oraz pogodnej pewności, że życie zawsze będzie mu przychylne, natomiast Bingley tak niezachwianie wierzył w wyższą mądrość i inteligencję Darcy'ego, że niechętnie podejmował działanie w istotnych kwestiach bez aprobaty przyjaciela.

Darcy doradził Bingleyowi, by ten – zamiast budować – kupił posiadłość, a ponieważ Jane była już w ciąży z pierwszym dzieckiem, należało pilnie znaleźć dom, do którego mogli się bez przeszkód wprowadzić. Właśnie Darcy, działając w imieniu przyjaciela, znalazł Highmarten, które od razu spodobało się Jane i jej mężowi. Ten okazały, nowoczesny dom stał na wzniesieniu; ze wszystkich okien rozciągał się atrakcyjny widok. Rodzina mogła tu wygodnie mieszkać, a korzystnie rozplanowane ogrody i spora posiadłość pozwalały Bingleyowi urządzać polowania bez niekorzystnych porównań do Pemberley. Doktor McFee, który od lat opiekował się rodziną Darcych, przyjechał do Highmarten, oświadczył, że okolica jest zdrowa, woda czysta, szybko więc dopełniono formalności. Niewiele pozostało do zrobienia z wyjątkiem nabycia mebli i odnowienia wnętrza, a Jane z radością krążyła po pokojach i przy pomocy Elizabeth wybierała kolory tapet, farb i zasłon. Dwa miesiące po znalezieniu posiadłości Bingleyowie się wprowadzili, a szczęście małżeńskie obu siostr było całkowite.

Dwie rodziny często się widywały – prawie co tydzień między Highmarten a Pemberley krążył powóz. Jane rzadko rozstawała się z dziećmi na dłużej niż noc – bliźniaczki Elizabeth i Maria miały cztery lata, mały Charles Edward dwa – wiedziała jednak, że będą bezpieczne pod opieką doświadczonej pani Metcalf, niania, która zajmowała się jej mężem w dzieciństwie, toteż z okazji balu chętnie zgodziła się zostać dwie noce w Pemberley, bez kłopotliwego przewożenia dzieci i piastunki na tak krótki pobyt. Jak zwykle przyjechała bez służącej, ale Belton, sprawna młoda pokojówka Elizabeth, z radością usługiwała obu siostram. Powóz wraz ze stangretem Bingleyów oddano pod opiekę Wilkinsona, stangreta Darcy’ego, a po zwyczajowej wrzawie powitań Elizabeth i Jane ramię w ramię weszły po schodach do pokoju obok garderoby Bingleya, gdzie zawsze zatrzymywała się Jane. Belton zdążyła się już zająć kufrem Jane i rozwieszała jej suknię wieczorową oraz strój balowy; za godzinę miała przyjść, by pomóc im się przebrać i ułożyć włosy. W Longbourn siostry dzieliły sypialnię i od dzieciństwa były sobie szczególnie bliskie. Elizabeth rozmawiała z Jane o wszystkim, wiedząc, że siostra zachowa dyskrecję, a wszelkie jej rady płyną z dobrego, kochającego serca.

Po rozmowie z Belton jak zwykle poszły do pokoju dziecięcego, żeby uściskać Charlesa i dać mu słodycze, na które czekał, pobawić się z Fitzwilliamem i posłuchać, jak czyta – wkrótce miał się przenieść ze swego pokoju do klasy pod skrzydła nauczyciela – a także uciąć sobie krótką, lecz przyjemną pogawędkę z panią Donovan. Ona i pani Metcalf miały łącznie pięćdziesięcioletnie doświadczenie. Te dwie dobroduszne despotki już na wczesnym etapie zawarły ścisły sojusz zaczepno-odporny i sprawowały niepodzielną władzę w pokojach dziecięcych, kochane przez podopiecznych i cieszące się zaufaniem rodziców, choć Elizabeth podejrzewała, że zdaniem pani Donovan jedyną rolą matki jest wydawać na świat kolejnego lokatora pokoju dziecięcego, kiedy tylko najmłodsza pociecha wyrośnie z pierwszych czepeczków. Jane przekazała nowiny o postępach Charlesa Edwarda i bliźniaczek, omówiono reżim panujący w Highmarten, który spotkał się z aprobatą pani Donovan, czemu trudno się dziwić, bo niczym nie różnił się od jej własnego. Za godzinę należało się przebrać do kolacji, toteż siostry udały się do pokoju Elizabeth, by wymienić się nowinkami, od których w tak dużym stopniu zależała pomyślność życia rodzinnego.

Elizabeth odczułaby ulgę, gdyby mogła się zwierzyć Jane z bardziej doniosłej kwestii, czyli planowanych oświadczeń pułkownika. Chociaż Fitzwilliam nie prosił

o zachowanie dyskrecji, z pewnością oczekiwał, że Elizabeth najpierw porozmawia z mężem, ona zaś czuła, że poczucie honoru Jane zostałyby urażone – sama poczułaby się podobnie – gdyby siostra przekazała jej nowiny przed rozmową z Darcym. Bardzo jednak pragnęła, by pomówić o Henrym Alvestonie, uradowała się więc, gdy Jane sama wymieniła jego imię.

– Dobrze, że znowu zaprosiliście pana Alvestona. Wiem, jak wiele znaczą dla niego wizyty w Pemberley.

– To znakomity gość i oboje się cieszymy na jego widok – odparła Elizabeth. – Dobrze ułożony, inteligentny i przystojny, słowem: wzór młodego człowieka. Przypomnij, skąd go znasz. Czy pan Bingley nie poznał go w kancelarii waszego prawnika w Londynie?

– Owszem, półtora roku temu, kiedy Charles odwiedził pana Pecka, by przedyskutować pewne inwestycje. Pana Alvestona wezwano, bo reprezentował w sądzie jednego z klientów pana Pecka, a ponieważ obaj goście przybyli wcześniej, spotkali się w poczekalni, a później pan Peck przedstawił ich sobie. Młody człowiek wywarł bardzo pozytywne wrażenie na Charlesie, zjedli razem obiad, a pan Alveston wyjawiał swój plan odbudowania rodzinnej fortuny i posiadłości w Surrey, będącej w rękach jego rodu od 1600 roku, wobec której, jako jedyny spadkobierca, czuł silne przywiązanie i odpowiedzialność. Potem spotkali się w klubie Charlesa, a widząc wyraz wyczerpania na twarzy młodego człowieka, Charles w imieniu moim i własnym zaprosił go na kilka dni do Highmarten. Od tamtej pory pan Alveston, ilekroć może się wyrwać z sądu, regularnie nas odwiedza, zawsze będąc miłym gościem. Ojciec pana Alvestona, lord Alveston, ma osiemdziesiąt lat i nieomaga, toteż od kilku lat nie jest w stanie należycie kierować majątkiem, jednak baronia należy do najstarszych w kraju, a rodzina cieszy się wielkim poważaniem. Charles dowiedział się od pana Pecka i innych, jak dużym szacunkiem darzą pana Alvestona w Middle Temple, oboje też bardzo go polubiliśmy. Mały Charles Edward uważa go za bohatera, bliźniaczki za nim przepadają i zawsze piszczą z zachwytu na jego widok.

Dobre podejście do dzieci było właściwą drogą do serca Jane, a Elizabeth doskonale rozumiała, dlaczego Highmarten tak przyciąga Alvestona. Przepracowanemu londyńskiemu kawalerowi życie oferowało niewiele pociech, toteż pan Alveston w urodzie, dobroci i łagodnym głosie pani Bingley oraz w radosnej swojskości jej domu najwyraźniej odnajdował miły kontrast z hałaśliwą



rywalizacją i wymogami towarzyskimi stolicy. Alveston, podobnie jak Darcy, wcześniej przyjął na siebie ciężar odpowiedzialności i oczekiwań. Jego postanowienie, by odbudować rodzinną fortunę, było godne podziwu, natomiast Old Bailey, z jego wyzwaniem i sukcesami, stanowiło przypuszczalnie prototyp bardziej osobistej walki.

Po chwili milczenia Jane powiedziała:

– Mam nadzieję, że jego obecność tutaj nie wprawia w zakłopotanie ani ciebie, droga siostrze, ani pana Darcy'ego. Muszę przyznać, że na widok przyjemności, jaką pan Alveston i Georgiana czerpią nawzajem ze swego towarzystwa, zaczęłam myśleć, że pan Alveston zaczął się zakochiwać, jeśli jednak miałyby to być niemiłe panu Darcy'emu lub Georgianie, dopilnujemy, rzecz jasna, by wizyty ustały. To ogromnie zacny młody człowiek, a jeśli się nie mylę, Georgiana odwzajemnia uczucie. Jestem pewna, że mogliby być razem szczęśliwi. Pan Darcy może mieć jednak inne plany w związku z siostrą, a jeśli tak, to może lepiej i rozumniej by się stało, gdyby pan Alveston przestał bywać w Pemberley. W trakcie ostatnich wizyt zauważyłam zmianę w zachowaniu pułkownika Fitzwilliama wobec kuzynki, większą gotowość, by z nią rozmawiać i jej towarzyszyć. To byłaby wspaniała para, Georgiana stałaby się jej prawdziwą ozdobą, ale zastanawiam się, jak bardzo czułaby się szczęśliwa w zamku na północy. W zeszłym tygodniu w książce z naszej biblioteki widziałam ilustrację tego zamku. Wygląda jak granitowa forteca, z Morzem Północnym niemal bijącym o mury. Poza tym leży tak daleko od Pemberley. Georgiana byłaby chyba nieszczęśliwa, zmuszona oddalić się od brata i ukochanego domu.

– Podejrzewam, że zarówno dla pana Darcy'ego, jak i Georgiany Pemberley stoi na pierwszym miejscu – powiedziała Elizabeth. – Pamiętam, jak złożyłam tu wizytę z wujostwem i pan Darcy zapytał, co sądzę o domu. Mój nieskrywany zachwyt sprawił mu wielką przyjemność. Gdybym okazała mniejszy entuzjazm, chybaby się ze mną nie ożenił.

– Ależ myślę, że jednak tak, moja droga – zaśmiała się Jane. – Może jednak powinniśmy porzucić ten temat. Plotki o uczuciach innych ludzi, gdy nie potrafimy ich w pełni pojąć, kiedy oni sami ich nie rozumieją, mogą w niezamierzony sposób stać się przyczyną zmartwień. Wiem, moja droga Elizabeth, jak bardzo kochasz Georgianę. Mieszkając razem z tobą jak z siostrą, stała się ona bardziej pewną siebie, piękną młodą kobietą. Jeśli rzeczywiście ma dwóch zalotników, sama musi

dokonać wyboru, nie wyobrażam sobie jednak, by wyszła za mąż wbrew woli brata.

– Cała sprawa może się rozstrzygnąć po balu, ale przyznaję, że budzi mój niepokój – rzekła Elizabeth. – Bardzo pokochałam Georgianę. Na razie jednak to odłożmy. Musimy się zająć rodzinną kolacją. Nie wolno mi psuć nastroju ani nam, ani naszym gościom zamartwianiem się, zwłaszcza że może wcale nie ma po temu powodu.

Siostry nie rozmawiały więcej na ten temat, ale Elizabeth wiedziała, że Jane nie widzi żadnego problemu. Mocno wierzyła, że dwoje atrakcyjnych młodych ludzi, którzy najwyraźniej lubili swoje towarzystwo, w naturalny sposób może się zakochać, czego wynikiem będzie szczęśliwe małżeństwo. Problem pieniędzy nie istniał: Georgiana była majątna, Alveston zaś piął się w górę po szczeblach kariery. Jednak pieniądze nie znaczyły wiele dla Jane; przy założeniu, że rodzina może żyć dostatnio, nieważne, który z małżonków wnosił pieniądze do stadła. Fakt mający dla innych pierwszorzędne znaczenie, mianowicie że pułkownik był wicehrabią, a jego żona miała z czasem zostać hrabiną, podczas gdy pan Alveston tylko baronem, także nic nie znaczył dla Jane. Elizabeth postanowiła, że nie będzie dalej rozważać ewentualnych trudności, ale po balu musi znaleźć okazję do rozmowy z mężem. Oboje byli tak zajęci, że od rana się nie widzieli. Nie powinna rozważać z mężem uczuć pana Alvestona, jeśli ten ostatni lub Georgiana nie poruszy tej kwestii, ale pana Darcy'ego należało jak najszybciej powiadomić o tym, że pułkownik pragnie pomówić o swoich nadziejach na uzyskanie ręki Georgiany. Elizabeth zastanawiała się, czemu myśl o takim związku, przecież świetnym, budziła w niej niepokój, którego nie potrafiła odegnąć. Postanowiła na razie tym się nie zajmować. Tymczasem przyszła Belton, więc Jane i Elizabeth musiały zacząć szykować się do kolacji.

W przeddzień balu do kolacji siadano, jak nakazywał dobry obyczaj, o wpół do siódmej, ale przy niewielkiej liczbie biesiadników. Najczęściej podawano ją w niedużym pomieszczeniu obok oficjalnej jadalni, gdzie przy okrągłym stole mogło się zmieścić osiem osób. W minionych latach większa jadalnia okazywała się konieczna, ponieważ na bal do Pemberley przyjeżdżali Gardinerowie, czasem także siostry Bingley. Panu Gardinerowi nigdy nie było łatwo oderwać się od interesów, a jego żonie od dzieci. Oboje najbardziej lubili letnie odwiedziny, gdy pan Gardiner mógł łowić ryby, jego żona zaś nie знаła miłszej rozrywki niż zwiedzanie majątku z Elizabeth w jednokonnym faetonie. Serdeczna przyjaźń dwóch kobiet datowała się już od dawna, a Elizabeth zawsze ceniła sobie rady ciotki. Teraz zaistniały sprawy, w których chętnie taką radę usłyszy.

Chociaż kolacja miała nieformalny charakter, biesiadnicy ruszyli do stołowego parami. Pułkownik natychmiast podał rękę Elizabeth, Darcy stanął u boku Jane, Bingley zaś, okazując galanterię, zaoferował ramię Georgianie. Na widok Alvestona kroczącego samotnie za ostatnią parą Elizabeth pożałowała, że nie przygotowała przyjęcia lepiej, ale trudno było znaleźć w ostatniej chwili stosowną samotną damę, a podczas tych kolacji przed balem nigdy nie przywiązywano wielkiej wagi do konwencji. Kiedy Alveston zajmował puste krzesło, które stało między Georgianą a Bingleym, Elizabeth dostrzegła na jego twarzy przelotny uśmiech zadowolenia.

Gdy wszyscy usiedli, pułkownik zagał:

– Zatem i w tym roku nie ma z nami pani Hopkins. Czy to już nie drugi raz opuszcza bal? Czy pani siostra nie lubi tańczyć, czy też wielebny Teodor Hopkins ma teologiczne obiekcje wobec balu?

– Mary nigdy nie lubiła tańczyć i prosiła, by pozwolono jej nie uczestniczyć w zabawie, ale jej mąż nie ma nic przeciwko jej obecności – powiedziała Elizabeth. – Podczas ostatniej wizyty u nas na kolacji pastor oświadczył, że jego zdaniem żaden bal w Pemberley z udziałem przyjaciół i znajomych nie może mieć zgubnego wpływu na moralność ani na maniery.

– Z czego wynika, że nigdy nie raczył się w Pemberley białą zupą – szepnął Bingley do Georgiany.

Biesiadnicy usłyszeli uwagę, która wywołała uśmiechy, nawet prawdziwe rozbawienie. Jednak lekka atmosfera się nie utrzymała. Przy stole brakowało zwyczajowych ożywionych rozmów; panowała ociężałość, z której nie potrafiła ich wybić nawet dobroduszna gadatliwość Bingleya. Elizabeth usiłowała nie patrzeć zbyt często na pułkownika, kiedy jednak to robiła, przyłapywała go na tym, jak raz po raz wbijał wzrok w parę naprzeciwko. Odnosiła wrażenie, iż Georgiana, w prostej sukni z białego muślinu i perłowym diademem na ciemnych włosach, jeszcze nigdy nie wyglądała tak uroczo, jednak w spojrzeniu pułkownika widać było nie tyle podziw, ile zamyślenie. Trzeba przyznać, że dwoje młodych ludzi zachowywało się nienagannie; Alveston darzył Georgianę nie większą atencją, niż to dyktował naturalny tok rozmowy, ona rozdzielala swoje uwagi równo między Alvestona i Bingleya, niczym młoda dziewczyna posłuszna wymogom towarzyskim na pierwszym przyjęciu. Elizabeth miała nadzieję, że jedna chwila umknie uwadze pułkownika: Alveston mieszał dla Georgiany wodę z winem, ich dłonie przelotnie się zetknęły i Elizabeth ujrzała, jak na twarzy dziewczyny zakwita i blednie rumieniec.

Kiedy Elizabeth patrzyła na Alvestona w formalnym stroju wieczorowym, ponownie uderzyło ją, jak bardzo jest przystojny. Z pewnością uświadamiał sobie, że gdy wchodził do pokoju, wszystkie obecne kobiety kierowały ku niemu spojrzenia. Gęste kasztanowe włosy związał na karku. Spod prostych brwi patrzyły oczy w ciemniejszym odcieniu brązu, a cała twarz miała w sobie otwartość i siłę, które nie pozwalały mu zarzucić, że jest zbyt przystojny; poruszał się z pewnym, swobodnym wdziękiem. Elizabeth dostrzegła też, że choć zazwyczaj Alveston był ożywionym, udzielającym się w rozmowie gościem, to tego wieczoru doskwierało mu chyba ogólne skrepowanie. Może wszyscy są zmęczeni, pomyślała. Bingley i Jane przejechali tylko trzydzieści kilometrów, ale ich podróż opóźnił silny wiatr. Dla niej samej i Darcy'ego dzień przed balem był zawsze niezwykle pracowity.

Burza nie poprawiała atmosfery. Od czasu do czasu wiatr wył w kominie, ogień syczał i parskał jak żywa istota, a płonące bierwiono osuwało się, zajmowało się płomieniami, rumieniąc na chwilę twarze biesiadników, przez co wyglądali, jakby mieli gorączkę. Służący pojawiali się i znikali bezszelestnie, ale Elizabeth odczuła ulgę, dopiero gdy kolacja wreszcie dobiegła końca. Mogła wtedy pochwycić wzrok Jane, po czym z nią i Georgianą przejść przez hol do pokoju muzycznego.

Podczas gdy w małym stołowym podawano kolację, Thomas Bidwell czyścił srebra w spiżarni kamerdynera. Bidwell zaczął się tym zajmować przed czterema laty, kiedy ból pleców i kolan uniemożliwił mu powożenie; bardzo był dumny ze swego nowego zajęcia, zwłaszcza w przeddzień balu lady Anne. Z siedmiu dużych kandelabrow, mających ozdobić stół przy kolacji, pięć już wypolerował, a pozostałe dwa skończy tego wieczoru. Praca była mozolna, czasochłonna i zadziwiająco męcząca; na koniec bolały go plecy, ramiona i dłonie. Nie była to jednak robota dla pokojówek ani młodzików. Odpowiedzialność za srebra ponosił kamerdynier Stoughton, on jednak zajmował się wybieraniem win i nadzorowaniem przygotowań sali balowej. Poza tym uważał, że jego obowiązkiem jest sprawdzenie już wypolerowanych sreber, nie zaś własnoręczne czyszczenie choćby najcenniejszych sztuk. W tygodniu poprzedzającym bal spodziewano się, że Bidwell każdego dnia do późnej nocy będzie siedział przy stole w spiżarni nad rozłożonymi srebrami rodowymi Darcych – nożami, widelcami, łyżkami, kandelabrami, paterami do podawania jedzenia, naczyniami na owoce. Pracując, wyobrażał sobie kandelabry z wysokimi świecami rzucającymi blask na ozdobione biżuterią fryzury, rozognione twarze i drżące kwiaty w wazonach.

Bidwell nigdy się nie martwił, że zostawia swoich bliskich w leśnym domu, oni też nie bali się tam przebywać. Przez lata budynek stał opuszczony i zaniedbany, dopóki ojciec Darcy'ego nie odnowił go i nie przystosował dla kogoś ze służby. Choć dom był większy, niż jakikolwiek służący mógł oczekiwać, i oferował spokój i prywatność, to niewiele osób chciało tam zamieszkać. Dom postawił pradziadek pana Darcy'ego, odludek, który większość życia spędził samotnie, w towarzystwie tylko swojego psa Żołnierza. W leśnym domku przygotowywał sobie nawet proste posiłki, czytał i kontemplował krzepkie pnie drzew i gąszcz zarośli, chroniące go przed światem. Kiedy George Darcy miał sześćdziesiąt lat, Żołnierz zachorował i bardzo cierpiał. Dziadek Bidwella, który był wówczas chłopcem stajennym, zaniósł kiedyś mleko do leśnego domu i znalazł pana martwego. Darcy zastrzelił Żołnierza i siebie.

Przed Bidwellem w leśnym domu mieszkali jego rodzice. Podobnie jak on nie

przejmowali się historią tego miejsca. Pogłoski o tym, że las jest nawiedzony, zrodziły się z mniej odległej tragedii, do której doszło wkrótce po tym, jak dziadek obecnego pana Darcy'ego objął majątek. Pewnego młodego człowieka, zatrudnionego w Pemberley w charakterze pomocnika ogrodnika, uznano za winnego kłusowania na jelenie w posiadłości sir Selwyna Hardcastle'a, miejscowego sędziego pokoju. Kłusownictwa zazwyczaj nie karano śmiercią, a większość sędziów pokoju w ciężkich czasach, gdy ludzi nękał głód, podchodziła do tego ze współczuciem, jednak za kradzież jeleni parkowych groził najwyższy wymiar kary i ojciec sir Selwyna stanowczo domagał się wykonania wyroku. Pan Darcy zwrócił się nawet z prośbą o ułaskawianie, ale sir Selwyn stanowczo ją odrzucił. Tydzień po egzekucji chłopca, który był jedynakiem, jego matka się powiesiła. Pan Darcy uczynił wszystko, co w jego mocy, ale krążyły pogłoski, że kobieta właśnie jego obarczała główną odpowiedzialnością. Ponoć rzuciła klątwę na rodzinę Darcych i stąd wziął się przesąd, że jej duch, zawodzący z żalu, ukazuje się pośród drzew ludziom na tyle nierozważnym, by zapuszczać się w las po zmroku, oraz że mściwa zjawia zawsze zapowiada śmierć w majątku.

Bidwell nie miał cierpliwości do tych głupstw, ale w minionym tygodniu słyszał, jak dwie pokojówki, Betsy i Joan, szeptały w służbówce, że zobaczyły ducha, kiedy odważyły się zapuścić w las. Bidwell przestrzegł dziewczęta przed plecieniem bzdur, bo gdyby doszły do uszu pani Reynolds, wyciągnęłyby wobec nich poważne konsekwencje. Chociaż jego córka Louisa nie pracowała już w Pemberley, ponieważ w domu musiała się zajmować chorym bratem, Bidwell zastanawiał się, czy historia o duchu jakoś do niej dotarła. Z pewnością Louisa z matką baczniej niż kiedykolwiek zamykały na noc drzwi, a kiedy Thomas wracał późno z Pemberley, przed wsunięciem klucza miał pukać trzy razy głośno i cztery razy ciszej.

Leśny dom podobno przynosił pecha, ale Bidwellów nieszczęście dotknęło dopiero niedawno. Tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, Thomas nadal pamiętał smutną chwilę, kiedy po raz ostatni zdjął imponującą liberię najstarszego stangreta pana na Pemberley i pożegnał się z ukochanymi końmi. Już od roku jego jedyny syn, nadzieja na przyszłość, powoli i boleśnie umierał.

Jakby tego było mało, najstarsza córka Bidwella, po której ani on, ani jego żona nigdy nie spodziewali się kłopotów, teraz ich niepokoiła. U Sary zawsze wszystko się układało. Wyszła za syna właściciela gospody King's Arms w Lambton, ambitnego młodzieńca, który przeniósł się do Birmingham, gdzie dzięki spadkowi

po dziadku otworzył sklep. Interes kwitł, ale przepracowana Sara wpadła w przygnębienie. Małżeństwo trwało niewiele ponad cztery lata, a już spodziewała się czwartego dziecka. Obowiązki macierzyńskie i konieczność pomagania w sklepie skłoniły Sarę do napisania rozpaczliwego listu do Louisy z prośbą o pomoc. Żona Bidwella wręczyła mu list Sary bez komentarza, ale wiedział, że podobnie jak on martwiła się tarapatami ich rozumnej, radosnej, dorodnej Sary. Thomas przeczytał list, po czym oddał go, mówiąc tylko:

– Willowi będzie bardzo smutno po wyjeździe Louisy. Są tak zżyci. Poza tym czy dasz sobie bez niej radę?

– Będę musiała. Sara nie napisałaby, gdyby nie znalazła się w rozpaczliwym położeniu. Nie nasza Sara.

Tak więc pięć miesięcy poprzedzających poród siostry Louisa spędziła w Birmingham, gdzie pomagała zajmować się trójką dzieci, została też na kolejne trzy miesiące, pozwalając Sarze odzyskać siły. Niedawno Louisa wróciła do domu z maleńkim Georgiem, aby odciążyć siostrę oraz pokazać małego rodzicom i bratu, zanim Will umrze. Bidwellowi takie rozwiązanie nigdy się nie podobało. Prawie tak jak żonie spieszno mu było, by zobaczyć nowego wnuka, ale dom, w którym opiekowano się umierającym, nie był najlepszym miejscem dla niemowlęcia. Will tak ciężko chorował, że mógł okazywać dziecku jedynie pobieżne zainteresowanie, a nocny płacz małego niepokoił go i frasował.

Bidwell widział ponadto, że Louisa nie jest szczęśliwa. Dziewczyna zdradzała niepokój i, pomimo jesiennego chłodu, wołała spacerować po lesie z niemowlęciem na ręku niż siedzieć z matką i Willem. Jak gdyby rozmyślnie opuszczała dom, kiedy pastor, sędziwy i uczony wielebny Percival Oliphant, składał jedną z częstych wizyt Willowi. To było dziwne, ponieważ Louisa zawsze lubiła pastora, on zaś interesował się nią od maleńkości, pożyczał jej książki i proponował, że umieści ją w niewielkiej grupie prywatnych uczniów, których uczył łaciny. Bidwell nie skorzystał z zaproszenia – Louisa tylko zaczęłaby zadzierać nosa – ale propozycja została złożona. Dziewczyna zdradzała też niepokój przed zbliżającym się ślubem. Wkrótce miała wyjść za Josepha Billingsa, ale teraz, gdy była w domu, ten nie odwiedzał ich jak dawniej. Prawie go nie widywali. Bidwell zastanawiał się, czy zajmowanie się niemowlęciem uświadomiło Louisie i Josephowi obowiązki i zagrożenia związane z małżeństwem i czy nie zaczęli się wahać. Thomas miał nadzieję, że nie. Joseph był ambitnym, poważnym człowiekiem, zdaniem niektórych, jako

trzydziestoczworoletka, za starym dla Louisy, ale ona najwyraźniej go lubiła. Małżonkowie mieli osiadłość w Highmarten, niespełna trzydzieści kilometrów od niego i Marthy, tworząc wygodne stadło z pobłażliwą panią domu, szczodrym panem, z zabezpieczoną przyszłością, słowem: czekało ich przewidywalne, bezpieczne, szacowne życie. Po cóż młoda kobieta z takimi perspektywami miałaby się uczyć łaciny?

Może wszystko się ułoży, kiedy Georgie wróci do matki. Louisa miała go odwiedzić nazajutrz. Ustalono, że ona i niemowlę pojedą kariolką do King's Arms w Lambton, skąd wezmą powóz pocztowy do Birmingham, gdzie mąż Sary, Michael Simpkins, odbierze ich i zawiezie do domu dwukółką. Louisa miała wrócić pocztą do Pemberley tego samego dnia. Po zniknięciu dziecka życie żony Thomasa i Willa stanie się łatwiejsze, ale gdy w niedzielę, pomógłszy uprzątnąć dom po balu, wróci do leśnego domku, dziwnie będzie nie zobaczyć pulchnych rączek Georgiego wyciągniętych na powitanie.

Te pełne trosk myśli nie powstrzymały Bidwella od dalszej pracy, ale, niemal niepostrzeżenie, zwolnił i po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, czy starczy mu sił na samotne polerowanie sreber. To byłaby jednak upokarzająca klęska. Zdecydowanym ruchem sięgnął po ostatni kandelabr, wziął świeżą szmatkę, oparł obolałe członki na krześle i wrócił do pracy.



W pokoju muzycznym panowie nie kazali im długo czekać. Nastrój się rozluźnił, kiedy towarzystwo ulokowało się wygodnie na sofach i krzesłach. Darcy otworzył klawikord, zapalono stojące na nim świece. Wtedy zwrócił się do Georgiany i niemal tak formalnym tonem, jakby była gościem, oświadczył, że z przyjemnością posłuchają, jak śpiewa i gra. Georgiana wstała, zerkając na Henry'ego Alvestona, który podszedł za nią do instrumentu. Odwróciwszy się do zgromadzonych, powiedziała:

– Ponieważ jest z nami tenor, pomyślałam, że miło będzie zaśpiewać w duecie.

– Tak! – Bingley zawołał entuzjastycznie. – Wyborny pomysł. Posłuchajmy, jak śpiewacie. W zeszłym tygodniu Jane i ja próbowaliśmy śpiewać w duecie, prawda, najdroższa? Proponuję jednak, żebyśmy dziś nie powtarzali tego eksperymentu. To była katastrofa, prawda, Jane?

– Nie, ty radziłaś sobie bardzo dobrze – zaśmiała się. – Ja po urodzeniu Charlesa Edwarda zaniedbałam ćwiczenia. Nie będziemy gnębić przyjaciół naszymi muzycznymi wysiłkami, kiedy mamy pannę Georgianę, bardziej od nas utalentowaną.

Elizabeth usiłowała się skupić na muzyce, ale jej spojrzenie i myśli wędrowały ku parze przy klawikordzie. Po pierwszych dwóch pieśniach goście poprosili o trzeci utwór; nastąpiła przerwa, gdy Georgiana wybrała nowy zestaw nut i pokazała go Alvestonowi. Mężczyzna przewracał kartki, wskazując fragmenty, które jego zdaniem mogły przysporzyć trudności, może też nie był pewien włoskiej wymowy. Georgiana spojrzała na Alvestona, prawą ręką zagrała kilka taktów, on uśmiechnął się na znak zgody. Oboje najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z oczekującej publiczności. Intymna chwila zamknęła ich w prywatnym świetle, zapomnieli o sobie i roztopili się we wspólnej miłości do muzyki. Obserwując blask świec na dwóch zachwyconych twarzach, uśmiechniętych po rozwiązaniu problemu, gdy Georgiana przygotowała się do gry, Elizabeth czuła, że nie jest to przelotne fizyczne zauroczenie, nawet nie wspólne umiłowanie muzyki. Ci dwoje z pewnością byli zakochani albo na progu zakochania, tego zachwycającego okresu wzajemnego odkrywania się, oczekiwań i nadziei.

Sama Elizabeth nigdy nie poznała owego uczucia. Nadal ją dziwiło, że między obraźliwymi oświadczyniami Darcy'ego a jego drugą, skruszoną i zakończoną sukcesem prośbą o jej miłość przebywali sami zaledwie pół godziny: kiedy razem z Gardinerami odwiedziła Pemberley, Darcy nieoczekiwanie wrócił i poszli na spacer po ogrodach oraz nazajutrz, gdy przyjechał do gospody w Lambton, gdzie się zatrzymała, i zastał ją we łzach, z listem od Jane o ucieczce Lydii. Wtedy Darcy po chwili odszedł, zostawiając Elizabeth w przekonaniu, że już nigdy go nie ujrzy.

Gdyby podobne zdarzenia należały do beletrystyki, czy nawet najbardziej utalentowana powieściopisarka zdołałaby uwiarygodnić, że w tak krótkim czasie duma została pokonana, a uprzedzenie przewyciężone? Później, kiedy Darcy i Bingley wrócili do Netherfield, a Darcy został zaakceptowany jako jej ukochany, zaloty, bynajmniej nieradosne, stanowiły jeden z najbardziej niespokojnych i żenujących okresów w życiu Elizabeth, usiłowała ona oderwać uwagę narzeczonego od wylewnych i głośnych gratulacji matki, gotowej niemal dziękować mu, iż raczył poprosić o rękę córki. Jane i Bingley nie musieli znosić podobnych katuszy. Serdeczny, zakochany bez pamięci Bingley albo nie zauważał wulgarności przyszłej teściowej, albo ją tolerował. Czy Elizabeth wyszłaby za Darcy'ego, gdyby był wikarym bez grosza przy duszy lub borykającym się z losem prawnikiem? Trudno było wyobrazić sobie pana Fitzwilliama z Pemberley w którejkolwiek z tych ról, ale szczerze nakazywała odpowiedzieć. Elizabeth wiedziała, że nie została stworzona do smutnego bytowania w nędzy.

Wiatr wciąż przybierał na sile, toteż muzyce towarzyszyło zawodzenie i wycie w kominie, jak gdyby wrzawa na dworze stanowiła naturalny kontrpunkt dla piękna dwóch splatających się głosów oraz stosowny akompaniament do zamętu w umyśle Elizabeth. Nigdy nie przejmowała się ona silnym wiatrem: z przyjemnością siedziałyby w wygodnym, przytulnym domu, podczas gdy wichur hulałby bezskutecznie po lasach Pemberley. Teraz jednak zdawał się złowrogą siłą próbującą wedrzeć się w każdy komin, każdą szparę. Elizabeth nie miała bujnej wyobraźni, więc usiłowała odegnać od siebie mroczne obrazy, ale uporczywie dawało o sobie znać nowe uczucie. Myślała: „Oto siedzimy na progu nowego stulecia, obywatele najbardziej cywilizowanego kraju w Europie, otoczeni przepychem rzemiosła, sztuki i literatury, ale tam, na zewnątrz, znajduje się inny świat, od którego odgradza nas majątek, wykształcenie i przywileje, świat ludzi równie gwałtownych i niszczących jak świat zwierzęcy. Może nawet najbardziej

szczęśliwi z nas nie zdołają wiecznie go ignorować i trzymać na wodzy”.

Elizabeth próbowała odzyskać równowagę ducha, wsłuchując się w dwugłos, ale ucieszyła się, gdy muzyka dobiegła końca i przyszedł czas, by pociągnąć za sznur dzwonnka i zamówić herbatę.

Tacę z herbatą wniósł Billings, jeden z lokajów. Elizabeth wiedziała, że jeśli mu się powiedzie, wiosną odejdzie z Pemberley i zajmie miejsce kamerdynera Bingleya, kiedy staruszek w końcu przejdzie na emeryturę. Taki krok byłby awansem, tym milej widzianym, że w przedostatnią Wielkanoc Billings zaręczył się z córką Thomasa Bidwella Louisa, która miała się z nim przenieść do Highmarten jako główna pokojówka. W pierwszych miesiącach pobytu w Pemberley Elizabeth nie mogła się nadziwić, jak dalece rodzina miesza się do życia służby. W trakcie rzadkich wizyt w Londynie zatrzymywali się z Darcym u siostry Bingleya, pani Hurst, i jej męża, ludzi bardzo majątnych. W tamtym świecie służba żyła w takim oddaleniu od rodziny, że pani Hurst najwyraźniej znała tylko nieliczne imiona osób, które dla niej pracowały. Chociaż państwa Darcych troskliwie chroniono przed problemami domowymi, pewne wydarzenia – śluby, zaręczyny, zmiany zatrudnienia, choroby i przejścia na emeryturę – wyodrębniały się z monotonnego kołowrotu czynności zapewniającego gładkie funkcjonowanie domu. Darcy i Elizabeth przywiązywali dużą wagę do uznawania i świętowania tych rytuałów, części owego nadal w znacznej mierze skrytego życia, od którego zależała ich wygoda.

Billings postawił tacę z herbatą z rozmyślną gracją, jakby demonstrował Jane, że jest godzinę czekającego go awansu. Taka sytuacja będzie wygodna zarówno dla Billingsa, jak i jego nowej żony, myślała Elizabeth. Bingleyowie byli szczodrymi, swobodnymi, mało wymagającymi chlebobawcami, którzy tak naprawdę troszczyli się tylko o siebie nawzajem i o swoje dzieci.

Zaraz po wyjściu Billingsa pułkownik Fitzwilliam wstał i podszedł do Elizabeth.

– Czy wybaczy mi pani, pani Darcy, jeżeli teraz udam się na wieczorną przejażdżkę? Zamyślam pogalopować na Talbocie brzegiem rzeki. Przykro mi, że rozbijam tak radosne spotkanie rodzinne, ale źle sypiam, jeśli wcześniej nie zażyję świeżego powietrza.

Elizabeth zapewniła pułkownika, że przeprosiny są zbyteczne. Fitzwilliam, w nietypowym dla siebie goście, na moment uniósł jej dłoń do swych ust i ruszył do drzwi.

Henry Alveston siedział na sofie obok Georgiany. Podnosząc wzrok, powiedział:

– Blask księżyca na rzece jest magiczny, pułkowniku, choć może najlepiej podziwiać go w towarzystwie. Pana i Talbota czeka ciężka przeprawa. Nie zazdroszczę panu zmagania się z tą wichurą.

Pułkownik zatrzymał się w progu i spojrzał na Alvestona.

– Wobec tego musimy być wdzięczni, że nikt pana nie prosi, by mi towarzyszył – rzucił chłodno, skłonił się towarzystwu na pożegnanie i wyszedł.

Na chwilę zapadła cisza, w której wszyscy obracali w myślach słowa pułkownika i niezwykłość jego nocnej przejażdżki, ale zakłopotanie nikomu nie pozwoliło się odezwać. Jedynie Henry Alveston sprawiał wrażenie swobodnego, choć patrząc na jego twarz, Elizabeth nie wątpiła, że zwrócił uwagę na krytyczną aluzję.

Milczenie przerwał Bingley.

– Jeszcze trochę muzyki, jeśli pani łaskawa, panno Georgiano, o ile nie czuje się pani zbyt zmęczona. Najpierw jednak proszę dopić herbatę. Nie możemy się narzucać pani dobroci. Co pani powie na irlandzkie pieśni ludowe, które grała pani, kiedy obiadowaliśmy tu w zeszłe lato? Nie ma potrzeby śpiewać, muzyka wystarczy, musi pani oszczędzać głos. Pamiętam, że nawet tańczyliśmy, czyż nie? Ale wtedy byli z nami Gardinerowie i państwo Hurstowie, mieliśmy więc pięć par, i Mary dla nas grała.

Georgiana wróciła do klawikordu, Alveston stanął przy niej i przewracał nuty, przez pewien czas muzyka wywierała swój wpływ. Potem, kiedy ucichła, zaczęły się nieskładne rozmowy, wymiana wielokrotnie już wyrażanych poglądów oraz rodzinnych nowin, z których żadna nie była nowa. Pół godziny później Georgiana pierwsza się wyłamała. Życząc wszystkim dobrej nocy, pociągnęła za sznur dzwonnka na pokojówkę. Alveston zapalił świecę, podał Georgianie i odprowadził ją do drzwi. Po jej wyjściu Elizabeth odniosła wrażenie, że pozostali są także zmęczeni, ale brak im energii, by wstać i się pożegnać. W końcu Jane zerknęła na męża i mruknęła, że czas iść spać. Elizabeth z wdzięcznością poszła w ślady siostry. Lokajowi polecono przynieść świece i zapalić je na noc, te na klawikordzie zdmuchnięto. Właśnie wszyscy zmierzali w stronę drzwi, gdy stojący przy oknie Darcy zawołał nagle:

– Mój Boże! Co ten stangret wyrabia? Przewróci całą kariolkę! To czyste szaleństwo. Kim oni są, na Boga? Elizabeth, czy jeszcze kogoś się dziś spodziewamy?

– Nikogo.

Elizabeth oraz reszta towarzystwa podeszli do okna i ujrzeli w oddali rozkołysaną kariolkę pędzącą do domu po leśnej drodze, z bocznymi światłami jarzącymi się jak płomyki. Wyobraźnia dopowiadała to, czego nie było widać z powodu odległości – końskie grzywy mierzwione przez wiatr, dzikie oczy i naprężone kłęby, pocztyliona ciągnącego za lejce. Pojazd znajdował się za daleko, by dało się go słyszeć, i Elizabeth wydało się, że widzi legendarną zjawę – powóz mknący bezgłośnie przez księżycową noc, budzący grozę omen śmierci.

– Bingley, zostań tu z damami, ja zobaczę, o co chodzi – powiedział Darcy.

Jego słowa zagłuszył wiatr, który ze wznowioną siłą zawył w kominie. Towarzystwo wyszło za Darcym z pokoju muzycznego i głównymi schodami zeszło do holu, gdzie stali już pani Reynolds i Stoughton. Na znak dany przez Darcy'ego lokaj otworzył drzwi. Wiatr momentalnie wdarł się do środka: zimna, nieodparta siła zdawała się brać w posiadanie cały dom, jednym podmuchem gasząc wszystkie świece prócz tych w wysokim żyrandolu.

Powóz wciąż zbliżał się w szybkim tempie, kołysząc się, skręcił na skraju lasu i pędził ku domowi. Elizabeth sądziła, że przetoczy się koło drzwi. Po chwili jednak usłyszała krzyki stangreta i ujrzała, jak mocuje się z lejcami. Konie zatrzymały się i stały, rżąc niespokojnie. Zanim jeszcze stangret zdążył zsiąść, drzwiczki powozu się otworzyły i w smudze światła z Pemberley zobaczyli kobietę, która niemal wypadła, przekrzykując wiatr. W kapeluszu podtrzymywanym przez tasiemki na szyi, z włosami owiewającymi twarz przypominała jakieś dzikie nocne stworzenie albo szaloną kobietę zbiegłą z niewoli. Elizabeth zamarła, niezdolna do myśli czy działania. Dopiero po chwili pojęła, że ta wrzeszcząca zjawą to Lydia, podbiegła więc do siostry na pomoc. Nie przestając krzyczeć, Lydia odepchnęła ją i rzuciła się w ramiona Jane, niemal ją przewracając. Bingley podszedł, by pomóc żonie, i wspólnymi siłami zanieśli Lydię do domu. Nieustannie wyła, wrywała się, jakby nieświadoma, kto jej pomaga, dopiero w środku, z dala od wiatru, usłyszeli ochryple, poszatkowane słowa.

– Wickham nie żyje! Denny go zastrzelił! Znajdźcie go. Są w lesie. Dlaczego się nie ruszacie? O Boże, wiem, że on nie żyje!

Łkanie przeszło w zawodzenie, Lydia osunęła się w ramiona Jane i Bingleya, którzy delikatnie prowadzili ją do najbliższego krzesła.

# **Księga druga**

Zwłoki w lesie

Elizabeth instynktownie podeszła, aby pomóc, ale Lydia odepchnęła ją z zadziwiającą siłą i krzyknęła:

– Nie ty, nie ty!

Jane wyręczyła siostrę, ukłękła przy krześle, ujęła dłonie Lydii, łagodnie szepcząc słowa otuchy i współczucia, podczas gdy zafrasowany Bingley stał bezradnie. Szloch Lydii przeszedł w nienaturalne pianie, jakby traciła oddech – niepokojący, prawie nieludzki odgłos.

Stoughton zostawił drzwi frontowe uchylone. Stojący przy koniach pocztymion wyglądał na zbyt zszokowanego, by mógł się ruszyć, więc Alveston i lokaj wyciągnęli kufer Lydii z kariolki i wnieśli do holu.

– Co z pozostałymi dwoma bagażami? – spytał Stoughton Darcy'ego.

– Zostaw je w kariolce. Kiedy znajdziemy pana Wickhama i kapitana Denny'ego, zechcą pewnie jechać dalej, nie ma więc sensu przynosić tu bagaży. Przyrowadź Wilkinsona, Stoughton. Zbudź go, jeśli śpi. Każ mu sprowadzić doktora McFee. Lepiej niech weźmie kariolkę, nie chcę, żeby doktor jechał konno przy tym wietrze. Każ Wilkinsonowi, by przekazał doktorowi McFee moje uszanowanie, wyjaśnij, że pani Wickham jest tu, w Pemberley, i wymaga jego opieki.

Zostawiając Lydię pod opieką kobiet, Darcy szybkim krokiem podszedł do stangreta stojącego przy koniach. Tamten niespokojnie wpatrywał się w drzwi, ale na widok Darcy'ego stanął na baczność. Ulga stangreta spowodowana pojawieniem się pana była niemal wyczuwalna. W sytuacji alarmowej stangret zrobił, co w jego mocy, a teraz życie wróciło do normy, on zaś wykonywał swoją pracę: stał przy koniach i czekał na polecenia.

– Kim jesteś? – zapytał Darcy. – Czy ja cię znam?

– Jestem George Pratt, proszę pana, z Green Man.

– Naturalnie. Stangret pana Piggotta. Powiedz mi, co się stało w lesie. Streszczaj się i nie pomiń niczego, chcę znać całą historię.

Prattowi najwyraźniej pilno było opowiadać, bo natychmiast zaczął trajkotać:

– Pan Wickham z żoną oraz kapitan Denny przybyli do zajazdu dziś po południu, ale nie było mnie tam, kiedy przyjechali. Około ósmej wieczorem pan

Piggott powiedział, że kiedy pani będzie gotowa, mam zawieźć państwa Wickhamów i kapitana do Pemberley boczną drogą przez las. Panią Wickham miałem zostawić na balu, tak przynajmniej mówiła wcześniej pani Piggott. Później miałem zawieźć obu panów do King's Arms w Lambton i wrócić kariolką do zajazdu. Słyszałem, jak pani Wickham wspominała pani Piggott, że następnego dnia panowie mają pojechać do Londynu, gdzie pan Wickham miał nadzieję znaleźć zatrudnienie.

– Gdzie są pan Wickham i kapitan Denny?

– Nie wiem, proszę pana. Mniej więcej w połowie drogi przez las kapitan Denny zapukał, by zatrzymać kariolkę, i wysiadł. Zawołał coś w rodzaju: „Skończyłem z tym i z tobą. Nie będę się w to mieszał”, po czym pobiegł w las. Pan Wickham pobiegł za nim, krzycząc, żeby wracał i się nie wygłupiał, a pani Wickham zaczęła wrzeszczeć za mężem, żeby jej nie zostawiał. Chciała za nim pobiec, ale po wyjściu z powozu się rozmyśliła i wsiadła z powrotem. Okropnie się darła, tak straszyla konie, że z trudem mogłem je utrzymać, a potem usłyszeliśmy strzały.

– Ile?

– Trudno mi dokładnie określić, proszę pana. Panowało ogromne zamieszanie: kapitan uciekał, pan Wickham go gonił, pani krzyczała, ale na pewno usłyszałem jeden strzał, potem może jeszcze jeden czy dwa.

– Ile czasu po zniknięciu panów usłyszałeś strzały?

– Piętnaście minut, może więcej. Wiem, że staliśmy tam strasznie długo, czekając, aż panowie wrócą. Wyraźnie słyszałem strzały. Wtedy pani Wickham zaczęła krzyczeć, że wszystkich nas zamordują, i kazała mi pędzić do Pemberley. Ponieważ nie było panów, którzy mogliby wydawać polecenia, to wydawało się najrozsądniejszym rozwiązaniem. Myślałem, że zabłądzili w lesie, ale nie mogłem pójść ich szukać, bo pani Wickham wydzierała się o morderstwie, a konie szalały z niepokoju.

– Oczywiście. Czy strzały rozległy się blisko?

– Dość blisko, proszę pana. Według mnie ktoś strzelał nie dalej niż sto metrów od nas.

– No tak. Teraz zawieziesz kilku z nas z powrotem do miejsca, gdzie panowie weszli w las i ruszymy na poszukiwania.

Ten plan najwyraźniej nie przypadł Prattowi do gustu, bo stangret zgłosił obiekcje.



– Miałem jechać do King's Arms w Lambton, a potem wrócić do Green Man. Takie dostałem rozkazy, proszę pana. Poza tym konie będą się bały wrócić do lasu.

– Nie ma po co jechać do Lambton bez pana Wickhama i kapitana Denny'ego. Od tej pory ja będę wydawał ci polecenia. Będą bardzo jasne. Twoim zadaniem jest pilnować koni. Czeka tu i zadbaj, by stały spokojnie. Później załatwię wszystko z panem Piggottem. Jeśli zrobisz, co każę, nie będziesz miał żadnych kłopotów.

W domu Elizabeth zwróciła się cicho do pani Reynolds:

– Musimy położyć panią Wickham do łóżka. Czy jest jakieś pościelone w południowym pokoju gościnnym na drugim piętrze?

– Tak, pani, już nawet rozpalono ogień. Ten pokój i dwa inne są zawsze gotowe podczas balu lady Anne na wypadek, gdyby powtórzyła się październikowa noc z dziewięćdziesiątego siódmego roku, kiedy spadło dziesięć centymetrów śniegu i goście, którzy przyjechali z daleka, nie mogli wrócić do domu. Czy zabierzemy tam panią Wickham?

– Tak będzie najlepiej, ale w obecnym stanie nie powinno się jej zostawiać samej – odparła Elizabeth. – Ktoś będzie musiał spać z nią w pokoju.

– W sąsiedniej garderobie jest wygodna sofa i pojedyncze łóżko, pani – powiedziała gospodyni. – Mogę kazać przenieść sofę z kocami i poduszkami. Przypuszczam, że Belton nie śpi i na panią czeka. Musi zdawać sobie sprawę, że coś się stało, poza tym można w pełni liczyć na jej dyskrecję. Proponuję, żebyśmy ja i ona na zmianę spały na sofie w pokoju pani Wickham.

– Ty i Belton powinniście się dziś wyspać – odparła Elizabeth. – Pani Bingley i ja chyba damy sobie radę.

Wracając do holu, Darcy ujrzał, że Bingley i Jane praktycznie wnoszą Lydię po schodach, prowadzeni przez panią Reynolds. Pianie dobywające się z ust Lydii przeszło w spokojniejsze łkanie, ale wyrwała się z ramion Jane i wbiła spojrzenie w Darcy'ego.

– Czemu wciąż tu jesteś? Dlaczego nie pójdziesz go szukać? Mówię wam, słyszałam strzały. O, mój Boże, Wickham może być ranny albo nie żyje! Może umiera, a ty stoisz jak słup. Na miłość boską, ruszaj!

– Szykujemy się – powiedział Darcy spokojnie. – Przekażę ci nowiny, jeśli się czegoś dowiem. Nie ma potrzeby spodziewać się najgorszego. Pan Wickham i kapitan Denny mogą nawet w tej chwili zmierzać do nas na piechotę. Spróbuj odpocząć.

Pocieszając Lydię, Bingley i Jane w końcu weszli na schody i zniknęli za panią Reynolds w głębi korytarza.

– Obawiam się, że Lydia się rozchoruje – powiedziała Elizabeth. – Potrzebujemy doktora McFee, który mógłby dać jej coś na uspokojenie.

– Już wezwałem kariolkę, żeby po niego pojechała. Teraz musimy ruszyć w las i odszukać Wickhama i Denny'ego. Czy Lydia była w stanie powiedzieć ci, co się wydarzyło?

– Potrafiła na tyle opanować płacz, że wykrztusiła podstawowe fakty i zażądała, by wniesiono i otwarto jej kufer. Mogłabym niemal pomyśleć, że nadal spodziewa się wziąć udział w balu.

Darcy'emu wydało się nagle, że wielki hol Pemberley, z wytwornymi meblami, pięknymi schodami wznoszącymi się łukowato na galerię i portretami rodzinnymi, stał się tak obcy, jakby wchodził tu po raz pierwszy. Naturalny porządek, krzepiący go od dzieciństwa, został zburzony i przez chwilę Darcy czuł się tak bezradny, jakby przestał być panem domu – absurdalne uczucie, które znalazło ujście w irytacji z powodu detali. Nie do Stoughtona ani też do Alvestona należało dzwiganie bagaży, ponadto, zgodnie z długą tradycją, jedynym członkiem służby prócz Stoughtona odbierającym rozkazy bezpośrednio od pana był Wilkinson. Coś jednak usiłowano zrobić. Bagaż Lydii wniesiono, kariolka z Pemberley została wysłana po doktora McFee. Darcy instynktownie podszedł do żony i delikatnie ujął ją za rękę. Dłoń Elizabeth była śmiertelnie zimna, ale odwzajemniła uścisk, co dodało mu otuchy.

Bingley zszedł na dół, gdzie dołączyli do niego Alveston i Stoughton. Darcy pokrótce zrelacjonował, czego się dowiedział od Pratta, ale najwyraźniej Lydia mimo pomieszania zdołała wyszeptać, co się stało.

– Pratt musi nam wskazać, gdzie Denny i Wickham wysiedli z powozu, dlatego pojedziemy kariolką Piggotta – zarządził Darcy. – Ty, Charlesie, lepiej zostań przy paniach, Stoughton może pilnować drzwi. Jeśli zgodzisz się przyłączyć, Alvestonie, we dwóch powinniśmy sobie dać radę.

– Proszę mną rozporządzać w dowolny sposób, jaki może być pomocny.

– Możemy potrzebować noszy – zwrócił się Darcy do Stoughtona. – Czy nie leżą w pokoju obok zbrojowni?

– Tak, proszę pana. Używaliśmy ich, kiedy lord Instone złamał nogę na polowaniu.

- Wobec tego przynieś je. Będą też potrzebne koce, brandy, woda i lampy.
- Zajmę się tym – powiedział Alveston, po czym on i Stoughton odeszli.

Darcy miał wrażenie, że zbyt długo już rozmawiają i organizują pomoc, ale zegarek podpowiedział mu, że od dramatycznego przyjazdu Lydii upłynął zaledwie kwadrans. Wtedy usłyszał tętent kopyt, a odwróciwszy się, zobaczył jeźdźca galopującego po murawie nad rzeką. Pułkownik Fitzwilliam powrócił. Nim zdążył zsiąść z konia, zza węgła wyłonił się Stoughton dźwigający na ramieniu nosze, za nim Alveston ze służącym obładowani dwoma złożonymi kocami, butelkami brandy, wodą i trzema lampami. Podszedłszy do pułkownika, Darcy szybko zdał mu sprawozdanie z nocnych wydarzeń oraz tego, co zamysłali zrobić.

Fitzwilliam słuchał w milczeniu, po czym rzekł:

– Wyruszać na całkiem imponującą wyprawę, aby zadowolić jedną histeryczkę. Przypuszczam, że ci głupcy zabłądzili w lesie albo jeden z nich potknął się o korzeń drzewa i skręcił kostkę. Pewnie właśnie teraz kuśtykają do Pemberley albo King's Arms, ale jeśli stangret też słyszał strzały, powinniśmy się uzbroić. Pójdę po pistolet i dołączę do was w kariolce. Jeżeli nosze okażą się potrzebne, przydam się dodatkowa pomoc, a koń stanowiłby obciążenie, gdybyśmy musieli się zapuścić głęboko w las, co wydaje się prawdopodobne. Wezmę swój kompas kieszonkowy. Dwaj dorośli mężczyźni, którzy zabłądzili jak dzieci, to wystarczająca głupota, piątka zakrawałaby na kpiny.

Pułkownik dosiadł konia i szybko pokłusował do stajni. Fitzwilliam nie wyjaśnił swej nieobecności, Darcy zaś, w zamęcie ostatnich wydarzeń, nie zastanawiał się nad tym. Przyszło mu tylko na myśl, że niezależnie od tego, dokąd pogalopował wcześniej pułkownik, jego powrót byłby niekorzystny, gdyby zamierzał powstrzymać ekspedycję ratunkową bądź żądać informacji i wyjaśnień, których nikt nie mógł na razie dostarczyć, ale zaiste przyda im się dodatkowa pomoc. Bingley zatroszczy się o kobiety, a Darcy mógł jak zwykle liczyć na to, że Stoughton i pani Reynolds dopilnują, by wszystkie drzwi i okna zostały zabezpieczone, poradzą też sobie ze wścibskimi służącymi. Nie zwlekano niepotrzebnie. Po kilku minutach kuzyn wrócił, razem z Alvestonem przytroczyli nosze do kariolki, trzech mężczyzn wsiedli, a Pratt dosiadł konia na przodzie zaprzęgu.

Właśnie wtedy pojawiła się Elizabeth i podbiegła do kariolki.

– Zapomnieliśmy o Bidwellu. Jeśli w lesie jest zamieszanie, on powinien być razem z rodziną. Może już jest. Stoughton, wiesz, czy wrócił do domu?

– Nie, pani. Bidwell nadal poleruje srebra. Do domu miał wracać dopiero w niedzielę. Część służby domowej ciągle pracuje, pani.

Zanim Elizabeth zdążyła odpowiedzieć, pułkownik szybko wysiadł z kariołki i powiedział:

– Pójdę po niego. Znajdę go zapewne w spiżarni kamerdynera. – I odszedł.

Zerknąwszy na twarz męża, Elizabeth poznała po jego marsowej minie, że podziela jej zdziwienie. Teraz, po pojawieniu się pułkownika, stało się jasne, że postanowił przejąć kontrolę nad wszystkimi aspektami akcji, ale mówiła sobie, że może nie powinni się dziwić; w końcu Fitzwilliam przywykł do pełnienia funkcji dowódcy w sytuacjach kryzysowych.

Pułkownik wrócił szybko, ale bez Bidwella.

– Tak bardzo nie chciał porzucić nieukończonych prac, że nie nalegałem – wyjaśnił. – Jak zwykle w przeddzień balu Stoughton załatwił, by Bidwell został na noc. Cały jutrzejszy dzień będzie pracował, więc żona nie oczekuje go przed niedzielą. Obiecałem mu, że sprawdzimy, czy w leśnym domu wszystko jest w należytych porządku. Mam nadzieję, że nie przekroczyłem swoich uprawnień.

Ponieważ pułkownik nie miał władzy nad służbą w Pemberley, Elizabeth nie pozostało nic do powiedzenia.

W końcu wyruszyli, odprowadzani wzrokiem przez stojącą w progu grupkę złożoną z Elizabeth, Jane, Bingleya i dwóch służących. Nikt się nie odezwał, a gdy kilka minut później Darcy spojrzął za siebie, wielkie drzwi Pemberley były zamknięte; dom, jakby opuszczony, stał piękny i spokojny w blasku księżyca.

Żadnej części majątku Pemberley nie zaniedbywano, ale lasowi na północnym zachodzie w przeciwieństwie do szkółki leśnej nie poświęcano wiele uwagi, zresztą jej nie potrzebował. Co pewien czas ścinano drzewo na opał na zimę lub do robót naprawczych, krzaki, które zarastały ścieżki, karczowano, martwe drzewa usuwano i wywożono z lasu. Wąska droga zryta przez wozy dowożące zapasy do wejścia dla służby prowadziła od stróżówki do szerokiego dziedzińca na tyłach Pemberley, za którym znajdowały się stajnie. Z dziedzińca drzwiami na tyłach domu wchodziło się do korytarza, zbrojowni i biura rządcy.

Kariolka, obciążona trzema pasażerami, noszami oraz dwoma sakwożażami Wickhama i kapitana Denny'ego, posuwała się powoli; pasażerowie siedzieli w milczeniu, które Darcy odczuwał jako jakiś niepojęty letarg. Nagle pojazd stanął. Darcy ocknął się, wyjrzał i poczuł na twarzy pierwsze ostre ukłucia deszczu. Miał wrażenie, jakby zwieszała się nad nimi potężna, żłobiona szczelinami skarpa, posepna i nieprzebyta, która na jego oczach drżała, gotowa runąć. Potem jego umysł wrócił do rzeczywistości, szczeliny w skale rozszerzyły się w odstępki między ciasno posadzonymi drzewami, usłyszał, jak Pratt ponagla krnąbrne konie do wejścia w leśną przecinkę.

Powoli zagłębiali się w mrok pachnący łem. Podróżowali w niezwykłym świetle księżycy w pełni, który sunął przed nimi niczym towarzysz widmo, to znikając, to pojawiając się na nowo. Wkrótce Fitzwilliam powiedział do Darcy'ego:

– Dalej lepiej iść na piechotę. Pratt może nie pamiętać dokładnie, musimy wypatrywać miejsca, gdzie Wickham i Denny weszli w las i gdzie mogli wyjść. Na zewnątrz lepiej będziemy widzieć i słyszeć.

Zaopatrzeni w lampy wysiedli z kariolki, a pułkownik, zgodnie z przewidywaniami Darcy'ego, objął prowadzenie. Ziemię zaścielała miękka warstwa liści tłumiących ich kroki, więc Darcy słyszał tylko skrzypienie kariolki, chrapliwe końskie oddechy i chrzęst uprzęży. Konary łączyły się gdzieniegdzie, tworząc sklepienie tunelu, przez który od czasu do czasu widać było księżyc. W odciętej od świata ciemności wiatr przycichł do słabego szelestu cienkich szczytowych gałązek, jakby nadal urzędowały tam świergoczące wiosenne ptaki.

Darcy jak zwykle, kiedy szedł przez las, zaczął myśleć o pradziadku. Dla dawno zmarłego George'a urok lasu leżał po części w jego różnorodności, w tajemnych ścieżkach i nieoczekiwanych panoramach. Tu, w azylu pośród drzew, gdzie ptaki i drobne stworzenia mogły swobodnie zbliżyć się do jego domu, mógł wierzyć, że zjednoczył się z przyrodą, że oddychają tym samym powietrzem i prowadzi ich ten sam duch. Pradziadek zawsze był bliski Darcy'emu, który wcześniej pojął, że ów rzadko wspominany przodek, po wyrzeczeniu się odpowiedzialności za majątek i dom, budził w rodzinie zażenowanie. Zanim zastrzelił swego psa Żołnierza i siebie, zostawił krótki list z prośbą, by pochować go razem ze zwierzęciem, jednak rodzina zignorowała obrazoburcze polecenie i George Darcy spoczął obok przodków w ogrodzonej części wiejskiego cmentarza, natomiast Żołnierz miał leśny grób z granitową tablicą, z wrytym imieniem i datą śmierci. Od młodych lat Darcy zdawał sobie sprawę z obaw ojca, że w rodzinie może pokutować pewna dziedziczna słabość. Dość wcześnie zaczął wpajać chłopakowi doniosłość zobowiązań, jakie spoczną na jego barkach, związanych zarówno z majątkiem, jak i ludźmi, którzy mu służyli i od niego zależeli, zobowiązań, jakich żaden najstarszy syn nie mógł odrzucić.

Pułkownik Fitzwilliam narzucił niespieszne tempo, kołysał lampą z boku na bok i co pewien czas zarządzał postój, by bacznie się przyjrzeć gęstwinie w poszukiwaniu śladów przedzierania się przez listowie. Świadom, że to dość małostkowa myśl, Darcy podejrzewał, że pułkownik, korzystając ze swych przywódczych prerogatyw, prawdopodobnie nieźle się bawił. On sam, krocząc przed Alvestonem, odczuwał gorycz i raz po raz, niczym nadchodzący przypływ, wzbierał w nim gniew. Czy już nigdy nie uwolni się od George'a Wickhama? W tych lasach się bawili. Kiedyś wspominał ten okres jako beztrudny i szczęśliwy, ale czy ta chłopięca przyjaźń była prawdziwa? Czyżby młody Wickham już wtedy hołubił w sercu zawiść, irytację i niechęć? Z ostrych, szczenięcych zabaw i symulowanych bijatyk Darcy wychodził czasem posiniaczony – czy Wickham celowo wykazywał nadmierną buńczuczność? Niskie, krzywdzące uwagi, przez lata ukryte w głębi psychiki, przedarły się teraz do świadomości Darcy'ego. Od jak dawna Wickham planował zemstę? Myślał tym, że siostra uniknęła hańby i zniesławienia tylko dlatego, że Darcy miał dość pieniędzy, by uciszyć niedoszłego uwodziciela, była tak gorzka, że jęknął. Upokorzenie próbował zagłuszyć szczęśliwym małżeństwem, ale teraz powróciło, jeszcze silniejsze po latach tłumienia, nieznośne brzemień wstydu

i obrzydzenia do samego siebie, a gorycz potęgowała wiedza, że tylko jego pieniądze zmusiły Wickhama do poślubienia Lydii Bennet. Ta hojność zrodziła się z miłości Darcy'ego do Elizabeth, ale właśnie przez jego ślub z nią Wickham wszedł do rodziny, miał prawo nazywać Darcy'ego bratem, stał się stryjcem Fitzwilliama i Charlesa. Owszem, mógł trzymać Wickhama z dala od Pemberley, ale przenigdy nie zdołał go wygnać z umysłu.

Po pięciu minutach dotarli do ścieżki odchodzącej od drogi do leśnego domu. Ponieważ przez lata regularnie jej używano, choć wąska, nietrudno było ją znaleźć. Nim Darcy zdążył się odezwać, pułkownik, z lampą w dłoni, ruszył ku ścieżce. Oddając broń Darcy'emu, rzekł:

– Lepiej to weź. Nie spodziewam się kłopotów, a broń tylko wystraszy panią Bidwell i jej córkę. Sprawdzę, czy u nich wszystko w porządku, i każę pani Bidwell trzymać drzwi zamknięte na klucz i pod żadnym pozorem nikogo nie wpuszczać. Lepiej jej powiem, że dwaj dżentelmeni mogli zablądzić w lesie, więc ich szukamy. Nie ma potrzeby opowiadać jej nic więcej.

Pułkownik oddalił się i zniknął im z oczu; gęsty las tłumiał odgłosy jego odejścia. Darcy i Alveston stali nieruchomo w milczeniu. Minuty zdawały się wydłużać, a spojrzawszy na zegarek, Darcy zobaczył, że upłynęło blisko dwadzieścia minut do czasu, gdy dobiegł ich szelest rozchylanych gałęzi i Fitzwilliam pojawił się znowu.

Odebrawszy broń od Darcy'ego, pułkownik powiedział oschle:

– Wszystko w porządku. Pani Bidwell z córką słyszały strzały, które według nich rozległy się niedaleko, ale nie w bezpośredniej bliskości domu. Natychmiast zamknęły drzwi na klucz i nic więcej nie słyszały. Dziewczyna – ma na imię Louisa, prawda? – była bliska hysterii, ale matka zdołała ją uspokoić. Niefortunnie, że właśnie tej nocy Bidwella nie ma w domu. – Zwrócił się do stangreta: – Wypatruj bacznie i zatrzymaj się, kiedy dotrzemy do miejsca, gdzie kapitan Denny i pan Wickham wysiedli z kariolki.

Pułkownik Fitzwilliam ponownie zajął miejsce na czele małego pochodu i powoli ruszyli dalej. Od czasu do czasu Darcy i Alveston unosili lampy, wypatrując śladów w poszyciu i nasłuchując. Po jakichś pięciu minutach kariolka stanęła.

– To chyba mniej więcej tutaj, proszę pana – powiedział Pratt. – Przypominam sobie ten dąb po lewej i tamte czerwone jagody.

Zanim Fitzwilliam zdążył zabrać głos, Darcy spytał:

– W którym kierunku udał się kapitan Denny?

– Na lewo, proszę pana. Nie widziałem żadnej ścieżki, ale on wpadł w las, jakby nie rosły tam żadne krzaki.

– Ile czasu minęło, zanim pan Wickham ruszył za nim?

– Moim zdaniem najwyżej sekunda lub dwie. Jak już mówiłem, pani Wickham chwyciła męża, próbując go powstrzymać, a potem za nim wołała. Kiedy nie wrócił i usłyszeliśmy strzały, kazała mi jak najszybciej jechać do Pemberley. Przez całą drogę się wydzierała, proszę pana, powtarzała, że wszystkich nas wymordują.

– Zostań tu i nie opuszczaj powozu – polecił Darcy, po czym zwrócił się do Alvestona: – Lepiej weźmy nosze. Wyjdziemy na głupców, jeśli po prostu zmylili drogę i nic im się nie stało, ale te strzały są niepokojące.

Alveston odwiązał i wyjął z powozu nosze.

– Wyjdziemy na jeszcze większych głupców, jeżeli sami zabłądzimy. Ale spodziewam się, że dobrze zna pan te lasy?

– Mam nadzieję, że wystarczająco dobrze, by z nich wyjść.

Włoczenie noszy przez zarośla nastroczało trudności, ale po krótkiej dyskusji Alveston zwinął nosze, zarzucił na ramię i ruszyli.

Kiedy Darcy kazał stangretowi czekać przy powozie, Pratt nic nie powiedział, ale najwyraźniej nie był szczęśliwy, że zostaje sam, a jego lęk udzielił się koniom. Zwierzęta rżały i się rzucały, co według Darcy'ego stanowiło stosowny akompaniament do przedsięwzięcia, które zaczynał uważać za chybione. Przedzierając się przez niemal nieprzebyty gąszcz, szli gęsiego, pułkownik na przodzie, powoli kołysali lampami z boku na bok i przystawali, gdy cokolwiek świadczyło o tym, że ktoś niedawno mógł tamtędy przechodzić. Alveston z trudem przeciągał nosze pod niskimi gałęziami drzew. Co kilka kroków przystawali, nawoływali i nasłuchiwali w ciszy, ale żadna odpowiedź nie nadchodziła. Wiatr, wcześniej prawie niesłyszalny, teraz ustał i wydawało się, że sekretne życie lasu zastygło, wyczuwając ich niecodzienną obecność.

Złamane i zwisające gałązki krzaków oraz kilka smug, mogących być śladami stóp, dawały początkowo nadzieję, że są na właściwym tropie, ale po pięciu minutach krzaki i drzewa się przerzedziły, wciąż nikt nie odpowiadał na wołanie, więc stanęli, aby się zastanowić nad dalszym postępowaniem. Wcześniej, w obawie, że utracą między sobą kontakt albo któryś z nich zabłądzi, trzymali się w odległości kilku metrów od siebie, idąc na zachód. Teraz postanowili wrócić do powozu, skręcając na wschód w stronę Pemberley. Trzech ludzi nie mogło przeszukać całego



rozległego lasu. Gdyby ta zmiana kierunku nie przyniosła efektu, wrócą do domu, a jeżeli Wickham i Denny nie pojawią się do rana, zwołają pracowników z majątku i wznowią dokładniejsze poszukiwania, może także z policją.

Ekspedycja poszukiwawcza brnęła dalej w las. Nagle ściana splątanych zarośli się przerzedziła i ich oczom ukazała się polana w księżycowym świetle, okolona smukłymi brzozami. Ze wznowioną energią ruszyli, przedzierając się przez poszycie, radzi, że z niewoli krzaków i grubych pni wyrwali się na wolność i światło. Tu nie mieli nad sobą baldachimu konarów, a blask księżycy srebrzący delikatne pnie tworzył obraz piękna, bliższy marzeniu niż rzeczywistości.

Polana rozpostarła się przed nimi. Wolno, niemal bojaźliwie, przeszli między dwiema smukłymi brzozami, po czym stanęli jak przytwierdzeni korzeniami do ziemi, oniemiałi z przerażenia. Posępne barwy sceny śmierci brutalnie kontrastowały z matowym światłem. Nikt się nie odezwał. Cała trójka jak jeden mąż podeszła powoli z wysoko uniesionymi lampami; silne światło, przyćmiewające łagodną księżycową poświatę, uwydatniało jasnoczerwony mundur oficerski, upiorną, zakrwawioną twarz oraz zwrócone ku nim szalone, szkliste oczy.

Kapitan Denny leżał na plecach, prawe oko miał zasklepięte krwią, lewe, szkliste i niewidzące, utkwiał w odległym księżycu. Wickham, z dłońmi zboczonymi krwią i twarzą jak zbryzgana maska, klęczał nad nim. Głos miał gardłowy i ochryply, ale słowa zabrzmiały wyraźnie:

– Nie żyje! O, Boże, Denny nie żyje! Zabiłem najlepszego przyjaciela, jedyne przyjaciela! Zabiłem go! To moja wina.

Zanim zdążyli odpowiedzieć, Wickham się zgarbił, z gardła wydarł mu się dziki szloch, po czym osunął się na ciało Denny'ego, tak że ich twarze niemal się zetknęły.

Pułkownik pochylił się nad Wickhamem, a następnie wyprostował.

– Jest pijany – powiedział.

– A Denny? – spytał Darcy.

– Nie żyje. Nie, lepiej go nie dotykać. Poznaję śmierć, kiedy ją widzę. Połóżmy ciało na noszach i pomogę ci dźwigać. Alveston, jesteś chyba najsilniejszy z nas, możesz pomóc Wickhamowi dojść do powozu?

– Myślę, że tak, proszę pana. Nie jest ciężki.

Darcy i pułkownik w milczeniu położyli ciało Denny'ego na płóciennych noszach. Następnie Fitzwilliam pomógł Alvestonowi postawić pijanego na nogi. Wickham się zataczał, ale nie stawiał oporu. Dobywający się w urywanym szlochu

oddech kalał powietrze smrodem whisky. Alveston był wyższy, więc kiedy zdołał unieść prawą rękę Wickhama i położyć sobie na ramieniu, mógł podtrzymać bezwładny ciężar i powlec go przez kilka kroków.

Pułkownik znowu się schylił, a kiedy się wyprostował, trzymał pistolet. Powąchawszy lufę, stwierdził:

– Może z tej broni padły strzały.

Fitzwilliam i Darcy chwycili za żerdzie noszy i dźwignęli je z wysiłkiem. Smutna procesja ruszyła w mozolną drogę powrotną do powozu – najpierw nosze, a kilka metrów za nimi Alveston obarczony Wickhamem. Oznaki ich wcześniejszego przejścia było widać wyraźnie, bez trudu więc dostrzegali własne ślady, ale posuwali się wolno i opornie. Darcy włókł się za pułkownikiem w stanie przygnębienia, w jego umyśle kłębiły się najróżniejsze lęki uniemożliwiające racjonalne myślenie. Dotychczas nigdy nie pozwolił sobie na rozważania o tym, jak blisko Elizabeth była z Wickhamem w czasach ich przyjaźni w Longbourn, teraz jednak ogarnęły go wątpliwości podsycane zazdrością. Uznał je jednak za nieusprawiedliwione i niegodne. Przez jedną straszliwą chwilę żałował, że nie dźwiga ciała Wickhama, a świadomość, iż, choć przez moment, życzył wrogowi śmierci, napełniła go przerażeniem.

Pratt powitał ich powrót z wyraźną ulgą, ale na widok noszy zaczął dygotać ze strachu i dopiero na ostry rozkaz pułkownika okiełznał konie, które się wrywały, czując krew. Darcy i pułkownik położyli nosze na ziemi, następnie Darcy przykrył ciało Denny'ego kocem z powozu. W drodze przez las Wickham zachowywał spokój, ale teraz ogarnął go wojowniczy nastrój, toteż Alveston przy pomocy Fitzwilliama wsadził go do powozu i usiadł naprzeciwko z uczuciem ulgi. Pułkownik i Darcy raz jeszcze chwycili żerdzie noszy, po czym dźwignęli ciężar i poczuli ból ramion. Prattowi udało się w końcu opanować i uciszyć konie, a dwaj tragarze, znużeni fizycznie i duchowo, ruszyli za powozem w drogę powrotną do Pemberley.

Kiedy tylko udało się przekonać już spokojniejszą Lydię, by położyła się do łóżka, Jane zostawiła ją pod opieką Belton i dołączyła do Elizabeth. Siostry pospieszyły do drzwi i patrzyły na wyjazd ekipy ratowniczej. Bingley, pani Reynolds i Stoughton już stali w progu i cała piątka wpatrywała się w mrok, aż powóz stał się parą chybotliwych, odległych świateł. Wtedy Stoughton zamknął i zaryglował drzwi.

– Posiedzę przy pani Wickham do przybycia doktora McFee, proszę pani – powiedziała gospodyni. – Spodziewam się, że da jej na uspokojenie coś, co ułatwi zaśnięcie. Proponuję, by poczekała pani razem z panią Bingley w pokoju muzycznym, gdzie będzie paniom wygodnie; napalono też w kominku. Stoughton będzie czuwał przy drzwiach i zawiadomi panie, gdy tylko powóz się pojawi. Jeśli znajdą pana Wickhama i kapitana Denny’ego, w powozie zmieszczą się wszyscy, choć może nie będzie to najwygodniejsza podróż. Panowie będą pewnie chcieli zjeść coś ciepłego po powrocie, ale wątpię, by pan Wickham i kapitan Denny zechcieli zostać na poczęstunek. Jak tylko pan Wickham się dowie, że jego żona jest bezpieczna, razem z przyjacielem na pewno będzie kontynuował podróż. Pratt wspominał chyba, że wybierali się do King’s Arms w Lambton.

Elizabeth, która dokładnie to chciała usłyszeć, zastanawiała się, czy pani Reynolds rozmyślnie dodaje jej otuchy. Mocno niepokoiła ją myśl, że podczas przedzierania się przez las Wickham lub kapitan Denny mógł złamać czy skrzywić nogę w kostce i trzeba go będzie przyjąć pod dach, nawet na noc. Jej mąż nigdy nie odmówiłby schronienia rannemu, ale goszczenie Wickhama napęłniłoby Darcy’ego odrazą, Elizabeth zaś bała się myśleć o ewentualnych konsekwencjach.

– Pójdę sprawdzić, proszę pani, czy cała służba zajmująca się przygotowaniem do balu poszła spać. Wiem, że Belton chętnie zostanie na wypadek, gdyby była potrzebna, Bidwell wciąż pracuje, ale jest dyskretny. Aż do rana nikogo nie trzeba informować o nocnej przygodzie, a nawet jeśli, to tylko tyle, ile trzeba.

Panie zaczęły wchodzić po schodach, kiedy Stoughton oznajmił, że powóz posłany po doktora McFee właśnie wraca, więc Elizabeth została, by powitać lekarza i pokrótce wyjaśnić, co się stało.

Doktora McFee zawsze ciepło witano w ich domu. Ten wdowiec w średnim

wieku odziedziczył po żonie znaczny majątek, ale chociaż mógł sobie pozwolić na podróżowanie własnym powozem, wolał odwiedzać pacjentów konno. Na drogach i drózkach Lambton i Pemberley był rozpoznawany przede wszystkim z powodu skórzanej sakwy wiecznie przytroczonej do siodła. Od nieustannych podróży konno w każdą pogodę miał ogorzałą twarz, której nie dało się nazwać przystojną, ale otwartość, inteligencja i autorytet połączyły się na niej do tego stopnia, że najwyraźniej pisane mu było zostać wiejskim lekarzem. Zgodnie ze swoją filozofią medyczną wierzył, że ludzkie ciało posiada naturalną zdolność samouzdrawiania, o ile pacjenci i lekarze nie będą zakłócać tych dobroczynnych procesów, ponieważ jednak rozumiał, że ludzka natura domaga się pigułek i wywarów, sam przygotowywał medykamenty, w których pacjenci pokładali pełną ufność. Już wcześniej się przekonał, że krewni rekonwalescenta są mniej kłopotliwi, jeżeli zatrudni się ich przy chorym, dlatego przygotowywał medykamenty, których skuteczność była wprost proporcjonalna do czasu pracy nad nimi. Doktor McFee był już znany pacjentce, ponieważ pani Bingley wzywała go, ilekroć jej mąż, dziecko, przyjaciele składający wizytę lub służący zdradzali najdrobniejsze oznaki niedomagania, stał się więc przyjacielem rodziny. Panie z ulgą zaprowadziły lekarza do Lydii, która powitała go kolejnym wybuchem oskarżeń i żalu, ale uspokoiła się niemal natychmiast, gdy podszedł do łóżka.

Elizabeth i Jane mogły teraz wypatrywać powrotu mężczyzn w pokoju muzycznym, gdzie z okien wyraźnie było widać drogę do lasu. Chociaż ona i Jane próbowały odpocząć na sofie, żadna z sióstr nie umiała się oprzeć pokusie i raz po raz podchodziły do okna lub kręciły się niespokojnie po pokoju. Elizabeth wiedziała, że zarówno ona, jak i siostra prowadzą w myślach podobne kalkulacje. W końcu Jane je wypowiedziała:

– Moja droga Elizabeth, nie możemy oczekiwać, że szybko wrócą. Załóżmy, że dopiero po kwadransie znajdą miejsce, gdzie kapitan Denny i pan Wickham zniknęli w lesie. Następne piętnaście minut lub więcej zajmie im ustalenie, czy ci dwaj dżentelmeni faktycznie zabłądzili, musimy też dać im czas na powrót do powozu i drogę do domu. Ponadto pamiętaj, że ktoś z nich powinien zejść do Woodland Cottage, by sprawdzić, czy pani Bidwell i Louisa są bezpieczne. Tak wiele zdarzeń może spowolnić ich powrót. Musimy się uzbroić w cierpliwość. Według mnie nie zobaczymy kariolki wcześniej niż za godzinę. Możliwe oczywiście, że pan Wickham i kapitan Denny w końcu zdołali dotrzeć z powrotem do drogi

i postanowili wrócić do zajazdu.

– Raczej by tego nie zrobili – powiedziała Elizabeth. – Musieliby długo iść, a powiedzieli Prattowi, że po odwiezieniu Lydii do Pemberley zamierzają jechać dalej do King's Arms w Lambton. Poza tym potrzebowaliby bagaży. Wickham chciałby się upewnić, że Lydia dotarła tu bezpiecznie. Niczego jednak się nie dowiemy, dopóki powóz nie wróci. Można mieć nadzieję, że znajdą ich na drodze i wkrótce ujrzymy ich wszystkich. Tymczasem postarajmy się odpocząć.

Odpoczynek okazał się jednak niemożliwy i siostry raz po raz to podchodziły do okna, to odchodziły od niego. Pół godziny później straciły nadzieję na szybki powrót ekipy poszukiwawczej, ale nadal stały w milczeniu dręczone niepokojem. Wiadomość o strzałach powodowała, że drżały na myśl o tym, iż ujrzą powóz jadący wolno jak karawan, z Darcym i pułkownikiem idącymi z tyłu z noszami. W najlepszym razie na noszach mógł leżeć Wickham lub Denny, nie poważnie ranny, ale niemogący wytrzymać wstrząsów powozu. Obie siostry usiłowały wyprzeć z umysłów widok ciała w całunie oraz przerażającą konieczność wyjaśnienia Lydii, że jej najgorsze obawy się sprawdziły i jej mąż nie żyje.

Siostry czekały godzinę i dwadzieścia minut, aż w końcu znużone stanem odwróciły się od okna. Wtedy pojawił się Bingley z doktorem McFee.

– Pani Wickham była zmęczona niepokojem i długim płaczem, więc podałem jej coś na uspokojenie – oświadczył lekarz. – Wkrótce powinna smacznie zasnąć, mam nadzieję na osiem czy dziewięć godzin. Pokojówka Belton i pani Reynolds są przy niej. Mogę się ulokować w bibliotece i później sprawdzić stan pacjentki. Nie ma potrzeby, by ktokolwiek inny jej doglądał.

Elizabeth podziękowała mu gorąco i przyznała, że życzyłaby sobie takiego właśnie obrotu sprawy. Kiedy lekarz opuścił pokój w towarzystwie Jane, Elizabeth i Bingley podeszli do okna.

– Nie powinniśmy tracić nadziei, że wszystko jest dobrze – stwierdził Bingley. – Strzały mógł oddać kłusownik polujący na zające albo Denny wypalił, by ostrzec kogoś, kto czał się w lesie. Nie pozwalajmy wyobraźni wyczarowywać scen, które w świetle rozumu są zmyślane. W lesie nie może być niczego, co skłoniłoby kogokolwiek do wyrządzenia krzywdy Wickhamowi czy Denny'emu.

Elizabeth nie odpowiedziała. Teraz nawet znajomy, ukochany krajobraz wyglądał obco; rzeka w świetle księżyca wiła się jak wstęga stopionego srebra, aż zadrżała i ożyła w nagłym podmuchu wiatru. Droga zanurzona w wiecznej pustce

zdawała się rozciągać w niesamowitym, tajemniczym krajobrazie, gdzie nie mogło się poruszać ani żyć nic ludzkiego. Właśnie w chwili, gdy wróciła Jane, pojawił się powóz, początkowo będący tylko przesuwającym się kształtem, wydobywanym z ciemności przez odległe filujące światła. Oparłszy się pokusie, by popędzić do drzwi, siostry czekały w napięciu.

– Posuwają się wolno – powiedziała Elizabeth, nie kryjąc rozpaczy. – Gdyby wszystko było w porządku, jechaliby szybko.

Uświadomiwszy to sobie, nie mogła dłużej czekać. Zbiegła na dół, a Jane i Bingley pospieszyli za nią. Stoughton musiał dostrzec powóz z okna na parterze, ponieważ drzwi frontowe były już otwarte na oścież.

– Czy nie rozsądniej byłoby wrócić do pokoju muzycznego, pani? – powiedział. – Pan Darcy przekaże pani nowiny, jak tylko tu dotrą. Na dworze jest za zimno, a do przyjazdu powozu nikt z nas nie może nic zrobić.

– Pani Bingley i ja wolimy poczekać przy drzwiach, Stoughton – odparła Elizabeth.

– Jak pani sobie życzy.

Siostry i Bingley wyszli w noc i czekali. Nikt nie odezwał się słowem, dopóki powóz nie zbliżył się na kilka metrów do drzwi. Wtedy ujrzeli to, czego się obawiali: okrytą całunem postać na noszach. Nagły podmuch wiatru rozrzucił włosy Elizabeth wokół twarzy. Poczowała, jakby miała upaść, ale zdołała chwycić Bingleya, który otoczył ją ramieniem. Wtedy wiatr uniósł róg koca i ujrzeli szkarłatny mundur oficerski.

– Możesz przekazać pani Wickham, że jej mąż żyje – zwrócił się pułkownik Fitzwilliam do Bingleya. – Żyje, ale nie można go oglądać. Kapitan Denny poniósł śmierć.

– Zastrzelony? – spytał Bingley.

– Nie, nie zastrzelony – odparł Darcy, po czym zwrócił się do Stoughtona: – Przyniesź zewnętrzne i wewnętrzne klucze do zbrojowni. Razem z pułkownikiem Fitzwilliamem przeniesiemy ciało przez północny dziedziniec i położymy na stole w zbrojowni. – Potem ponownie zwrócił się do Bingleya: – Zaprowadź, proszę, Elizabeth i panią Bingley do domu. Nic tu po nich. Musimy wyprowadzić Wickhama z powozu. Jego obecny stan byłby dla nich przykry. Trzeba go zapakować do łóżka.

Elizabeth zdziwiła się, że jej mąż i pułkownik nie chcą postawić noszy na ziemi.

Stali jak wryci, dopóki Stoughton nie wrócił po paru minutach z kluczami. Wtedy ruszyli za nim w uroczystym, niemym pochodzie, przecięli dziedziniec i weszli do zbrojowni na tyłach domu.

Powóz zakołysał się gwałtownie, a między podmuchami wiatru Elizabeth usłyszała dzikie, chaotyczne okrzyki Wickhama, który wyrzekał na swoich wybawicieli, na tchórzostwo Darcy'ego i pułkownika. Czemu nie schwytali mordercy? Przecież mieli broń. Umieci się nią posługiwać. Bóg mu świadkiem, wypalił raz czy dwa, byłby tam teraz, gdyby go nie odciągnęli. Potem nastąpił potok przekleństw, najgorsze zagłuszył wiatr, na koniec Wickham załkał.

Elizabeth i Jane weszły do domu. Wickham padł, ale Bingley i Alveston zdołali postawić go na nogi i trzymając w pól, ciągnęli go do holu. Elizabeth mignęła zakrwawiona twarz o dzikim spojrzeniu. Oddaliła się więc, podczas gdy Wickham usiłował się wyswobodzić z uchwytu Alvestona.

– Potrzebny nam pokój z mocnymi drzwiami zamykanymi na klucz – stwierdził Bingley. – Co proponujesz?

Pani Reynolds, która właśnie wróciła, zerknęła na Elizabeth.

– Niebieski pokój w końcu północnego korytarza byłby najbezpieczniejszy, proszę pani – powiedziała. – Ma tylko dwa małe okna i jest najbardziej oddalony od pokoju dzieci.

Bingley, który wciąż pomagał okiełznać Wickhama, zawołał do pani Reynolds:

– Doktor McFee jest w bibliotece. Powiedz mu, że jest potrzebny. Nie uporamy się z Wickhamem w jego obecnym stanie. Powiedz doktorowi, że znajdzie nas w niebieskim pokoju.

Bingley i Alveston chwycili Wickhama za ręce i zaczęli go wlec po schodach. Wickham przycichł, ale szlochał; kiedy wspięli się na ostatni stopień, wyrwał się, groźnie spojrział na Darcy'ego i bluznął potokiem złorzeczeń.

– Lepiej wróć do Lydii – powiedziała Jane do Elizabeth. – Belton siedzi tam już długo, więc pewnie trzeba ją zmienić. Mam nadzieję, że Lydia już mocno śpi, ale kiedy tylko się zbudzi, musimy ją powiadomić, że jej mąż żyje. Przynajmniej jest coś, za co możemy być wdzięczne. Droga Lizzie, gdybym tylko mogła ci tego oszczędzić.

Siostry się objęły, po czym Jane odeszła. W holu zaległa cisza. Elizabeth drżała, a ponieważ nagle zrobiło się jej słabo, usiadła na najbliższym krześle. Pograżona w żalu pragnęła powrotu Darcy'ego i po chwili istotnie wyłonił się ze zbrojowni na

tyłach domu. Natychmiast podszedł do żony, pomógł jej wstać i delikatnie przyciągnął do siebie.

– Moja droga, oddalmy się stąd, to wyjaśnię ci, co zaszło. Widziałaś Wickhama?

– Tak, widziałem, jak wnoszono go do domu. Strasznie wyglądał. Dzięki Bogu, Lydia go nie widziała.

– Jak ona się ma?

– Mam nadzieję, że śpi. Doktor McFee dał jej środek uspokajający. Teraz poszedł pomóc pani Reynolds przy Wickhamie. Pan Alveston i Charles zabierają Wickhama do niebieskiego pokoju w północnym korytarzu. To chyba najlepsze miejsce.

– A Jane?

– Jest z Lydią i Belton. Noc spędzi w pokoju Lydii, a pan Bingley będzie w garderobie obok. Lydia nie zniosłaby mojej obecności. To musi być Jane.

– Wobec tego chodźmy do pokoju muzycznego. Muszę z tobą pomówić sam na sam. Dziś prawie się nie widzieliśmy. Powiem ci, co wiem, choć to nic dobrego. Później muszę pojechać do sir Selwyna Hardcastle'a i powiadomić go o śmierci kapitana Denny'ego. Sir Selwyn to najbliższy sędzia pokoju. Nie mogę w tym uczestniczyć. Hardcastle będzie musiał przejąć sprawę.

– Ale czy to nie może poczekać, Fitzwilliamie? Musisz być wykończony. Jeśli sir Selwyn wróci tu dziś z policją, będzie po północy. Przecież i tak niczego nie zrobi przed świtem.

– Sir Selwyna należy zawiadomić niezwłocznie. Tego będzie oczekiwał i będzie miał do tego pełne prawo. Przypuszczalnie zechce zabrać ciało Denny'ego i zobaczyć Wickhama, jeśli okaże się na tyle trzeźwy, by go przesłuchać. Tak czy inaczej, kochanie, ciało kapitana Denny'ego należy stąd wywieźć najszybciej, jak to możliwe. Nie chcę wyjść na grubianina ani okazywać braku szacunku, ale wygodnie będzie usunąć zwłoki z domu, zanim służba wstanie. Trzeba będzie im powiedzieć, co zaszło, ale lepiej dla nas wszystkich, w szczególności dla służby, jeśli ciała już tu nie będzie.

– Ale mógłbyś przynajmniej zjeść coś i napić się przed drogą. Od kolacji minęło wiele godzin.

– Zostanę pięć minut, wypiję kawę i upewnię się, że Bingley jest o wszystkim powiadomiony, ale potem muszę ruszać.

– A kapitan Denny? Powiedz, co się stało. Wszystko jest lepsze niż to napięcie. Charles mówi o wypadku. Czy to był wypadek?



– Kochanie, musimy poczekać, aż lekarze zbadają ciało i powiedzą nam, jak zmarł kapitan Denny – powiedział Darcy łagodnie. – Do tego czasu możemy tylko snuć domysły.

– Czyli to mógł być wypadek?

– Taka myśl dodaje otuchy, ale osobiście w to nie wierzę. Jestem przekonany, od kiedy po raz pierwszy ujrzałem ciało, że kapitan Denny został zamordowany.

Pięć minut później Elizabeth czekała z Darcym przy drzwiach frontowych, aż przyprowadzą mu konia. Do domu wróciła, dopiero gdy pogalopował w rozświetloną księżycem ciemność. Darcy miał przed sobą trudną podróż. Wiatr wyładował już co prawda najsroźszą furię, ale jego miejsce zajął silny, siekący deszcz. Elizabeth rozumiała, że Darcy musiał pojechać. Był jednym z trzech sędziów pokoju w Pemberley i Lambton, ale w tym dochodzeniu nie mógł uczestniczyć, należało niezwłocznie powiadomić o śmierci Denny'ego któregoś z pozostałych sędziów. Miała też nadzieję, że ciało zostanie zabrane z Pemberley przed świtem, kiedy Darcy i ona poinformują budzącą się służbę o nocnych wypadkach. Ponadto trzeba będzie wyjaśnić obecność pani Wickham, a sama Lydia raczej nie zachowa dyskrecji. Darcy świetnie jeździł konno, więc nawet przy złej pogodzie nocna podróż daleko od domu z pewnością nie była mu straszna. Wyteżając wzrok, by dostrzec niknący w mroku cień galopującego konia, Elizabeth musiała zwalczać własny irracjonalny lęk, że nim mąż dotrze do Hardcastle'a, stanie się coś strasznego i już nigdy Darcy'ego nie zobaczy.

Nocny galop pozwolił Darcy'emu wyrwać się na wolność przynajmniej na pewien czas. Chociaż ramiona wciąż go bolały po dźwiganiu noszy, choć czuł wyczerpanie fizyczne i psychiczne, smagający wiatr i zimny deszcz kłujący twarz stanowiły wyzwolenie. Sir Selwyn Hardcastle – jedyny sędzia pokoju w promieniu trzynastu kilometrów od Pemberley, którego zawsze można było zastać w domu – z pewnością będzie mógł się podjąć tej sprawy, a nawet uczyni to z radością. Darcy wolałby wybrać innego kolegę. Niestety Josiah Clitheroe, trzeci z miejscowych sędziów, cierpiał na podagrę, dolegliwość zarówno bolesną, jak i niezasłużoną, bowiem doktor, choć lubił dobrze podjąć, nigdy nie tykał portwajnu, który, jak powszechnie uważano, stanowił główną przyczynę tej uciążliwej choroby. Doktor Clitheroe był wybitnym prawnikiem, szanowanym poza granicami hrabstwa Derby, uważanym za ozdobę składu sędziowskiego, mimo gadatliwości wynikającej z przekonania, że trafność osądu jest proporcjonalna do czasu poświęconego na jego sformułowanie. Każdy niuans sprawy, nad którą pracował, analizował w najdrobniejszych szczegółach. Jeżeli argumenty starożytnego filozofa – zwłaszcza

Platona lub Sokratesa – mogły dodać powagi mowie prawnika, doktor Clitheroe je przytaczał. Chociaż jego droga rozumowania była okrężna, zawsze podejmował rozumne decyzje i większość podsądnych uważałaby się za pokrzywdzonych, gdyby doktor Clitheroe nie uraczył ich przynajmniej godzinnym niezrozumiałym wywodem, kiedy przed nim stawali.

Dla Darcy'ego choroba sędziego Clitheroe była szczególnie przykra. Darcy i sir Selwyn Hardcastle, choć darzyli się wzajemnym szacunkiem jako sędziowie pokoju, nie byli w zażyłych stosunkach, a zanim ojciec Darcy'ego odziedziczył Pemberley, między oboma rodami panowała wrogość. Historia niezgody sięgała czasów dziadka Darcy'ego, kiedy to Patrick Reilly, młody służący z Pemberley, został uznany za winnego kradzieży jelenia z parku sir Selwyna i powieszony.

Egzekucja oburzyła wieśniaków z Pemberley, ale uznano, że pan Darcy uczynił, co w jego mocy, by uratować chłopca. Pana Darcy'ego i sir Selwyna obsadzono w rolach współczującego sędziego oraz surowego przedstawiciela prawa, przy czym nazwisko Hardcastle<sup>[3]</sup> dodatkowo wzmocniało owo rozróżnienie. Służba wzięła przykład z panów, i tak animozje oraz niechęć przechodziły z ojca na syna. Dopiero po objęciu majątku Pemberley przez ojca Darcy'ego uczyniono krok w kierunku ugody, zresztą dopiero gdy ojciec leżał na łożu śmierci. Pan Darcy poprosił syna, aby uczynił wszystko, by przywrócić przyjazne stosunki; argumentował, że podtrzymywanie wrogości nie służy ani prawu, ani dobrej atmosferze międzysąsiedzkiej. Darcy, z natury powściągliwy, a przy tym przekonany, że otwarte roztrząsanie sporu może się jedynie przyczynić do jego utrwalenia, przyjął subtelniejszą metodę. Do Hardcastle'a zaczęto wysyłać zaproszenia na polowania, czasem także na obiady rodzinne, ten zaś je przyjmował. Może i on coraz wyraźniej odczuwał niedogodności związane z długotrwałą animozją, jednak zawieszenie broni nigdy nie przerodziło się w zażyłość. Darcy wiedział, że w obliczu obecnych kłopotów znajdzie w Hardcastle'u sumiennego i uczciwego sędziego pokoju, ale nie przyjaciela.

Koń najwyraźniej radował się świeżym powietrzem i ruchem nie mniej niż jeździec, dlatego już po półgodzinie Darcy zsiadł z niego przy Hardcastle House. Antenat sir Selwyna otrzymał baronię w czasach królowej Elżbiety, kiedy to wybudowano dom rodzinny. Ta duża, rozległa i skomplikowana budowla szczyliła się siedmioma wysokimi kominami – charakterystycznymi punktami terenu – górującymi nad wiazami, które okalały dom na kształt barykady. Z powodu małych

okien w środku było mało światła. Ojciec obecnego baroneta, któremu imponowały domostwa sąsiadów, dodał wytworną, lecz gryzącą się z resztą przybudówkę, obecnie prawie nieużywaną; tylko czasem lokowano tam służbę. Pomimo licznych niedogodności sir Selwyn wolał dom elżbietański.

Kiedy Darcy pociągnął za żelazny uchwyt, wewnątrz rozległ się donośny odgłos dzwonka, zdolny zbudzić cały dom, a kilka sekund później drzwi otworzył Buckle, wiekowy kamerdyner sir Selwyna, który podobnie jak pan najwyraźniej obywał się bez snu, bo bez względu na porę zawsze trwał na posterunku. Sir Selwyn i Buckle byli nierozłączni. Stanowisko kamerdynera rodziny Hardcastle uważano za dziedziczne, wcześniej piastował je ojciec Buckle' a, dawniej zaś dziadek. Podobieństwo rodzinne zdumiewało: każdy Buckle był przysadzisty, masywny, długoręki, z twarzą dobrodusznego buldoga. Kamerdyner wziął od Darcy' ego kapelusz i kurtkę do konnej jazdy. Chociaż doskonale go znał, spytał, jak się nazywa, po czym zgodnie ze swoim niezmiennym zwyczajem polecił mu czekać, póki nie powiadomi pana o przybyciu gościa. Darcy' emu wydało się, że czeka całą wieczność, w końcu jednak rozległy się ciężkie kroki wracającego kamerdynera, który oznajmił:

– Sir Selwyn jest w palarni. Będzie pan łaskaw pójść za mną.

Kamerdyner i Darcy ruszyli przez olbrzymi hol z wysokim sklepieniem i oknem o wielu szybkach. W pomieszczeniu znajdowała się imponująca kolekcja zbroi i wypchany łeb jelenia, nieco już nadszarpnięty zębem czasu. Na ścianach wisiały portrety rodzinne, które na przestrzeni pokoleń przyniosły Hardcastle'om sławę wśród sąsiadów, choć ci podziwiali bardziej ich ilość niż jakość. Każdy baronet zostawiał potomnym w spadku co najmniej jedno silne uprzedzenie lub naukę, czy może coś, co miało im uprzykrzyć życie. I tak na przykład żyjący w siedemnastym wieku sir Selwyn wyraził przekonanie, że szkoda marnować pieniędzy na zamawianie portretów kobiet z rodziny u drogiego malarza. Dla zaspokojenia pretensji mężów i próżności żon wystarczyło, że malarz oddawał pospolitą twarz jako ładną, ładną jako piękną, więcej czasu i farby poświęcając na strój modelki niż na jej rysy. Ponieważ panowie z rodu Hardcastle' ów mieli słabość do tego samego typu kobiecej urody, trzymany wysoko trójramienny kandelabr Buckle' a oświetlał szereg słabo namalowanych, jednakowo dezaprobujących ust ściągniętych w ciup i wrogich, wyłupiastych oczu. Welwet ustępował miejsca atłasom i koronkom, jedwab zastępował atłas, muślin wypierał jedwab. Hardcastle' owie płci męskiej

wyglądali lepiej. Dziedziczny, nieco haczykowaty nos, krzaczaste brwi znacznie ciemniejsze niż włosy, szerokie, niemal bezkrwiste usta dumnie górowały nad przechodzącym Darcym. Można było uwierzyć, że tu oto znajdował się obecny sir Selwyn, uwieczniany na przestrzeni wieków przez kolejnych malarzy w rozmaitych rolach: jako odpowiedzialny posiadacz ziemski i pan, ojciec rodziny, dobroczyńca ubogich, kapitan Ochotników Hrabstwa Derby w okazałym stroju urzędowym, na koniec wreszcie jako sędzia pokoju, surowy, lecz uczciwy i rozważny. Większość nisko urodzonych gości sir Selwyna docierała przed jego oblicze z uczuciem należytej bojaźni i podziwu.

Na tyłach domu Darcy wszedł za Buckle' em w wąski korytarz, na którego końcu kamerdyner bez pukania otworzył masywne dębowe drzwi, po czym oznajmił tubalnie:

– Pan Darcy z Pemberley do pana.

Selwyn Hardcastle nie wstał. W fezie na głowie, żeby włosy nie przeszły zapachem tytoniu, siedział przy ogniu na krześle z wysokim oparciem, perukę położył na okrągłym stole, gdzie stała też butelka porto i kieliszek do połowy wypełniony winem. Sędzia czytał ciężką księgę, opierając ją na kolanach. Teraz zamknął ją z wyraźnym żalem, starannie zaznaczywszy miejsce zakładką. Hardcastle wyglądał niemal tak, jakby pozował do portretu, a Darcy potrafił sobie wyobrazić, że właśnie mignął mu malarz, taktownie znikający w drzwiach po skończonej sesji. Najwyraźniej ktoś dopiero co doglądał ognia, bo ten buzował w kominku. Przy akompaniamencie trzaskających szczap Darcy przeprosił za późną wizytę.

– To bez znaczenia – powiedział sir Selwyn. – Rzadko kończę czytać przed pierwszą w nocy. Wyglądasz na wzburzonego. Rozumiem, że to nagła sprawa. Cóż za kłopoty nękają teraz parafię: kłusownictwo, rokosz, masowe powstanie? Czy Napoleonek w końcu wylądował, czy może ktoś znowu napadł na drób pani Phillimore? Usiądź, proszę. Tamto krzesło o rzeźbionym oparciu jest ponoć wygodne i powinno utrzymać twój ciężar.

Darcy zazwyczaj siadał na tym krześle, więc miał pewność, że go utrzyma. Usadowiwszy się, zdał pełną, choć zwięzłą relację, bez komentarza przedstawiając najistotniejsze fakty. Selwyn słuchał w milczeniu, wreszcie rzekł:

– Sprawdźmy, czy zrozumiałem właściwie. George Wickham z żoną i kapitanem Dennyem jechali wynajętym powozem do Pemberley, gdzie pani Wickham miała

spędzić noc przed balem lady Anne. Gdzieś w lesie Pemberley kapitan Denny opuścił powóz, najwyraźniej w wyniku sprzeczki, Wickham zaś ruszył za nim, wołając, by wrócił. Obaj dżentelmeni nie nadchodzili, co wzbudziło niepokój pozostałych osób. Pani Wickham oraz stangret Pratt twierdzą, że około kwadransa później słyszeli strzały, po czym zdenerwowana pani Wickham, obawiając się zasadzki, poleciała stangretowi jak najszybciej jechać do Pemberley. Kiedy tam przybyła w stanie silnego wzburzenia, ty, pułkownik, wicehrabia Hartlep oraz czcigodny Henry Alveston ruszyliście na poszukiwania, znaleźliście ciało kapitana Denny'ego, nad którym klęczał Wickham, najwyraźniej pijany i zapłakany, z zakrwawioną twarzą i dłońmi. – Po tym fenomenalnym popisie pamięciowym sędzia odpoczął chwilę, łyknął portwajnu, po czym spytał:

– Czy pani Wickham została zaproszona na bal?

Zwrot w przesłuchaniu był nieoczekiwany, ale Darcy zareagował spokojnie.

– Nie. Jednak w razie nagłego przybycia zawsze zostałyby przyjęta w Pemberley.

– Niezaproszona, ale przyjęta, w przeciwieństwie do jej męża. Powszechnie wiadomo, że George'a Wickhama nigdy nie przyjmuje się w Pemberley.

– Nie utrzymujemy takich stosunków – odparł Darcy.

Sir Selwyn dość uroczyście oparł dłoń na stole.

– Jego charakter jest znany w okolicy. W dzieciństwie dobrze się zapowiadał, później jednak zaczęło się rozpasanie: naturalny efekt zapoznania młodego człowieka ze stylem życia, jakiego nigdy nie osiągnąłby własnym wysiłkiem, oraz z towarzystwem, do którego nie mógł mieć nadziei należeć. Krążą plotki o jeszcze innej przyczynie waszej animozji, czymś związanym z jego małżeństwem z siostrą twojej żony?

– Ludzie zawsze plotkują – odparł Darcy. – Niewdzięczność Wickhama, jego brak szacunku dla pamięci o moim ojcu, różnice w naszych interesach i usposobieniach wystarczająco tłumaczą brak bliskości. Czy jednak nie zapominamy o przyczynie mojej wizyty? Nie może być związku między moją relacją z George'em Wickhamem a śmiercią kapitana Denny'ego.

– Wybacz, Darcy, ale się nie zgodzę. Takie związki istnieją. Zabójstwo kapitana Denny'ego, o ile było to zabójstwo, miało miejsce na terenie twojej posiadłości, natomiast winnym może się okazać człowiek będący w świetle prawa twoim bratem, człowiek, z którym się nie zgadzałeś. Kiedy do głowy przychodzą istotne sprawy, zazwyczaj je wyrażam. Znalazłeś się w dość delikatnym położeniu.

Rozumiesz, że nie możesz uczestniczyć w śledztwie?

– Dlatego tu jestem.

– Oczywiście należy powiadomić naczelnego konstabla. Domyślam się, że jeszcze tego nie uczyniono?

– Uznałem, że ważniejsze jest niezwłoczne powiadomienie ciebie.

– Słusznie. Sam zawiadomię sir Milesa Culpepera i oczywiście będę na bieżąco informował go o przebiegu śledztwa. Mimo to wątpię, by mocno zainteresował się tą sprawą. Odkąd poślubił młodą żonę, więcej czasu poświęca na rozmaite londyńskie rozrywki niż sprawy lokalne. Bynajmniej tego nie krytykuję. Stanowisko naczelnego konstabla jest w pewnym sensie nie do pozazdroszczenia. Jak wiesz, jego powinnością jest egzekwowanie prawa, wdrażanie w życie decyzji sędziów pokoju oraz kierowanie pracą konstabli w obrębie własnej jurysdykcji. Jako że nie ma nad nimi żadnej formalnej władzy, trudno pojąć, jak może być skuteczny, ale podobnie jak w wielu innych przypadkach w naszym kraju system funkcjonuje zadowalająco, jeśli zostawi się sprawy miejscowym. Oczywiście pamiętasz sir Milesa. Ty i ja zaprzysięgaliśmy go dwa lata temu podczas jednego z kwartalnych posiedzeń sądu. Poza tym skontaktuję się z doktorem Clitheroe. Może nie będzie w stanie aktywnie uczestniczyć, ale jego znajomość prawa jest nieoceniona, zresztą nie chcę przyjmować całej odpowiedzialności na siebie. Tak, myślę, że on i ja doskonale sobie poradzimy. Teraz pojedę z tobą do Pemberley swoim powozem. Przed przeniesieniem ciała trzeba będzie się udać po doktora Belchera, zatroszczyć się też o furgon z kostnicy i dwóch konstabli. Znasz ich obu: Thomasa Brownrigga, który lubi, gdy tytułują go naczelnikiem, bo podkreśla to jego wyższą pozycję, oraz młodego Williama Masona.

Nie czekając na komentarz Darcy'ego, Selwyn Hardcastle wstał, podszedł do sznura od dzwonka i energicznie pociągnął.

Buckle pojawił się tak szybko, że Darcy uznał, iż musiał czekać za drzwiami.

– Mój płaszcz do konnej jazdy i kapelusz, Buckle. Poza tym obudź Postgate'a, jeśli śpi, w co wątpię. Chcę, by przyszykowano mój powóz. Udam się do Pemberley, ale po drodze wstąpię po dwóch konstabli i doktora Belchera. Pan Darcy pojedzie konno obok nas.

Buckle znikł w mroku korytarza, zatraskując za sobą ciężkie drzwi ze zbędną, jak się wydawało, siłą.

– Żałuję, że moja żona nie będzie mogła cię przyjąć. Mam nadzieję, że ona i pani

Bingley udały się już na spoczynek, ale służba na piętrze czuwa, poza tym w domu jest doktor McFee. Pani Wickham przybyła do Pemberley w stanie silnego wzburzenia, pani Darcy i ja uznaliśmy więc, że należy niezwłocznie udzielić jej opieki medycznej.

– Sądzę, że na tym wczesnym etapie należy włączyć doktora Belchera jako lekarza doradzającego policji w kwestiach medycznych. Belcher przywykł, że zakłóca mu się spokój nocny. Czy doktor McFee bada twojego więźnia? Rozumiem, że George Wickham przebywa pod kluczem.

– Nie jest pod kluczem, ale stale ktoś go pilnuje. Kiedy wyjeżdżałem, byli przy nim mój kamerdyner Stoughton i pan Alveston. Doglądał go też doktor McFee, więc Wickham może teraz śpi i zbudzi się dopiero za kilka godzin. Może wygodniej byłoby, gdybyś przyjechał po brzasku.

– Wygodniej dla kogo? – spytał sir Selwyn. – Niedogodność będzie głównie po mojej stronie, ale to bez znaczenia, jeśli w grę wchodzi obowiązek. Czy doktor McFee w jakikolwiek sposób manipulował przy ciele kapitana Denny'ego? Rozumiem, że zadbałeś, by nikt nie dotykał zwłok do mego przyjazdu.

– Ciało kapitana Denny'ego leży na stole w zbrojowni zamkniętej na klucz. Uznałem, że dopóki nie przyjedziesz, nie powinno się ustalać przyczyn śmierci.

– Miałeś rację. Niefortunnie by się stało, gdyby ktoś mógł sugerować, że dotykano zwłok. Oczywiście najlepiej byłoby je zostawić w lesie do przybycia policji, ale rozumiem, że wtedy uznałeś takie rozwiązanie za niepraktyczne.

Darcy'ego kusiło, by wyznać, że ani przez moment nie rozważał pozostawienia ciała w lesie, stwierdził jednak, że rozumniej będzie mówić jak najmniej.

Buckle powrócił. Sir Selwyn nałożył perukę, noszoną zawsze podczas pełnienia obowiązków sędziego pokoju; kamerdyner pomógł mu przywdziać płaszcz i podał kapelusz. Ubrany i najwyraźniej gotowy podjąć się wszelkich czynności, jakich od niego oczekiwano, zdawał się wyższy i godniejszy, istne wcielenie prawa.

Buckle odprowadził ich do drzwi, a gdy czekali w ciemności na powóz, Darcy usłyszał chrzęst ryglowanych trzech masywnych zasuw. Sir Selwyn nie zdradzał oznak zniecierpliwienia.

– Czy George Wickham coś powiedział, kiedy zastaliście go, jak wspominałeś, klęczącego nad ciałem?

Darcy wiedział, że to pytanie musiało wcześniej czy później zostać zadane, zresztą nie tylko jemu.



– Wickham był bardzo wzburzony, nawet płakał, mówił nieskładnie. Wszystko wskazywało na to, że pił, i to ostro. Najwyraźniej wierzył, że w pewien sposób ponosi odpowiedzialność za tragedię, może dlatego, że nie zdołał powstrzymać przyjaciela przed opuszczeniem powozu. Las jest wystarczająco gęsty, by mógł się w nim ukryć zdesperowany zbieg, a człowiek rozumny nie zapuszczałby się tam po zmroku.

– Wolałbym, Darcy, usłyszeć dokładnie, co on powiedział. Jego słowa musiały ci się wryć w pamięć.

Istotnie tak było, toteż Darcy powtórzył:

– „Zabiłem najlepszego przyjaciela, jedyne go przyjaciela! To moja wina”.  
Możliwe, że kolejność słów była inna, ale taki był sens tego, co usłyszałem.

– Czyli mamy przyznanie się do winy? – spytał Hardcastle.

– Raczej nie. Biorąc pod uwagę, w jakim stanie znajdował się Wickham, nie możemy mieć pewności, do czego dokładnie się przyznawał.

Stary i niezgrabny, lecz imponujący powóz wytoczył się z za węgła. Zanim sir Selwyn wsiadł, odwrócił się i rzucił na zakończenie:

– Nie szukam komplikacji. Pracujemy razem jako sędziowie już kilka lat, myślę, że się rozumiemy. Tuszę, że znasz swoje obowiązki nie gorzej ode mnie. Jestem prostym człowiekiem, Darcy. Kiedy człowiek dobrowolnie przyznaje się do winy, zazwyczaj mu wierzę. Ale zobaczymy, zobaczymy, nie powinienem snuć domysłów, wyprzedzając fakty.

Po chwili Darcy'emu przyprowadzono konia. Wsiadł, a powóz zaskrzypiał i ruszyli.

Minęła jedenasta. Elizabeth nie wątpiła, że sir Selwyn wyruszy do Pemberley, gdy tylko usłyszy o morderstwie, i pomyślała, że sprawdzi, jak się miewa Wickham. Mało prawdopodobne, by się zbudził, ale ogromnie zależało jej na upewnieniu się, że wszystko jest w porządku.

Metr od drzwi zawahała się, uświadomiwszy sobie fakt, z którym uczciwość nakazywała się pogodzić. Powód, dla którego tu przyszła, był zarazem bardziej złożony i palący niż powinności gospodyni, był też trudniejszy do wytłumaczenia. Nie miała wątpliwości, że sir Selwyn Hardcastle aresztuje Wickhama, a nie chciała patrzeć, jak policjanci wyprowadzają go, może w kajdanach. Gdyby można było oszczędzić mu upokorzenia... Po zabraniu go przez policję Elizabeth przypuszczalnie nigdy nie miała go już zobaczyć; teraz nie mogła znieść myśli, że jego ostatni obraz, na zawsze utrwalony w jej pamięci, miał przedstawiać przystojnego, sympatycznego i eleganckiego George'a Wickhama zredukowanego do żalostnej, zakrwawionej, pijanej postaci, wykrzykującej coś, gdy będą go wywlekać z Pemberley.

Zdecydowanym krokiem podeszła do drzwi i zapukała. Gdy Bingley otworzył, Elizabeth ze zdziwieniem ujrzała przy łóżku Jane i panią Reynolds. Na krześle stała miska z wodą różową od krwi. Na oczach Elizabeth pani Reynolds wytarła ręce w ściereczkę, po czym przewiesiła ją na krawędzi miski.

– Lydia jeszcze śpi, ale gdy tylko się zbudzi, na pewno zapragnie się znaleźć przy Wickhamie, a nie chciałam, by oglądała go w takim stanie, w jakim go przywieziono – powiedziała Jane. – Lydia ma prawo zobaczyć męża, nawet jeśli jest nieprzytomny, ale byłoby koszarne, gdyby nadal miał na sobie krew kapitana Denny'ego. Część krwi może należeć do samego Wickhama, ma on przecież dwa zadrapania na czole i trochę na dłoniach, ale nie są poważne. Prawdopodobnie podrapał się podczas przedzierania się przez zarośla.

Elizabeth zastanawiała się, czy obmycie twarzy Wickhama było rozsądne. Czy sir Selwyn po przyjeździe nie będzie oczekiwał, że ujrzy Wickhama w takim samym stanie, w jakim znaleziono go klęczącego nad ciałem? Jednak nie dziwiło jej postępowanie Jane ani obecność Bingleya, który chciał udzielić żonie wsparcia.

Mimo słodyczy i delikatności Jane miała w sobie silną determinację, a upewniwszy się o słuszności postępowania, nie dawała się od niego odwieść żadnymi argumentami.

– Czy doktor McFee go widział? – spytała Elizabeth.

– Zaglądał do niego może pół godziny temu, zrobi to znowu, jeśli pan Wickham się zbudzi. Mamy nadzieję, że wtedy się uspokoi i zdoła coś zjeść przed przyjazdem sir Selwyna, ale doktor McFee uważa, że to mało prawdopodobne. Zdołał jedynie nakłonić pana Wickhama do wypicia odrobiny beczkowego piwa, ale biorąc pod uwagę jego moc, doktor McFee przypuszcza, że zapewni ono kilka godzin krzepiącego snu.

Elizabeth podeszła do łóżka, stanęła i spojrzała na Wickhama. Piwo beczkowe doktora McFee okazało się skuteczne: chrapliwy, cuchnący oddech ustał, Wickham spał jak dziecko, ale oddychał tak płytko, że ktoś mógłby go uznać za zmarłego. Z otartą twarzą, ciemnymi włosami rozrzuconymi na poduszce, delikatną linią gardła pod rozpiętą koszulą wyglądał jak młody rycerz, ranny i wyczerpany po bitwie. Patrząc na niego, Elizabeth doznawała całej masy splątanych uczuć. Mimowolnie wróciła pamięcią do wspomnień tak bolesnych, że nie mogła o nich myśleć bez obrzydzenia do siebie. Tak niewiele brakowało, by się w nim zakochała. Czy wyszłaby za Wickhama, gdyby był bogaty, a nie biedny jak mysz kościelna? Z pewnością nie. Teraz wiedziała, że to, co wówczas czuła, nie było miłością. Wickham, beniaminek Meryton, przystojny przybysz, w którym durzyły się wszystkie dziewczęta, na swoją faworytkę wybrał Elizabeth. Była to czysta próżność, oboje wdali się w niebezpieczną grę. Elizabeth nie tylko uwierzyła w opowieści Wickhama dotyczące perfidii pana Darcy'ego, ale co gorsza, przekazała je Jane. Wickham utrzymywał, że Darcy zmarnował wszystkie jego szanse życiowe, zdradził ich przyjaźń, obcesowo zaniedbał odpowiedzialność wobec przyjaciela, nałożoną na Darcy'ego przez ojca. Dopiero znacznie później uzmysłowiła sobie, jak niestosowne były te rewelacje, przekazywane przecież właściwie obcej osobie.

Patrząc na niego, ponownie poczuła przyływ wstydu i upokorzenia. Jakże brakowało jej rozsądku i wiedzy o ludzkich charakterach, którą tak się szczyciła. Coś jednak pozostało: uczucie bliskie litości, budzące w niej grozę, gdy myślała o tym, jaki mógł go spotkać koniec. Nawet teraz, gdy wiedziała, do czego był zdolny, nie mogła uwierzyć, że jest mordercą. Niezależnie od wszystkiego, zeniąc się z Lydią,

Wickham wszedł do rodziny Elizabeth, stał się częścią jej życia, podobnie jak przez jej małżeństwo stał się częścią rodziny Darcy' ego. Każdą myśl o Wickhamie kalają teraz przerażające obrazy: wyjący tłum, który milknie, gdy z więzienia wychodzi postać zakuta w kajdany, wysoka szubienica, stryczek. Elizabeth pragnęła, by Wickham zniknął z ich życia, ale nie w ten sposób, dobry Boże, nie w ten sposób.

# **Księga trzecia**

Policja w Pemberley

Kiedy powóz sir Selwyna i furgon z kostnicy zajechały przed główne wejście do Pemberley, drzwi natychmiast otworzył Stoughton. Po chwili jeden ze stajennych odebrał konia od Darcy'ego, który po krótkiej rozmowie ze Stoughtonem doszedł do wniosku, że oba pojazdy będą mniej widoczne z okna, jeśli zabierze się je sprzed domu na tylny dziedziniec, skąd ciało Denny'ego dałoby się szybko i – jak miał nadzieję – dyskretnie usunąć. Elizabeth sądziła, że należy formalnie przyjąć późnego i niezbyt mile widzianego gościa, lecz sir Selwyn szybko dał do zrozumienia, że chce niezwłocznie przystąpić do pracy. Tylko na chwilę zatrzymał się, by złożyć zwyczajowy pokłon, pani domu dygnęła, sir Selwyn przeprosił za późną, kłopotliwą wizytę, po czym oznajmił, że na początek pragnie zobaczyć Wickhama. Towarzyszyć mieli mu doktor Belcher oraz dwaj policjanci: naczelnik Thomas Brownrigg i konstabl Mason.

Wickhama strzegli Bingley i Alveston, który otworzył drzwi, gdy Darcy zapukał. Pokój przypominał stróżówkę. Spartańskie umeblowanie składało się z pojedynczego łóżka pod jednym z wysokich okien, miski do mycia, małej szafy oraz dwóch prostych drewnianych krzeseł. Służący wnieśli dwa dodatkowe, wygodniejsze krzesła, które ustawiono po obu stronach drzwi dla ludzi mających czuwać w nocy. Gdy Hardcastle wszedł, siedzący po prawej stronie łóżka doktor McFee wstał. Sir Selwyn poznał Alvestona na jednej z kolacji w Highmarten i oczywiście znał też doktora McFee. Sędzia skłonił się obu panom, pozdrowił ich skinieniem głowy, po czym zbliżył się do łóżka. Alveston i Bingley spojrzeli po sobie, a pojąwszy, że mają opuścić pokój, cicho się wycofali, podczas gdy Darcy stanął nieco z boku. Brownrigg i Mason, ze wzrokiem utkwionym w dal, zajęli pozycje po obu stronach drzwi, jakby demonstrując, że choć w chwili obecnej nie powinni aktywnie uczestniczyć w śledztwie, biorą na siebie pilnowanie pokoju oraz lokatora.

Naczelnik wezwał doktora Obadiah Belchera, doradcę medycznego, który miał pomóc w dochodzeniu. Nic dziwnego, że Belcher, zajmujący się raczej sekcją zwłok niż leczeniem żywych, nie cieszył się dobrą reputacją, którą dodatkowo pogarszał jego niefortunny wygląd. Włosy – delikatne jak u dziecka i tak jasne, że niemal białe – zaczesywał na tył ziemistej czaszki, a na świat patrzył małymi podejrzliwymi

oczkami spod cienkich brwi. Palce miał długie, starannie wypielęgnowane. Kucharka z Highmarten krótko podsumowała opinie na jego temat:

– Nie pozwolę się tknąć temu doktorowi Belcherowi. Kto wie, czego ostatnio dotykał?

Sławę złowrogiego ekscentryka wzmacniał fakt, że w swym domu w pokoiku na piętrze Belcher urządził laboratorium, w którym ponoć sprawdzał doświadczalnie, ile czasu krzepnie krew w rozmaitych warunkach, badał też zmiany zachodzące w ciele po śmierci. Oficjalnie miał tylko dwóch pacjentów, naczelnika oraz sir Selwyna Hardcastle' a, ale ponieważ nie słyszano, by któryś z nich chorował, ich stan w żadnej mierze nie przyczyniał się do umocnienia medycznej reputacji Belchera. Sir Selwyn i inni dżentelmeni mieli o Belcherze wysokie mniemanie, ponieważ w sędzie swoje opinie wygłaszał autorytatywnie. Podobno utrzymywał kontakty z Towarzystwem Królewskim, korespondował z dżentelmenami prowadzącymi eksperymenty naukowe; ogólnie rzecz biorąc, najbardziej wykształceni z jego sąsiadów bardziej byli dumni z publicznej reputacji Belchera niż przestraszeni niewielkimi wybuchami, jakie co pewien czas wstrząsały jego laboratorium. Belcher, który zazwyczaj nie odzywał się bez wcześniejszego głębokiego namysłu, teraz podszedł do łóżka i w milczeniu spojrzął na leżącego.

Lekki oddech Wickhama był ledwo słyszalny, wargi nieco rozchylone. Leżał na plecach, z lewą ręką odrzuconą na bok, prawą zgiętą na poduszce.

Hardcastle zwrócił się do Darcy' ego:

– Z tego, co mi mówiłeś, ten człowiek znajdował się w innym stanie, kiedy go tu przywieziono. Ktoś umył mu twarz.

Po chwili milczenia Darcy spojrzął Hardcastle' owi w oczy i odparł:

– Biorę odpowiedzialność za wszystko, co się wydarzyło, odkąd pana Wickhama przywieziono do mego domu.

Hardcastle zareagował w sposób zaskakujący. Długie usta drgnęły, co u innego człowieka mogłoby uchodzić za pobłażliwy uśmiech.

– To niezwykle rycerskie z twojej strony, Darcy, sądzę jednak, że takiego działania możemy się spodziewać raczej po kobietach. Czy nie uważają, że ich funkcją jest sprzątanie bałaganu, jaki robimy w naszych pokojach, czasem także w naszym życiu? To bez znaczenia. Twoi służący zeznają, w jakim stanie przywieziono tutaj Wickhama. Na ciele nie ma wyraźnych ran, z wyjątkiem drobnych zadrapań na czole i dłoniach. Znaczna część krwi na twarzy i rękach

należała pewnie do kapitana Denny'ego.

Hardcastle zwrócił się do Belchera:

– Rozumiem, Belcher, że twoi zmyślni koledzy naukowcy nie wynaleźli jeszcze metody na odróżnianie krwi jednego człowieka od krwi innego? Docenilibyśmy taką pomoc, choć oczywiście wtedy utraciłbym swój status, a Brownrigg i Mason pracę.

– Przykro mi, sir Selwynie, ale nie wynaleźli. Nie uzurpujemy sobie pozycji bogów.

– Nie? Miło mi to słyszeć. Wydawało mi się, że jest inaczej. – Jakby świadom, że rozmowa stała się niestosownie swobodna, Hardcastle odezwał się do doktora McFee ostrym, autorytatywnym tonem: – Co pan mu podał? Ten człowiek nie wygląda na śpiącego, ale na nieprzytomnego. Nie wiedział pan, że może być głównym podejrzanym w śledztwie w sprawie morderstwa i że zechcę go przesłuchać?

– Dla mnie, sir, jest on pacjentem. Kiedy go ujrzałem, był pijany, zachowywał się gwałtownie i niepoczytalnie. Później, zanim piwo, które mu podałem, zaczęło w pełni działać, bredził ze strachu, krzyczał przerażony, ale jego słowa nie miały sensu. Najwyraźniej widział wiszące na szubienicach ciała z wyciągniętymi szyjami. Tego człowieka dręczył koszmar, jeszcze zanim zasnął.

– Szubienice? – spytał Hardcastle. – Trudno się dziwić, biorąc pod uwagę jego sytuację. Co za lekarstwo pan mu podał? Rozumiem, że jakiś środek uspokajający.

– Sam go przyrzędam, używałem go już w kilku przypadkach. Przekonałem Wickhama, że jeśli go zażyje, lek uśmierzy jego udrękę. W stanie, w jakim się znajdował, nie usłyszałby pan od niego nic sensownego.

– W obecnym stanie też nie. Jak pan sądzi, kiedy otrzeźwieje na tyle, by dało się go przesłuchać?

– Trudno powiedzieć. Po szoku zdarza się, że umysł szuka schronienia w nieświadomości, a wówczas sen jest długi i głęboki. Biorąc pod uwagę podaną przeze mnie dawkę, rzekłbym, że pan Wickham powinien się obudzić jutro o dziewiątej rano, ale nie potrafię tego określić dokładnie. Zdołałem go nakłonić do zażycia zaledwie kilku łyków. Za zgodą pana Darcy'ego proponuję zostać, dopóki pacjent nie odzyska przytomności. Pod moją opieką pozostaje również pani Wickham.

– Niewątpliwie jej także podał pan środek uspokajający i nie można jej



przesłuchać?

– Pani Wickham była w hysterii z powodu szoku, który przeżyła. Wmówiła sobie, że jej mąż nie żyje. Zaopiekowałem się mocno rozchwianą kobietą, która potrzebowała znaleźć ukojenie we śnie. Nic pan by z niej nie wyciągnął, póki by się nie uspokoiła.

– Mógłbym wyciągnąć z niej prawdę. Chyba się rozumiemy, doktorze. Pan ma swoje obowiązki, ja swoje. Nie jestem nierozsądnym człowiekiem. Nie zamierzam niepokoić pani Wickham do rana. – Zwrócił się do Belchera: – Ma pan coś do dodania, Belcher?

– Nie, sir Selwynie, pragnę jedynie powiedzieć, że doktor McFee postąpił słusznie, podając Wickhamowi środek uspokajający. Jeśli znajdował się w opisanym stanie, nie nadawał się do użytecznego przesłuchania, a gdyby później stanął przed sądem, jego zeznania zostałyby zakwestionowane.

– Wobec tego wrócę jutro o dziewiątej rano – rzekł Hardcastle do Darcy'ego. – Do tego czasu straż będą pełnić naczelnik Brownrigg i konstabl Mason, którzy przejmą klucz. Gdyby Wickham potrzebował opieki doktora McFee, wezwą go, ale nikt inny nie ma prawa wchodzić do tego pokoju do mego powrotu. Konstablom potrzebne będą koce, coś do jedzenia i picia: wędliny, chleb, zwykłe rzeczy.

– Zadbam o wszystko, co konieczne – odparł krótko Darcy.

Właśnie wtedy Hardcastle po raz pierwszy zauważył płaszcz Wickhama przewieszony przez oparcie krzesła i skórzaną torbę leżącą obok na podłodze.

– Czy to wszystkie bagaże, jakie były w powozie?

– Oprócz kufra, pudła na kapelusze oraz sakwojażu pani Wickham były jeszcze dwie torby, jedna oznaczona GW i jedna z nazwiskiem kapitana Denny'ego. Ponieważ Pratt mówił mi, że wynajęty powóz miał zawieźć dżentelmenów do King's Arms w Lambton, rzeczy pozostawiono w powozie do czasu, gdy wróciliśmy z ciałem kapitana Denny'ego. Wtedy torby wniesiono do domu.

– Oczywiście muszę je zabezpieczyć. Skonfiskuję wszystkie bagaże prócz należących do pani Wickham. Tymczasem sprawdzmy, co miał przy sobie.

Hardcastle wziął płaszcz i energicznie nim potrząsnął. Trzy suche liście wysunęły się z fałd i sfrunęły na podłogę; Darcy spostrzegł, że kilka z nich przyłgnęło do rękawów. Hardcastle wręczył płaszcz Masonowi, sam zaś wsunął ręce w kieszenie. Z lewej wyjął zwykłe drobiazgi, jakich może potrzebować podróżny: ołówek, niewielki notes bez wpisów, dwie chustki oraz flaszkę, która – jak stwierdził

Hardcastle po zdjęciu nakrętki – zawierała whisky. W prawej kieszeni znajdował się bardziej zajmujący przedmiot, mianowicie skórzany pugilares. Otworzywszy go, Hardcastle wyjął zwitek starannie złożonych banknotów, które przeliczył.

– Dokładnie trzydzieści funtów. Najwyraźniej w nowych, przynajmniej niedawno wyemitowanych banknotach. Dam ci pokwitowanie za te pieniądze, Darcy, dopóki nie ustalimy ich prawowitego właściciela. Dziś w nocy umieszczę pieniądze w swoim sejfie. Jutro rano może zdołam stwierdzić, jak wszedł w posiadanie takiej kwoty. Jedną z ewentualności jest taka, że zabrał pieniądze Denny'emu, a jeśli tak, to mielibyśmy motyw.

Darcy otworzył usta, by zaprotestować, ale uznawszy, że jedynie pogorszyłby sprawę, zmilczał.

– Teraz chciałbym zobaczyć ciało – oświadczył Hardcastle. – Rozumiem, że zwłoki są pilnowane.

– Nie są pilnowane – odparł Darcy. – Ciało kapitana Denny'ego leży w zbrojowni zamkniętej na klucz. Uznaliśmy, że tamtejszy stół jest odpowiedni. Pod moją pieczę znajdują się klucze do pomieszczenia oraz do schowka z bronią i amunicją, toteż angażowanie dodatkowych strażników wydawało się zbyteczne. Teraz możemy się tam udać. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym, by towarzyszył nam doktor McFee. Może pan uznać, że przyda się druga opinia na temat stanu zwłok.

– Nie widzę przeciwwskazań – powiedział Hardcastle po chwili wahania. – Pan niewątpliwie zechce być obecny, ja będę potrzebował doktora Belchera i naczelnika Brownrigga, ale nikogo więcej. Nie róbmy publicznego widowiska ze zmarłego. Oczywiście będziemy potrzebowali wielu świec.

– Przewidziałem to – odparł Darcy. – W zbrojowni leżą dodatkowe świece, gotowe do zapalenia. Mam nadzieję, że oświetlenie uzna pan za satysfakcjonujące.

– Podczas nieobecności Brownrigga potrzebuję kogoś, kto będzie stał na straży razem z Masonem – powiedział Hardcastle. – Stoughton to chyba właściwy wybór. Czy mógłby pan wezwać go z powrotem, Darcy?

Stoughton, jakby spodziewając się wezwania, czekał pod drzwiami. Teraz wszedł do pokoju i bez słowa stanął obok Masona. Hardcastle i reszta zabrali świece, wyszli, po czym Darcy usłyszał szcęk klucza w zamku.

Dom pogrążył się w takiej ciszy, że sprawiał wrażenie opuszczonego. Służącym, którzy nadal szykowali jedzenie na następny dzień, pani Reynolds kazała się udać na spoczynek, toteż z całej służby na posterunku zostali tylko ona, Stoughton

i Belton. Pani Reynolds czekała w holu przy stole, na którym stały wysokie srebrne świeczniki ze świeżymi świecami. Cztery z nich zapalono, a równomiernie rozchodzące się światło zdawało się raczej podkreślać, niż rozświetlać ciemność wielkiego pomieszczenia.

– Może jest tu więcej świec, niż potrzeba, ale uznałam, że przyda się panom dodatkowe oświetlenie.

Każdy z mężczyzn podniósł i zapalił nową świecę.

– Resztę zostawcie tu, gdzie stoją. Konstabl przyniesie je w razie potrzeby – polecił Hardcastle, po czym zwrócił się do Darcy'ego: – Wspominał pan, że ma klucz do zbrojowni i zadbał pan o wystarczającą liczbę świec?

– Zgromadziłem ich czternaście, sir Selwynie. Sam zaniósłem je do zbrojowni ze Stoughtonem. Prócz nas nikt nie wchodził do pomieszczenia, odkąd przeniesiono tam ciało kapitana Denny'ego.

– Wobec tego zaczynajmy. Im wcześniej ciało zostanie zbadane, tym lepiej.

Darcy z ulgą przyjął fakt, że Hardcastle zgodził się na jego, Darcy'ego, uczestnictwo w poszukiwaniach. Denny'ego przywieziono do Pemberley, toteż obecność pana domu podczas oględzin zwłok wydawała się stosowna, ale poza tym Darcy nie wiedział, do czego mógłby się przydać. Procesję ze świecami poprowadził na tyły domu, z kieszeni wyjął kółko z dwoma kluczami i większym z nich otworzył drzwi zbrojowni. W zaskakująco przestronnym pomieszczeniu wisały obrazy ze scenami z dawnych polowań, stały trofea, na półce widniały oprawne w jasną skórę spisy rekordów sięgające co najmniej stu lat wstecz, nie brakowało mahoniowego biurka, krzesła ani zamykanej na klucz szafki z bronią i amunicją. Wąski stół, najwyraźniej odsunięty od ściany, stał na środku pokoju. Leżące na nim ciało przykryto czystym prześcieradłem.

Przed wyruszeniem do sir Selwyna, by powiadomić go o śmierci Denny'ego, Darcy polecił był Stoughtonowi przygotować świeczniki równej wysokości oraz najlepsze długie świece woskowe. Dobrze wiedział, że służący wymienią między sobą ciche uwagi na temat tej ekstrawagancji, ponieważ takie świece najczęściej rezerwowano do jadalni. Darcy i Stoughton ułożyli je następnie w dwóch rzędach na biurku, obok umieszczając zapalki i knot do ich zapalania. Teraz Darcy przytknął knot kolejno do każdej świecy. Zbrojownię rozświetlił ciepły blask, który łagodził nawet kościste rysy twarzy Hardcastle' a. Ulotna słodycz dymu, wznoszącego się smużkami, zginęła w woni wosku pszczelego i silnym zapachu zużytych zapalek.

Darcy' emu wydało się, że blat biurka z rzędami świec stał się nadmiernie ozdobionym ołtarzem, natomiast skąpo umeblowana, funkcjonalna zbrojownia – kaplica, a ich piątka odprawiała tajemne obrzędy pogrzebowe jakiejś obcej, lecz wymagającej religii.

Stanęli wokół ciała jak niestosownie odziani akolici, po czym Hardcastle odsłonił prześcieradło. Prawe oko poczerniało od krwi, płamiącej znaczną część twarzy, za to lewe było szeroko rozwarte, ze źrenicą zwróconą ku górze, przez co Darcy, stojący za głową Denny'ego, czuł, że zmarły kieruje na niego nie puste spojrzenie śmierci, lecz pełen wymówki, uporczywy wzrok żywego.

Położywszy dłonie na twarzy, rękach i nogach Denny'ego, doktor Belcher stwierdził:

– Na twarzy występuje już stężenie pośmiertne. Wstępnie oceniam, że śmierć nastąpiła około pięciu godzin temu.

Po krótkich obliczeniach Hardcastle rzekł:

– To potwierdza nasze przypuszczenia, że Denny zmarł niedługo po opuszczeniu powozu, mniej więcej w tym czasie, gdy usłyszano strzały. Zabito go wczoraj, około dziewiątej wieczorem. Co z raną?

Doktor Belcher i doktor McFee zbliżyli się do ciała, świece przekazując Brownriggowi, ten odstawił własną na biurko i wysoko uniósł te podane, kiedy dwaj medycy uważnie zaczęli się przyglądać ciemnej plamie krwi.

– Zanim ustalimy głębokość rany, musimy ją obmyć, ale wcześniej należy zwrócić uwagę na fragment uschniętego liścia oraz niewielką plamę brudu nad wybroczyną. Po tym, jak go raniono, musiał upaść na twarz. Gdzie jest woda? – Doktor Belcher rozejrzał się, jakby w oczekiwaniu, że woda pojawi się w magiczny sposób.

Darcy wyjrzał przez drzwi i polecił pani Reynolds przynieść miskę wody i małe ręczniki. Polecenie zostało tak szybko spełnione, że Darcy podejrzewał, iż gospodyni przewidująco przygotowała się na taką sytuację. Nie wchodząc do pokoju, wręczyła Darcy'emu żądane rzeczy, doktor Belcher podszedł do torby, wyjął małe kłęбки białej waty, zdecydowanymi ruchami wytarł skórę do czysta, po czym wrzucił zakrwawiony strzępek do wody. Razem z doktorem McFee bacznie przyjrzeni się ranie i ponownie pomacali skórę wokół niej.

Głos zabrał w końcu doktor Belcher:

– Uderzono go czymś twardym, może okrągłym, ponieważ jednak skóra pękła,

nie mogę dokładnie określić rozmiarów ani kształtu broni. Jestem natomiast pewien, że cios go nie zabił. Spowodował obfite krwawienie, typowe dla ran głowy, ale uderzenie nie mogło być śmiertelne. Nie wiem, czy mój kolega się zgadza.

Doktor McFee ugniatał skórę wokół rany może przez minutę, po czym rzekł:

– Zgadzam się. Rana jest płytka.

Ciszę przerwał ostry głos Hardcastle' a:

– Obróćcie go.

Denny był potężnie zbudowanym mężczyzną, ale Brownrigg przy pomocy doktora McFee jednym ruchem obrócił ciało.

– Więcej światła, proszę – powiedział Hardcastle.

Darcy i Brownrigg podeszli do biurka, wzięli świece, po czym zbliżyli się do ciała. Zapadło milczenie, jakby nikt z obecnych nie chciał mówić oczywistości. Wreszcie Hardcastle się odezwał:

– Oto, panowie, macie przyczynę śmierci.

U podstawy czaszki widniało rozcięcie długości około dziesięciu centymetrów, częściowo ukryte pod włosami, które dostały się do rany. Doktor Belcher podszedł do torby, wrócił z przedmiotem podobnym do małego srebrnego nożyka i starannie odgarnął włosy od czaszki, odsłaniając ranę szeroką na pół centymetra. Włosy u dołu były sztywne i zlepione, choć trudno było stwierdzić, czy krwią, czy też inną wydzieliną. Darcy zmusił się do tego, by się dokładnie przyjrzeć, ale groza i litość sprawiły, że poczuł wzbierające mdłości. W pokoju rozległ się mimowolny jęk, a on zastanawiał się, czy pochodził z jego ust.

Obaj lekarze pochylili się nad ciałem. Doktor Belcher i tym razem po dłuższym namyśle rzekł:

– Denatowi zadano cios pałką, ale nie występuje rana szarpana, co wskazuje, że broń była ciężka, lecz miała gładką krawędź. Widzimy tu typową ciężką ranę głowy z pasmami włosów, tkanką i krwinkami wbitymi w kość, ale nawet gdyby czaszka pozostała nietknięta, krwotok pod kością spowodowałby krwawienie wewnętrzne między czaszką a oponą mózgową. Nadzwyczaj silny cios zadał napastnik wyższy od ofiary lub równy wzrostem. Optowałbym za tezę, że mamy do czynienia z praworęcznym napastnikiem, broń zaś przypominała tył siekiery, inaczej mówiąc: była ciężka, lecz tępa. Gdyby użyto ostrza siekiery lub miecza, rana byłaby głębsza i doszłoby niemal do dekapitacji.

– Zatem zabójca zaatakował od przodu, obezwładnił ofiarę, a gdy ta, zataczając

się, zaczęła się oddalać, oślepią krwią, którą instynktownie usiłowała otrzeć z oczu, zabójca zaatakował ponownie, tym razem od tyłu – mówił Hardcastle. – Czy broń mogła być dużym kamieniem o ostrej krawędzi?

– Nie ostrej, rana nie jest szarpana – powiedział Belcher. – Oczywiście mógł to być kamień, ciężki, ale o gładkiej krawędzi, w lesie takich nie brakuje. Czy tą drogą nie wozi się drewna i kamieni na naprawy w majątku? Trochę kamieni mogło spaść z wozu, później wdeptano je w poszycie, gdzie, na wpół schowane mogły leżeć latami. Jeśli jednak użyto kamienia, cios musiał zadać wyjątkowo silny mężczyzna. Znacznie bardziej prawdopodobne jest to, że ofiara padła na twarz, po czym mocno uderzono ją kamieniem, gdy leżała bezradnie na ziemi.

– Jak długo Denny mógł żyć z tą raną? – zapytał Hardcastle.

– Trudno orzec. Zgon mógł nastąpić po kilku sekundach, z pewnością niezbyt długo po ciosie.

Belcher zwrócił się w stronę doktora McFee, ten zaś rzekł:

– Znam przypadki, kiedy upadek na głowę spowodował właściwie tylko ból, pacjent żył dalej bez zmian i umierał po kilku godzinach. Tutaj nie mogło tak się zdarzyć. Z taką raną można żyć tylko przez bardzo krótki czas, o ile w ogóle.

Doktor Belcher jeszcze bardziej pochylił się nad raną.

– Po autopsji będę mógł określić uszkodzenia mózgu.

Darcy wiedział, że Hardcastle bardzo nie lubił sekcji zwłok i choć doktor Belcher zawsze zwyciężał we wszystkich dyskusjach na ten temat, teraz sir Selwyn powiedział:

– Czy to rzeczywiście konieczne, Belcher? Czy przyczyna śmierci nie jest oczywista dla nas wszystkich? Najwyraźniej napastnik zadał pierwszy cios, stojąc twarzą do ofiary. Gdy oślepią krwią kapitan Denny próbował uciec, otrzymał śmiertelny cios od tyłu. Zanieczyszczenia na czole mówią nam, że upadł twarzą w dół. Wydaje mi się, Darcy, że wspominałeś o tym, iż znaleźliście go leżącego na plecach.

– Owszem, sir Selwynie, zresztą w takiej pozycji został ułożony na noszach. Dopiero teraz zobaczyłem tę ranę.

Znowu zapadło milczenie, po czym Hardcastle zwrócił się do Belchera:

– Dziękuję, doktorze. Oczywiście przeprowadzi pan wszelkie badania zwłok, jakie uzna pan za niezbędne, nie zamierzam ograniczać postępu naukowego. Zrobiliśmy tu wszystko, co w naszej mocy. Teraz zabierzemy ciało. – Hardcastle

zwrócił się do Darcy'ego: – Możesz się spodziewać mnie jutro o dziewiątej rano, kiedy mam nadzieję pomówić z George'em Wickhamem oraz członkami rodziny i domownikami w celu ustalenia alibi na szacowany czas zgonu. Z pewnością pojmujesz, że to konieczne. Zgodnie z moim poleceniem naczelnik Brownrigg i konstabl Mason pozostaną na posterunku i będą pilnować Wickhama. Pokój ma być zamknięty na klucz od środka i otwierany tylko w razie potrzeby. Zawsze ma tam być dwóch strażników. Chciałbym, żebyś potwierdził, że te polecenia zostaną spełnione.

– Naturalnie – zapewnił Darcy. – Czy przed odjazdem mogę zaproponować panu czy doktorowi Belcherowi poczęstunek?

– Nie, dziękuję. – Po czym dodał, jakby świadom, że coś jeszcze należy powiedzieć: – Przykro mi, że do tej tragedii doszło na terenie twojej posiadłości. Z pewnością wywoła poruszenie, zwłaszcza wśród kobiet z pana rodziny. Fakt, że pan i Wickham nie byliście w dobrych stosunkach, nie sprawi, że łatwiej będzie to znieść. Jako kolega sędziego pojmujesz, na czym polegają moje obowiązki. Powiadomię koronera i mam nadzieję, że w ciągu najbliższych kilku dni w Lambton odbędzie się śledztwo. Na ławie przysięgłych zasiądą miejscowi. Zarówno ty, jak inni świadkowie znalezienia zwłok musicie się stawić.

– Będę tam, sir Selwynie.

– Ktoś musi mi pomóc załadować nosze z ofiarą na furgon z kostnicy – oświadczył Hardcastle, po czym zwrócił się do Brownrigga: – Czy możesz stanąć na straży, przypilnować Wickhama i przysłać tu Stoughtona? Doktorze McFee, skoro jest pan tak skory do pomocy, pomoże pan w przeniesieniu ciała?

W ciągu pięciu minut przy akompaniamencie dyszącego doktora McFee ciało Denny'ego wyniesiono ze zbrojowni i umieszczono w furgonie z kostnicy. Obudzono woźnicę, sir Selwyn i doktor Belcher wsiedli do powozu, natomiast Darcy i Stoughton czekali w otwartych drzwiach, aż pojazdy z turkotem znikną im z oczu.

Kiedy Stoughton odwrócił się, by wejść z powrotem do domu, Darcy rzekł:

– Daj mi klucze, Stoughton. Zajmę się zamkami. Chcę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Wiatr ustał, ale ciężkie krople deszczu padały na pomarszczoną powierzchnię rzeki oświetloną pełnią księżyca. Ileż to razy Darcy stawał tu samotnie, by na kilka minut uciec od muzyki i gadaniny sali balowej? Teraz dom za jego plecami był

pograżony w ciszy i mroku, a piękno, stanowiące dla niego zawsze ukojenie, nie miało przystępu do jego duszy. Elizabeth z pewnością leżała w łóżku, ale wątpił, by spała. Darcy potrzebował pociechy, jaką niosła obecność żony, wiedział jednak, że kobieta musi być wykończona, dlatego choć tęsknił za jej głosem, słowami otuchy i miłością, nie niepokoił żony. Kiedy jednak wszedł, przekręcił klucz, a następnie wyciągnął rękę, by odsunąć ciężkie rygle, zdał sobie sprawę ze światła za plecami. Gdy się odwrócił, spostrzegł Elizabeth, która ze świecą w dłoni zeszła po schodach prosto w jego objęcia.

Po chwili błogosławionej ciszy Elizabeth delikatnie wyswobodziła się z objęć Darcy'ego i powiedziała:

– Kochanie, na pewno nie jadłeś nic od kolacji, wyglądasz na wyczerpanego. Nim skończy się noc, musisz się posilić. Pani Reynolds podała gorącą zupę w małej jadalni. Pułkownik i Charles już tam są.

Jednak pociecha wspólnego łóża i kochających ramion Elizabeth zostały mu odmówione. Gdy Darcy zszedł do małej jadalni, zdał sobie sprawę z tego, że Bingley i pułkownik są już po posiłku, a ten ostatni ponownie postanowił przejąć dowodzenie.

– Darcy, proponuję spędzić noc w bibliotece, która znajduje się na tyle blisko frontowych drzwi, że daje pewność, iż dom będzie bezpieczny. Pozwoliłem sobie poprosić panią Reynolds o koce i poduszki. Jeśli potrzebna jest ci wygoda własnego łóżka, nie musisz mi towarzyszyć.

Zdaniem Darcy'ego czuwanie przy zamkniętych na klucz i zaryglowanych drzwiach stanowiło zbędny środek ostrożności, ale nie mógł pozwolić, by gość spał niewygodnie, podczas gdy on sam będzie się wylegiwał w łóżu. Czując, że nie ma wyjścia, powiedział:

– Nie sądzę, by ten, kto zamordował Denny'ego, okazał się na tyle zuchwały, żeby zaatakować Pemberley, ale oczywiście dołączę do ciebie.

– Pani Bingley śpi na kanapie w pokoju pani Wickham – powiedziała Elizabeth.  
– Będę pod ręką, podobnie jak Belton. Zanim pójdę spać, sprawdzę, czy wszystko jest w porządku. Mogę jedynie życzyć panom spokojnej nocy i, mam nadzieję, kilku godzin snu. Ponieważ sir Selwyn Hardcastle przyjedzie o dziewiątej, każę podać wczesne śniadanie. Dobranoc.



Po wejściu do biblioteki Darcy spostrzegł, że Stoughton i pani Reynolds dopilnowali, by on i pułkownik ulokowali się jak najwygodniej. Ogień podsycono, dodatkowe polana leżały w palenisku, nie brakowało poduszek ani koców. W pewnej odległości od ognia na okrągłym stole stał przykryty talerz z ciastkami, karafki z winem i wodą, talerze, kieliszki i serwetki.

Darcy uważał, że straż nie jest potrzebna. Podwójne zamki i rygle zabezpieczały główne drzwi do Pemberley, a nawet jeśli Denny zginął z ręki obcego, może dezertera, który odpowiedział przemocą na wyzwanie, człowiek ów raczej nie stwarzał fizycznego zagrożenia dla domu w Pemberley ani dla żadnej znajdującej się w nim osoby. Darcy czuł się zarazem zmęczony i niespokojny, co nie sprzyjało zapadnięciu w głęboki sen, który jeśli nawet okazałby się możliwy, przypominałby uchylenie się od odpowiedzialności. Darcy'ego trapiło przecucie, że Pemberley zagraża niebezpieczeństwo, jednak rozum nie podsuwał mu żadnego pomysłu, na czym miałyby ono polegać. Drzemka w fotelu w bibliotece, z pułkownikiem w pobliżu, powinna mu zapewnić najlepszy odpoczynek, jakiego mógł oczekiwać po pozostałych godzinach nocnych.

Kiedy usadowili się w dwóch wysokich, miękkich fotelach – Fitzwilliam zajął ten przy kominku, Darcy zaś usiadł w pewnym oddaleniu – przyszło mu na myśl, że kuzyn zaproponował nocne czuwanie, ponieważ chciał się z czegoś zwierzyć. Dotychczas nikt nie wypytywał go o konną jazdę tuż przed dziewiątą i Darcy wiedział, że nie tylko on, ale także Elizabeth, Bingley i Jane z pewnością oczekują wyjaśnień. Jako że do tej pory żadne tłumaczenia nie padły, delikatność nie pozwalała zadawać pytań, ale Hardcastle po powrocie z pewnością nie będzie się krępował. Fitzwilliam musiał wiedzieć, że spośród wszystkich członków rodziny i domowników tylko on nie przedstawił alibi. Darcy ani przez chwilę nie podejrzewał, że pułkownik mógł mieć jakikolwiek związek ze śmiercią Denny'ego, ale milczenie kuzyna niepokoiło go; w dodatku u człowieka tak nienagannych manier zatraćcało nieuprzejmością.

Ku własnemu zdziwieniu poczuł, że zapada w głęboki sen znacznie szybciej, niż się spodziewał; z trudem odpowiadał na zdawkowe uwagi, które wydawały się

dobiegać z daleka. W krótkich przebłyskach półprzytomności poruszał się w fotelu, uświadamiając sobie, gdzie jest. Przelotnie spojrzął na wyciągniętego w fotelu pułkownika, z przystojną twarzą poczerwieniałą od ognia. Fitzwilliam oddychał głęboko, miarowo. Darcy patrzył przez chwilę, jak płomienie liżą osmalone bierwiono. Zmusił zeszywniałe kończyny do ruszenia się, po czym ostrożnie dodał drewna, dosypał węgla i poczekał, aż zajmą się ogniem. Potem wrócił na fotel, przykrył się kocem i zasnął.

Następne przebudzenie Darcy'ego miało osobliwy przebieg. Po raptownym i całkowitym powrocie do przytomności wszystkie jego zmysły były tak wyostrzone i czujne, jakby podświadomie oczekiwał tej chwili. Skulony na boku, spod ledwie odemkniętych powiek zobaczył, jak pułkownik podchodzi do ognia, na moment przesłaniając jedyne źródło światła w pokoju. Darcy zastanawiał się, czy właśnie ta zmiana go zbudziła. Bez trudu symulował sen, patrząc spod półprzymkniętych powiek. Z kieszeni swojej kurtki wiszącej na oparciu fotela pułkownik wyciągnął kopertę. Stojąc przy ogniu, wyjął z niej dokument i zaczął czytać. Potem Darcy ujrzał jedynie plecy pułkownika, nagły ruch ręki i błysk płomieni; papier spłonął. W zwyczajnej sytuacji Darcy dałby kuzynowi do zrozumienia, że nie śpi, zapytałby też, czy pułkownikowi dobrze się spało, toteż drobny wybieg wydał mu się niegodny. Ale groza i zaskoczenie, jakich doznał na widok ciała Denny'ego w mylącym blasku księżyca, były dla niego jak trzęsienie ziemi, po którym nie stał już na twardym gruncie, a wszystkie wygodne konwencje i założenia, rządzące jego życiem od dzieciństwa, legły w gruzach. W porównaniu z tamtymi przeżyciami dziwne zachowanie pułkownika, wciąż niewyjaśniona nocna jazda, a teraz najwyraźniej ukradkowe spalenie dokumentu były drobnymi wstrząsami wtórnymi, które jednak zbijały z tropu.

Darcy znał kuzyna od dzieciństwa. Pułkownik zawsze sprawiał wrażenie najmniej skomplikowanego z ludzi; nie sposób było go posądzić o przebiegłość czy dwulicowość. Zmiana zaszła po tym, gdy nieoczekiwanie został najstarszym synem i spadkobiercą wicehrabiowskiego tytułu. Co się stało z tamtym dwornym, beztróskim młodym pułkownikiem, ze swobodną ogładą, tak odmienną od paralizującej niekiedy nieśmiałości Darcy'ego? Fitzwilliam wydawał się najsympatyczniejszym z ludzi. Choć nawet wtedy świadom był rodzinnych powinności, wiedział, czego oczekiwano od młodszego syna. Nigdy nie ożeniłby się z Elizabeth Bennet, a Darcy czuł czasem, że stracił nieco szacunku w oczach

kuzyna, ponieważ przedłożył pragnienie kobiety nad zobowiązania względem rodu i klasy. Elizabeth musiała dostrzec zmianę, ale nigdy nie rozmawiała z mężem o pułkowniku, ograniczając się do ostrzeżenia, że Fitzwilliam zechce poprosić Darcy'ego o rękę Georgiany. Uznała za stosowne uprzedzić męża o takiej rozmowie. W zaistniałych okolicznościach już jednak do niej nie dojdzie. Od chwili, gdy do Pemberley wniesiono pijanego Wickhama, Darcy wiedział, że wicehrabia Hartlep gdzie indziej rozejrzy się za połowicą. Teraz nie dziwiło go więc to, że propozycja małżeńska nie padnie, zaskakiwało go natomiast, że on, który żywił takie ambicje względem siostry, cieszył się, że akurat tej oferty Georgiana nigdy by nie przyjęła.

Nie należało się dziwić, że kuzyn czuje się przytłoczony brzemieniem czekającej go odpowiedzialności. Darcy pomyślało wielkim zamku, gnieździe rodowym, o ciągnących się kilometrami polach węglowych i kopalniach, posiadłości w hrabstwie Warwick i połaciach żyznej ziemi, a także o tym, że pułkownik po objęciu majątku poczuje, iż musi porzucić ukochaną karierę i zająć miejsce w Izbie Lordów. Wyglądało to tak, jakby Fitzwilliam przymuszał się do zmiany samego rdzenia własnej osobowości, a Darcy zastanawiał się, czy to aby rozsądne i możliwe. Czyżby pułkownik stał przed inną osobistą powinnością, odmienną od obowiązków związanych z dziedziczeniem? Darcy ponownie pomyślał, jak dziwna wydała mu się chęć kuzyna, by spędzić noc w bibliotece. Jeżeli chciał zniszczyć list, w domu rozpalonych było dość kominków, by mógł skorzystać z okazji; czemu niszczył dokument teraz, skrycie? Czy zaszło coś, co sprawiło, że pozbycie się listu stało się konieczne? Układając się do snu, Darcy powiedział sobie, że tajemnic jest już tyle, że nie trzeba ich mnożyć; w końcu ponownie zapadł w sen.

Obudził się, kiedy pułkownik głośno rozsunął zasłony, wyrzwał, po czym znowu je zaciągnął i rzekł:

- Jeszcze nie świta. Chyba dobrze spałeś.
- Nie dobrze, ale wystarczająco długo. – Darcy sięgnął po zegarek.
- Która godzina?
- Prawie siódma.

– Myślę, że powinienem pójść i sprawdzić, czy Wickham się obudził. Jeśli tak, będzie potrzebował jedzenia i picia, strażnikom też trzeba pewnie zanieść coś do jedzenia. Możemy ich zwolnić. Hardcastle wydał surowe zakazy, ale sądzę, że ktoś powinien zajrzeć do tego pokoju. Jeżeli Wickham się zbudził i jest w tym samym

stanie, w jakim według opisu doktora McFee znajdował się, kiedy go tu przywieziono, Brownrigg i Mason mogą mieć trudności z opanowaniem go.

– Ja pójdę – powiedział Darcy, wstając. – Ty zadzwoń po śniadanie. W stołowym podadzą dopiero o ósmej.

Ale pułkownik stał już przy drzwiach. Odwróciwszy się, rzekł:

– Lepiej zostaw to mnie. Im mniej będziesz miał do czynienia z Wickhamem, tym lepiej. Hardcastle czuwa nad tym, żebyś się nie mieszał. To on prowadzi śledztwo. Nie możesz sobie pozwolić na antagonizowanie sir Selwyna.

Darcy przyznał w duchu rację pułkownikowi. Nadal chciał traktować Wickhama jak swego gościa, ale niemądrze byłoby ignorować rzeczywistość. Wickham był głównym podejrzanym w śledztwie w sprawie morderstwa, a Hardcastle miał prawo oczekiwać, że Darcy będzie się trzymał od Wickhama z daleka, przynajmniej do czasu, aż zostanie przesłuchany.

Niemal natychmiast po wyjściu pułkownika Stoughton przyniósł kawę, za nim weszła pokojówka, by rozpalić ogień, pojawiła się też pani Reynolds, by spytać, czy zyczą sobie śniadanie. Kiedy dodano drew do kominka, bierwiono tłące się w popiele ożyło z trzaskiem, płomienie oświetliły zakamarki biblioteki, podkreślając mrok jesiennego poranka. Tak zaczął się dzień, który zapowiadał Darcy'emu wyłącznie klęskę.

Po dziesięciu minutach, kiedy pani Reynolds zbierała się do wyjścia, wrócił pułkownik. Natychmiast skierował się do stołu i nalał sobie kawy. Usadowiwszy się w fotelu, rzekł:

– Wickham jest niespokojny, mamrocze, ale wciąż śpi i najpewniej przez jakiś czas tak pozostanie. Przed dziewiątą ponownie go odwiedzę i przygotuję na przybycie Hardcastle' a. W nocy zaopatrzone Brownrigga i Masona w jedzenie i napoje. Brownrigg spał w fotelu, a Mason się skarżył, że zeszywniały mu nogi i musi je rozprostować. Przypuszczalnie musiał odwiedzić WC, to nowe urządzenie, które kazałeś tu zainstalować i które, jak rozumiem, wzbudza rubaszne zainteresowanie wśród sąsiadów, toteż pokazałem mu drogę i stanąłem na straży do jego powrotu. Sądzę, że do dziewiątej Wickham oprzytomnieje na tyle, by Hardcastle mógł go przesłuchać. Czy zamierzasz być obecny?

– Wickham jest w moim domu, Denny'ego zamordowano na terenie mojej posiadłości. Stosowne jest, abym wziął udział w przesłuchaniu, które, rzecz jasna, poprowadzi naczelnik, kiedy Hardcastle złoży mi sprawozdanie; on sam raczej nie

będzie aktywnie w nim uczestniczył. Obawiam się, Fitzwilliamie, że to będzie dla ciebie przykra przeprawa; Hardcastle zechce jak najszybciej przeprowadzić śledztwo. Na szczęście w Lambton jest koroner, więc bezzwłocznie powinno się wybrać dwudziestu trzech przysięgłych, z których uformuje się ławę. Ławnicy będą stąd, ale nie jestem pewien, czy to dobrze. Powszechnie wiadomo, że Wickhama nie przyjmuje się w Pemberley, a nie wątpię, że ludzie snują domysły na temat przyczyn. Oczywiście ty i ja będziemy musieli złożyć zeznania, co musi mieć chyba pierwszeństwo nad twoją służbą wojskową.

– Nic nie może mieć nad nią pierwszeństwa, ale jeżeli śledztwo przeprowadzi się szybko, nie powinno być problemów. Młody Alveston jest w dogodniejszym położeniu; najwyraźniej bez trudu opuszcza wymagającą ponoć praktykę w Londynie, by cieszyć się gościnnością Highmarten i Pemberley.

Darcy nie odpowiedział. Po krótkim milczeniu pułkownik Fitzwilliam zapytał:

– Jakie masz plany na dzisiejszy dzień? Przypuszczam, że służbie należy powiedzieć, co zaszło, i przygotować ją na przesłuchanie Hardcastle' a.

– Pójdę sprawdzić, czy Elizabeth się obudziła, przypuszczam, że tak. Razem pomówimy ze służbą. Jeśli Wickham jest przytomny, Lydia będzie chciała go zobaczyć, do czego ma pełne prawo; potem oczywiście musimy się przygotować do przesłuchania. Dobrze się składa, że mamy alibi, bo dzięki temu Hardcastle nie musi marnować wiele czasu na osoby, które wczoraj wieczorem przebywały w Pemberley. Niewątpliwie zapyta cię, kiedy wyruszyłeś na przejażdżkę i kiedy wróciłeś.

– Mam nadzieję, że zdołam go zadowolić – odparł krótko pułkownik.

– Kiedy wróci pani Reynolds, powiadom ją, proszę, że poszedłem do żony i jak zwykle zjem śniadanie w małej jadalni – powiedział Darcy i odszedł.

Miniona noc była niewygodna z więcej niż jednego powodu, rad był więc, że dobiegła końca.

Jane, która od ślubu nie spędziła ani jednej nocy z dala od męża, przez wiele godzin nie mogła zasnąć, kręcąc się na kanapie u boku Lydii, a gdy tylko na trochę zapadała w drzemkę, budziła się, by sprawdzić, czy siostra śpi. Środek uspokajający doktora McFee okazał się skuteczny i Lydia spała głęboko, ale o wpół do szóstej zbudziła się i zażądała, by natychmiast zaprowadzić ją do męża. Według Jane było to rozsądne i naturalne żądanie, uznała jednak, że należy ostrzec Lydię, iż Wickham raczej jeszcze się nie obudził. Lydia nie zamierzała czekać, toteż Jane pomogła siostrze się ubrać. Trwało to dość długo, jako że Lydia postanowiła się wystroić; szperała w kufrze, pokazywała Jane suknie, pytając ją o zdanie, inne rzucała na stertę na podłogę, poprawiała włosy. Jane zastanawiała się, czy ma prawo obudzić Bingleya, ale gdy podeszła pod drzwi sąsiedniego pokoju, nie usłyszała nic, więc nie chciała przerywać mężowi snu. Towarzyszenie Lydii podczas pierwszego spotkania z mężem po jego przeprawie z pewnością było kobiecą sprawą, a Jane nie powinna szukać oparcia w dobrym charakterze Bingleya. W końcu Lydia wyraziła zadowolenie z własnego wyglądu, siostry wzięły zapalone świece i ruszyły długimi ciemnymi korytarzami do pokoju, gdzie trzymano Wickhama.

Wpuścił je Brownrigg, a gdy weszły, śpiący w fotelu Mason obudził się raptownie. Potem zapanował chaos. Lydia przypadła do łóżka, w którym spał Wickham, rzuciła się na niego, jak gdyby nie żył, i zaczęła łkać w udreće. Dopiero po kilku chwilach Jane zdołała delikatnie odciągnąć siostrę od łóżka i szepnąć, że powinna wrócić później, gdy mąż się zbudzi i będzie mógł z nią pomówić. Lydia wybuchła płaczem, potem jednak pozwoliła się odprowadzić do swego pokoju, gdzie Jane zdołała ją wreszcie uspokoić i zadzwonić po śniadanie dla nich obu. Posiłku nie przyniosła, jak zazwyczaj, służąca, ale pani Reynolds. Lydia, zerkając na przysmaki z wyraźnym zadowoleniem, stwierdziła, że żal zaostrzył jej apetyt, zabrała się więc ochoczo do jedzenia.

Po śniadaniu nastrój Lydii wahał się od szlochów i użalania się nad sobą, przez lęk przed przyszłością własną i najdroższego Wickhama, po żal do Elizabeth. Gdyby Lydia i jej mąż zostali zaproszeni na bal, jak należało, przyjechaliby dzień później zwykłą drogą. Tymczasem udali się przez las, żeby zrobić niespodziankę, bo

w przeciwnym razie Elizabeth pewnie by ich nie wpuściła. To przez nią musieli wynająć dorożkę i zatrzymać się w Green Man, chociaż to w ogóle nie był rodzaj zajazdu, jaki podobał się Lydii i jej drogiemu Wickhamowi. Gdyby Elizabeth hojniej im pomagała, mogliby się zatrzymać w piątek na noc w King' s Arms w Lambton, nazajutrz jeden z powozów z Pemberley mógłby ich zawieźć na bal, Denny by im towarzyszył, a do tych wszystkich kłopotów by nie doszło. Jane musiała wysłuchać tego wszystkiego w udęce; jak zwykle próbowała ukoić żal, zalecać cierpliwość i namawiać do nadziei, ale Lydia czerpała zbyt wielką satysfakcję z własnych utyskiwań, by słuchać głosu rozsądku czy przyjmować rady.

Nic dziwnego. Lydia od dzieciństwa nie lubiła Elizabeth; między tak odmiennymi charakterami nie mogło być sympatii ani ciepłych siostrzanych uczuć. Lydia, hałaśliwa i szalona, wulgarna w mowie i zachowaniu, opierająca się wszelkim próbom okiełznania jej, była stałym źródłem zażenowania najstarszych panien Bennet. Elizabeth, ukochana córka pani Bennet, była bardzo podobna do matki. Istniały też jednak inne powody animozji między Lizzie a jej młodszą siostrą. Lydia miała powody, by podejrzewać, że Elizabeth usiłowała przekonać ojca, by zabronił młodszej siostrze wyjazdu do Brighton. Kitty doniosła, że widziała, jak Elizabeth puka do drzwi biblioteki, a następnie wchodzi do tego sanktuarium ojca, co stanowiło rzadki przywilej, ponieważ pan Bennet podkreślał z całą mocą, iż to jedyne pomieszczenie, gdzie może liczyć na samotność i spokój. Próba pozbawienia Lydii zaplanowanej przyjemności zajmowała wysokie miejsce na liście siostrzanych przewin, a dziewczyna z zasady nie zapominała ani nie wybaczała.

Była też inna przyczyna tej niechęci bliskiej wrogości. Lydia wiedziała, że wcześniej Wickham wybrał na swoją faworytkę właśnie Elizabeth. Podczas jednej z wizyt Lydii w Highmarten Jane usłyszała rozmowę siostry z gospodynią. Cała Lydia, niedyskretna i troszcząca się wyłącznie o własne interesy.

– Oczywiście pan Wickham i ja nigdy nie zostaniemy zaproszeni do Pemberley. Pani Darcy jest o mnie zazdrosna, a wszyscy w Meryton wiedzą dlaczego. Przecież szalała za Wickhamem, kiedy stacjonował w Meryton, i gdyby tylko mogła, toby go wzięła. Ale on wybrał kogoś innego, cóż ze mnie za szczęściara! Zresztą Elizabeth nie wyszłaby za niego bez pieniędzy, jednak gdyby miał pieniądze, zostałaby panią Wickham. Poślubiła Darcy'ego – okropnego, zadufanego człowieka o wstrętnym charakterze – z powodu Pemberley i jego pieniędzy. O tym też wiedzą wszyscy w Meryton.

Usłyszawszy, jak Lydia wprowadza gospodynię w prywatne sprawy rodziny, jak bezmyślnie plotkuje, wulgarnie papie nieprawdy, Jane zaczęła wątpić, czy aby rozsądnie jest tak chętnie przystawać na zazwyczaj niezapowiedziane wizyty siostry. Postanowiła, że w przyszłości, dla dobra Bingleya, dzieci i własnego, będzie odwozić od nich Lydię. Ale na razie trzeba znieść jeszcze jedną wizytę. Jane obiecała, że wyjeżdżając w niedzielne popołudnie z Bingleyem z Pemberley, zawiezie Lydię do Highmarten. Najstarsza z sióstr Bennet wiedziała, jak bardzo zmniejszą się kłopoty Elizabeth bez nieustannego domagania się współczucia i uwagi ze strony Lydii, bez jej histerycznych wybuchów głośnego żalu i kłótliwych utyskiwań. W obliczu tragedii, jaka rzuciła cień na Pemberley, Jane czuła się bezradna, ale przynajmniej ten drobiazg mogła zrobić dla ukochanej Elizabeth.



Elizabeth spała głęboko, choć błogosławione okresy nieświadomości przerywały koszmary, budzące ją i uzmysławiające całą grozę, która niczym kir opadła na Pemberley. Instynktownie sięgnęła w stronę męża, ale przypomniała sobie, że wraz z pułkownikiem Fitzwilliamem spędzał noc w bibliotece. Impuls, by wstać z łóżka i zacząć chodzić po pokoju, był prawie nieodparty, jednak ponownie spróbowała zasnąć. Lniane prześcieradła, zazwyczaj tak chłodne i miłe, zwinęły się w krępujący ją sznur, a poduszki, wypełnione najdelikatniejszym puchem, wydawały się twarde i gorące; raz po raz musiała je przewracać, by dało się na nich wygodnie leżeć.

Myśli Elizabeth powędrowały ku Darcy'emu i Fitzwilliamowi. Cóż za absurd, że spali, czy raczej usiłowali spać, w takiej niewygodzie, w dodatku po tak przerażającym dniu. Czym się kierował pułkownik Fitzwilliam, proponując takie rozwiązanie? Elizabeth wiedziała, że to jego pomysł. Czy miał coś ważnego do zakomunikowania i potrzebował kilku godzin sam na sam z Darcym? Czyżby zamierzał udzielić wyjaśnień w kwestii tajemniczej nocnej jazdy, czy może pragnął się zwierzyć z zamiarów wobec Georgiany? Potem Elizabeth przyszło na myśl, że pułkownik chciał może przeszkodzić jej i Darcy'emu w tête-à-tête. Od powrotu grupy poszukiwawczej z ciałem Denny'ego ona i mąż mieli okazję do zaledwie kilku minut poufnej rozmowy. Elizabeth odrzuciła ten pomysł jako śmieszny i raz jeszcze spróbowała zasnąć.

Mimo fizycznego wyczerpania jeszcze nigdy nie czuła takiego ożywienia umysłowego. Myślała o tym, jak wiele trzeba zrobić przed przyjazdem sir Selwyna Hardcastle'a. Pięćdziesiąt domów należy powiadomić o odwołaniu balu. Zeszłej nocy wysyłanie listów mijało się z celem, skoro większość adresatów niewątpliwie leżała w łóżkach. Może powinna była położyć się jeszcze później i przynajmniej zabrać się do pisania. Elizabeth jednak najpierw musiała się zająć pilniejszą sprawą. Georgiana poszła spać wcześniej, więc z pewnością nie miała pojęcia o nocnej tragedii. Odkąd siedem lat temu Wickham próbował ją uwieść, nie przyjmowano go w Pemberley ani nie wspomniano jego nazwiska. Całe zajście traktowano tak, jakby nigdy nie miało miejsca. Elizabeth była przekonana, że śmierć Denny'ego rozjątrzy dawny uraz i spowoduje silny ból. Czy Georgiana zachowała w sercu resztki uczucia

dla Wickhama? Jak, zwłaszcza teraz, z dwoma zalotnikami pod dachem, upora się z jego widokiem, w dodatku w atmosferze podejrzeń i grozy? Natychmiast po śniadaniu państwo Darcy zamierzali zebrać wszystkich domowników i powiadomić ich o tragedii. Elizabeth dręczyło, że przyjazdu Lydii i Wickhama nie utrzyma się w tajemnicy przed pokojówkami, które od piątej będą sprzątać pokoje i rozpalać ogień w kominkach. Pamiętała, że Georgiana wstaje wcześniej, punktualnie o siódmej pokojówka przynosi jej poranną herbatę. To ona, Elizabeth, musi porozmawiać z Georgianą, zanim ktoś ją uprzedzi.

Elizabeth spojrzała na niewielki pozłacany zegar na stoliku przy łóżku i spostrzegła, że jest kwadrans po szóstej. Teraz, gdy należało zachować przytomność, poczuła, że sen w końcu nadchodzi; przed siódmą musiała być jednak w pełni rozbudzona. Za dziesięć siódma zapaliła świecę i cicho poszła korytarzem do pokoju Georgiany. Elizabeth zawsze wcześniej budziły znajome odgłosy domu budzącego się do życia. Każdy dzień witała optymistycznie, oczekując szczęścia, wypatrywała godzin wypełnionych obowiązkami i zadowoleniem domowników. Teraz dobiegały ją odległe odgłosy podobne do chrobotania myszy, świadczące o tym, że pokojówki były już na nogach. Raczej nie spotka ich na tym piętrze, ale gdyby tak się stało, z uśmiechem staną pod ścianą, by ją przepuścić.

Elizabeth zapukała do drzwi Georgiany. Po wejściu zobaczyła, że szwagierka, już w sukni, stoi przy oknie i wygląda w ciemną pustkę. Wkrótce potem przyszła pokojówka; Elizabeth wzięła od niej tacę i postawiła na stole w sypialni. Georgiana najwyraźniej wyczuła, że coś jest nie w porządku. Natychmiast po odejściu pokojówki podeszła do szwagierki i powiedziała z troską:

– Moja droga Elizabeth, wyglądasz na zmęczoną. Źle się czujesz?

– Nie tyle źle się czuję, ile się martwię. Usiądźmy, Georgiano, muszę ci coś powiedzieć.

– Chyba nie o panu Alvestonie?

– Nie, nie o Alvestonie.

Elizabeth pokrótce zdała relację z wydarzeń minionej nocy. Opowiedziała, że kiedy znaleziono ciało kapitana Denny'ego, Wickham, w silnej udręce, klęczał przy zwłokach, ale nie powtórzyła szwagierce słów Wickhama przekazanych przez Darcy'ego. Podczas opowiadania Georgiana siedziała bez słowa, z dłońmi na podołku. Spojrzawszy na szwagierkę, Elizabeth spostrzegła, że w jej oczach zalśniły dwie łzy i spłynęły po policzkach. Wyciągnąwszy dłoń, chwyciła rękę Georgiany.

Po chwili Georgiana otarła oczy i powiedziała spokojnie:

– Musisz się dziwić, moja droga Elizabeth, że opłakuję człowieka, którego nigdy nie spotkałam, ale nie mogę zapomnieć, jak szczęśliwi byliśmy w pokoju muzycznym. W tym samym czasie, gdy grałam i śpiewałam z panem Alvestonem, ktoś brutalnie zabił kapitana Denny'ego zaledwie trzy kilometry stąd. Jak jego rodzice zniosą tę straszną wiadomość? Co za strata i żal dla jego przyjaciół. – Może na widok zdziwienia na twarzy Elizabeth dodała: – Moja droga siostrzo, czy myślałaś, że płaczę nad Wickhamem? Przecież on żyje i wkrótce połączy się z Lydią. Cieszę się z ich szczęścia. Nie dziwię się, że pan Wickham tak bardzo się przejął śmiercią przyjaciela oraz tym, że nie mógł go uratować, ale, najdroższa Elizabeth, nie myśl, proszę, że martwię się jego powrotem do naszego życia. Czas, gdy myślałam, że jestem w nim zakochana, dawno minął i wiem, że to było tylko wspomnienie dobroci, jaką okazał mi w dzieciństwie, wdzięczność za uczucie, może przyczyna tkwiła też w moim osamotnieniu, ale nigdy nie była to miłość. Teraz wiem też, że nigdy bym z nim nie wyjechała. Nawet wtedy przypominało to bardziej dziecięcą przygodę niż rzeczywistość.

– Georgiano, on zamierzał się z tobą ożenić. Nigdy temu nie przeczył.

– Owszem, mówił o tym całkiem poważnie. – Oblała się rumieńcem i dodała: – Ale obiecał, że przed ślubem będziemy żyli jak brat z siostrą.

– A ty mu uwierzyłaś?

– O, tak, uwierzyłam mu – odparła smutno Georgiana. – Widzisz, pan Wickham nigdy nie był zakochany, zawsze chodziło mu o pieniądze, tylko o pieniądze. Jeśli pominąć ból i kłopoty, jakich przysporzył Fitzwilliamowi, nie czuję do niego żalu, lecz wołałabym go nie widzieć.

– Tak będzie najlepiej, zresztą nie ma potrzeby, żebyś się z nim widziała – przyznała Elizabeth. Nie dodała, że jeśli George'owi Wickhamowi nie dopisze wielkie szczęście, to wkrótce opuści Pemberley pod policyjną eskortą.

Niemal się nie odzywając, piły herbatę. Gdy Elizabeth zbierała się do wyjścia, Georgiana powiedziała:

– Fitzwilliam nigdy nie wspomina o panu Wickhamie ani o tym, co wydarzyło się przed laty. Łatwiej by było, gdyby o tym mówił. Kochający się ludzie powinni móc rozmawiać otwarcie i szczerze o poruszających ich sprawach.

– Myślę, że tak, ale czasem to może być trudne – powiedziała Elizabeth. – Wszystko zależy od wyboru odpowiedniego momentu.

– Nigdy nie znajdziemy odpowiedniego momentu. Moja gorycz wynika jedynie z faktu, że zawiodłam ukochanego brata, oraz z pewności, że już nigdy nie zaufa mojemu osądowi. Ale pan Wickham nie jest złym człowiekiem, Elizabeth.

– Jest za to może niebezpieczny i bardzo niemądry – odparła Elizabeth.

– O tym, co się stało, rozmawiałam z panem Alvestonem, który twierdzi, że pan Wickham mógł być zakochany, chociaż zawsze kierował się potrzebą pieniędzy. Skoro mogę swobodnie mówić z panem Alvestonem, to czemu nie z rodzonym bratem?

– Czyli pan Alveston zna sekret?

– Naturalnie, jesteśmy drogimi przyjaciółmi. Jednak pan Alveston, podobnie jak ja, zrozumie, że nie możemy być niczym więcej, dopóki ta straszna tajemnica wisi nad Pemberley. Pan Alveston nie zdradził swych zamiarów, nie oświadczył się potajemnie. Nie zataiłabym czegoś takiego przed tobą, droga Elizabeth, ani przed bratem, ale oboje wiemy, co jest w naszych sercach, i z radością poczekamy.

Zatem w rodzinie istniał jeszcze jeden sekret. Elizabeth pomyślała, że rzeczywiście lepiej by było, gdyby Henry Alveston nie chciał się jeszcze oświadczyć Georgianie ani wyjawić swoich zamiarów. Ludzie uznaliby, że wykorzystuje pomoc, jakiej mógłby udzielić Darcy'emu, a zarówno Alveston, jak i Georgiana byli dość wrażliwi, by wiedzieć, że wielkie szczęście pomyślnej miłości nie może rozkwitać w cieniu szubienicy. Tak więc mogła jedynie ucałować Georgianę, szepnąć, jak bardzo lubi pana Alvestona, i życzyć im obojgu pomyślności.

Elizabeth uznała, że nadszedł czas, aby się ubrać i zacząć dzień. Wzdragając się na myśl o ogromie pracy, jaką należało wykonać przed przybyciem sir Selwyna Hardcastle' a. Najważniejsze było rozesłanie listów do zaproszonych gości i powiadomienie ich, bez zagłębiania się w szczegóły, dlaczego bał należało odwołać. Georgiana wspomniała, że poprosiła o śniadanie do pokoju, ale obiecała dołączyć do reszty i wypić kawę w śniadaniowym; rada też była pomóc. Lydii śniadanie podano do pokoju. Jane miała dotrzymać siostrze towarzystwa, a kiedy panie się ubiorą i pokój zostanie wysprzątan, dołączy do nich Bingley, któremu zawsze spieszno było do żony.

Kiedy tylko Elizabeth się ubrała, a Belton poszła sprawdzić, czy Jane nie potrzebuje pomocy, pani Darcy znalazła męża i udali się do pokoju dziecięcego. Zazwyczaj taka codzienna wizyta miała miejsce po śniadaniu, ale rodziców trapił niemal przesądny lęk, że zło, jakie zawisło nad Pemberley, może się wedrzeć do

pokoju dzieci, dlatego musieli się upewnić, że wszystko jest w porządku. Na szczęście w tym bezpiecznym, samowystarczalnym, małym świecie nic się nie zmieniło. Chłopcy byli zachwyceni tymi niespodziewanie wczesnymi odwiedzinami rodziców, a po uściskach pani Donovan odciągnęła Elizabeth na bok i powiedziała cicho:

– Pani Reynolds była na tyle dobra, by przyjść do mnie o brzasku i powiadomić o śmierci kapitana Denny’ego. To dla nas wszystkich wielki szok, ale może być pani spokojna, że panicz Fitzwilliam o niczym się nie dowie, póki pan Darcy nie uzna za stosowne pomówić z nim i powiedzieć tyle, ile dziecko powinno wiedzieć. Proszę się nie obawiać, służba nie będzie wnosić plotek do pokoju dzieci.

Po wyjściu od chłopców Darcy z ulgą i wdzięcznością przyjął wiadomość, że Elizabeth przekazała wieści Georgianie i że żal siostry nie wykraczał poza normę, ale Elizabeth wyczuła, jak dawne wątpliwości i niepokoje męża odżywiają; byłby szczęśliwszy, gdyby siostrze oszczędzono wszelkich nowin mogących przywołać przeszłość.

Przed ósmą Elizabeth i Darcy weszli do śniadaniowego, by stwierdzić, że jedynym gościem przy niemal nietkniętym posiłku był Henry Alveston, a choć wypito sporo kawy, na niskim kredensie pod srebrnymi pokrywkami stały prawie nieruszone tradycyjne jajka, domowy bekon, kiełbaski i nereczki.

Śniadanie przebiegało w sztywnej atmosferze, a napięcie, tak niezwykle, kiedy wszyscy byli razem, bynajmniej nie zelżało wraz z przybyciem pułkownika oraz, kilka minut później, Georgiany. Zająwszy miejsce między Alvestonem a pułkownikiem, powiedziała, gdy Alveston nalewał jej kawy:

– Elizabeth, może po śniadaniu zabierzemy się do listów? Jeśli ty i Fitzwilliam sformułujecie treść, mogłabym zacząć przepisywać. Wszyscy goście muszą otrzymać tę samą wiadomość, która powinna być zwięzła.

Po chwili niezręcznego dla wszystkich milczenia pułkownik zwrócił się do Darcy’ego:

– Panna Darcy powinna wyjechać z Pemberley, i to szybko. Nie powinna brać żadnego udziału w tej sprawie ani być przesłuchiwana przez sir Selwyna czy konstabli.

Georgiana bardzo zbladła, ale odpowiedziała zdecydowanym tonem:

– Chciałabym pomóc. – Zwróciła się do Elizabeth: – Przed południem będziesz miała mnóstwo obowiązków, ale jeśli podasz mi treść listu, napiszę kopie za ciebie,

wystarczy, że potem je podpiszesz.

– Znakomity plan – wtrącił Alveston. – Potrzebne jest tylko krótkie powiadomienie. – Potem rzekł do Darcy' ego: – Przyjmij moje usługi, panie. Jeśli dostanę szybkiego konia, mogę pomóc w doręczeniu listów. Ponieważ większość gości zaproszonych na bal mnie nie zna, łatwiej uniknę wyjaśnień, jakimi zasypano by kogoś z rodziny. Gdybyśmy razem z panną Darcy mogli przestudiować mapę okolicy, zaplanowalibyśmy najszybszą, najrozsądniejszą trasę. Może część najbliższych sąsiadów weźmie na siebie przekazywanie wiadomości.

Elizabeth doszła do wniosku, że Georgiana i Alveston z przyjemnością podejmą się tego zadania. Jeśli cokolwiek mogło zrekompensować gościom utratę balu, to właśnie dramat, który rozwijał się w Pemberley. Część ich przyjaciół z pewnością odczuje żal z powodu kłopotów, jakie spadły na mieszkańców Pemberley, i pospieszy z listami kondolencyjnymi oraz zapewnieniami o wsparciu. Elizabeth powiedziała sobie, że wiele z nich będzie wypływać z autentycznej sympatii i troski. Nie mogła pozwolić, by jej cynizm deprecjonował porywy miłości i współczucia.

Darcy oznajmił jednak zimno:

– Moja siostra nie weźmie w tym udziału. Cała ta sprawa jej nie dotyczy i jest całkowicie niestosowne, by dotyczyła.

Georgiana odpowiedziała łagodnym, lecz nie mniej zdecydowanym tonem:

– Ależ ona mnie dotyczy, Fitzwilliamie. Dotyczy nas wszystkich.

Zanim Darcy zdążył odpowiedzieć, wtrącił się pułkownik:

– Ważne jest, panno Georgiano, aby nie przebywała pani w Pemberley do czasu przeprowadzenia pełnego śledztwa. Jeszcze dziś wieczorem napiszę do lady Catherine, która niewątpliwie natychmiast zaprosi panią do Rosings. Wiem, że niezbyt przepada pani za tamtym domem, a zaproszenie będzie do pewnego stopnia niemile widziane, jednak brat pani życzy sobie, aby pani wyjechała w miejsce, gdzie będzie pani bezpieczna, natomiast państwo Darcy nie będą musieli się martwić o pani bezpieczeństwo i dobro. Jestem przekonany, że pani zdrowy rozsądek pozwoli pani dostrzec mądrość, a także stosowność, takiego rozwiązania.

Ignorując pułkownika, Georgiana zwróciła się do Darcy' ego:

– Nie musisz się niepokoić. Proszę, nie każ mi wyjeżdżać. Pragnę tylko przydać się Elizabeth i mam nadzieję, że będę mogła. Nie widzę w tym nic niestosownego.

Wtedy do dyskusji włączył się Alveston:

– Proszę wybaczyć, sir, ale muszę zabrać głos. Mówi pan panie Darcy, co ma robić, jakby była dzieckiem. Przecież wkroczyliśmy w dziewiętnasty wiek. Nie musimy być uczniami pani Wollstonecraft, aby czuć, że kobietom nie powinno się odmawiać prawa głosu w kwestiach, które ich dotyczą. Już kilka stuleci temu zgodziliśmy się, że kobieta ma duszę. Czy nie czas, abyśmy uznali, iż posiada też umysł?

Po chwili Fitzwilliam się opanował i rzekł:

– Proponuję, sir, aby zachował pan swoje przemowy na rozprawy w Old Bailey.

– Miałem na względzie jedynie twoje szczęście i dobro – zwrócił się Darcy do Georgiany. – Oczywiście możesz zostać, jeśli takie jest twoje życzenie. Wiem, że Elizabeth z radością przyjmie twoją pomoc.

Dotychczas Elizabeth siedziała cicho, zastanawiając się, czy mogłaby zabrać głos bez pogarszania sytuacji. Teraz powiedziała:

– Z wielką radością. Kiedy przybędzie sir Selwyn Hardcastle, muszę być do jego dyspozycji, a nie wiem, jak mogę rozesłać niezbędne listy bez pomocy. Zaczynamy?

Pułkownik gwałtownie odsunął krzesło, sztywno skłonił się Georgianie i Elizabeth, po czym wyszedł z pokoju.

Alveston wstał i rzekł do Darcy'ego:

– Muszę przeprosić, sir, za wtrącanie się w rodzinne sprawy. Odezwałem się nierozsądnie i z większą mocą, niż dyktowała uprzejmość czy mądrość.

– Przeprosiny należą się raczej pułkownikowi niż mnie. Pańskie komentarze mogły być niestosowne i pochopne, co nie oznacza, że nie były trafne. – Darcy zwrócił się do Elizabeth: – Gdybyś zajęła się teraz listami, kochanie, czas chyba porozmawiać ze służbą. Pani Reynolds i Stoughton na pewno powiedzieli im tylko, że wydarzył się wypadek i bal został odwołany, co spowoduje spore zamieszanie i niepokój. Teraz zadzwonię na panią Reynolds i poproszę ją, żeby zebrała służbę w holu, porozmawiamy z nimi, kiedy tylko napiszesz list i dasz Georgianie do skopiowania.

Pół godziny później Darcy i Elizabeth weszli do holu dla służby. Na powitanie Darcy' ego, wypowiedziane ledwo słyszalnie, rozległo się szuranie szesnastu krzeseł i „Dzień dobry, sir” w odpowiedzi. Elizabeth uderzył widok świeżo wykrochmalonych, śnieżnobiałych fartuszków, ale przypomniała sobie, że zgodnie z instrukcjami pani Reynolds cała służba ubrała się tak nienagannie w związku z balem lady Anne. W powietrzu unosiły się smakowite aromaty; wobec braku innych instrukcji część ciast i przekąsek musiała już się znajdować w piecu. Mijając otwarte drzwi oranżerii, Elizabeth niemal zachwiała się od mdlącego zapachu ściętych kwiatów. Teraz, gdy nie były już potrzebne, zastanawiała się, ile z nich przetrwa do poniedziałku. Myślała też o tym, co począć z tyloma ptakami oskubanymi do pieczenia, z wielkimi sztukami mięsiwa, owocami z cieplarni, białą zupą i koktajlem mleczno-alkoholowym. Większości potraw pewnie jeszcze nie przygotowano, ale ponieważ nie odwołano pierwotnych poleceń, z pewnością jedzenia będzie za dużo, a nie wolno pozwolić, by się zmarnowało.

W takim momencie martwienie się o podobne rzeczy wydawało się nierozsądne, ale Elizabeth dręczyło na równi z innymi troskami. Dlaczego pułkownik Fitzwilliam nie wspomniał o swej nocnej przejażdżce, czemu nie powiedział, dokąd pojechał? Mało prawdopodobne, by po prostu pogalopował na wietrze nad rzekę. Poza tym, jeżeli Wickham zostanie aresztowany i zabrany, o czym nikt nie wspomniał, ale czego wszyscy się spodziewali, co będzie z Lydią? Raczej nie zechce zostać w Pemberley, ale koniecznie należało ulokować ją gdzieś blisko męża. Najlepiej i z pewnością najdogodniej by się stało, gdyby Jane i Bingley zabrali Lydię do Highmarten, ale czy takie rozwiązanie byłoby uczciwe wobec starszej siostry?

Z umysłem zaprzątniętym strapieniami Elizabeth ledwo uświadamiała sobie słowa męża, przyjęte w całkowitym milczeniu, i tylko ostatnie kilka zdań w pełni do niej dotarło. W nocy wezwano sir Selwyna Hardcastle' a, na jego polecenie ciało pana Denny' ego przewieziono do Lambton. Sir Selwyn miał wrócić dziś o dziewiątej rano i przesłuchać wszystkich, którzy przebywali minionej nocy w Pemberley. Podczas przesłuchania obecny będzie także pan Darcy. Nikogo ze



służby nie podejrzewano, ale ważne, by wszyscy szczerze odpowiedzieli na pytania sir Selwyna. Tymczasem powinni nadal wypełniać swoje obowiązki, nie rozmawiając o tragedii ani nie plotkując. Wstęp do lasu zostanie zakazany wszystkim prócz pana i pani Bidwell wraz z rodziną.

Po słowach pana Darcy'ego zapadło milczenie, a Elizabeth poczuła, że musi je przerwać. Gdy wstała, poczuła na sobie wzrok szesnastu zatroskanych i zaniepokojonych ludzi, czekających na zapewnienie, że wszystko się ułoży, że nie muszą się niczego obawiać, a Pemberley pozostanie ich azylem i domem. Elizabeth powiedziała:

– Oczywiście bal nie może się odbyć, do zaproszonych gości rozsyłamy listy z krótkim wyjaśnieniem, co się wydarzyło. Na Pemberley spadła wielka tragedia, ale wiem, że nadal będziecie wypełniać swoje obowiązki, zachowacie spokój oraz zechcecie współpracować z sir Selwynem Hardcastle'em w dochodzeniu, podobnie jak my wszyscy. Jeśli jest coś, co szczególnie was trapi, jeżeli macie do przekazania jakiegokolwiek informacji, powinniście najpierw pomówić z panem Stoughtonem lub panią Reynolds. Pragnę podziękować wam za wiele godzin pracy włożonej w przygotowania do balu lady Anne. Pan Darcy i ja bardzo żałujemy, że wasz wysiłek poszedł na marne z tak tragicznego powodu. Jak zawsze polegamy na wzajemnej lojalności i oddaniu, które stanowią rdzeń naszego życia w Pemberley. Nie bójcie się o własne bezpieczeństwo ani przyszłość; podczas swej długiej historii Pemberley przeszło wiele burz, ta również przeminie.

Słowa Elizabeth przyjęto krótkimi brawami, szybko stłumionymi przez Stoughtona, po czym on i pani Reynolds w kilku słowach wyrazili współczucie i gotowość do zastosowania się do wskazówek pana Darcy'ego, następnie słuchaczom polecono się rozejść do codziennych zajęć; zostaną wezwani, kiedy przybędzie sir Selwyn Hardcastle. Gdy Elizabeth z mężem przeszli do swojej części domu, Darcy powiedział:

– Niewykluczone, najdroższa, że powiedziałem nieco za mało, ty zaś nieco za dużo, jednak wspólnie chyba trafiliśmy w sedno. Teraz musimy się przygotować na przyjęcie majestatu prawa w osobie sir Selwyna Hardcastle'a.

Wizyta sir Selwyna okazała się krótsza i mniej stresująca, niż obawiali się państwo Darcy. Naczelnik, sir Miles Culpepper, napisał w miniony wtorek do swego kamerdynera, że wróci do hrabstwa Derby w poniedziałek w porze kolacji, kamerdyner zaś uznał za rozsądne przekazać tę informację sir Selwynowi. Nie raczono przedstawić przyczyn tej zmiany planów, ale sir Selwyn bez trudu domyślił się prawdy. Wizyta sir Milesa i lady Culpepper w Londynie, z jego okazałymi sklepami i kuszącą różnaitością rozrywek, zaostrzyła często występujące w małżeństwach nieporozumienie, gdy starszy mąż uważa, iż pieniądze są po to, by je pomnażać, natomiast młoda i ładna żona stanowczo twierdzi, że należy je wydawać. W przeciwnym razie, jak często wskazywała, skąd człowiek ma wiedzieć, że je posiada? Po otrzymaniu pierwszych rachunków za rozrzutne wydatki żony naczelnik na nowo odkrył w sobie oddanie wobec powinności życia publicznego i oznajmił żonie, iż bezwzględnie muszą wracać do domu.

Chociaż Hardcastle wątpił, by jego ekspresowy list z wiadomością o morderstwie dotarł do sir Milesa, doskonale zdawał sobie sprawę, że dowiedziawszy się o tragedii, naczelnik natychmiast zażąda pełnego raportu o postępie śledztwa. Domniemanie, że pułkownik, wicehrabia Hartlep, czy ktokolwiek z domowników Pemberley maczał palce w śmierci Denny'ego, były śmieszne, toteż sir Selwyn nie zamierzał spędzać w posiadłości więcej czasu niż potrzeba. Naczelnik Brownrigg upewnił się już był po przyjeździe, że po wyruszeniu pułkownika Fitzwilliamia na konną przejażdżkę żaden koń ani powóz nie opuściły stajni Pemberley. Osobą, którą pilnie chciał przesłuchać, był Wickham, tak więc przyjechał z furgonem więziennym i dwoma funkcjonariuszami, by przewieźć podejrzanego do stosowniejszego więzienia w Lambton, gdzie mógł uzyskać wszelkie potrzebne informacje, które pozwolą mu przedstawić naczelnikowi wyczerpujące sprawozdanie z działalności jego i konstabli.

Państwo Darcy powitali niezwykle przyjaźnie nastawionego sir Selwyna, który raczył przyjąć poczęstunek i dopiero potem przystąpił do zadawania pytań. Rodzina, wraz z Henrym Alvestonem oraz pułkownikiem, została przesłuchana w bibliotece. Zainteresowanie wzbudziła dopiero relacja pułkownika o jego

wieczornych czynnościach. Fitzwilliam zaczął od przeproszenia Darcy'ego za dotychczasowe milczenie. Otóż przebywał w King's Arms w Lambton, ponieważ pewna dama zwróciła się do niego o pomoc w związku z delikatną sprawą dotyczącą jej brata, byłego oficera pod dowództwem pułkownika. Dama odwiedzała w mieście krewnego, a Fitzwilliam zasugerował, że spotkanie w zajeździe oferowałoby większą prywatność niż w jego londyńskim biurze. Wcześniej pułkownik nie mówił o spotkaniu, zależało mu bowiem, by dama zdążyła wyjechać z Lambton, zanim jej pobyt w zajeździe stanie się tajemnicą poliszynela, a ona sama obiektem ciekawości miejscowych. W razie potrzeby Fitzwilliam gotów był podać jej nazwisko oraz londyński adres; miał jednak pewność, że zeznania oberżysty i klientów, którzy pili w zajeździe podczas jego przyjazdu i wyjazdu, potwierdzą jego alibi.

– Raczej nie będzie takiej potrzeby, lordzie Hartlep – powiedział Hardcastle z pewną dozą samozadowolenia. – Dziś rano w drodze tutaj wstąpiłem do King's Arms, aby sprawdzić, czy w piątek zatrzymali się tam jacyś obcy. Wtedy opowiedziano mi o damie. Pańska znajoma wywarła w zajeździe spore wrażenie; ponoć miała własny powóz, pokojówkę i służącego. Wyobrażam sobie, że pieniądze wydawała hojną ręką, więc oberżyste musiało być przykro, że wyjechała.

Następnie Hardcastle zabrał się do przesłuchania służby zgromadzonej jak wcześniej w holu; brakowało tylko pani Donovan, która nie zamierzała opuszczać pokoju dziecięcego bez zapewnienia opieki paniczom. Ponieważ poczucie winy częściej towarzyszy ludziom niewinnym niż przestępcom, panowała atmosfera nie tylko oczekiwania, lecz także niepokoju. Hardcastle postanowił, że jego przemowa będzie jak najkrótsza i pocieszająca, niezbyt straszna, chociaż częściowo zniweczył ten zamiar zwyczajowymi surowymi przestrogami o straszliwych konsekwencjach, jakie czekają ludzi, jeśli odmówią współpracy z policją lub zatają informacje. Dalej kontynuował łagodniejszym tonem:

– Nie wątpię, że w noc poprzedzającą bal lady Anne wszyscy mieliście ważniejsze rzeczy na głowie, niż wyruszyć w burzową pogodę z zamiarem zamordowania nieznajomego w leśnym gąszczu. Teraz proszę, by ci z was, którzy mają do przekazania informacje albo którzy opuszczali Pemberley zeszłej nocy między siódmą wieczorem a siódmą rano, podnieśli rękę.

Tylko jedna dłoń uniosła się w górę.

– Betsy Collard, proszę pana, jedna z pokojówek – szepnęła pani Reynolds.

Hardcastle zażądał, aby pokojówka wstała, Betsy natychmiast i bez wyraźnego oporu spełniła polecenie. Collard była krępa, pewną siebie dziewczyną; wyrażała się jasno.

– W zeszłą środę poszłam z Joan Miller do lasu, gdzie zobaczyłyśmy ducha starej pani Reilly tak wyraźnie, jak teraz widzę pana. Stara pani Reilly kryła się pośród drzew, ubrana w czarny płaszcz z kapturem, ale twarz widziałyśmy wyraźnie w świetle księżyca. Joan i ja przestraszyłyśmy się i najszybciej, jak mogłyśmy, wybiegłyśmy z lasu, a ona nas nie goniła. Ale widziałyśmy ją, sir, przysięgam na Boga, że mówię prawdę.

Hardcastle kazał Joan Miller wstać. Najwyraźniej przerażona wymamrotała potulnie, że potwierdza relację Betsy. Hardcastle wyraźnie poczuł, że wkracza na niepewny kobiecy grunt. Spojrzał na panią Reynolds, która podjęła:

– Dobrze wiecie, Betsy i Joan, że po zmroku nie wolno wam opuszczać Pemberley bez eskorty, a wiara, że zmarli chodzą po ziemi, jest niechrześcijańska i głupia. Wstyd mi, że pozwalacie sobie na tak śmieszne wymysły. Kiedy tylko sir Selwyn Hardcastle skończy zadawać pytania, chcę z wami porozmawiać w moim salonie.

Sir Selwyn ujrzał i przekonał się, że sam nie potrafiłby bardziej zagrozić pokojówkom.

– Tak, pani Reynolds – wyszeptały obie dziewczyny i szybko usiadły.

Pod wrażeniem natychmiastowego efektu słów gospodyni Hardcastle uznał, że warto ustanowić swoją pozycję ostatnim upomnieniem:

– Dziwię się, że jakakolwiek dziewczyna mająca przywilej pracowania w Pemberley ulega tak bezmyślnym przesądom. Czy nie uczyłyście się katechizmu?

Jedyną odpowiedzią było ciche:

– Tak, proszę pana.

Hardcastle wrócił do głównej części domu, gdzie dołączył do Darcy' ego i Elizabeth, którym najwidoczniej ulżyło, że pozostało już tylko łatwiejsze zadanie: wyprowadzenie Wickhama. Więźniowi w okowach oszczędzono upokorzenia, jakim byłoby wyprowadzanie go na oczach ludzi; tylko Darcy czuł, że powinien życzyć mu powodzenia i odprowadzić do furgonu więziennego, do którego naczelnik Brownrigg i konstabl Mason załadowali Wickhama. Następnie Hardcastle wsiadł do powozu, ale zanim stangret strzelił lejcamy, sir Selwyn wysunął głowę przez okno i zawołał do Darcy' ego:

– Katechizm! Tam jest chyba upomnienie, by nie hołubić bałwochwalczych i przesądnych wierzeń, prawda?

Darcy pamiętał, że matka uczyła go katechizmu, ale w jego umyśle utkwiło tylko jedno prawo mówiące o tym, że winien wystrzegać się kradzieży. Prawo to przypominał sobie z żenującą częstotliwością, kiedy jako mały chłopiec jeździł z George'em Wickhamem na kucykach do Lambton, gdzie dojrzałe jabłka na należących do sir Selwyna drzewach zwieszały się kusząco za murem ogrodowym. Teraz rzekł z powagą:

– Myślę, sir Selwynie, że katechizm nie zawiera niczego, co kłóciłoby się z praktykami i formułami obrzędowymi Kościoła anglikańskiego.

– Otóż to, otóż to. Tak właśnie sądziłem. Głupie dziewczyny.

Następnie sir Selwyn, zadowolony z pomyślnego zakończenia wizyty, wydał polecenie stangretowi, po czym powóz, a w ślad za nim więzienny furgon potoczyły się szerokim podjazdem, odprowadzane wzrokiem przez Darcy'ego, aż zniknęły mu z oczu. Darcy'emu przyszło na myśl, że witanie i zegnanie gości zaczynało wchodzić mu w krew, miał też nadzieję, że odjazd furgonu z Wickhamem zdejmie z Pemberley kir grozy i udręki i że przed śledztwem nie będzie już musiał się spotykać z sir Selwynem Hardcastle'em.

# **Księga czwarta**

## Śledztwo

Zarówno rodzina, jak i parafianie uważali za oczywiste, że państwo Darcy wraz z domownikami pojawią się w niedzielny poranek w wiejskim kościele pod wezwaniem świętej Marii. Wieści o zabójstwie kapitana Denny' ego rozeszły się z nadzwyczajną szybkością, a nieobecność rodziny odczytano by jako przyznanie się do udziału w zbrodni lub przekonanie o winie Wickhama. Nabożeństwo było okazją, by wierni ocenili nie tylko wygląd, zachowanie, elegancję czy ewentualne bogactwo nowo przybyłych, lecz także postawę tych sąsiadów, o których wiadomo było, że znajdują się w interesującym położeniu, czy to z powodu ciąży, czy to bankructwa. Brutalne morderstwo na terenie posiadłości należącej do szwagra mordercy – przy panującej między szwagrami wrogości – musiało ściągnąć do kościoła sporą rzeszę wiernych, włącznie z inwalidami, którym chroniczne niedomaganie od lat nie pozwalało na uczestniczenie w mszy. Oczywiście nikt nie był na tyle źle wychowany, by jawnie zaspokajać ciekawość, ale przecież niemało da się wyczytać spomiędzy palców dłoni uniesionych do modlitwy lub gdy zerka się spod czepka podczas śpiewania hymnu. Wielebny Percival Oliphant, który wcześniej złożył wizytę w Pemberley House w celu wyrażenia kondolencji, uczynił wszystko, co mógł, by złagodzić przeprawę, przez jaką musiała przejść rodzina. Najpierw wygłosił niezwykle długie, niemal niezrozumiałe kazanie o nawróceniu się świętego Pawła, potem zaś zatrzymał państwa Darcych wychodzących z kościoła i wdał się z nimi w tak rozwlekłą rozmowę, że czekający wierni, którym spieszno było do stołów z wędlinami, zadowolili się dygnięciem lub ukłonem, po czym rozeszli się do powozów i kariolek.

Lydia nie pojawiła się w kościele, natomiast Bingleyowie zostali w Pemberley, aby się nią zaopiekować oraz przygotować do popołudniowego powrotu do domu. Po przybyciu do Pemberley Lydia zrobiła taki bałagan w swoich strojach, że zadowolające ją ułożenie sukni w kufrze zajęło znacznie więcej czasu niż spakowanie sakwojaży Bingleyów. Wszystko jednak zrobiono do powrotu Darcy'ego i Elizabeth na lunch, a dwadzieścia po drugiej Bingleyowie siedzieli w powozie. Po ostatnich pożegnaniach stangret strzelił lejcami. Pojazd ruszył, zakołysał się na szerokiej drodze nad rzeką, potoczył się w dół długim podjazdem, aż wreszcie znikł.

Elizabeth odprowadzała wzrokiem powóz, jakby mogła na powrót go wyczarować, po czym niewielka grupka odwróciła się i weszła do domu.

Przystanąwszy w holu, Darcy zwrócił się do Fitzwilliama i Alvestona:

– Byłbym wdzięczny, gdybyście za pół godziny spotkali się ze mną w bibliotece. To my trzej znaleźliśmy ciało Denny'ego, toteż śledczy mogą nas poprosić o przedstawienie zeznań. Dziś rano, po śniadaniu, sir Selwyn pchnął umyślnego z wiadomością, że koroner, doktor Jonah Makepeace, zarządził początek śledztwa na jedenastą w środę. Chcę mieć jasność, że nasze wspomnienia się zgadzają, zwłaszcza jeśli chodzi o to, co zostało powiedziane po znalezieniu zwłok kapitana Denny'ego. Warto może pomówić o tym, jak powinniśmy dalej postępować. Wspomnienie tego, co ujrzelśmy i usłyszeliśmy, jest tak osobliwe, światło księżyca tak zwodnicze, że czasem muszę sobie przypominać, iż to naprawdę się stało.

Pułkownik Fitzwilliam i Alveston pomrukami wyrazili zgodę i niemal punktualnie stawili się w bibliotece, gdzie już czekał Darcy. Przy stole do map stały trzy krzesła z wysokimi oparciami, a po obu stronach kominka dwa fotele. Po chwili wahania Darcy wskazał je gościom, sam zaś wziął krzesło od stołu i usiadł między nimi. Darcy odniósł wrażenie, że Alveston, który przycupnął na brzegu fotela, jest skrępowany, niemal zażenowany, co tak odbiegało od jego zwyczajowej pewności siebie, że Darcy zdziwił się, gdy pierwszy zabrał głos, zwracając się do niego:

– Oczywiście porozumie się pan z własnym prawnikiem, ale na wypadek gdyby akurat był trudno dostępny, a ja tymczasem mógłbym się na coś przydać, jestem do pańskich usług. Jako świadek nie mogę, rzecz jasna, reprezentować pana Wickhama ani majątku Pemberley, jeżeli jednak czuje pan, iż mógłbym się przydać w innym charakterze, jeszcze przez pewien czas skorzystam z gościnności pani Bingley. Ona i pan Bingley byli na tyle mili, by zaproponować mi takie właśnie rozwiązanie.

Alveston mówił z wahaniem: bystry, wzięty, może nawet arogancki młody prawnik przeobraził się na chwilę w niepewnego, nieporadnego chłopca. Darcy znał przyczynę. Alveston obawiał się, że jego propozycja może zostać odebrana, zwłaszcza przez pułkownika Fitzwilliama, jako fortel, by nadal zabiegać o Georgianę. Darcy zawahał się tylko kilka sekund, ale to wystarczyło, by Alveston szybko podjął wątek.

– Pułkownik Fitzwilliam z pewnością ma doświadczenie w zakresie sądów wojskowych, uważa pan więc może, że rady, jakich mógłbym udzielić, są zbędne,



tym bardziej że pułkownik posiada wiedzę o sprawach lokalnych, której mi brakuje.

Darcy zwrócił się do pułkownika:

– Myślę, że się zgodzisz, Fitzwilliamie, iż przyda się nam wszelka pomoc prawna.

– Nie jestem i nigdy nie byłem sędzią pokoju – powiedział spokojnie pułkownik.

– Nie twierdzę, że moje sporadyczne doświadczenie wyniesione z sądów wojskowych uprawnia mnie do orzekania w sprawach cywilnego prawa karnego. Ponieważ, w przeciwieństwie do Darcy' ego, nie jestem spowinowacony z George' em Wickhamem, moje *locus standi* w tej sprawie ogranicza się do roli świadka. Sam Darcy powinien zdecydować, jaka pomoc prawna okaże się użyteczna. Jak sam przyznaje, trudno pojąć, na co mógłby się tu przydać pan Alveston.

Darcy zwrócił się do Alvestona:

– Wydaje się, że codzienne kursowanie między Highmarten a Pemberley to strata czasu. Pani Darcy rozmawiała już z siostrą i wszyscy mamy nadzieję, że przyjmie pan nasze zaproszenie i zostanie tu, w Pemberley. Sir Selwyn Hardcastle zażąda może, by odroczył pan wyjazd do zakończenia dochodzenia policyjnego, chociaż nie sądzę, by było to uzasadnione, skoro złożył pan zeznania koronerowi. Ale czy pańska praktyka nie ucierpi? Podobno jest pan wyjątkowo zajęty. Nie powinniśmy przyjmować pańskiej pomocy, jeśli miałby pan ponieść szkodę.

– W ciągu najbliższych ośmiu dni nie mam spraw wymagających mojej obecności, a mój doświadczony wspólnik może przez ten czas bez zakłóceń prowadzić rutynową praktykę.

– W takim razie wdzięczny będę za pańską radę, kiedy uzna pan za stosowne jej udzielić. Prawnicy reprezentujący posiadłość Pemberley zajmują się głównie sprawami rodzinnymi, przede wszystkim testamentami, zakupem i sprzedażą majątku, lokalnymi sporami i z tego, co wiem, mają nikłe doświadczenie w sprawach zabójstw, a już na pewno popełnionych w Pemberley. Już napisałem do nich o tym, co zaszło, teraz zaś pošlę kolejny, ekspresowy list o pańskim włączeniu się do sprawy. Muszę pana przestrzec, że sir Selwyn Hardcastle raczej nie będzie skory do współpracy. To doświadczony, sprawiedliwy sędzia pokoju, który drobiazgowo interesuje się pracą śledczych, jaką zazwyczaj pozostawia się w gestii wiejskich konstabli. Sir Selwyn jest też czuły na punkcie naruszania jego władzy.

Pułkownik nie skomentował. Głos zabrał Alveston:

– Pomocne by było, przynajmniej dla mnie, gdybyśmy mogli najpierw

porozmawiać o naszej pierwszej reakcji na zbrodnię, zwłaszcza o domniemanym przyznaniu się podsądnego do winy. Czy słowa Wickhama rozumiemy tak, że gdyby nie pokłócił się był z przyjacielem, Denny nigdy nie wysiadłby z powozu i nie zginął? A może ruszył za Dennym z morderczymi zamiarami? W znacznej mierze sprowadza się to do kwestii charakteru. Nie znam pana Wickhama, ale słyszałem, że jest on synem rządcy pańskiego zmarłego ojca, a pan dobrze znał Wickhama jako chłopca. Czy pan i pułkownik uważacie, że jest zdolny do takiego czynu?

Alveston spojrział na Darcy'ego, który po chwili wahania odparł:

– Przed ślubem Wickhama z młodszą siostrą mojej żony przez wiele lat rzadko się widywaliśmy, a po ślubie wcale. W przeszłości stwierdziłem, że Wickham jest niewdzięczny, zawistny, nieszczerzy i podstępny. Ma przystojną twarz i ogładę towarzyską, szczególnym powodzeniem cieszy się u kobiet. Nie wiem, czy dobre wrażenie utrzymuje się po dłuższej znajomości, nigdy jednak nie widziałem, by Wickham zachowywał się gwałtownie, nie słyszałem też, by dopuszczał się przemocy. Jego wykroczenia są pośledniejszego sortu i wolę o nich nie rozmawiać; wszyscy mamy możliwość przemiany. Mogę tylko powiedzieć, że nie wierzę, by Wickham, jakiego dawniej znałem, pomimo wad był zdolny do brutalnego zamordowania towarzysza broni i przyjaciela. Rzekłbym, że jest człowiekiem brzydzącym się przemocą i unikałby jej w miarę możliwości.

– Wickham dość skutecznie walczył z buntownikami w Irlandii, gdzie zwrócono uwagę na jego dzielność – dorzucił pułkownik Fitzwilliam. – Nie możemy mu odmówić odwagi fizycznej.

– Nie ulega wątpliwości, że gdyby Wickham stanął przed wyborem: zabij albo daj się zabić, nie okazałby litości. Nie zamierzam umniejszać jego odwagi, ale wojna i bezpośrednie doświadczenie pola bitwy mogą doprowadzić do zwyrodnienia nawet pokojowo nastawionego człowieka, przez co przemoc zaczyna wzbudzać mniejszą odrazę. Czy nie powinniśmy rozważyć takiej ewentualności?

Darcy widział, że pułkownik z trudem panuje nad sobą.

– Żaden człowiek nie ulega zwyrodnieniu, służąc królowi i ojczyźnie – powiedział. – Gdybyś kiedykolwiek doświadczył wojny, młody człowieku, śmiem twierdzić, że nie byłbyś tak skory do umniejszania aktów wyjątkowej odwagi.

Darcy uznał, że rozsądnie będzie się wtrącić.

– W gazecie czytałem sprawozdania z irlandzkiej rebelii z 1798 roku, choć jedynie pobieżnie. Pewnie większość relacji mi umknęła. Czy nie wtedy Wickham

został ranny i odznaczony medalem? Jaką dokładnie rolę odegrał?

– Podobnie jak ja Wickham brał udział w bitwie pod Enniscorthy dwudziestego pierwszego czerwca, kiedy przypuściliśmy atak na wzgórze i zmusiliśmy buntowników do ucieczki. Później, ósmego sierpnia, generał Jean Humbert wylądował z tysiącem francuskich żołnierzy i pomaszerował na południe w kierunku Castlebar. Francuski generał zachęcił zbuntowanych sojuszników do utworzenia tak zwanej Republiki Connaught, a dwudziestego siódmego sierpnia rozgromił generała Lake'a pod Castlebar: upokarzająca klęska armii brytyjskiej. Wtedy właśnie lord Cornwallis poprosił o posiłki. Cornwallis utrzymywał swoje oddziały między francuskimi najeźdźcami a Dublinem, dzięki czemu Humbert znalazł się w potrzasku między nim a generałem Lake'em. To był koniec Francuzów. Brytyjscy dragoni natarli na irlandzką flankę i francuskie szeregi, po czym Humbert skapitulował. Wickham brał udział w natarciu, a później uczestniczył w wyłapywaniu rebeliantów i rozbijaniu Republiki Connaught. To była krwawa robota, ponieważ rebeliantów należało schwytać i ukarać.

Darcy nie miał wątpliwości, że pułkownik już wielokrotnie zdawał to szczegółowe sprawozdanie, co sprawiało mu pewną przyjemność.

– I George Wickham brał w tym udział? – spytał Alveston. – Wiemy, że uczestniczył w tłumieniu rebelii. Czy to by nie wystarczyło, aby dać człowiekowi jeśli nie przedsmak przemocy, to w każdym razie zapoznać go z nią? W końcu usiłujemy tu dociec, jakim człowiekiem stał się George Wickham.

– Stał się dobrym i dzielnym żołnierzem – powiedział pułkownik Fitzwilliam. – Zgadzam się z Darcym, nie widzę w Wickhamie mordercy. Czy wiemy, jak on i jego żona żyli po wystąpieniu Wickhama z wojska w 1800 roku?

– Nigdy nie przyjmowano go w Pemberley, nie utrzymywaliśmy stosunków, ale panią Wickham podejmują w Highmarten. Wickhamom się nie wiodło. Po kampanii irlandzkiej George Wickham został swego rodzaju bohaterem narodowym, dzięki czemu zazwyczaj udawało mu się znaleźć pracę, choć nie potrafił jej utrzymać. Kiedy nie miał zatrudnienia i brakowało pieniędzy, Wickhamowie najwyraźniej jeździli do Longbourn, pani Wickham z radością odwiedzała dawnych przyjaciół i chwaliła się dokonaniem męża, ale te wizyty rzadko trwały dłużej niż trzy tygodnie. Ktoś musiał pomagać im finansowo, i to regularnie, ale pani Wickham nigdy nie udzielała wyjaśnień, a pani Bingley oczywiście nie pytała. Obawiam się, że to wszystko, co wiem, i wszystko, co pragnę

wiedzieć.

– Jako że nie spotkałem Wickhama przed piątkową nocą, moja opinia na temat jego winy lub niewinności opiera się nie na jego osobowości czy dokonaniach, ale wyłącznie na podstawie mojej oceny dotychczas zgromadzonych dowodów. Uważam, że jego obrona ma wielkie szanse powodzenia. Tak zwane przyznanie się do winy może oznaczać tylko winę za sprowokowanie przyjaciela do opuszczenia powozu. Wickham pił, a ten rodzaj łzawej sentymentalności jest dość częsty u pijanego. Przyjrzyjmy się jednak dowodom rzeczowym. Podstawową zagadką tej sprawy jest pytanie: dlaczego kapitan Denny ruszył w las? Dlaczego miałby się bać Wickhama? Denny był silniejszy i potężniej zbudowany, w dodatku uzbrojony. Jeżeli zamierzał wrócić piechotą do zajazdu, czemu nie poszedł drogą? To prawda, powóz mógł go wyprzedzić, ale jak już mówiłem, raczej nie groziło mu niebezpieczeństwo. Wickham nie zaatakowałby Denny'ego, kiedy pani Wickham siedziała w powozie. Przypuszczalnie spotkamy się z argumentacją, że Denny poczuł, że musi się oddalić od Wickhama, i to natychmiast, ponieważ plan towarzysza, by zostawić panią Wickham w Pemberley – choć nie zaproszono jej na bal ani nie zawiadomiono pani Darcy – budził jego odrazę. Ten plan świadczył oczywiście o złych manierach i braku rozsądku, ale trudno uznać, że uzasadniał ucieczkę Denny'ego z powozu w tak dramatycznych okolicznościach. W lesie panowała ciemność, nie było światła. Według mnie postępowanie Denny'ego jest niepojęte.

– Poza tym istnieją mocniejsze dowody. Gdzie są narzędzia zbrodni? Pierwszy cios w czoło wywołał właściwie tylko krwawienie, przez które Denny nie widział, gdzie jest, i zaczął się zataczać. Ranę z tyłu głowy zadano inną bronią, ciężkim przedmiotem o gładkich brzegach, może kamieniem. Z relacji ludzi, którzy widzieli ranę, w tym pańskiej, Darcy, wynika, że jest ona tak głęboka i długa, że człowiek przesądny mógłby pomyśleć, że nie zadała jej ręka człowieka, a już na pewno nie Wickhama. Wątpię, by mógł łatwo podnieść tak ciężki kamień na tyle wysoko, aby upuścić go dokładnie w miejsce, gdzie mierzył. Czy mamy uważać, że kamień przypadkiem leżał tuż pod ręką? Poza tym są zadrapania na czole i dłoniach Wickhama. Z pewnością sugerują, że po znalezieniu ciała kapitana Denny'ego mógł zabłądzić w lesie.

– Uważa pan zatem, że jeśli sprawa trafi do sądu, Wickham zostanie uniewinniony? – spytał pułkownik Fitzwilliam.

– Na podstawie zgromadzonych dotychczas dowodów przypuszczam, że tak właśnie się stanie. Jednak w sprawach, gdzie nie ma innych podejrzanych, istnieje ryzyko, że ławnicy zadadzą sobie pytanie: jeżeli on tego nie zrobił, to kto? Sędziemu czy obronie trudno jest przestrzec ławników przed takim rozumowaniem bez jednoczesnego podsuwania im tego pomysłu. Wickham będzie potrzebował dobrego adwokata.

– Muszę to wziąć na siebie – powiedział Darcy.

– Proponuję, by zwrócił się pan do Jeremiaha Mickledore’a. Jest świetny w tego rodzaju sprawach, ale przyjmuje tylko te sprawy, które go interesują, i nie cierpi wyjeżdżać z Londynu.

– Czy są szanse przeniesienia tej sprawy do Londynu? – spytał Darcy. – W przeciwnym razie strony zostaną wysłuchane dopiero, kiedy proces rozpocznie się przed sądem w Derby w przyszły post albo latem. – Spojrzał na Alvestona. – Proszę przypomnieć mi procedurę.

– Z reguły państwo woli, by podsądni odpowiadali przed sądem lokalnym – odparł Alveston. – Przyświeca temu argumentacja, że w ten sposób miejscowa ludność może zobaczyć, jak sprawiedliwości staje się zadość. Jeżeli przenosi się sprawy, to zazwyczaj tylko do sądu w sąsiednim hrabstwie, a powód musi być na tyle poważny, że uniemożliwia sprawiedliwy proces w lokalnym sądzie, na przykład gdy istnieją wątpliwości co do uczciwości ławników, których można przekabacić, lub sędziów podejrzanych o przekupność. Z drugiej strony wrogość wobec podsądnego może sprawiać, że uczciwe wysłuchanie stron staje się utrudnione. Minister sprawiedliwości jest władny przejmować kontrolę nad dochodzeniami w sprawach karnych lub je umarzać, co w naszym przypadku oznacza, że może on przenosić procesy do innych sądów.

– Innymi słowy, sprawa pozostaje w gestii Spencera Percivala? – spytał Darcy.

– Otóż to. Ktoś mógłby argumentować, że skoro zbrodnię popełniono na terenie posiadłości miejscowego sędziego pokoju, on i jego rodzina mogliby zostać niestosownie uwikłani. Szkodliwe mogą się okazać miejscowe plotki i aluzje o związkach między Pemberley a oskarżonym, które spowalniałyby działanie sądu. Nie uważam, by tę sprawę dało się łatwo przenieść, ale fakt, iż Wickham jest spowinowacony zarówno z panem, jak i panem Bingleyem, mógłby być istotnym czynnikiem, który zaważyłby na decyzji ministra sprawiedliwości. Minister podejmie decyzję nie na podstawie osobistych przesłanek, ale będzie kierował się

tym, czy przeniesienie sprawy przyczyni się do sprawiedliwego wyroku. Niezależnie od tego, gdzie odbędzie się proces, myślę, że warto pozyskać Jeremiaha Mickledore' a jako adwokata. Mniej więcej dwa lata temu pracowałem z nim i uważam, że mogę mieć na niego pewien wpływ. Proponuję, by w liście ekspresowym opisał pan mu sprawę, ja zaś pomówię z nim po powrocie do Londynu, dokąd muszę wyjechać po zakończeniu śledztwa.

Darcy z wdzięcznością przyjął propozycję Alvestona, ten zaś powiedział:

– Myślę, panowie, że winniśmy sobie przypomnieć, co zeznamy, gdy zapytają nas, co powiedział Wickham, klęcząc nad ciałem. Słowa te niewątpliwie będą miały kluczowe znaczenie dla sprawy. Oczywiście powiemy prawdę, ale ciekawe, czy tak samo zapamiętaliśmy słowa Wickhama.

Nie czekając, aż pozostali dwaj się odezwą, pułkownik Fitzwilliam rzekł:

– Trudno się dziwić, że jego słowa wywarły na mnie silne wrażenie. Tuszę, iż potrafię je dokładnie powtórzyć. Wickham powiedział: „Nie żyje! O, Boże, Denny nie żyje! Był moim przyjacielem, jedynym przyjacielem, a ja go zabiłem. To moja wina”. Oczywiście pozostaje otwartą kwestią, co miał na myśli, mówiąc, że ponosi winę za śmierć Denny'ego.

– Moje wspomnienie dokładnie pokrywa się z tym, co powiedział pułkownik – dorzucił Alveston. – Podobnie jak on nie mogę podjąć próby interpretacji słów Wickhama. Na razie się zgadzamy.

Teraz przyszła kolej na Darcy' ego.

– Nie potrafię odtworzyć dokładnego szyku jego słów, ale mogę stwierdzić z pewnością, że Wickham powiedział, iż zabił przyjaciela, jedynego przyjaciela, i ponosi za to winę. Dla mnie również te ostatnie słowa brzmią dwuznacznie i nie zamierzam ich wyjaśniać, chyba że zostanę do tego zmuszony, a może nawet wtedy nie.

– Koroner raczej nie będzie na nas naciskał – powiedział Alveston. – Jeżeli takie pytanie padnie, koroner może zauważyć, że żaden z nas nie może mieć pewności, co się dzieje w umyśle innego człowieka. Moim zdaniem, a są to tylko spekulacje, Wickham miał na myśli, że Denny nie ruszyłby w las i nie natrafił tam na napastnika, gdyby nie sprzeczka. Wickham brał też na siebie odpowiedzialność za to, co wywołało odrazę Denny'ego. Cała sprawa bez wątpienia będzie zależała od tego, co chciał przekazać Wickham, wypowiadając te kilka słów.

Narada najwyraźniej dobiegła końca, ale zanim wstali, Darcy powiedział:

– Zatem los Wickhama, jego życie lub śmierć, będą zależały od dwunastu ludzi, z konieczności uwarunkowanych własnymi uprzedzeniami, oraz od siły argumentów oskarżonego i elokwencji prokuratora.

– Jakżeż inaczej można poradzić sobie z tą sprawą? – zapytał pułkownik. – Wickham odda się w ręce krajanów, a nie ma większej poręki sprawiedliwości niż werdykt dwunastu uczciwych Anglików.

– Bez prawa apelacji – dodał Darcy.

– Jak można mówić o prawie apelacji? Decyzja ławników zawsze była najświętszym słowem. Co proponujesz, Darcy, drugą ławę przysięgłych zaprzysiężonych po to, by zgodzili się lub nie zgodzili z pierwszymi, a potem kolejną? Takie rozwiązanie byłoby szczytem idiotyzmu, a prowadzone *ad infinitum* przypuszczalnie doprowadziłoby do rozstrzygania angielskich spraw przed zagranicznymi sądami.

– Czy nie byłoby możliwe powołanie sądu apelacyjnego złożonego z trzech albo z pięciu sędziów, w razie gdyby doszło do sporów odnośnie do skomplikowanych zapisów prawa? – spytał Darcy.

Wtedy do rozmowy włączył się Alveston:

– Doskonale mogę sobie wyobrazić reakcję angielskich ławników na propozycję, by trzech sędziów mogło kwestionować ich decyzje. Sędzia orzekający w sprawie musi mieć decydujący głos w kwestiach zapisów prawa, a jeśli nie potrafi tego uczynić, nie zasługuje na bycie sędzią. Poza tym w pewnym stopniu mamy sądy apelacyjne. Jeżeli sędzia nie jest zadowolony z werdyktu, może zainicjować procedurę ulaskawienia, a wyrok, który opinia publiczna uzna za niesprawiedliwy, zawsze wywołuje powszechne oburzenie, niekiedy nawet gwałtowne protesty. Zapewniam, że nie ma nic potężniejszego niż Anglicy ogarnięci słusznym oburzeniem. Jak panom jednak wiadomo, należę do grupy prawników, którzy badają skuteczność naszego systemu prawa karnego, i życzylibyśmy sobie pewnej reformy: obrońca powinien mieć prawo do końcowej mowy przed ogłoszeniem wyroku, tak jak ma je prokurator. Nie widzę przeciwwskazań do takiej zmiany i mam nadzieję, że uda się ją wprowadzić przed końcem tego stulecia.

– Jakie mogą być argumenty przeciwko jej wprowadzeniu? – spytał Darcy.

– Chodzi głównie o czynnik czasu. Londyńskie sądy już są zawałone i zbyt wiele spraw prowadzi się w nieprzyzwoitym pośpiechu. Anglicy nie darzą prawników aż taką sympatią, by pragnęli wysłuchiwać wielogodzinnych mów końcowych. Uważa

się, że wystarczy, jeśli oskarżony zabierze głos we własnej obronie, a krzyżowy ogień pytań zadawanych przez adwokata świadkom oskarżenia zagwarantuje, że sprawiedliwości stanie się zadość. Mnie te argumenty nie przekonują w pełni, ale głoszone są z dużą żarliwością.

– Mówisz jak radykał, Darcy – stwierdził pułkownik. – Nie zdawałem sobie sprawy, że tak bardzo interesujesz się prawem ani że tak ci zależy na jego reformie.

– Ja też nie, ale kiedy człowiek uzmysławia sobie, jak my teraz, co czeka George'a Wickhama, kiedy uświadamia sobie, jak niewielki jest odstęp między życiem i śmiercią, naturalne jest chyba, że rodzi się zainteresowanie i troska. – Po chwili dodał: – Jeśli wszystko zostało powiedziane, czas może dołączyć do dam na kolacji.



Wtorkowy poranek zapowiadał miły dzień, z nadzieją na jesienne słońce. Stangret Wilkinson, cieszący się zasłużoną reputacją znawcy pogody, dwa dni wcześniej obwieścił, że po wietrze i deszczu wyjdzie słońce, choć możliwe też będą przelotne opady. Właśnie we wtorek Darcy miał się spotkać z Johnem Woollerem, swym rządcą, który miał zjeść lunch w Pemberley, po południu zaś zamierzał pojechać konno do Lambton, by zobaczyć się z Wickhamem, przy czym Darcy był przekonany, że żadna ze stron nie spodziewa się po tej wizycie przyjemności.

Pod nieobecność męża Elizabeth zamierzała pojechać z Georgianą i Alvestonem do Woodland Cottage, aby spytać o zdrowie Willa Bidwella; chciała też zawieźć tam wino i smakołyki; podobnie jak pani Reynolds miała nadzieję, że chory chłopiec skusi się na nie. Pragnęła się upewnić, że matka i siostra Willa nie martwią się tym, że zostały same na czas pracy Bidwella w Pemberley. Georgiana ochnocho zgodziła się na towarzyszenie szwagierce, natomiast Henry Alveston natychmiast zaoferował męską eskortę. Darcy uznał ją za nieodzowną, wiedział bowiem, że doda otuchy paniom. Elizabeth spieszno było wyruszyć zaraz po wczesnym lunchu; nie mogli oczekiwać, że błogosławione jesienne słońce długo się utrzyma, a Darcy należał, by wyjechali z lasu przed zmierzchem.

Najpierw jednak należało napisać listy, więc po wczesnym śniadaniu Elizabeth usiadła z zamiarem poświęcenia kilku godzin na to zadanie. Wciąż należało napisać odpowiedzi na wyrazy współczucia i zapytania od przyjaciół zaproszonych na bal; wiedziała też, że rodzina z Longbourn, powiadomiona przez Darcy'ego listem ekspresowym, oczekuje na niemal codzienne doniesienia. Także siostry Bingleya, panią Hurst i pannę Bingley, należało informować o postępach w sprawie, ale przynajmniej to zadanie Elizabeth mogła zostawić Bingleyowi. Siostry odwiedzały brata i Jane dwa razy do roku, ale rozkosze Londynu tak je pochłaniały, że nie wytrzymały na wsi dłużej niż miesiąc. Kiedy przebywały w Highmarten, raczyły odwiedzać także Pemberley. Możliwość chwalenia się wizytami, stosunkami z panem Darcym oraz wspaniałością domu i posiadłości były zbyt cenne, by poświęcać je zawiedzionym nadziejom czy rozdrażnieniu, ale widok Elizabeth jako pani Pemberley nadal był afrontem, którego żadna z siostr nie potrafiła znieść bez

bolesnej samokontroli. Wizyty sióstr Bingleya należały do rzadkości, co Elizabeth przyjmowała z ulgą.

Pani Darcy wiedziała, że Bingley taktownie wyperswaduje siostrom przyjazd do Pemberley, i nie wątpiła, że w zaistniałej sytuacji panie postanowią się trzymać z daleka. Zabójstwo w rodzinie może dostarczać dreszczyku na modnych przyjęciach, ale brutalna likwidacja pośledniego kapitana piechoty, bez pieniędzy czy odpowiedniego pochodzenia, dzięki którym mógłby być interesujący, raczej nie dawała szans powodzenia w towarzystwie. Ponieważ nawet najbardziej pedantyczni z nas raczej nie unikną wysłuchiwania pikantnych miejscowych plotek, lepiej bawić się tym, przed czym nie sposób uciec. W Londynie i hrabstwie Derby powszechnie wiadano, że pannie Bingley akurat teraz szczególnie mocno zależało na tym, by nie opuszczać stolicy. Polowanie na owdowiałego para ze znacznym majątkiem wchodziło właśnie w niezwykle obiecującą fazę. Co prawda, bez tytułu para i pieniądze wdowca tego należałoby uznać za największego nudziarza w Londynie, ale nie można oczekiwać, że do człowieka będą się zwracać „wasza miłość” bez pewnych niedogodności. Sporo kobiet konkurowało o jego majątek, tytuł oraz wszystko, czym pragnął obdarzyć żonę. Kilka chciwych matek, zaprawionych w bojach matrymonialnych, pracowało w pocie czoła na rzecz córek, toteż panna Bingley nie zamierzała opuszczać Londynu na tak delikatnym etapie współzawodnictwa.

Elizabeth właśnie skończyła pisać do rodziny w Longbourn i ciotki Gardiner, kiedy przyszedł Darcy z listem ekspresowym dostarczonym wczoraj przez wieczorną pocztę. Dopiero co go otworzył. Teraz wręczył list żonie, mówiąc:

– Zgodnie z przewidywaniami lady Catherine przekazała nowiny panu Collinsowi i Charlotte, dołączyła też ich list do własnego. Nie spodziewam się, że lektura dostarczy ci przyjemności, ale raczej też cię nie zdziwi. Z Johnem Woollerem będę w pokoju do pracy. Mam nadzieję, że zanim wyjadę do Lambton, spotkamy się na lunchu.

Lady Catherine napisała:

*Mój drogi siostrzeńcze!*

*Jak z pewnością pojmujesz, list twój mocno mnie zszokował, ale z radością spieszę powiadomić ciebie i Elizabeth, że się nie poddałam. Musiałam wezwać doktora Everidge' a, który powinszował mi hartu ducha. Zapewniam cię, że mam się tak dobrze, jak to tylko możliwe. Śmierć tego nieszczęsnego człowieka – o którym, rzecz jasna, nic nie wiem – wywoła*

w całym kraju sensację, czego, biorąc pod uwagę znaczenie Pemberley, raczej nie sposób uniknąć. Pan Wickham, słusznie aresztowany przez policję, najwyraźniej ma talent do przysparzania kłopotów i zażenowania przyzwoitym ludziom, a nie mogę się oprzeć myśli, iż pobbłaszanie okazywane mu w dzieciństwie przez twoich rodziców, które często mocno krytykowałam w rozmowach z lady Anne, jest przyczyną wielu jego późniejszych wykroczeń. Mimo to pragnę wierzyć, że nie ponosi przynajmniej winy za to okropieństwo. Ponieważ przez haniebne małżeństwo z siostrą twojej żony stał się twoim szwagrem, niewątpliwie zechcesz opłacić jego obronę. Miejmy nadzieję, że nie zrujnuje to ciebie ani twoich synów. Będziesz potrzebował dobrego adwokata. Pod żadnym pozorem nie zatrudniaj lokalnego prawnika; dostaniesz jakieś zero łączące nieskuteczność z nieuzasadnionymi oczekiwaniami finansowymi. Zaproponowałabym mojego pana Pegworthy' ego, ale potrzebuję go tutaj. Wieloletni spór graniczny z sąsiadem, o którym już wspominałam, wkracza w krytyczną fazę, a w ostatnich miesiącach doszło do pożalowania godnego nasilenia się kłusownictwa. Sama przyjechałabym wam doradzić – pan Pegworthy twierdzi, że gdybym studiowała prawo, stałabym się ozdobą angielskiej palestry – ale jestem niezbędna tutaj. Gdybym zaczęła jeździć do wszystkich ludzi, którzy potrzebują moich rad, w ogóle nie byłoby mnie w domu. Proponuję, abyś zatrudnił adwokata z Inner Temple. Uchodzą za dżentelmenów. Wspomnij moje nazwisko, a nie pożalujesz.

Przekazę nowiny panu Collinsowi, ponieważ nie da się ich długo ukrywać. Jako duchowny z pewnością zechce przesłać zwyczajowe przygnębiające słowa otuchy, dołączę jego list do mojego, ale uprzedzę go, by się streszczał.

Przesyłam wyrazy współczucia tobie i pani Darcy. Nie wahaj się po mnie posłać, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Stawię czoło jesiennym mgłom i przybędę.

Po liście pana Collinsa Elizabeth nie spodziewała się niczego zajmującego prócz zdrożnej przyjemności, jakiej dostarczała jedyna w swoim rodzaju mieszanka pompatyczności i szaleństwa. List okazał się dłuższy, niż wynikałoby to z zapewnień lady Catherine de Bourgh. Mimo to z pobbłaszaniem potraktowała rozwlekłość duchownego. Pan Collins zaczął od stwierdzenia, że nie znajduje słów, by wyrazić szok i przerażenie, po czym jednak znalazł ich całkiem sporo. Tylko nieliczne ze słów były stosowne, a żadne nie okazało się pomocne. Podobnie jak w przypadku zaręczyn Lydii całą tę okropną historię kładł na karb braku kontroli państwa Bennetów nad córką. Dalej gratulował sobie wycofania propozycji małżeńskiej, która w nieunikniony sposób połączyłaby go z ich hańbą. Pan Collins przepowiadał wiele klęsk, jakie spadną na rodzinę, poczynawszy od najgorszej –

niezadowolenia lady Catherine oraz ich trwałego wygnania z Rosings – aż po publiczną niesławę, bankructwo i śmierć. List kończył się wiadomością, że za kilka miesięcy droga Charlotte obdarzy go czwartym dzieckiem. Plebania Hunsford robiła się nieco za ciasna na rozrastającą się rodzinę, ale pan Collins wierzył, że w swoim czasie opatrność ześle mu godziwe zarobki i większy dom. Elizabeth przyszło na myśl, że w tych słowach pastor, nie po raz pierwszy, wyraźnie zwracał się o pomoc do pana Darcy'ego, ale otrzyma tę samą odpowiedź. Na razie opatrność nie wykazywała inklinacji do pomocy, a Darcy z pewnością z nią nie pospieszy.

Zgodnie z oczekiwaniami Elizabeth niezapieczętowany list od Charlotte zawierał kilka krótkich, konwencjonalnych zdań o tym, że się martwi, składa kondolencje, spieszy zapewnić, że wraz z mężem są myślami przy rodzinie dotkniętej nieszczęściem. Pan Collins niewątpliwie czytał list żony, toteż nie należało się spodziewać niczego cieplejszego czy osobistego. Charlotte Lucas, przyjaciółka Elizabeth z dzieciństwa i młodości, była jedyną kobietą oprócz Jane, z którą dawało się rozumnie rozmawiać, toteż Elizabeth nadal żałowała, że ich dawna otwartość w znacznej mierze utonęła w ogólnikowej dobroduszości regularnej, choć zdawkowej korespondencji. Od ślubu z Darcym Elizabeth dwukrotnie odwiedziła lady Catherine, czemu towarzyszyły formalne wizyty na plebanii. Chcąc oszczędzić mężowi przypuszczalnych uprzejmości pana Collinsa, Elizabeth składała je sama. Dawniej usiłowała pojąć, dlaczego Charlotte przyjęła oświadczenia pana Collinsa, złożone dzień po tym, jak poprosił o rękę Elizabeth i został odrzucony, ale mało prawdopodobne, by Charlotte zapomniała lub wybaczyła zdumienie przyjaciółki na wieść o ślubie.

Elizabeth podejrzewała, że raz Charlotte się zemściła. Pani Darcy często myślała o tym, skąd lady Catherine się dowiedziała, że ona i pan Darcy najpewniej się zaręczą. O jego pierwszych, katastrofalnych oświadczeniach nie mówiła nikomu prócz Jane, doszła więc do wniosku, że to Charlotte mogła ją zdradzić. Elizabeth wspominała ów wieczór, gdy Darcy z Bingleyami po raz pierwszy pojawił się w sali balowej w Meryton. Charlotte musiała wtedy podejrzewać, że Darcy zainteresuje się jej przyjaciółką, ostrzegła nawet Elizabeth, której bardziej podobał się Wickham, by nie lekceważyła mężczyzny tak mającego jak Darcy. Gdy Elizabeth odwiedziła plebanie z sir Williamem Lucasem i jego córką, Charlotte zwróciła uwagę na częstość wizyt pana Darcy'ego i pułkownika Fitzwilliama, twierdząc, że ich

przyczyną musi być obecność Elizabeth. Później nastąpiły oświadczenia. Po wyjściu Darcy'ego wzburzona Elizabeth poszła sama na spacer, by uciszyć zamęt i gniew, ale mimo to Charlotte musiała poznać po przyjaciółce, że wydarzyło się coś nieoczekiwanego.

Nie, niemożliwe, by ktokolwiek inny niż Charlotte mógł się domyślić przyczyny jej poruszenia. Zapewne podczas małżeńskich przekomarzań przyjaciółka zwierzyła się ze swych przypuszczeń panu Collinsowi. On oczywiście niezwłocznie ostrzegł lady Catherine, prawdopodobnie wyolbrzymiając niebezpieczeństwo i zamieniając podejrzenia w pewnik. Pan Collins kierował się osobiście splątanymi motywami. Gdyby małżeństwo Elizabeth i pana Darcy'ego doszło do skutku, mógł mieć nadzieję na czerpanie korzyści z bliskiego powinowactwa z zamożnym panem Darcym. Przypuszczalnie jednak słodszy i silniejszy motywem była zemsta. Pan Collins nigdy nie wybaczył Elizabeth, że dała mu kosza. Jej karą powinno być samotne staropanieństwo w nędzy, nie intratne małżeństwo, jakim nie pogardziłaby nawet córka hrabiego. Czyż lady Anne nie poślubiła ojca Darcy'ego? Również Charlotte miała uzasadnione powody do irytacji. Podobnie jak całe Meryton żyła w przekonaniu, że Elizabeth nienawidzi Darcy'ego. A jednak jej najbliższa przyjaciółka, która tak krytykowała małżeństwo Charlotte oparte na rozwadze i potrzebie domu, sama przyjęła mężczyznę, którym wcześniej gardziła, ponieważ nie mogła się oprzeć trofeum w postaci Pemberley. Nic nie wydaje się trudniejsze niż wieszanie przyjaciółce powodzenia wtedy, gdy jej szczęście wydaje się niezastępowane.

Małżeństwo Charlotte można było uznać za udane, podobnie jak wszystkie inne, w których małżonkowie otrzymują dokładnie to, co związek obiecywał. Pan Collins miał roztropną żonę i gospodynię, matkę swoich dzieci, cieszył się też aprobatą swej patronki, natomiast Charlotte wybrała jedyną drogę, która samotnej pannie bez urody i z niewielkim majątkiem obiecywała niezależność. Elizabeth przypominała sobie, jak Jane, nieodmiennie serdeczna i tolerancyjna, przestrzegała ją, by nie obwiniała Charlotte za zaręczyny i by zważyła, jaki świat przyjaciółka porzucała.

Elizabeth nigdy nie lubiła braci Lucasów. Nawet w młodości byli hałaśliwi, niesympatyczni i nieciekawi; nie miała wątpliwości, że w dorosłym życiu gardziliby niezamężną siostrą, postrzegając ją jako żenujące obciążenie finansowe, co dawałoby publicznie do zrozumienia. Charlotte od początku radziła sobie z mężem z tą samą zręcznością, z jaką radziła sobie ze służbą i kurnikami. Elizabeth podczas

pierwszej wizyty w Hunsford widziała, jak Charlotte zminimalizowała słabe strony swego położenia. Panu Collinsowi wyznaczono pokój od frontu plebanii, gdzie z radością wysiadywał przy oknie i obserwował przechodniów w nadziei, że ujrzy powóz lady Catherine. Większą część wolnego czasu, za namową żony, poświęcał na prace ogrodowe, do których podchodził z entuzjazmem, wykazując się prawdziwym talentem. Uprawianie ziemi uznaje się zazwyczaj za cnotliwe zajęcie, a widok skwapliwie pracującego ogrodnika nieodmiennie wzbudza sympatię i aprobatę, choćby tylko z uwagi na świeżo wykopane ziemniaki i młody groszek. Elizabeth podejrzewała, iż pan Collins nigdy nie zalecał się bardziej jako mąż niż w chwilach, kiedy Charlotte widziała go z daleka, pochylonego nad grządką warzywną.

Charlotte, najstarsza z liczego rodzeństwa, umiała sobie radzić z męskimi słabościami; wobec męża stosowała pomysłową metodę. Konsekwentnie gratulowała mu przymiotów, jakich nie posiadał, w nadziei, że połączony jej pochwałami i aprobatą nabędzie tych cech. Elizabeth zobaczyła ów system w praktyce, kiedy za żarliwą namową Charlotte odwiedziła przyjaciółkę półtora roku po ślubie. Gdy goście wracali na plebanie powozem lady Catherine de Bourgh, rozmowa zesłała na jednego z gości, świeżo upieczzonego duchownego z sąsiedniej parafii, dalekiego krewnego lady Catherine.

– Pan Thompson niewątpliwie jest znakomitym młodym człowiekiem, ale jak na mój gust zbyt gadatliwym. Chwalenie wszystkich dań było zbędną wylewnością, przez co wydał się żarłokiem. Parę razy się rozgadał, a widziałam, że lady Catherine niezbyt przypadło to do gustu. Szkoda, że nie wziął przykładu z ciebie, kochanie. Wtedy mówiłby mniej, za to bardziej na temat.

Pan Collins nie miał na tyle subtelnego umysłu, by wyczuć ironię albo zwietrzyć podstęp. W swojej próżności rzucił się na komplement, a przez większą część kolejnego obiadu w Rosings siedział pogrążony w tak nienaturalnym milczeniu, że Elizabeth ogarnęła obawa, iż lady Catherine ostro postuka łyżką w stół i zapyta, dlaczego ma tak niewiele do powiedzenia.

Pani Darcy odłożyła pióro i pozwoliła myślom powędrować do czasów w Longbourn, do Charlotte i ich długiej przyjaźni. Teraz nadeszła pora, by zostawić papiery i sprawdzić, co też pani Reynolds przygotowała dla Bidwellów. Idąc do pokoju gospodyni, Elizabeth przypomniała sobie, jak podczas jednej z zeszłorocznych wizyt lady Catherine udała się z nią do Woodland Cottage

z wiktuałami dla ciężko chorego. Nie została zaproszona do jego pokoju, nie wykazywała też chęci, by tam wejść. W drodze powrotnej zauważyła:

– Do diagnozy doktora McFee należy podchodzić z najwyższą podejrzliwością. Nigdy nie aprobowałam przeciągającego się umierania. W przypadku arystokracji jest to maniera; u niższych klas to tylko wymówka od pracy. Drugi syn kowala jakoby umiera od czterech lat, kiedy jednak tamtędy przejeżdżam, widzę, jak pomaga ojcu i sprawia wrażenie tryskającego zdrowiem. De Bourghowie nigdy nie byli zwolennikami przeciągającego się umierania. Ludzie powinni się zdecydować, czy żyć, czy umierać, a następnie zrobić jedno lub drugie przy jak najmniejszej niedogodności dla innych.

Elizabeth była zbyt zszokowana i zdumiona, by to skomentować. Jak lady Catherine mogła tak spokojnie mówić o przeciągającym się umieraniu zaledwie trzy lata po stracie jedyne dziecko, które zmarło po wieloletniej chorobie? Po początkowym żalu, kontrolowanym, lecz z pewnością autentycznym lady Catherine nadzwyczaj szybko odzyskała równowagę ducha, a wraz z nią sporą dozę dawnej nietolerancji. Panna de Bourgh – delikatna, pospolita i cicha dziewczyna – odcisnęła słabe piętno na świecie za życia, a jeszcze słabsze, umierając. Elizabeth, która w tym czasie była już matką, robiła wszystko, co w jej mocy: serdecznymi zaproszeniami do Pemberley i własnymi wizytami w Rosings usiłowała wesprzeć lady Catherine w pierwszych tygodniach żałoby, a zarówno zaproszenia, jak i współczucie, którego ta może się nie spodziewała, przyniosły skutek. Lady Catherine była zasadniczo tą samą kobietą, co zawsze, ale teraz odwiedzała Pemberley częściej, niż Darcy czy Elizabeth by tego sobie życzyli.

Każdy dzień był wypełniony obowiązkami, ale teraz powinności wobec Pemberley, rodziny i służby stanowiły dla Elizabeth antidotum na najstraszniejsze koszmary. Dziś także nie brakowało zajęć ani Darcy'emu, ani jej. Elizabeth czuła, że nie może dłużej odkładać wizyty w Woodland Cottage. Świadomość, że brutalne morderstwo popełniono w odległości najwyżej stu metrów od leśnego domu w czasie, gdy Bidwell przebywał w Pemberley, musiały wzbudzić w jego żonie przerażenie i przygnębienie, powiększając jeszcze rozmiar jej zmartwień. Darcy, o czym wiedziała Elizabeth, w zeszły czwartek odwiedził leśny dom, aby zaproponować zwolnienie Bidwella z obowiązków w przeddzień balu, by mógł być z rodziną w trudnych chwilach, ale mąż i żona zapewnili żarliwie, że potrzeba to zbędna. Darcy spostrzegł, że jego namolność tylko wprawia małżeństwo w zakłopotanie. Bidwell zawsze odrzucał wszelkie sugestie mogące świadczyć o tym, że nie jest niezastąpiony, choćby tymczasowo. Odkąd zrzekł się pozycji głównego stangreta, zawsze w noc przed balem lady Anne czyścił srebra i jego zdaniem nikomu innemu nie można było powierzyć tego zadania.

W minionym roku, w miarę jak młody Will opadał z sił i gasła nadzieja na jego wyzdrowienie, Elizabeth regularnie odwiedzała Woodland Cottage, gdzie początkowo przyjmowano ją w małej sypialni od frontu, w której leżał pacjent. Niedawno zaczęła sobie uświadamiać, że jej obecność przy łóżku wprawiała Willa raczej w zakłopotanie, niż sprawiała przyjemność, mogła wręcz uchodzić za narzucanie się, toteż zostawała w salonie i tam dodawała otuchy zbolącej matce. Gdy Bingleyowie odwiedzali Pemberley, oboje zawsze towarzyszyli pani Darcy w tych wizytach. Teraz Elizabeth znów zdała sobie sprawę, jak bardzo będzie jej dziś brakować obecności siostry, jak dobrze jest mieć przy sobie drogą towarzyszkę, której mogła się zwierzyć nawet z najmroczniejszych myśli i której dobroć i delikatność rozwiewały wszelkie troski. Kiedy nie było Jane, Elizabeth towarzyszyła Georgiana oraz jedna ze starszych rangą służących, ale panna Darcy, nie chcąc przeszkadzać w poufnych zwierzeniach, zwykle pospiesznie składała matce Willa wyrazy współczucia, po czym siadała na drewnianej ławie zrobionej przed laty przez jej syna. Darcy rzadko towarzyszył żonie podczas tych



zwyczajowych wizyt, ponieważ troska o chorych i zanoszenie kosza ze smakołykami przygotowanymi przez kucharkę z Pemberley uchodziły za kobiece zajęcia. Dzisiaj Darcy wzdragał się przed opuszczaniem Pemberley, z wyjątkiem zaplanowanej wizyty u Wickhama. Uzgodniono więc przy śniadaniu, że Elizabeth i Georgiane będzie towarzyszyła służąca. Wtedy właśnie Alveston powiedział cicho do Darcy'ego, że uznałby za przywilej możliwość towarzyszenia pani Darcy i pannie Georgiane, o ile na to przystaną. Propozycję przyjęto z wdzięcznością. Elizabeth szybko zerknęła na Georgianę i ujrzała wyraz radości, który choć pospiesznie stłumiony, to aż nazbyt jawnie zdradził jej reakcję na ofertę Alvestona.

Elizabeth i Georgiana pojechały w las landoilem, Alveston pogalopował obok nich na swoim koniu Pompeyu. Po bezdeszczowej nocy wczesna mgła się przerzedziła, wstał cudowny poranek, zimny, lecz słoneczny, powietrze pachniało słodko znanymi aromatami jesieni: liśćmi, świeżą ziemią oraz ledwo wyczuwalną wonią palonego drewna. Nawet konie radowały się chyba dniem, rzucając głowami i napierając na wędzidło. Wiatr ustał, ale pokłose burzy zaścielało ścieżkę, suche liście szeleściły pod kołami lub wirowały w tumanach za powozem. Drzewa nie były jeszcze nagie, błękit nieba podkreślał soczystą czerwień i złociste barwy jesieni. Taki dzień z konieczności wlał otuchę w serce Elizabeth i po raz pierwszy od przebudzenia poczuła lekki przypływ nadziei. Postronny obserwator musiałby uznać, że wybierają się na piknik, myślała. Rozwiane końskie grzywy, stangret w liberii, kosz z prowiantem, przystojny młody człowiek galopujący przy powozie. Kiedy wjechali w las, ciemne konary, o zmierzchu sklepienie niczym toporny dach więzienia, teraz przepuszczały smugi słońca, które kładło się na zasłanej liśćmi ścieżce. Ciemnozielone krzaki wyglądały w tym świetle świeżo jak na wiosnę.

Landoilet stanął, stangretowi kazano wrócić dokładnie za godzinę, po czym cała trójka, z Alvestonem prowadzącym Pompeya i niosącym kosz, ruszyła między lśniącymi drzewami wydeptaną ścieżką do domu. Jedzenia nie przynoszono w akcie miłosierdzia – nikomu ze służby z Pemberley nie brakowało dachu nad głową, pożywienia ani ubrań – ale były to smakołyki wyczarowane przez kucharkę w nadziei, że pobudzą apetyt Willa: buliony na najlepszej wołowinie z dodatkiem sherry, według przepisu doktora McFee, małe smaczne tartinki rozpływające się w ustach, galaretki owocowe, dojrzałe brzoskwinie i gruszki z cieplarni. Chory jednak rzadko sięgał nawet po takie przysmaki, ale przyjmowano je z wdzięcznością, ponieważ jeśli Will nie zdoła ich zjeść, niewątpliwie zrobią to jego

matka i siostra.

Chociaż stąpali cicho, pani Bidwell musiała ich usłyszeć, bo czekała na nich w drzwiach. Ta drobna, chuda kobieta miała twarz jak wyblakła akwarela, na której wciąż malowała się krucha uroda i wspomnienie młodości, ale teraz niepokój i zgryzota związane z chorobą syna uczyniły z niej staruszkę. Elizabeth przedstawiła Alvestona, ten zaś, nie wspominając wprost o Willu, wyraził szczere współczucie, powiedział, że spotkanie z panią Bidwell to prawdziwa przyjemność, i zaproponował, że poczeka na panie na drewnianej ławie przed domem.

– Tę ławę zrobił mój syn William, sir – powiedziała pani Bidwell. – Ukończył ją tydzień przed tym, gdy zachorował. Jak pan widzi, był zręcznym cieślą, lubił projektować i robić meble. Pani Darcy ma w pokoju dziecięcym krzesło, które Will zrobił na Boże Narodzenie po przyjściu na świat panicza Fitzwilliama, prawda, proszę pani?

– Istotnie – potwierdziła Elizabeth. – Bardzo je cenimy, a kiedy dzieci gramolą się na to krzesło, zawsze myślimy o Willu.

Alveston się skłonił, wyszedł i usiadł na ustawionej pod lasem ławie, ledwo widocznej z domu, natomiast Elizabeth i Georgiana zajęły wskazane im miejsca w skromnie umeblowanym salonie. W centrum stał podłużny stół z czterema krzesłami, po obu stronach kominka umieszczono wygodniejsze krzesła, na obmurowaniu kominka widniały pamiątki rodzinne. Choć okno od frontu uchylono, w salonie było za gorąco i mimo że sypialnia Willa Bidwella znajdowała się na piętrze, cały dom przenikał kwaśny odór przewlekłej choroby. Pod oknem stała kołyska, obok niej krzesło. Na zaproszenie pani Bidwell Elizabeth podeszła, by spojrzeć na śpiące dziecko, i powinszowała babci zdrowia i urody maleństwa. Nigdzie nie widać było śladu Louisy. Georgiana wiedziała, że pani Bidwell zechce skorzystać z okazji, by porozmawiać z Elizabeth w cztery oczy, toteż, zatroskawszy się o zdrowie Willa, pochwaliła dziecko i zgodnie z sugestią Elizabeth uzgodnioną zawczasu wyszła na dwór, by dołączyć do Alvestona. Z wiklinowego kosza wyjęto wiktuały, które zostały z wdzięcznością przyjęte, po czym dwie kobiety usiadły na krzesłach przy ogniu.

– Niewiele jest teraz w stanie przyjąć, ale smakuje mu ten chudy bulion. Spróbuję go skusić tymi ciastkami z budyniem i, rzecz jasna, winem. Miło, że pani przyszła, ale nie poproszę, by go pani odwiedziła. Tylko by się pani zmartwiła, a Will nie ma zbyt wiele sił na rozmowy.

– Doktor McFee widuje go regularnie, prawda? – spytała Elizabeth. – Czy jest w stanie przynieść chłopcu ulgę?

– Mimo natłoku obowiązków przychodzi codziennie, w dodatku nie bierze ani pensa. Doktor mówi, że Willowi nie zostało wiele życia. Przecież pani poznała mojego drogiego Willa, kiedy po raz pierwszy przyjechała tu jako pani Darcy. Dlaczego to musiało go spotkać? Gdyby istniał jakiś powód czy cel, może dałabym radę to znieść.

Elizabeth wyciągnęła rękę i powiedziała łagodnie:

– Zawsze zadajemy takie pytanie, ale nigdy nie otrzymujemy odpowiedzi. Czy wielebny Oliphant panią odwiedza? Po niedzielnym nabożeństwie wspominał o wizycie u Willa.

– Tak, proszę pani, wielebny jest wielką pociechą. Ale ostatnio Will prosił mnie, żebym po niego nie posyłała, więc wymawiam się, mam nadzieję, bez obrazy.

– Jestem pewna, że się nie obrazi, pani Bidwell – zapewniła Elizabeth. – Pan Oliphant jest wrażliwym, rozumnym człowiekiem. Pan Darcy bardzo mu ufa.

– My wszyscy też, pani.

Po chwili milczenia pani Bidwell powiedziała:

– Nie mówiłam o śmierci tego biednego młodego człowieka, proszę pani. Will bardzo by się strapił, gdyby usłyszał, że coś podobnego wydarzyło się w lesie, tak blisko domu, a on nie był w stanie nas chronić.

– Mam nadzieję, że nic wam nie groziło, pani Bidwell – odparła Elizabeth. – Podobno nic pani nie słyszała.

– Nic, proszę pani, tylko strzały z pistoletu, ale Will zdał sobie sprawę, jak bardzo jest bezradny i jaki ciężar musi dźwigać jego ojciec. Wiem, że to okropna tragedia dla państwa. Nie powinnam mówić o sprawach, o których nie mam pojęcia.

– Ale znała pani pana Wickhama w dzieciństwie?

– W rzeczy samej, pani. On i młody panicz bawili się razem w lesie. Brykali jak wszyscy młodzi chłopcy, ale panicz był spokojniejszy z tej dwójki. Wiem, że pan Wickham wyrósł na dzikiego człowieka i przynosił wiele zgryzot panu, nie rozmawialiśmy jednak o nim od państwa ślubu, zresztą tak na pewno jest najlepiej. Mimo to nie wierzę, że chłopiec, którego znałam, wyrósł na mordercę.

Przez minutę siedziały w milczeniu. Elizabeth przyjechała, aby złożyć pani Bidwell pewną rozsądną propozycję, a teraz zastanawiała się, jak zacząć. Razem

z Darcym martwili się, że po wypadku mieszkająca na odludziu rodzina poczuje się zagrożona, zwłaszcza z chorym chłopcem i Bidwellem tak często przebywającym w Pemberley. Zdenerwowanie Bidwellów było uzasadnione, więc Elizabeth i Darcy postanowili, że zaproponują im przeprowadzkę do Pemberley, przynajmniej do czasu wyjaśnienia sprawy. Praktyczność takiego rozwiązania zależała oczywiście od tego, czy Will zniesie podróż, ale postanowili przetransportować go na noszach, by uniknąć trzęsącego się powozu. Po ulokowaniu chłopca w cichym pokoju w Pemberley otoczono by go troskliwą opieką. Kiedy jednak Elizabeth przedstawiła propozycję, reakcja pani Bidwell ją zaskoczyła. Po raz pierwszy kobieta wyglądała na autentycznie przestraszona.

– Och nie, proszę pani! – odparła z wyrazem bliskim przerażenia na twarzy. – Will nie mógłby być szczęśliwy z dala od domu. Nawet pod nieobecność męża Louisa i ja niczego się nie bałyśmy. Po tym, jak pułkownik Fitzwilliam był na tyle dobry, by sprawdzić, czy nic nam nie grozi, postąpiłyśmy zgodnie ze wskazówkami. Zaryglowałam drzwi i zamknęłam okna na dole. Poza tym nikt nie zbliżał się do domu. To był tylko kłusownik, proszę pani, zaskoczony zachował się impulsywnie, ale do nas nic nie miał. Zresztą doktor McFee na pewno by powiedział, że Will nie zniesie trudów podróży. Proszę przekazać panu Darcy'emu nasze wyrazy wdzięczności i pozdrowienia, ale takie rozwiązanie nie wchodzi w grę.

Rozłożone ręce i spojrzenie pani Bidwell wyrażały błaganie.

– Oczywiście, jeśli takie jest pani życzenie – powiedziała łagodnie Elizabeth. – Możemy przynajmniej dopilnować, aby pani mąż spędzał tu większość czasu. Bardzo będzie nam go brakować, ale póki Will jest tak chory i wymaga państwa opieki, inni zastąpią Thomasa.

– On się na to nie zgodzi, proszę pani. Myśl o tym, że inni mogliby przejąć jego pracę, napęłniłaby go żalem.

Elizabeth kusiło, by powiedzieć, że skoro tak, to Bidwell będzie się musiał pograć w żalu, ale wyczuła, że w grę wchodzi coś poważniejszego niż pragnienie, by nieustannie czuć się potrzebnym. Postanowiła, że na razie zostawi tę kwestię otwartą; pani Bidwell niewątpliwie porozmawia o niej z mężem i może zdoła przekonać go do zmiany zdania. Poza tym, jeśli według doktora McFee Will nie zniósłby podróży, podejmowanie jej graniczyłoby z szaleństwem.

Panie się pożegnały i właśnie wstawały, gdy nad kołyską pojawiły się dwie pulchne stópki i niemowlę zaczęło płakać. Pani Bidwell niespokojnie spojrzała

w górę, w stronę pokoju chorego syna, potem podeszła do kołyski i wzięła maleństwo na ręce. W tej właśnie chwili na schodach rozległy się kroki i do salonu zeszła Louisa Bidwell. Początkowo Elizabeth nie poznała dziewczyny, która, odkąd pani Darcy odwiedzała dom w lesie jako kasztelanka z Pemberley, stanowiła obraz zdrowia i szczęśliwej młodości: rumiane policzki, żywe oczy, świeża jak wiosenny poranek, w dopiero co wyprasowanym stroju roboczym. Teraz, blada i wychudzona, wyglądała na dziesięć lat starszą. Ściągnięte w tył, nieuczesane włosy odsłaniały twarz pobrużdżoną od trosk i ze zmęczenia. Sukienkę do pracy miała poplamioną mlekiem. Bez słowa pozdrowiwszy Elizabeth szybkim skinieniem głowy, niemal wyrwała niemowlę z rąk matki i powiedziała:

– Zabiorę go do kuchni, żeby nie obudził Willa. Nastawię dla niego mleko i ten drobny kleik, matko. Może tym go skuszę.

Po tych słowach zniknęła. Pragnąc przerwać milczenie, Elizabeth powiedziała:

– Nowy wnuk to z pewnością wielka radość, ale też odpowiedzialność. Jak długo tu będzie? Pewnie jego matka zechce zabrać go z powrotem do siebie.

– Owszem, pani. Will bardzo się ucieszył na widok maleństwa, ale nie lubi płaczu, choć to zwykła rzecz, kiedy niemowlak jest głodny.

– Kiedy wróci do domu? – spytała Elizabeth.

– W przyszłym tygodniu, pani. Mąż mojej starszej córki, Michael Simpkins, dobry człowiek, jak pani wiadomo, odbierze ich z powozu pocztowego w Birmingham i odwiezie małego do domu. Ma nas powiadomić, który dzień będzie dla niego dogodny. Michael Simpkins jest zajęтым człowiekiem i niełatwo jest mu opuścić sklep, ale on i moja córka bardzo chcą mieć Georgiego z powrotem w domu – napięcie w głosie pani Bidwell było bardzo wyraźne.

Elizabeth wyczuła, że nadszedł czas, aby się pożegnać. Uczyniwszy to, ponownie wysłuchała podziękowań pani Bidwell, a gdy wyszła, drzwi Woodland Cottage zamknęły się za nią natychmiast. Obraz oczywistego nieszczęścia wprowił Elizabeth w przygnębienie; czuła zamęt w umyśle. Dlaczego propozycja, aby Bidwellowie przenieśli się do Pemberley, wywołała taki niepokój? Czyżby oferta została odebrana jako nietaktowna sugestia, że umierający chłopiec otrzyma w Pemberley lepszą opiekę, niż matka mogła mu zapewnić w domu? Nic dalszego od zamiarów Elizabeth. Czy pani Bidwell naprawdę czuła, że podróż mogłaby zabić jej syna? Ale czy rzeczywiście istniało takie ryzyko, skoro Willa, starannie otulonego, można transportować na noszach, a doktor McFee asystowałby na każdym

centymetrze podróży? Nie brano pod uwagę żadnej innej ewentualności. Perspektywa przeprowadzki chyba bardziej zaniepokoiła panią Bidwell niż domniemana obecność mordercy w lesie. Elizabeth nabrała podejrzeń graniczących z pewnością, ale nie mogła się nimi podzielić z towarzyszami, zresztą obawiała się, czy stosowne będzie dzielenie się nimi z kimkolwiek. Ponownie pomyślała, jak żałuje, że Jane nie ma w Pemberley, choć oczywiście wyjazd Bingleyów był konieczny. Miejsce Jane było przy dzieciach, a i dla Lydii takie rozwiązanie było odpowiedniejsze, bo przynajmniej mogła odwiedzać męża w więzieniu. Elizabeth odczuwała rodzaj ulgi, że Pemberley stało się spokojniejszym miejscem bez gwałtownych wahań nastrojów młodszej siostry, jej nieustannych utyskiwań i skarg.

Elizabeth, zatopiona w kłębowisku myśli i uczuć, przestała na chwilę zwracać uwagę na dwoje towarzyszy. Teraz ujrzała, że spacerują razem skrajem polany i zerkają na nią, jakby zastanawiali się, kiedy się ruszy. Elizabeth oderwała się od rozmyślań i podeszła do tamtych. Wyjmując zegarek, oznajmiła:

– Do powrotu landoletu mamy dwadzieścia minut. Skoro wyszło słońce, może posiedźmy trochę przed drogą powrotną?

Ława stała tyłem do domu, przed odległym zboczem schodzącym ku rzece. Elizabeth i Georgiana usadowiły się na jednym jej końcu, Alveston zaś na drugim, wyciągając przed siebie nogi, z dłońmi splecionymi za głową. Ponieważ jesienny wiatr ogołocił wiele drzew z liści, w oddali widniała lśniąca linia oddzielająca rzekę od nieba. Czy właśnie widok wody skłonił pradziada Georgiany do wybrania tego miejsca? Po pierwotnej ławie nie został ślad, ale nowa, wykonana przez Willa, była solidna i wcale wygodna. Obok niej, na wpół ją zakrywając, rosła gęstwina krzewów z czerwonymi jagodami oraz krzak o grubych liściach i białych kwiatach, którego nazwy Elizabeth nie mogła sobie przypomnieć.

Po kilku minutach Alveston zwrócił się do Georgiany:

– Czy twój pradziadek mieszkał tu stale, czy tylko chronił się tu okresowo przed obowiązkami wielkiego domu?

– Och, mieszkał tu przez cały czas. Kiedy wybudował dom w lesie, wprowadził się do niego bez służącego i bez kucharki. Co pewien czas zostawiano mu jedzenie, ale on i pies Żołnierz pragnęli przebywać tylko w swoim towarzystwie. Jego styl życia wywołał wielki skandal, nawet rodzina nie okazała zrozumienia. Darcy mieszkający gdziekolwiek poza Pemberley: to wyglądało na zrzeczenie się

obowiązków. Później Żołnierz się zestarzał i zachorował, pradziadek zastrzelił najpierw jego, potem siebie. W zostawionym liście prosił, żeby pochować ich razem, i rzeczywiście powstał grób z nagrobkiem, ale tylko dla Żołnierza. Rodzina była przerażona tym, że Darcy chciał spocząć w niepoświęconej ziemi, możecie sobie wyobrazić, co myślał o tym duchowny z tutejszej parafii. Tak więc pradziadek spoczywa w grobie rodzinnym, a Żołnierz w lesie. Zawsze żał mi było pradziadka, więc w dzieciństwie chodziłam z guwernantką i kładłam na grobie kwiaty albo jagody. Po prostu wyobrażałam sobie, że pradziadek leży tam razem z Żołnierzem. Kiedy moja matka dowiedziała się o tym, guwernantkę zwolniono, a mnie zakazano chodzić do lasu.

– Tobie zakazano, ale twojemu bratu nie – powiedziała Elizabeth.

– Nie, nie Fitzwilliamowi. Ale on jest o dziesięć lat starszy ode mnie, był już duży, kiedy byłam małą dziewczynką, zresztą chyba nie czuł wobec pradziadka tego co ja.

Po chwili milczenia Alveston powiedział:

– Czy grób wciąż tam jest? Jeśli chcesz, mogłabyś tam zanieść kwiaty, przecież nie jesteś już mała.

Elizabeth odniosła wrażenie, że słowa Alvestona sugerują więcej niż tylko odwiedziny na grobie psa.

– To byłoby miłe – odparła Georgiana. – Nie odwiedzałam grobu, odkąd skończyłam jedenaście lat. Chętnie sprawdzę, czy cokolwiek tam się zmieniło, choć to mało prawdopodobne. Znam drogę, to niedaleko od ścieżki, więc nie spóźnimy się na landolet.

Cała trójka ruszyła: Georgiana pokazywała drogę, Alveston z Pompeyem szedł nieco z przodu, by wydeptywać pokrzywy i odsuwać gałęzie ze ścieżki. Georgiana niosła bukiet kwiatów, które zerwał dla niej Alveston. Zadziwiające, jak wiele jasności, jak wiele wiosennych wspomnień przywoływały kwiatki zebrane w słoneczny październikowy dzień. Alveston znalazł białe jesienne kwiaty na twardych łodygach, trochę jagód, soczyste czerwonych, ale jeszcze niegotowych, by spaść, parę liści ze złocistymi żyłkami. Nikt się nie odzywał. Elizabeth, osaczona przez troski, zastanawiała się, czy ta krótka wyprawa jest rozsądna, choć nie dostrzegała przeciwwskazań. W tym dniu każde zdarzenie wykraczające poza normalny tryb było podszyte niepokojem, jakimś zagrożeniem.

Wtedy właśnie Elizabeth zauważyła, że w ostatnim czasie ktoś musiał chodzić

ścieżką. Gdzieniedzie cieńsze gałęzie i gałązki były połamane; w jednym miejscu, gdzie ziemia nieco się nachylała, Elizabeth odniosła wrażenie, że widzi w pulpie liści odcisk ciężkiej stopy. Ciekawiło ją, czy Alveston też to zauważył, ale nic nie powiedziała, a po kilku minutach wydostali się z poszycia i wyszli na polankę okoloną bukami. Na środku widniał granitowy nagrobek około półmetrowej wysokości, z lekko zaokrąglonym szczytem. Grobu nie było, a kamień, połyskujący w słabym słońcu, wyglądał tak, jakby samoistnie przedarł się przez ziemię. W milczeniu przeczytali wyryte słowa: *Żołnierz. Wierny do śmierci. Zmarł tu razem ze swym panem trzeciego listopada 1735 roku.*

Georgiana podeszła bez słowa i położyła wiązanekę u dołu kamienia. Przez chwilę stali i patrzyli, w końcu powiedziała:

– Biedny pradziadek. Żałuję, że go nie znałam. Kiedy byłam mała, nikt o nim nigdy nie mówił, nawet ludzie, którzy go pamiętali. Pradziadek stał się zakałą rodziny, Darcym, który zniesławił własne imię, przedkładając szczęście osobiste nad publiczne obowiązki. Więcej nie będę przychodzić na ten grób. W końcu jego ciała tu nie ma. To była tylko dziecinna fantazja, że pradziadek może się dowiedzieć, że o niego dbam. Mam nadzieję, że zaznał szczęścia w samotności. Przynajmniej udało mu się uciec.

Elizabeth zastanowiło, przed czym uciekał, ale spieszno jej było, by wracać do landoletu.

– Chyba czas już wracać – powiedziała. – Pan Darcy może wkrótce wrócić od Wickhama i zacznie się martwić, jeśli wciąż będziemy w lesie.

Wąską, zasłaną liśćmi ścieżką ruszyli do drogi, gdzie miał czekać landolet. Choć w lesie przebywali niespełna godzinę, jasna obietnica popołudnia zdążyła zblednąć, a Elizabeth, która nigdy nie przepadała za spacerowaniem w zamkniętej przestrzeni, czuła, że zarośla i drzewa napierają na nią jak czyjaś fizyczna obecność. W nosie nadal czuła woń choroby; serce ścisnęło jej się z żalu na myśl o niedoli pani Bidwell i braku nadziei dla Willa. Po dotarciu do głównej drogi szli ramię w ramię, dopóki szerokość na to pozwalała, kiedy zaś droga się zwężyła, Alveston objął prowadzenie i szedł z Pompeyem kilka kroków z przodu, spoglądając na ziemię, potem na prawo i lewo, jakby w poszukiwaniu wskazówek. Elizabeth wiedziała, że wolałby ująć Georgianę pod ramię, ale nie pozwoliłby żadnej z pań iść samotnie. Georgiana również milczała, może trapiąca tymi samymi złymi przeczuciami.

Nagle Alveston stanął i szybko podszedł do dębu. Coś najwyraźniej przykuło



jego uwagę. Kobiety dołączyły do niego i zobaczyły litery F. D-Y wycięte na korze, około stu dwudziestu centymetrów od ziemi.

Rozejrzawszy się, Georgiana powiedziała:

– Czy na tamtym ostrokrzewie nie widać podobnego nacięcia?

Po szybkim sprawdzeniu okazało się, że na dwóch innych pniach także widnieją inicjały.

– To nie wygląda na tradycyjny podpis kochanka. W przypadku kochanków wystarczą inicjały. Ktokolwiek wyrył te litery, chciał, aby nie ulegało wątpliwości, że oznaczają Fitzwilliama Darcy'ego.

– Ciekawe, kiedy je wyryto – powiedziała Elizabeth. – Wyglądają na dość świeże.

– Napisy z pewnością wyryły dwie osoby w przeciągu ostatniego miesiąca – stwierdził Alveston. – Litery F i D są dość płytkie, mogła je wyciąć kobieta, ale myślnik oraz Y są całkiem głębokie, prawie na pewno wykonano je ostrzejszym narzędziem.

– Nie wierzę, by ten napis wyciął kochanek – powiedziała Elizabeth. – Według mnie wykonał go nieprzyjaciel, kierując się wrogimi zamiarami. Tych liter nie wycięto z miłości, ale z nienawiści.

Wypowiedziawszy te słowa, zaczęła się zastanawiać, czy rozsądnie było niepokoić Georgianę, ale Alveston rzekł:

– Myślę, że te inicjały mogą oznaczać Denny'ego. Czy znamy jego imię?

Elizabeth próbowała sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszała je w Meryton; w końcu powiedziała:

– Chyba Martin, może Matthew, policja na pewno będzie wiedziała. Z pewnością skontaktowali się z jego krewnymi, o ile ich miał. Ale z tego, co wiem, przed piątkiem Denny nigdy nie był w tym lesie, a już na pewno nie odwiedzał Pemberley.

Alveston odwrócił się, by ruszyć dalej, mówiąc:

– Po powrocie do domu doniesiemy o tym, trzeba będzie powiadomić policję. Jeśli konstable przeszukali las, jak należało, może znaleźli już te napisy i wyciągnęli wnioski co do ich znaczenia. Tymczasem mam nadzieję, że nie będziecie się niepotrzebnie frasować. To może być niewinna psota; może zakochana dziewczyna z jednej z chałup albo służąca strojąca sobie niemądre, lecz nieszkodliwe żarty.

Elizabeth to nie uspokoiło. Bez słowa oddaliła się od drzewa, a Georgiana i Alveston pospieszyli razem z nią. W milczeniu, którego żadne nie chciało przerywać, Elizabeth i Georgiana znów kroczyły leśną ścieżką za Alvestonem do

oczekującego landoletu. Posępny nastrój Elizabeth najwyraźniej udzielił się towarzyszom. Wreszcie Alveston pomógł paniom wsiąść do powozu, zamknął drzwiczki, dosiadł konia i ruszyli w stronę domu.

Lokalne więzienie w Lambton, w przeciwieństwie do tego w Derby, budziło większą grozę od zewnątrz niż od środka, może dlatego, że jego budowie przyświecał zamysł, iż lepiej zaoszczędzi się publiczne pieniądze, odstrasząc potencjalnych przestępców, niż odbierając im nadzieję, kiedy znajdą się za kratami. Darcy znał to więzienie, ponieważ niekiedy bywał w nim jako sędzia pokoju. Najbardziej utkwiała mu w pamięci wizyta przed ośmioma laty, gdy niezrównoważony psychicznie aresztant się powiesił, a naczelnik więzienia wezwał jedyne go dostępnego sędziego pokoju, by obejrzał ciało. Po tym doznaniu wieszanie ludzi już zawsze budziło w Darcym grozę, a ilekroć odwiedzał więzienie, przypominał sobie wyraźnie dyndające zwłoki i wyciągnięty stryczek. Dzisiaj ów obraz nabrał szczególnej mocy. Naczelnik więzienia i jego zastępca nie byli wolni od ludzkich uczuć, a choć żadnej z cel nie dało się nazwać przestronną, więźniów nie maltretowano, ci zaś, których stać było na jedzenie i picie, mogli dość wygodnie podejmować gości i nie mieli się na co uskarżać.

Ponieważ Hardcastle stanowczo twierdził, że Darcy nie powinien odwiedzać Wickhama przed przeprowadzeniem śledztwa, jak zwykle serdeczny Bingley zaproponował, że sam się tego podejmie. Odwiedził więźnia w poniedziałek rano po tym, jak zadbano o najpilniejsze potrzeby Wickhama i przekazano mu dość pieniędzy, by mógł kupować jedzenie i inne wygody, czyniące pobyt w więzieniu znośnym. Jednak po pewnym namyśle Darcy uznał, że powinien odwiedzić szwagra choć raz przed rozpoczęciem śledztwa. Gdyby tego nie uczynił, w Lambton i wiosce Pemberley odczytano by to jako wyraźny znak, że wierzy w winę Wickhama, a właśnie z parafii Lambton i Pemberley zamierzano powołać ławników. Niewykluczone, że będzie musiał zeznawać jako świadek oskarżenia, ale mógł przynajmniej cicho zademonstrować swoje przekonanie o niewinności Wickhama. Darcy'emu przyświecały też bardziej osobiste powody: niezmiernie zależało mu na tym, aby nie snuto publicznie domysłów co do przyczyn nieutrzymywania stosunków między rodzinami, wtedy bowiem mogłaby wyjść na jaw dawna sprawa planowanej ucieczki Georgiany z Wickhamem. Wizyta Darcy'ego w więzieniu była słuszna i tego właśnie po nim oczekiwano.

Bingley twierdził, że zastał Wickhama w ponurym nastroju. Więzień nie chciał współpracować, raz po raz obrzucał inwektywami sędziego pokoju i policję, żądał zdwojenia wysiłków w celu odkrycia, kto zamordował jego najważniejszego – i w zasadzie jedyne – przyjaciela. Dlaczego siedział w więzieniu, dlaczego nadal nie znaleziono winnego? Czemu policja zakłócała mu sen i nękała głupimi, zbędnymi pytaniami? Pytali, po co odwrócił Denny'ego. Oczywiście po to, by zobaczyć jego twarz, to było całkowicie naturalne postępowanie. Nie, nie zauważył rany na głowie Denny'ego, pewnie zakrywały ją włosy, zresztą był zbyt pomieszany, by zwracać uwagę na szczegóły. Pytano go też, co robił po usłyszeniu strzałów, a przed znalezieniem ciała przez ekipę poszukiwawczą. Otóż potykając się, szedł przez las i próbował schwytać zabójcę, zresztą tym właśnie powinni się zajmować, zamiast nękać niewinnego człowieka.

Dzisiaj Darcy zastał kogoś zupełnie innego. Wickham, w czystym ubraniu, ogolony i uczesany, przyjął go jak u siebie, czyniąc łaskę niezbyt mile widzianemu gościowi. Darcy przypomniał sobie, że szwagier zawsze był osobą chimeryczną; teraz poznawał dawnego Wickhama, przystojnego, pewnego siebie i bardziej skłonnego, by sycić się rozgłosem, niż postrzegać swą sytuację w kategoriach hańby. Bingley dostarczył rzeczy, o które prosił: tytoń, kilka koszul i krawatów, pantofle, zapiekanki z Highmarten, mające wzbogacić jedzenie kupowane dla niego w miejscowej piekarni, papier i atrament, ponieważ Wickham zamierzał opisać zarówno swój udział w kampanii irlandzkiej, jak i głęboką niesprawiedliwość uwięzienia; był przekonany, że taka osobista relacja spotka się z zainteresowaniem czytelników. Panowie nie rozmawiali o przeszłości. Darcy nie potrafił się wyzwolić spod jej władzy, ale Wickham żył chwilą obecną, optymistycznie patrzył w przyszłość, przeszłość zaś wymyślał na nowo ku zadowoleniu słuchaczy. Darcy mógł niemal uwierzyć, że szwagier na razie całkowicie wymazał z pamięci to, co najgorsze.

Wickham powiedział, że poprzedniego wieczoru Bingleyowie przywieźli z Highmarten Lydię, ale podczas odwiedzin zachowywała się w sposób tak nieopanowany, biadoliła i łkała, że cała sytuacja stała się zbyt przygnębiająca, by dało się ją tolerować. Wickham wydał więc polecenie, by odtąd wpuszczać Lydię wyłącznie na jego życzenie i tylko na kwadrans. Więzień miał przy tym nadzieję, że kolejna wizyta nie będzie potrzebna; śledztwo zaplanowano na środę na jedenastą, więc liczył na to, że do tego czasu zostanie zwolniony. Już wyobrażał sobie

triumfalny powrót swój i Lydii do Longbourn oraz gratulacje dawnych przyjaciół z Meryton. O Pemberley w ogóle nie myślał, może dlatego, że nawet w stanie euforii Wickham raczej nie oczekiwał, że zostanie tam zaproszony, zresztą tego nie chciał. Darcy przewidywał, że jeśli szwagier zostanie zwolniony, dołączy do Lydii w Highmarten, po czym ruszą w dalszą drogę do hrabstwa Hertford. Obarczanie Jane i Bingleya obecnością Lydii choćby o dzień dłużej wydawało się niesprawiedliwe, ale wszystko to będzie można ustalić, jeśli rzeczywiście dojdzie do zwolnienia. Darcy pragnął podzielać pewność Wickhama.

Darcy został w więzieniu tylko pół godziny, otrzymał listę rzeczy do przyniesienia nazajutrz, po czym odszedł, proszony przez Wickhama o przekazanie pozdrowień dla pani i panny Darcy. Wychodząc z więzienia, myślał o tym, że widok Wickhama, który nie pograża się już w pesymizmie i samooskarżeniach, sprawił mu ulgę, ale wizyta wywołała w nim poczucie skrępowania i osobliwego przygnębienia.

Darcy wiedział, że jeśli proces potoczy się na korzyść oskarżonego, będzie musiał, przynajmniej przez jakiś czas, utrzymywać George'a i Lydię. Wickhamowie zawsze żyli ponad stan, toteż Darcy podejrzewał, że niewystarczające dochody uzupełniali zasiłkami od Elizabeth i Jane. Jane zapraszała czasem Lydię do Highmarten. Wickham, głośno utyskując na stronie, zabawiał się w okolicznych gospodach. Nowiny o małżeństwie najmłodszej siostry Elizabeth czerpała właśnie od Jane. Na żadnej z posiad, jakie Wickham obejmował po wystąpieniu z wojska, nie utrzymywał się zbyt długo. Ostatnio próbował zarabiać u sir Waltera Elliota, baroneta, którego rozrzutność doprowadziła do tego, że musiał wynająć dom obcym i przenieść się z dwiema córkami do Bath. Młodsza, Anne, wyszła szczęśliwie i korzystnie za mąż za kapitana marynarki wojennej, obecnie zasłużonego admirała, ale starsza, Elizabeth, wciąż szukała męża. Baronet, rozczarowany Bath, uznał, że jego sytuacja finansowa jest wystarczająco dobra, by wrócić do domu, wymówił więc lokatorom i zatrudnił Wickhama w charakterze sekretarza, aby asystował mu w przeprowadzce. Po sześciu miesiącach Wickham został zwolniony. Kiedy do Jane docierały przygnębiające wieści o publicznych niesnaskach lub, co gorsza, kłótniach Wickhamów, zawsze przyjmowała rolę rozjemczyni i starała się wykazać, że żadna ze stron nie ponosi wielkiej winy. Gdy jednak szczegóły ostatniego niepowodzenia Wickhama dotarły do bardziej sceptycznej z sióstr, Elizabeth nabrała podejrzeń, że panna Elliot niepokoiła się reakcjami na otwarte

flirty Lydii, natomiast przymilanie się Wickhama spotkało się najpierw z pewną zachętą ze strony panny Elliot, zrodzoną z nudy i próżności, w końcu z niesmakiem.

Po wyjeździe z Lambton dobrze było głęboko odetchnąć chłodnym, świeżym powietrzem, uwolnić się od więziennego smrodu ciał, jedzenia i taniego mydła, odgłosu przekręcanych kluczy. Z poczuciem ulgi i satysfakcją, że sam nigdy nie przeżył niewoli, Darcy skierował konia w stronę Pemberley.

W Pemberley panowała taka cisza, jakby dom był niezamieszkały; najwyraźniej Elizabeth i Georgiana jeszcze nie wróciły. Ledwie Darcy zsiadł z wierzchowca, jeden z chłopców stajennych wyszedł zza węgła domu i wziął od niego konia. Darcy wrócił chyba wcześniej, niż się go spodziewano, bo nikt nie oczekiwał w drzwiach. Wszedłszy do cichego holu, ruszył do biblioteki, gdzie miał nadzieję zastać pułkownika niecierpliwie czekającego na wieści. Ku swemu zdziwieniu ujrzał jednak tylko pana Benneta, usadowionego przy ogniu w fotelu z wysokim oparciem i pogrążonego w lekturze „Edinburgh Review”. Sądząc po pustym kubku i brudnym talerzu na stoliku, gościa poczęstowano po podróży. Po chwilowym zawahaniu wywołanym zdziwieniem Darcy uzmysłowił sobie, że ogromnie się cieszy widokiem niespodziewanego gościa, więc gdy pan Bennet wstał z fotela, serdecznie uścisnął mu dłoń.

– Proszę sobie nie przeszkadzać, sir. Bardzo się cieszę, że pana widzę. Mam nadzieję, że zadbano o pana?

– Jak pan widzi. Stoughton okazał się sprawny jak zwykle, widziałem też pułkownika Fitzwilliama. Po przywitaniu się ze mną powiedział, że skorzysta z mojego przybycia i wypuści się na konną przejażdżkę. Odniosłem wrażenie, że zamknięcie w tym domu jest dla niego nieco uciążliwe. Powitała mnie też szanowna pani Reynolds, która zapewniła mnie, że mój pokój zawsze na mnie czeka.

– Kiedy pan przyjechał?

– Około czterdziestu minut temu. Wynająłem kariolkę. Nie jest to najwygodniejszy sposób odbywania dalekich podróży. Zamierzałem przyjechać powozem, jednak pani Bennet zaproponowała, że powóz jest jej potrzebny, ponieważ o niefortunnym położeniu Wickhama chce powiadomić panią Philips, Lucasów oraz wielu innych zainteresowanych w Meryton. Posługiwanie się wynajętą kariołką uwłaczałoby nie tylko pani Bennet, ale całej rodzinie. Ponieważ postanowiłem porzucić ją w tym jakże kłopotliwym okresie, nie mogłem dodatkowo pozbawić jej przedmiotu dodającego większej otuchy: tak więc pani Bennet ma powóz. Nie zamierzam dokładać wam pracy tym niezapowiedzianym przyjazdem, pomyślałem jednak, że przyda się panu jeszcze jeden mężczyzna w domu, kiedy ma pan na

głowie policję i trapi się sytuacją Wickhama. Elizabeth pisała mi w liście, że pułkownika wezwą pewnie wkrótce obowiązki wojskowe, a młody Alveston wyjedzie do Londynu.

– Mają wyjechać po śledztwie, które, jak słyszałem w niedzielę, ma się odbyć jutro – odparł Darcy. – Pańska obecność będzie pociechą dla dam, a mnie doda otuchy. Pułkownik Fitzwilliam powiadomił pana pewnie o szczegółach aresztowania Wickhama.

– Zwięźle, ale niewątpliwie dokładnie. Ktoś mógłby sądzić, że składa raport wojskowy. O mały włos nie zasalutowałem. Salutowanie to chyba właściwy termin, nie mam doświadczenia w sprawach wojskowych. Najwyraźniej mąż Lydii swoim ostatnim wybrykiem zdołał dostarczyć masom rozrywki, a jednocześnie przysporzyć rodzinie jak największego zakłopotania. Pułkownik wspominał, że odwiedził pan więźnia w Lambton. Jakie zrobił na panu wrażenie?

– Jest dobrej myśli. Kontrast między jego obecnym wyglądem a tym z dnia tuż po napaści na Denny'ego jest nadzwyczajny, ale oczywiście wtedy Wickham znajdował się pod wpływem alkoholu i był w silnym szoku. Teraz odzyskał zarówno odwagę, jak i urodę. Do wyniku śledztwa podchodzi z niezwykłym optymizmem, zresztą Alveston uważa, że ma po temu powody. Brak jakiegokolwiek bronii przemawia mocno na korzyść Wickhama.

Panowie usiedli. Darcy zauważył, że pan Bennet zerkał w stronę „Edinburgh Review”, ale oparł się pokusie, by wrócić do lektury. Zamiast tego rzekł:

– Chciałbym, żeby Wickham zdecydował się, jak pragnie być postrzegany przez świat. Kiedy się zenił, był nieodpowiedzialnym, lecz uroczym porucznikiem milicji, uwodził nas wszystkich, uśmiechając się głupawo, jakby wnosił do małżeństwa trzy tysiące rocznie i atrakcyjną posiadłość. Później, przyjąwszy stopień oficerski, przeobraził się w człowieka czynu i bohatera narodowego – była to z pewnością zmiana na lepsze, która bardzo przypadła do gustu pani Bennet. Teraz z kolei mamy uważać, że jest unurzany w zbrodni i może skończyć jako bohater publicznego widowiska, choć mam nadzieję, że ryzyko jest niewielkie. Wickham zawsze szukał złej sławy, ale raczej nie takiej, jaka obecnie mu grozi. Nie wierzę, że popełnił morderstwo. Z tego, co mi wiadomo, jego wykroczenia, choć kłopotliwe dla ofiar, nie obejmowały przemocy wobec samego siebie czy innych.

– Nie możemy zajrzeć w umysł drugiego człowieka, ale wierzę, że jest niewinny, i dopilnuję, by dostał najlepszą pomoc prawną – powiedział Darcy.



– To wielka szczodrość z pana strony, a podejrzewam, choć nie posiadam niezbitych dowodów, iż nie jest to pierwszy akt hojności, jaki moja rodzina panu zawdzięcza. – Nie czekając na odpowiedź, szybko zmienił temat: – Pułkownik Fitzwilliam poinformował mnie, że Elizabeth i panna Darcy podjęły się akcji dobroczynnej i zanosły kosz z wiktuałami rodzinie dotkniętej nieszczęściem. Kiedy mają wrócić?

– Już powinny być w drodze powrotnej – powiedział Darcy, wyjmując zegarek. – Jeśli ma pan ochotę na trochę ruchu, może zechce mi pan towarzyszyć podczas spaceru do lasu? Wyjdziemy im na spotkanie.

Chociaż pan Bennet znany był z tego, że preferował siedzący tryb życia, chętnie zrezygnował z radości lektury „Review” i miłego kominka w bibliotece na rzecz przyjemności zaskoczenia córki. Właśnie wtedy pojawił się Stoughton z przeprosinami za to, że nie czuwał przy drzwiach, kiedy wrócił pan. Darcy’emu było równie spieszno jak gościowi, by zobaczyć nadjeżdżający landolet. Gdyby uważał, że wyprawa pań jest w jakikolwiek sposób niebezpieczna, nie wyraziłby na nią zgody. Doskonale wiedział, że Alveston jest godny zaufania i zaradny, ale od zabójstwa Denny’ego zżerał go niesprecyzowany, może też irracjonalny niepokój, ilekroć żona znikła mu z oczu, toteż z ulgą ujrzał, jak landolet zwalnia i staje pięćdziesiąt metrów od wejścia. Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo cieszy się na widok pana Benneta, póki nie zobaczył Elizabeth, która pospiesznie wysiadła i podbiegła do ojca z okrzykiem:

– Och, ojczy, jak dobrze cię widzieć!

Pan Bennet wziął córkę w objęcia.

Śledztwo odbyło się w dużej sali King's Arms, którą dobudowano przed ośmiu laty do istniejącego już zajazdu. Miała pomieścić lokalne imprezy, w tym tańce, zawsze określane szumnym mianem balu. Początkowy entuzjazm i duma miejscowych zagwarantowały powodzenie sali balowej, jednak w ciężkich czasach wojny i niedostatku brakowało pieniędzy oraz ochoty do zabaw, toteż sala, gdzie obecnie odbywały się głównie oficjalne zebrania, rzadko się wypełniała. Zazwyczaj panowała tu nieco przygnębiająca atmosfera opuszczenia, jaka towarzyszy miejscu przeznaczonemu na wspólne działania. Oberżysta Thomas Simpkins i jego żona Mary poczynili przygotowania do wydarzenia, które musiało przyciągnąć szerszą publiczność, a tym samym przyczynić się do zysków z baru. Na znajdującym się na prawo od drzwi podeście, zdolnym pomieścić niewielką orkiestrę taneczną, ustawiono imponujący drewniany fotel z baru oraz cztery mniejsze krzesła, po dwa z każdej strony, dla sędziów pokoju oraz innych miejscowych notabli, którzy zechcą przybyć. Wszystkie inne krzesła dostępne w zajeździe również spożytkowano, a pstrokata kolekcja świadczyła o tym, że nawet sąsiedzi dołożyli swoje. Spóźnialscy mieli stać.

Darcy zdawał sobie sprawę, że koroner miał wysokie mniemanie o własnej pozycji i obowiązkach, toteż rad był zobaczyć pana Pemberley przybywającego oficjalnie powozem. Sam Darcy wolałby przyjechać konno, jak zamierzali uczynić pułkownik i Alveston, ale poszedł na kompromis i wziął kariolkę. Wszedłszy do sali, zobaczył, że jest już sporo ludzi, a typowe pogwarki wydały mu się raczej zgnębione niż pełne wyczekiwania. Na widok Darcy'ego ludzie umilkli, zaczęli poprawiać włosy, rozległy się ciche powitania. Nikt, nawet żaden z jego dzierżawców, nie wystąpił do przodu, jak zrobiliby to normalnie, Darcy uznał jednak, że był to nie tyle afront, ile przekonanie ludzi, iż uczynienie pierwszego kroku jest jego przywilejem.

Darcy rozejrzał się za wolnymi miejscami na tyłach, takimi, które mógłby zająć wraz z pułkownikiem i Alvestonem, ale w tej właśnie chwili zaczął się harmider w progu. Spory wiklinowy fotel kąpielowy, z małym kółkiem z przodu oraz dwoma większymi kołami z tyłu, z trudem przeciskano przez drzwi. Na fotelu siedział z godnością doktor Josiah Clitheroe, z prawą nogą wspartą na wysuniętej desce

i stopą misternie owiniętą białym lnianym bandażem. Ludzie siedzący z przodu szybko się ulotnili, po czym doktora Clitheroe przepchnięto, nie bez kłopotów, ponieważ kółeczko, szaleńczo skręcając na boki, stawiało opór. Krzesła po obu stronach doktora niezwłocznie zwolniono, na jednym Clitheroe położył cylinder, po czym gestem zaprosił Darcy'ego, by usiadł na drugim. Wokół nich nikt nie siedział, mieli więc okazję poufnie porozmawiać.

– Nie sądzę, by to miało trwać cały dzień – powiedział doktor Clitheroe. – Jonah Makepeace nad wszystkim zapanuje. To trudna sprawa dla pana, Darcy, i, rzecz jasna, dla pani Darcy. Dobrze się miewa, jak tuszę.

– Owszem, sir, z radością spieszę donieść, że tak.

– Oczywiście nie może pan uczestniczyć w śledztwie w tej sprawie, ale Hardcastle z pewnością informuje pana o postępach.

– Powiedział tyle, ile uznał za stosowne – odparł Darcy. – Jego położenie również jest dość skomplikowane.

– Cóż, nie powinien być zbyt ostrożny. Ma obowiązek informować naczelnego konstabla, a także konsultować się ze mną w razie potrzeby, choć wątpię, czy bardzo się przydam. Hardcastle, naczelnik Brownrigg i konstabl Mason chyba panują nad sytuacją. Rozumiem, że rozmawiali ze wszystkimi w Pemberley i są zadowoleni z waszych alibi. Trudno się dziwić: w przeddzień balu lady Anne ludzie mają ciekawsze sprawy na głowie niż zakradanie się do lasu Pemberley w morderczych zamiarach. Jak słyszałem, lord Hartlep również ma alibi, więc przynajmniej on i pan możecie być wolni od niepokoju. Ponieważ jeszcze nie jest parem, w razie gdyby postawiono go w stan oskarżenia, nie byłoby konieczności sądenia go w Izbie Lordów, co stanowi barwną, lecz kosztowną procedurę. Z pewnością też ucieszy pana wiadomość, że Hardcastle zdołał odszukać krewną kapitana Denny'ego przez pułkownika z jego regimentu. Najwyraźniej Denny miał tylko jedną krewną, starą ciotkę z Kensington, którą rzadko odwiedzał, ale która udzielała mu wsparcia finansowego. Kobieta ma blisko czterdzieści lat, jest zbyt stara i słaba, by osobiście interesować się wydarzeniami, poprosiła jednak, aby ciało Denny'ego, wydane już przez koronera, przetransportować do Kensington na pogrzeb.

– Jeśli Denny zginąłby w lesie z wiadomej ręki lub w wyniku wypadku, stosowne byłoby pewnie, gdybyśmy, pani Darcy bądź ja, wysłali list kondolencyjny, ale w zaistniałej sytuacji może byłoby to nierozważne czy wręcz niemile widziane.

Dziwne, jakie skutki towarzyskie pociągają za sobą tak straszne i osobliwe wydarzenia. Dobrze, jeśli przekaże pan tę wiadomość; to będzie wielka ulga dla pani Darcy. Co z dzierżawcami z majątku? Niezbyt uśmiecha mi się wypytywanie Hardcastle'a; czy wszyscy mają alibi?

– Tak przypuszczam. Większość przebywała w domach, ci zaś, którzy nawet w burzową noc nie mogą się oprzeć wyprawie do miejscowej gospody, przedstawili wręcz nadmiar świadków. Część z nich była trzeźwa w chwili przesłuchania i można im ufać. Najwyraźniej nikt nie widział ani nie słyszał w okolicy żadnego nieznanego. Wie pan oczywiście, że kiedy Hardcastle odwiedził Pemberley, dwie młode głupie dziewczyny zatrudnione jako pokojówki wyjechały z historią o duchu pani Reilly wędrującym po lasach. Zgodnie z przesądem duch ukazuje się w nocy podczas pełni księżyca.

– To stary przesąd – powiedział Darcy. – Później usłyszeliśmy, że dziewczyny wyprawiły się do lasu w wyniku zakładu, ale Hardcastle nie potraktował ich poważnie. Wtedy sądziłem, że mogły mówić prawdę i tej nocy w lesie rzeczywiście była jakaś kobieta.

– Naczelnik Brownrigg rozmawiał z pokojówkami w obecności pani Reynolds – odparł Clitheroe. – Z uporem twierdziły, że dwa dni przed morderstwem widziały w lesie ciemną kobietę, która pogroziła im, po czym znikła wśród drzew. Dziewczyny zarzekają się, że nie była to żadna z kobiet z leśnego domu, choć trudno stwierdzić, skąd mogą mieć pewność, skoro kobieta była ubrana na czarno i rozplynęła się, gdy tylko jedna z pokojówek krzyknęła. Jeśli nawet w lesie była kobieta, nie ma to wielkiego znaczenia. Tej zbrodni nie popełniła kobieta.

– Czy Wickham współpracuje z Hardcastle'em i policją? – spytał Darcy.

– Słyszałem, że wypowiada się chaotycznie: czasami sensownie udziela odpowiedzi na pytania, czasem protestuje, że jest niewinnym człowiekiem nękanym przez policję. Oczywiście wie pan, że w kieszeni jego kurtki znaleziono trzydzieści funtów w banknotach. Wickham stanowczo odmawia wyjaśnień, jak wszedł w posiadanie tej kwoty; mówi tylko, że była to pożyczka mająca mu pozwolić na spłacenie długu honorowego. Solennie przysiągł, że nic więcej nie zdradzi. Jak można się było spodziewać, Hardcastle sądził, że Wickham mógł ukraść pieniądze kapitanowi Denny'emu, kiedy ten już nie żył, ale w takim wypadku raczej widniałyby na nich plamy krwi, skoro Wickham miał zakrwawione dłonie. Poza tym banknoty nie leżałyby tak schludnie złożone w pugilaresie Wickhama. Widziałem te

pieniądze; są świeżo wydrukowane. Kapitan Denny ponoć powiedział oberżystom, że nie ma pieniędzy.

Po chwili milczenia Clitheroe rzekł:

– Rozumiem, że Hardcastle niechętnie dzieli się z panem informacjami, zarówno z uwagi na pańskie bezpieczeństwo, jak i własne, ponieważ uznał, że rodzina, goście oraz służba z Pemberley mają zadowalające alibi, zatajanie przed panem wiedzy o istotnych wydarzeniach wydaje się zbędną dyskrecją. Otóż muszę pana powiadomić, iż Hardcastle uważa, że policja znalazła broń, duży kamień o gładkiej krawędzi, odkryty pod liśćmi około pięćdziesięciu metrów od polany, gdzie natrafiono na ciało Denny'ego.

Darcy zdołał ukryć zdziwienie i patrząc prosto przed siebie, powiedział cicho:

– Co przemawia za tym, że to faktycznie jest broń?

– Nic konkretnego, ponieważ na kamieniu nie znaleziono obciążających śladów krwi czy włosów, co jednak nie powinno dziwić. Jak pan pamięta, później tej nocy po wietrze przyszedł gwałtowny deszcz, ziemia i liście musiały przemoknąć, ale widziałem ten kamień i nie ulega wątpliwości, że pod względem rozmiarów i kształtu odpowiada ranie.

Darcy starał się mówić cicho:

– Wszystkim ludziom z majątku Pemberley zakazano wstępu do lasu, ale wiem, że policja pieczołowicie poszukiwała broni. Czy wie pan, który z funkcjonariuszy dokonał odkrycia?

– Ani Brownrigg, ani Mason. Potrzebowali ludzi do pomocy, więc zatrudnili konstabli z sąsiedniej parafii, w tym Josepha Josepha. Jego rodzicom najwyraźniej tak spodobało się nazwisko, że dali je synowi także na chrzcie. Wygląda na sumiennego, spolegliwego człowieka, chociaż chyba nie grzeszy intelektem. Powinien był zostawić kamień na miejscu i wezwać innych policjantów na świadków. Zamiast tego triumfalnie zaniósł kamień do naczelnika Brownrigga.

– Czyli nie ma dowodów na to, że kamień leżał tam, gdzie, jak twierdzi, znalazł go Joseph Joseph?

– Rozumiem, że żadnych. Doniesiono mi, że na miejscu leżało kilka kamieni różnej wielkości, na wpół zakopanych w ziemi i schowanych pod liśćmi, ale nie ma dowodu, że ten konkretny kamień był wśród nich. Przed laty ktoś mógł wysypać zawartość taczek, choćby przypadkiem, może wtedy, gdy pański pradziad budował leśny dom i przez las wożono budulec.

– Czy Hardcastle albo policja zamierzają dziś rano przedstawić ten kamień jako dowód?

– Z tego, co rozumiem, nie. Makepeace twierdzi stanowczo, że skoro nie można dowieść, iż kamienia użyto jako broni, nie powinno się go włączać do materiału dowodowego. Ławnicy zostaną tylko poinformowani, że znaleziono kamień, zresztą może nawet i o tym się nie wspomni. Makepeace' owi bardzo zależy na tym, aby śledztwo nie przerodziło się w proces. Jasno przedstawi obowiązki ławników, a nie należy do nich uzurpowanie sobie władzy sądu.

– Czyli uważa pan, że go skażą?

– W świetle słów, które uznają za przyznanie się do winy, zrobią to niechybnie. Nadzwyczajne byłoby, gdyby go nie skazali. O, widzę, że przybył pan Wickham. Biorąc pod uwagę jego sytuację, która jest nie do pozazdroszczenia, wygląda na całkiem rozluźnionego.

Darcy spostrzegł, że przy podeście stały trzy puste krzesła pilnowane przez konstabli. Dwaj strażnicy więzienni doprowadzili Wickhama, z dłońmi zakutymi w kajdany, do środkowego krzesła, a sami usiedli po bokach. Niemal nonszalancko i bez wyraźnego zainteresowania powiódł wzrokiem po widowni, nie zatrzymując spojrzenia na żadnej twarzy. Wcześniej, kiedy Hardcastle wydał zezwolenie, bagaże Wickhama zawierające ubrania dostarczono do więzienia. George miał na sobie najlepszą marynarkę, a Iniana koszula zdradzała sprawną i troskliwą rękę praczki z Highmarten. Z uśmiechem odwrócił się do jednego ze strażników więziennych, który odpowiedział skinieniem głowy. Patrząc na szwagra, Darcy potrafił dostrzec coś z tamtego przystojnego, pełnego wdzięku młodego oficera, który zauroczył damy w Meryton.

Ktoś warknął komendę, ucichły rozmowy, po czym do sali wkroczył koroner Jonah Makepeace z sir Selwynem Hardcastle' em. Skłoniwszy się ławnikom, koroner usiadł i zaprosił sir Selwyna, by ten zajął miejsce po jego prawej stronie. Makepeace był drobnym mężczyzną o woskowej twarzy, jaka u innych wskazywałaby na chorobę. Od dwudziestu lat pełnił funkcję koronera i szczycił się tym, że miał już sześćdziesiąt lat, a w Lambton czy King's Arms nie odbyło się jeszcze śledztwo, którym by nie kierował. Jonah Makepeace miał wąski nos oraz osobliwie uformowane usta z bardzo wydatną górną wargą; spod brwi tak cienkich, jakby nakreślonych ołówkiem, patrzyły oczy równie bystro jak wtedy, gdy miał dwadzieścia lat. Makepeace cieszył się wielkim poważaniem jako prawnik;

z powodzeniem praktykował w Lambton i poza nim, bogacił się, miał prywatnych klientów oczekujących jego porady, nigdy nie pobłażał świadkom, którzy nie potrafili zeznawać jasno i zwięźle. W głębi sali znajdował się zegar ścienny, w którym koroner utkwił powłóczyście, onieśmielające spojrzenie.

Kiedy Jonah Makepeace wszedł do sali, wszyscy wstali, a gdy zajął miejsce, znów usiedli. Hardcastle ulokował się po jego prawej stronie, natomiast dwaj policjanci zasiedli w pierwszym rzędzie poniżej podestu. Ławnicy, którzy gawędzili w grupie, zajęli miejsca, po czym natychmiast wstali. Pełniąc obowiązki sędziego pokoju, Darcy uczestniczył już w niejednym śledztwie, teraz ujrzał, że ławę przysięgłych tworzył zwyczajowy zestaw miejscowych znakomitości: George Wainwright, aptekarz; Frank Stirling, właściciel sklepu w Lambton; Bill Mullins, kowal z wioski Pemberley; oraz John Simpson, grabarz, jak zwykle w żałobnym czarnym garniturze, ponoć odziedziczonym po ojcu. Resztę stanowili rolnicy, przy czym większość przybyła w ostatniej chwili, zgrzana i zdenerwowana. Na opuszczanie gospodarstw nigdy nie było odpowiedniego momentu.

– Może pan rozkuć pana Wickhama – zwrócił się koroner do strażnika więziennego. – Żaden więzień jeszcze nigdy mi nie uciekł.

Polecenie spełniono w milczeniu. Wickham, roztarłszy przeguby, stał cicho, co pewien czas wodząc wzrokiem po sali, jakby w poszukiwaniu znajomej twarzy. Ławnicy złożyli przysięgę, w której trakcie Makepeace przyglądał się im ze sceptyczną intensywnością człowieka rozważającego zakup podejrzanego konia. Następnie wygłosił zwyczajowe wstępne obwieszczenie:

– Spotykaliśmy się już wcześniej, panowie, myślę więc, że wiecie, co do was należy. Powinniście uważnie wysłuchać zeznań i wygłosić werdykt w sprawie śmierci kapitana Martina Denny'ego, którego ciało znaleziono w lesie Pemberley około lub o dziesiątej wieczorem w piątek czternastego października. Nie jesteście tu po to, aby brać udział w śledztwie ani pouczać policję, jak powinna prowadzić dochodzenie. Biorąc pod uwagę możliwe ewentualności, możecie uznać, że nie mamy do czynienia ze śmiercią na skutek nieszczęśliwego wypadku i że nikt nie popełnia samobójstwa, zadając sobie śmiertelny cios w tył głowy. Takie rozumowanie może doprowadzić was do logicznego wniosku, że dopuszczono się zabójstwa, i rozważycie dwa możliwe werdykty. Wobec braku dowodów wskazujących na sprawcę ogłosiscie, że nieznaną osobą lub osoby popełniły celowe zabójstwo. Przedstawiłem wam ewentualności, jednakże muszę podkreślić, że

werdykt w sprawie przyczyn śmierci leży wyłącznie w waszej gestii. Jeżeli dowody doprowadzą was do konkluzji, że znacie tożsamość zabójcy, powinniście podać jego lub jej nazwisko, po czym, podobnie jak w przypadku wszystkich przestępstw, sprawca zostanie zatrzymany w areszcie i osądzony podczas kolejnego posiedzenia sądu w Derby. Jeżeli chcecie zadać świadkowi pytanie, proszę unieść rękę w górę i wyrażać się jasno. Teraz zaczniemy i proponuję, by jako pierwszego świadka wezwać Nathaniela Piggotta, oberżystę z zajazdu Green Man, który przedstawi zeznanie o początkach ostatniej podróży tego nieszczęsnego dżentelmena.

Później, co Darcy przyjął z ulgą, śledztwo potoczyło się całkiem wartko. Ktoś najwyraźniej doradził panu Piggottowi, że w sądzie rozsądnie jest mówić jak najmniej, toteż, złożwszy przysięgę, po prostu potwierdził, że państwo Wickhamowie i kapitan Denny przyjechali kariolką do zajazdu po czwartej w piątkowe popołudnie, następnie wynajęli powóz, który Piggott trzymał w zajeździe. Powozem zamierzali się udać wieczorem do Pemberley, gdzie panowie mieli zostawić panią Wickham, a sami planowali jazdę dalej, do King's Arms w Lambton. Piggott nie słyszał, by rzeczona trójka kłóciła się po południu lub po zajęciu miejsc w powozie. Kapitan Denny był milczący – w ogóle sprawiał wrażenie cichego dżentelmena – natomiast pan Wickham pił równo, ale zdaniem oberżysty nie można było go uznać za pijanego czy zamrozonego.

Następnie przed sądem stanął George Pratt, stangret, na którego zeznanie oczekiwano niecierpliwie. Pratt rozgadał się, raz po raz wspominając o zachowaniu koni, Betty i Millie. Zwierzęta ciągnęły dobrze, dopóki nie wjechali do lasu, gdzie Betty i Millie ogarnął taki niepokój, że Pratt z trudem nad nimi panował. Konie nigdy nie lubiły jeździć w las podczas pełni księżyca z powodu ducha pani Reilly. Możliwe, że dżentelmeni sprzeczali się w powozie, ale Pratt nic nie słyszał, bo zmagał się ze zwierzętami. Kapitan Denny wystawił głowę przez okno, kazał mu stanąć, po czym wysiadł z powozu. Pratt słyszał, jak kapitan mówił, że od tej pory pan Wickham musi sobie radzić sam i że on nie chce mieć z tym nic wspólnego, albo coś w tym rodzaju. Następnie kapitan Denny pobiegł w las, a pan Wickham za nim. Jakiś czas potem – Pratt nie był pewien kiedy – usłyszeli strzały, a rozhisteryzowana pani Wickham kazała mu jechać do Pemberley, co też uczynił. Konie szalały ze strachu, Pratt z trudem nad nimi panował i bał się, że powóz się przewróci, zanim dotrą na miejsce. Następnie stangret opowiedział, co się wydarzyło w drodze powrotnej, między innymi o tym, jak zatrzymał powóz, aby



pułkownik Fitzwilliam mógł zajrzeć do rodziny z leśnego domu. Według Pratta pułkownik oddalił się może na dziesięć minut.

Darcy odniósł wrażenie, że opowieść Pratta była już znana nie tylko ławnikom, ale całemu Lambton, wiosce Pemberley i okolicy. Zeznaniami stangreta towarzyszyły współczujące jęki i westchnienia, zwłaszcza gdy się rozwodził nad zdenerwowaniem Betty i Millie. Żadnych pytań mu nie zadano.

W następnej kolejności wezwano pułkownika wicehrabiego Hartlepa, który z imponującą powagą złożył przysięgę. Pułkownik krótko i zdecydowanie opowiedział o swej roli w wieczornych wydarzeniach i o znalezieniu ciała; podobne zeznanie, również beznamietnie i bez ozdobników, złożył potem Alveston, na koniec zaś Darcy. Każdego z trzech mężczyzn zapytano, czy Wickham coś powiedział, i każdy z nich powtórzył obciążające wyznanie.

Zanim ktokolwiek inny zdążył zabrać głos, Makepeace zadał istotne pytanie:

– Panie Wickham, twierdzi pan stanowczo, że nie zamordował pan kapitana Denny'ego. Skoro tak, to dlaczego, gdy znaleziono pana klęczącego nad jego ciałem, powiedział pan więcej niż raz, że zabił go pan i ponosi winę za jego śmierć?

Wickham odpowiedział natychmiast:

– Ponieważ kapitan Denny, sir, wysiadł z powozu zde gustowany moim planem zawiezienia pani Wickham do Pemberley, choć nie została tam zaproszona i nikt się jej nie spodziewał. Poza tym czułem, że gdybym nie był pijany, zdołałbym go powstrzymać przed wyjściem z powozu i oddaleniem się w las.

– Zupełnie nieprzekonujące, ten głupiec jest zbyt pewny siebie – szepnął Clitheroe do Darcy'ego. – Jeśli chce uratować głowę, przed sądem będzie musiał się lepiej postarać. Jak bardzo był pijany?

Nie zadano żadnych pytań, a Makepeace chętnie pozwolił ławnikom wyciągnąć wnioski bez jego komentarzy; wzbraniał się też przed zachęcaniem świadków do snucia domysłów na temat tego, co dokładnie Wickham miał na myśli. Potem przyszedł kolej na naczelnika Brownrigga, który z wyraźną przyjemnością zdał obszerną relację z działań policji, w tym przeszukania lasu. Nie otrzymano żadnych informacji o nieznanym w okolicy, mieszkańcy Pemberley House oraz wszystkich domów na terenie majątku mieli alibi, śledztwo było w toku. Zeznanie doktora Belchera, złożone głównie z terminów medycznych, publiczność wysłuchała z szacunkiem, koroner zaś z widocznym rozdrażnieniem. Ten ostatni wyraził prostą angielszczyzną opinię, że przyczyną śmierci było silne uderzenie

w tył głowy, a kapitan Denny nie mógł żyć z taką raną dłużej niż kilka minut, choć dokładne ustalenie chwili zgonu nie było możliwe. Zabezpieczono kamień, którym mógł się posłużyć napastnik, a zdaniem koronera pod względem rozmiarów i ciężaru mógł spowodować taką ranę, jeśli cios zadano mocno, jednak żadne dowody nie łączyły tego konkretnego kamienia ze zbrodnią. Zanim świadek się oddalił, jedna osoba uniosła rękę.

– Tak, Franku Stirlingu, zazwyczaj zabierasz głos – powiedział Makepeace. – O co chciałbyś zapytać?

– Mam proste pytanie, sir. Rozumiemy, że pani Wickham miała zostać w Pemberley House i następnego wieczoru wziąć udział w balu, ale bez męża. Rozumiem, że pan Wickham nie miał być przyjęty przez szwagra i panią Darcy.

– Jaki związek ma lista gości pani Darcy na bal lady Anne ze śmiercią kapitana Denny’ego albo z zeznaniem złożonym właśnie przez doktora Belchera?

– Tylko taki, sir, że między panem Darcym a panem Wickhamem panowały bardzo złe stosunki, pan Wickham zaś nie był odpowiednim gościem w Pemberley, co mogło mieć wpływ na jego charakter. To bardzo dziwaczne, kiedy ktoś nie pozwala własnemu szwagrowi wchodzić do swojego domu, chyba że ów szwagier jest gwałtownikiem lub człowiekiem kłótliwym.

Po krótkim namyśle Makepeace odparł, że stosunki między panem Darcym a panem Wickhamem, bez względu na to, czy były normalnymi stosunkami między szwagrami, czy też nie, nie mogły mieć związku ze śmiercią kapitana Denny’ego. To nie pan Darcy, ale kapitan Denny został zamordowany.

– Spróbujmy się trzymać faktów. Jeżeli uznał pan, że to pytanie jest istotne, należało je zadać, kiedy zeznawał pan Darcy. Myślę, że możemy jeszcze raz wezwać pana Darcy’ego i zapytać, czy pan Wickham był, ogólnie rzecz biorąc, człowiekiem gwałtownym.

Niezwłocznie to uczyniono, a w odpowiedzi na pytanie Makepeace’ a Darcy, któremu przypomniano, że nadal zeznaje pod przysięgą, oświadczył, że wedle jego wiedzy pan Wickham nigdy nie miał takiej reputacji, on zaś nigdy nie widział, by dopuszczał się przemocy. Nie widywali się od kilku lat, ale pan Wickham cieszył się opinią spokojnego, przyjaźnie nastawionego człowieka.

– Rozumiem, że taka odpowiedź pana zadowala, panie Stirling. Spokojny, przyjaźnie nastawiony człowiek. Czy są jeszcze pytania? Nie? Wobec tego proponuję, by przysięgli zastanowili się nad wyrokiem.

Po krótkiej konsultacji przysięgli postanowili się naradzić na osobności, a kiedy wyperswadowano im bar, do którego zamierzali się udać, wyszli na podwórze, gdzie przez dziesięć minut szeptali w pewnym oddaleniu. Po powrocie poproszono ich formalnie o werdykt. Frank Stirling wstał i odczytał z małego notesu, najwyraźniej pragnąc, by słowa zabrzmiały dokładnie i pewnie.

– Uważamy, sir, iż kapitan Denny zmarł w wyniku uderzenia w tył czaszki i że ów śmiertelny cios zadał George Wickham, zatem kapitan Denny został zamordowany przez wyżej wymienionego George’a Wickhama.

– Czy wszyscy zgadzacie się z tym werdyktem? – spytał Makepeace.

– Tak jest, sir.

Marszcząc czoło, Makepeace spojrzął na zegar, potem zdjął okulary i schował je do futerału.

– Po niezbędnych formalnościach pan Wickham stanie przed sądem podczas następnej rozprawy w Derby. Dziękuję wam, panowie, możecie odejść.

Darcy pomyślał, że chociaż oczekiwał przesłuchań pełnych pułapek językowych i zażenowania, cała sprawa potoczyła się niemal tak rutynowo, jak comiesięczne spotkanie parafialne. Owszem, ludzie okazywali zainteresowanie i zaangażowanie, brakowało jednak wyraźnej ekscytacji czy wielkiej dramaturgii, a Darcy musiał przyznać rację Clitheroe’owi: rezultat był nieunikniony. Nawet gdyby ławnicy uznali, że morderstwo popełniła nieznana osoba lub osoby, Wickham pozostałby w areszcie jako główny podejrzany, natomiast skupione na nim dochodzenie policyjne doprowadziłoby niemal na pewno do tego samego rezultatu.

Do sali wszedł służący Clitheroe’ a, by zająć się wózkiem inwalidzkim.

– Trzy kwadranse od początku do końca – powiedział Clitheroe. – Przypuszczam, że sprawa potoczyła się zgodnie z planem Makepeace’ a, trudno było oczekiwać innego werdyktu.

– Czy na procesie zapadnie taki sam? – spytał Darcy.

– Bynajmniej, Darcy, bynajmniej. Potrafiłbym zaplanować bardzo skuteczną linię obrony. Sugeruję, aby znalazł mu pan dobrego adwokata oraz, jeśli to możliwe, przeniósł sprawę do Londynu. Henry Alveston będzie mógł panu doradzić w kwestii stosownej procedury, moje informacje są pewnie nieaktualne. Słyszałem, że ten młody człowiek ma dość radykalne poglądy, mimo że jest spadkobiercą starodawnej baronii. Niewątpliwie jest przy tym bystrym i wziętym prawnikiem, choć najwyższy czas, by znalazł sobie żonę i osiadł w majątku. Pokój i bezpieczeństwo Anglii

opierają się na dżentelmenach mieszkających w swoich domach, którzy jako dobrzy panowie i właściciele ziemscy troszczą się o służbę, są szczodrzy dla biednych, a jako sędziowie pokoju zaprowadzają ład i pokój w swoich społecznościach. Gdyby francuscy arystokraci żyli w ten sposób, nigdy nie wybuchłaby rewolucja. Ta sprawa jest zajmująca, a jej rezultat będzie zależał od odpowiedzi na dwa pytania: dlaczego kapitan Denny pobiegł w las i co miał na myśli George Wickham, mówiąc, że to wszystko jego wina? Z zainteresowaniem zamierzam się przyglądać dalszym wypadkom. *Fiat justitia ruat caelum*. Żegnam pana.

Służący z niejakim trudem wytoczył wózek inwalidzki za drzwi i Clitheroe zniknął Darcy'emu z oczu.

Dla Darcy' ego i Elizabeth zima 1803–1804 jawiła się jak czarne trzęsawisko, przez które musieli przebrnąć, choć wiedzieli, że wiosna mogła przynieść tylko nowe wyzwania, może nawet większą grozę, której pamięć zatruje resztę ich życia. Te miesiące jakoś jednak należało przeżyć, nie pozwalając, by udręka i zgryzota rzucały cień na życie w Pemberley lub niszczyły spokój i pogodę ducha ludzi, którzy na nich polegali. Na szczęście ów niepokój okazał się w znacznej mierze bezzasadny. Tylko Stoughton, pani Reynolds i Bidwellowie znali Wickhama jako chłopca, a młodsza służba mało interesowała się sprawami poza obrębem Pemberley. Darcy nakazał, by nie rozmawiać o procesie, a zbliżające się święta Bożego Narodzenia na szczęście budziły większe zainteresowanie i podniecenie niż ewentualny los człowieka, o którym większość służby nawet nie słyszała.

Cicha, krzepiąca obecność pana Benneta przypominała opiekę dobrego ducha. Kiedy Darcy'emu pozwalały obowiązki, gawędził z teściem w bibliotece; sam inteligentny cenił tę cechę u innych. Od czasu do czasu pan Bennet odwiedzał najstarszą córkę w Highmarten, aby się upewnić, że nadgorliwe pokojówki nie zagrażają książkom w bibliotece Bingleyów, oraz by sporządzić listę książek do kupienia. Ojciec Elizabeth przebywał w Pemberley tylko trzy tygodnie. Pani Bennet poskarżyła się bowiem w liście, że co noc słyszy pod domem skradające się kroki, cierpi też na nieustanne palpacje. Pan Bennet, zdaniem małżonki, musi niezwłocznie wrócić do domu i zapewnić jej ochronę. Dlaczego troszczy się o morderstwa innych ludzi, skoro jedno może zostać wkrótce popełnione w Longbourn, jeśli natychmiast nie przyjedzie?

Stratę po panu Bennecie odczuli wszyscy domownicy. Słyszano, jak pani Reynolds mówi do Stoughtona:

– To dziwne, panie Stoughton, że tak bardzo brakuje nam pana Benneta, kiedy wyjechał, skoro rzadko go widywaliśmy, kiedy tu mieszkał.

Darcy i Elizabeth znajdowali ukojenie w pracy, a wiele było do zrobienia. Darcy miał już plany napraw kilku domów na terenie majątku i zajęcia pochłaniały go bardziej niż jakiegokolwiek sprawy parafialne. Wypowiedziana w maju wojna z Francją już wywoływała niepokoje i nędzę: cena chleba poszła w górę, zbiory

okazały się słabe. Darcy zaangażował się w pomoc dla dzierżawców, do kuchni ciągnęły dzieci po spore kanki pożywnej zupy, gęstej i mięsistej jak gulasz. Wystawne kolacje odbywały się rzadko i tylko dla bliskich przyjaciół, jednak Bingleyowie zajeżdżali regularnie, by dodać otuchy i pomoc; państwo Gardinerowie często pisali listy.

Po śledztwie Wickhama przeniesiono do nowego więzienia okręgowego w Derby, gdzie pan Bingley nadal go odwiedzał i – jak donosił – zastawał więźnia w dobrym nastroju. Tydzień przed Bożym Narodzeniem przyszła zgoda na przeniesienie sprawy do Londynu; proces miał się odbyć w Old Bailey. Elizabeth nalegała, by towarzyszyć mężowi w dniu procesu, choć jej obecność w sali sądowej nie wchodziła w grę. Pani Gardiner napisała serdeczny list namawiający Darcy'ego i Elizabeth do zamieszkania na ulicy Gracechurch podczas pobytu w Londynie, a zaproszenie przyjęto z wdzięcznością. Przed Nowym Rokiem George'a Wickhama przeniesiono do więzienia Coldbath w Londynie, natomiast pan Gardiner przyjął na siebie obowiązek regularnych odwiedzin i wypłacania pieniędzy od Darcy'ego, mających zapewnić Wickhamowi wygodę oraz dobre traktowanie przez strażników i współwięźniów. Pan Gardiner donosił, że Wickham nie tracił optymizmu oraz że regularnie odwiedzał go jeden z kapelanów więziennych, wielebny Samuel Cornbinder. Pan Cornbinder słynął z biegłości w grze w szachy, której nauczył Wickhama i która pochłaniała teraz większość czasu więźnia. Pan Gardiner podejrzewał, że duchowny jest mile widziany raczej jako partner szachowy niż człowiek nakłaniający do skruchy, jednak Wickham zdawał się szczerze go lubić, szachy zaś, którymi pasjonował się niemal obsesyjnie, stanowiły skuteczną odtrutkę na okresowe wybuchy gniewu i rozpacz.

Wraz z nadejściem Bożego Narodzenia odbyło się doroczne przyjęcie, na które zaproszono wszystkie dzieci z majątku. Darcy i Elizabeth czuli, że młodych nie należy pozbawiać tej gratki, szczególnie w tak trudnych czasach. Należało wybrać podarki dla wszystkich dzierżawców oraz służby, zatrudnionej zarówno w domu, jak i poza nim, a następnie je rozdać. Zadanie to wzięły na siebie Elizabeth i pani Reynolds, przy czym Elizabeth starała się dodatkowo realizować plan lektur oraz przy pomocy Georgiany doskonalić grę na klawikordzie. Dzięki mniejszym obowiązkom towarzyskim pani Darcy miała czas na dzieci i odwiedzanie biednych, starych i niedołączonych. Z czasem Darcy i Elizabeth przekonali się, że jeśli dni wypełniało się działalnością, niekiedy udawało się trzymać na wodzy nawet

najgorsze koszmary.

Nie brakowało pomyślnych nowin. Po wyjeździe Georgiego do matki Louisa była znacznie szczęśliwsza; życie stało się też łżejsze dla pani Bidwell, odkąd płacz niemowlęcia nie frasował Willa. Po Bożym Narodzeniu tygodnie jakby przyspieszyły, w miarę jak zbliżała się wyznaczona data procesu.

# Księga piąta

Proces



Proces zaplanowano na czwartek, dwudziestego drugiego marca, na godzinę jedenastą w Old Bailey. Alveston miał przebywać u siebie, w pobliżu Middle Temple, i zaproponował, że w przeddzień rozprawy pojawi się u Gardinerów na ulicy Gracechurch wraz z Jeremiahem Mickledore'em, adwokatem Wickhama, aby objaśnić procedurę i pouczyć Darcy'ego w kwestii składanych zeznań. Perspektywa dwóch dni w podróży niepokoiła Elizabeth, postanowili się więc zatrzymać na noc w Banbury, dokąd zamierzali dotrzeć wczesnym popołudniem w środę dwudziestego pierwszego marca. Zazwyczaj, kiedy państwo Darcy wyjeżdżali z Pemberley, starsi rangą służący żegnali ich w drzwiach i życzyli powodzenia, jednak ten wyjazd okazał się odmienny. Tylko Stoughton i pani Reynolds stawili się z poważnymi twarzami, by życzyć państwu pomyślnej podróży i zapewnić, że pod nieobecność Darcych życie w Pemberley będzie się toczyć bez zakłóceń.

Przygotowanie kamienicy Darcych do przyjęcia gospodarzy wiązało się ze sporym zamieszaniem, toteż podczas krótkich pobytów w Londynie na zakupy, wyprawę do teatru lub na wystawę, albo gdy Darcy miał do załatwienia sprawy z prawnikiem bądź krawcem, zatrzymywali się u Hurstów, a panna Bingley dołączała do towarzystwa. Pani Hurst wołała jakiegokolwiek gościa od żadnego, szczyliła się demonstrowaniem przepychu domu, licznymi powozami i służącymi, natomiast panna Bingley zręcznie rzucała nazwiska ustosunkowanych przyjaciół i przekazywała najświeższe plotki o skandalach w wyższych sferach. Elizabeth pozwalała sobie na rozbawienie, jakie zawsze wzbudzały w niej pretensje i niedorzeczności sąsiadów, pod warunkiem że nie należało im okazywać współczucia, Darcy zaś uważał, że jeśli pokojowe współistnienie w rodzinie wymaga, by spotykał ludzi, z którymi niewiele go łączy, lepiej robić to na ich koszt niż na własny. Tym razem jednak nie przyszło zaproszenie od Hurstów ani od panny Bingley. Od niektórych dramatycznych wydarzeń, związanych ze złą sławą, rozsądnie jest się trzymać z daleka, toteż państwo Darcy nie spodziewali się ujrzeć na procesie Hurstów ani panny Bingley. Za to serdeczne zaproszenie od Gardinerów przyszło natychmiast. Tu, w wygodnym i bezpretensjonalnym domu rodzinnym mogli znaleźć otuchę i bezpieczeństwo, stonowane głosy niewysuwające

roszczeń ani niedomagające się wyjaśnień oraz spokój, jaki pozwoli im się przygotować na czekającą ich próbę.

Kiedy jednak dotarli do centrum Londynu, zostawiając za sobą drzewa i zielone połacie Hyde Parku, Darcy poczuł, że wkracza na obce terytorium, oddycha stęchłym, kwaśnym powietrzem i otacza go liczna, zagrażająca tłuszcza. Jeszcze nigdy nie czuł się w Londynie tak nieswojo. Trudno było uwierzyć, że kraj jest w stanie wojny; wszyscy się spieszyli, szli zaaferowani własnymi sprawami, ale od czasu do czasu Darcy dostrzegał zazdrosne lub pełne podziwu spojrzenia taksujące jego powóz. Ani on, ani Elizabeth nie mieli ochoty na komentarze. Jechali szerszymi, lepiej znanymi ulicami, gdzie stangret przeciskał się między jasnymi, krzykliwymi witrynami sklepów oświetlonymi flarami, wśród powozów, wozów i prywatnych kariolek, które miejscami niemal całkowicie blokowały jezdnię. W końcu skręcili w ulicę Gracechurch. Gdy zbliżali się do domu Gardinerów, drzwi się otworzyły, gospodarze wybiegli im na powitanie i pokazali stangretowi drogę do stajni za domem. Po chwili wyładowano bagaże, Elizabeth i Darcy wkroczyli zaś w obszar spokoju i bezpieczeństwa, mający być ich schronieniem do zakończenia procesu.

Po obiedzie Alveston i Mickledore przyszli, by udzielić Darcy'emu krótkich pouczeń i rad, zapewnili, że są dobrej myśli, życzyli powodzenia i przed upływem półgodziny się pożegnali. To miała być jedna z najgorszych nocy w życiu Darcy'ego. Pani Gardiner, jak zwykle gościnnie, dopilnowała, by w sypialni znalazło się wszystko, co zapewni wygodę jemu i Elizabeth: nie tylko dwa upragnione łóżka, ale także umieszczony między nimi stolik z karafką wody, książkami i puszką biszkoptów.

Ulica Gracechurch nie mogła być całkowicie cicha, turkot i skrzywienie powozów, rozlegające się co pewien czas głosy – kontrast z całkowitą ciszą Pemberley – w normalnych warunkach nie zakłóciłyby mu snu. Darcy usiłował wyprzeć z umysłu niepokój związany z jutrzejszą przeprawą, ale w jego głowie kłębiły się posępne myśli. Zupełnie tak, jakby uległ jakiemuś rozdwojeniu i przy łóżku stała jego druga część i wbijała w niego naganne, niemal pogardliwe spojrzenie, wypróbowywała argumenty i oskarżenia, które, jak sądził, już dawno zdołał okiełznać, ale ta nieproszona wizja wywołała je ze wznowioną siłą. Tylko on, nikt inny, sprawił, że Wickham wszedł do rodziny i miał prawo nazywać go szwagrem. Nazajutrz Darcy będzie musiał złożyć zeznania, które przyczynią się do posłania jego wroga na szubienicę albo do jego uniewinnienia. Nawet jeśli zapadnie wyrok uniewinniający, proces zbliży Wickhama do Pemberley, jeśli zaś zostanie skazany i powieszony, brzemień grozy i odpowiedzialności spocznie na barkach Darcy'ego, w dodatku odziedziczą je jego synowie i przyszłe pokolenia.

Darcy nie mógł żałować własnego małżeństwa, bo byłoby to tak, jakby żałował, że w ogóle się urodził. Związek z Elizabeth przyniósł mu szczęście, o jakim nie sądził, że jest możliwe, miłość, której rejonem i owocem byli dwaj zdrowi, piękni chłopcy, którzy teraz spali w pokoju dziecięcym w Pemberley. Darcy, żeniąc się, złamał jednak wszelkie zasady, jakie od dzieciństwa rządziły jego życiem, zdeptał to, co uważał za dług wobec pamięci o rodzicach, wobec Pemberley, odpowiedzialności z tytułu klasy społecznej i majątku. Bez względu na to, jak mocno pociągała go Elizabeth, mógł odejść, podobnie jak – czego się domyślał – odszedł pułkownik Fitzwilliam. Cena, jaką zapłacił za przekupienie Wickhama, by

ten ożenił się z Lydią, była ceną Elizabeth.

Darcy pamiętał tamto spotkanie z panią Younge. Dom z mieszkaniami do wynajęcia znajdował się w dobrej części Marylebone, sama kobieta była uosobieniem szacownej i troskliwej gospodyni. Darcy pamiętał ich rozmowę.

– Przyjmuję tylko młodych ludzi z najlepszych rodzin, którzy opuścili swój dom, by zatrudnić się w stolicy i rozpocząć niezależną karierę. Ich rodzice wiedzą, że chłopcy będą dobrze jeść, znajdą się pod troskliwą opieką i ktoś będzie bacznie przyglądał się ich zachowaniu. Od wielu lat cieszę się lepszymi niż wystarczające dochodami. Teraz, gdy wyjaśniłam panu moje położenie, możemy przejść do interesów. Chyba że najpierw przyjmie pan poczęstunek?

Darcy odmówił, nie siląc się na uprzejmość, po czym pani Younge rzekła:

– Jestem kobietą interesów i przekonałam się, że zwyczajowa życzliwość nigdy nie zaszkodzi, ale dobrze, poniechajmy jej. Wiem, że chce pan poznać miejsce pobytu George’a Wickhama i Lydii Bennet. Może rozpocznie pan negocjacje, wymieniając najwyższą kwotę, jaką jest pan gotów zapłacić za tę informację, której, zapewniam pana, nie uzyska pan od nikogo innego prócz mnie.

Oferta Darcy’ ego oczywiście nie wystarczyła, w końcu jednak doszli do porozumienia, on zaś wyszedł z domu, jakby był zadżumiony. To była pierwsza z pokaźnych kwot, jakie należało wpłacić, zanim George Wickham dał się przekonać do poślubienia Lydii Bennet.

Elizabeth, wyczerpana podróżą, zaraz po kolacji udała się na spoczynek. Kiedy Darcy wszedł do sypialni, spała; przez kilka minut stał cicho przy łóżku żony, z miłością patrząc na jej piękną, spokojną twarz. Przynajmniej jeszcze przez kilka godzin będzie wolna od trosk. Położywszy się do łóżka, Darcy zaczął się wiercić, ale nawet miękkie poduszki nie zapewniały wygody. W końcu zapadł w sen.

Alveston wcześniej wyszedł z domu do Old Bailey i Darcy został sam do chwili, gdy kilka minut po wpół do jedenastej przeszedł przez imponujący hol do sali sądowej. Natychmiast odniósł wrażenie, jakby znalazł się w szpitalu dla psychicznie chorych w Bedlam, w klatce z ptakami pełnej rozgadanych ludzi. Sprawa miała się rozpocząć dopiero za pół godziny, ale w pierwszych rzędach już siedziały plotkujące, modnie ubrane kobiety; tylne ławy zapełniały się równie szybko. Do sądu przybył chyba cały Londyn; hałaśliwi biedacy tłoczyli się niewygodnie. Chociaż Darcy pokazał urzędnikowi w drzwiach wezwanie, nikt nie wyjaśnił mu, gdzie ma usiąść, w ogóle nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Dzień był ciepły jak na marzec, temperatura i wilgotność rosły, perfumy mdląco mieszały się z wonią niemytych ciał. Nieopodal stołu sędziowskiego kilku prawników rozmawiało swobodnie jak w salonie. Darcy dostrzegł wśród nich Alvestona, a ten, pochwyciwszy jego wzrok, natychmiast podszedł się przywitać i wskazać miejsca zarezerwowane dla świadków.

– Prokurator wezwie tylko pana i pułkownika, abyście zeznali w sprawie znalezienia ciała Denny’ego. Jak zwykle czas nagli, a ten sędzia niecierpliwi się, kiedy te same zeznania niepotrzebnie się powtarzają. Będę w pobliżu. Może podczas procesu będziemy mieli okazję porozmawiać.

Harmider ucichł jak ucięty nożem. Do sali wkroczył sędzia Moberley. Piastował on swój urząd pewnie. Trudno byłoby go nazwać przystojnym człowiekiem. Jego twarz o drobnych rysach, na której rysowały się wyraźnie jedynie ciemne oczy, niemal ginęła pod obfitą peruką. Zdaniem Darcy’ego nadawała ona sędziemu wygląd ciekawskiego zwierzęcia wyzierającego z nory. Konferujący prawnicy rozdzielili się, po czym zarówno oni, jak i protokolant oraz ławnicy zajęli wyznaczone miejsca. Nagle w ławie stanął oskarżony, z policjantami po bokach. Jego wygląd zszokował Darcy’ego. Mimo jedzenia regularnie dostarczanego mu do więzienia Wickham był chudszy, jego ściągnięta twarz – bledsza, choć Darcy sądził, że nie tyle z powodu czekającej go przeprawy, ile na skutek wielu miesięcy spędzonych za kratami. Wpatrując się w szwagra, Darcy niemal nie rejestrował przygotowań do procesu, odczytania donośnym głosem aktu oskarżenia, wyboru

ławników i odebrania od niego przysięgi. Wickham stał sztywno wyprostowany, a spytany o to, czy przyznaje się do winy, zdecydowanie powiedział: „Jestem niewinny”. Nawet teraz, blady i zakuty w kajdany, nadal był przystojny.

Po chwili Darcy spostrzegł znajomą postać. Musiała kogoś przekupić, by zdobyć miejsce z przodu wśród kobiet; teraz zajęła je szybko i cicho. Niemal bez ruchu siedziała pośród poruszających się wachlarzy i modnych nakryć głowy. Początkowo widział tylko jej profil, ale potem odwróciła twarz, ich oczy się spotkały i choć nic nie dała po sobie poznać, nie wątpił, że ma przed sobą panią Younge; wystarczył już ten pierwszy rzut oka.

Darcy starał się nie przykuwać jej wzroku, ale zerkając co pewien czas przez salę sądową, widział, że elegancja i prostota kosztownego stroju pani Younge kłóca się z krzykliwą ostentacją wokół niej. Kapelusz, obszyty purpurowymi i zielonymi wstążkami, okalał twarz, która zdawała się równie młoda jak przy ich pierwszym spotkaniu. Właśnie tak była ubrana, kiedy pułkownik Fitzwilliam zaprosił ją do Pemberley, gdzie miała zostać przesłuchana w związku z przyjęciem posady towarzyszki Georgiany. Dwóm młodym panom zaprezentowała się wówczas jako elokwentna, godna zaufania, dobrze urodzona kobieta, szczerze współczująca młodym i świadoma czekających ją obowiązków. Inaczej, choć nie bardzo inaczej, rzecz się miała, gdy Darcy wytropił ją w szacownym domu w Marylebone. Teraz zastanawiał się, cóż to za więź spinała panią Younge i Wickhama, na tyle mocna, by dołączyła do kobiet czerpiących rozrywkę z przyglądania się, jak człowiek walczy o życie.

Kiedy prokurator zabierał się do wygłoszenia mowy wstępnej, Darcy spostrzegł, że w pani Younge zaszła zmiana. Kobieta nadal siedziała wyprostowana, ale wpatrywała się w ławę oskarżonych z takim natężeniem i koncentracją, jakby poprzez milczące spotkanie spojrzeń mogła przekazać więźniowi wiadomość, może nadziei albo wytrwania. Trwało to zaledwie kilka sekund, ale na ten czas dla Darcy'ego barwna paleta sali sądowej, szkarłatne togi sędziów, jaskrawe kolory widzów, przestały istnieć; był świadom tylko tych dwojga zaabsorbowanych sobą ludzi.

– Panowie przysięgli, sprawa, jaką macie przed sobą, jest szczególnie trapiąca dla nas wszystkich, zamordowanie dawnego towarzysza broni i przyjaciela przez byłego oficera. Chociaż wiele z tego, co zaszło, pozostanie tajemnicą, ponieważ jedyną osobą mogącą zeznać prawdę jest ofiara, znamienne fakty są proste i niewątpliwe; usłyszycie je w formie zeznań. Oskarżony, w towarzystwie kapitana Denny'ego i pani Wickham, wyruszył z Green Man we wsi Pemberley w hrabstwie Derby około dziewiątej w piątek, czternastego października, aby pojechać leśną drogą do Pemberley House, gdzie pani Wickham miała spędzić noc i pewien nieokreślony czas, natomiast jej mąż i kapitan Denny mieli się udać do King's Arms w Lambton. Usłyszycie o sprzeczce między oskarżonym a kapitanem Dennyem w zajeździe oraz o słowach kapitana Denny'ego, kiedy wysiadł z powozu i pobiegł w las. Wickham popędził za nim. Usłyszano strzały, a gdy Wickham nie wrócił, zaniepokojona żona kazała się zawieźć do Pemberley, skąd wyruszyła ekipa ratunkowa. Usłyszycie zeznania dwóch świadków, którzy znaleźli zwłoki i żywo pamiętają tę ważką chwilę. Oskarżony, poplamiony krwią, klęczał obok ofiary i dwukrotnie, w jak najjaśniejszych słowach, przyznał się do zamordowania przyjaciela. Pośród wielu czynników, jakie są w tej sprawie niejasne i tajemnicze, sedno pozostaje niezmiennie: człowiek przyznał się do winy, powtórzył swoje wyznanie, które, jak twierdzę, zostało jasno zrozumiane. Ekipa ratunkowa nie ściagała już innego potencjalnego zabójcy, pan Darcy dopilnował, by umieścić Wickhama pod strażą i niezwłocznie wezwał sędziego pokoju. Mimo sumiennych i wyczerpujących poszukiwań nie stwierdzono obecności nieznanego w lesie tej nocy. Mieszkańcy Woodland Cottage, stara kobieta, jej córka oraz umierający

chłopiec, nie mogli posłużyć się ciężkim kamieniem, którym, jak się przypuszcza, zadano śmiertelną ranę. Usłyszycie, że kamienie tego rodzaju można znaleźć w lesie, a Wickham, znający lasy od dzieciństwa, wiedziałby, gdzie ich szukać.

– To była wyjątkowo perfidna zbrodnia. Ekspert medyczny potwierdzi, że cios w czoło jedynie obezwładnił ofiarę, później zaś, kiedy oślepiony krwią kapitan Denny usiłował uciec, nastąpił śmiertelny atak. Trudno sobie przedstawić okrutniejsze i bardziej tchórzowskie zabójstwo. Kapitana Denny'ego nie możemy przywrócić do życia, możemy jednak oddać mu sprawiedliwość. Nie mam wątpliwości, panowie przysięgli, że bez wahania wydacie wyrok skazujący. Teraz wezwę pierwszego świadka oskarżenia.



Po słowach prokuratora rozległ się okrzyk: „Nathaniel Piggott!”, a w miejscu dla świadków niemal natychmiast pojawił się oberżysta z Green Man, uroczyście uniósł Pismo Święte i złożył przysięgę. Piggott miał na sobie niedzielny garnitur, w którym zwykł się pojawiać w kościele, ale nosił go z pewnością człowieka swobodnie czującego się w swoim ubraniu. Przez minutę lustrował wzrokiem ławników, jakby przyglądał się mało obiecującym kandydatom do pracy w zajeździe. Na koniec utkwiał wzrok w prokuratorze, najwyraźniej gotów stawić czoło wszelkim wyzwaniom, jakie mógł mu rzucić Simon Cartwright. Zgodnie z żądaniem podał nazwisko i adres:

– Nathaniel Piggott, oberżysta z Green Man we wsi Pemberley, hrabstwo Derby.

Zeznania oberżysty były proste i trwały bardzo krótko. W odpowiedzi na pytania prokuratora zeznał przed sądem, że George Wickham, pani Wickham i zmarły kapitan Denny przybyli do zajazdu kariolką w piątek, czternastego października. Pan Wickham zamówił jedzenie i wino, wynajął też powóz, by później tego wieczoru zawieźć panią Wickham do Pemberley. Kiedy Piggott wprowadzał gości do baru, pani Wickham powiedziała mu, że zamierza spędzić w Pemberley noc, a nazajutrz wziąć udział w balu lady Anne.

– Wyglądała na bardzo podnieconą.

Odpowiadając na kolejne pytania, Piggott zeznał, że pan Wickham powiedział mu, iż po wstąpieniu do Pemberley chciał, by powóz pojechał dalej do King’s Arms w Lambton, gdzie on i kapitan Denny zamierzali spędzić noc, a nazajutrz wsiąść w dylizans do Londynu.

– Czyli nie padła sugestia, że pan Wickham również zamierzał się zatrzymać w Pemberley? – spytał Cartwright.

– Nic podobnego nie słyszałem, sir, zresztą nie należało się tego spodziewać. Pan Wickham, o czym niektórzy z nas wiedzą, nigdy nie jest przyjmowany w Pemberley.

Po sali sądowej rozniósł się szmer. Darcy instynktownie zeszytniał na krześle. Wcześniej, niż się spodziewał, zapuścili się na niebezpieczny grunt. Wzrok utkwiał w prokuratorze, ale wiedział, że przysięgli wpatrują się właśnie w niego. Po chwili

jednak pytania Simona Cartwrighta popłynęły w innym kierunku.

– Czy pan Wickham zapłacił panu za jedzenie, wino oraz wynajęcie powozu?

– Owszem, sir, jeszcze kiedy byli w barze. Kapitan Denny zwrócił się do pana Wickhama ze słowami: „To twoje przedstawienie, będziesz musiał zapłacić. Ja mam tylko pieniądze na Londyn”.

– Widział pan, jak odjeżdżają powozem?

– Widziałem, sir. Była mniej więcej ósma czterdzieści pięć.

– A kiedy wyruszali, czy zwrócił pan uwagę na to, w jakich byli nastrojach, jakie stosunki panowały między dwoma dżentelmenami?

– Raczej nie zauważyłem, sir. Wydawałem polecenia stangretowi Prattowi. Dama upominała go, aby ostrożnie ładował kufer do powozu, ponieważ miała w nim suknię na bal. Zauważyłem jednak, że kapitan Denny jest bardzo milczący, podobnie jak wtedy, gdy pili w barze.

– Czy któryś z dżentelmenów pił dużo?

– Kapitan Denny pił tylko porter, nie więcej niż pintę. Pan Wickham wychylił kilka kufli, po czym przeszedł do whisky. Kiedy wyruszali, był czerwony na twarzy i się zataczał, mówił klarownie, chociaż głośno, i wsiadł do powozu o własnych siłach.

– Czy słyszał pan, o czym rozmawiali, kiedy wsiedli do powozu?

– Nie, sir, nic takiego nie pamiętam. To pani Piggott słyszała, jak dżentelmeni się kłóca, o czym mi powiedziała, ale to było wcześniej.

– Przesłuchamy pańską żonę. Nie mam więcej pytań, panie Piggott, może pan odejść, chyba że pan Mickledore chciałby pana o coś zapytać.

Gdy pan Mickledore wstawał, Nathaniel Piggott pewnie zwrócił się w stronę adwokata.

– Zatem żaden z dżentelmenów nie był w nastroju do rozmowy. Czy odniósł pan wrażenie, że raduje ich perspektywa wspólnej podróży?

– Nie mówili nic, co by świadczyło, że jest inaczej, sir. Gdy wyruszali, nie kłócili się.

– Ani śladu sprzeczki?

– Nic podobnego nie zauważyłem, sir.

Na tym krzyżowy ogień pytań się zakończył i Nathaniel Piggott, zadowolony, oddalił się z miną człowieka, który wie, że zrobił dobre wrażenie.

Następnie wezwano Marthę Piggott. W kącie sali sądowej wybuchł harmider,

gdy krępa, niska kobieta oddaliła się od grupy wspierających ją ludzi, cicho dodających jej otuchy, i podreptała na miejsce dla świadków. Pani Piggott miała na głowie kapelusz obficie ozdobiony sztywnymi różowymi wstążkami, kupiony najwyraźniej na tę doniosłą okazję. Dotykała go co pewien czas, jakby niepewna, czy wciąż tkwi na głowie. Wzrok trzymała utkwiony w sędziego, aż prokurator wstał, zachęcająco skinął głową i zwrócił się do świadka. Żona oberżysty przedstawiła się, podała adres, czystym głosem złożyła przysięgę, po czym potwierdziła zeznania męża dotyczące przyjazdu Wickhamów i kapitana Denny'ego.

– Nie kazano jej zeznawać w czasie śledztwa – szepnął Darcy do Alvestona. – Czy to coś nowego?

– Tak, może też się okazać niebezpieczne – odparł Alveston.

– Jakie stosunki panowały w zajeździe między państwem Wickhamami a kapitanem Dennyem? – zapytał Simon Cartwright. – Czy powiedziałyby pani, pani Piggott, że była to radosna grupa?

– Nie, proszę pana. Pani Wickham była w dobrym nastroju, śmiała się. To swobodna i miła dama; właśnie ona powiedziała mi i panu Piggottowi, kiedy byliśmy w barze, że wybiera się na bal lady Anne. To miał być wspaniały żart, bo państwo Darcy nie spodziewali się nawet jej przyjazdu, a nie mogli jej odprawić w burzową noc. Kapitan Denny był bardzo milczący, za to pan Wickham się niecierpliwił, jakby chciał już ruszać.

– Czy słyszała pani jakąś kłótnię, jakąkolwiek wymianę zdań między nimi?

Pan Micklethorpe natychmiast zerwał się z miejsca i sprzeciwił się, że oskarżyciel sugeruje świadkowi odpowiedź, dlatego pytanie zostało sformułowane inaczej:

– Czy słyszała pani jakąś rozmowę między kapitanem Dennyem a panem Wickhamem?

Pani Piggott chwyciła w lot, czego od niej oczekiwano.

– Dopiero po tym, jak weszli do zajazdu, proszę pana, ale kiedy posilili się wędlinami i napojami, pani Wickham poprosiła, by zanieść na górę jej kufer, żeby przed wyruszeniem do Pemberley mogła się przebrać. Nie w suknię balową, powiedziała, ale w coś ładnego na przyjazd. Posłałam po Sally, pokojówkę do wszystkiego, żeby mi pomogła. Potem poszłam do wychodka na podwórzu, a gdy otwierałam drzwi, naprawdę cicho, żeby wyjść, zobaczyłam, że pan Wickham i kapitan Denny rozmawiają ze sobą.

– Słyszała pani, co mówili?

– Owszem, sir. Stali zaledwie kilka kroków ode mnie. Zobaczyłam, że kapitan Denny jest bardzo blady. Mówił: „To było od początku do końca nieuczciwe. Jesteś całkowitym egoistą. Nie masz pojęcia, co czuje kobieta”.

– Jest pani pewna tych słów?

Po chwili wahania pani Piggott powiedziała:

– Cóż, sir, może poplątałam trochę kolejność, ale kapitan Denny na pewno powiedział, że pan Wickham jest egoistą, nie rozumie, co czuje kobieta, i że od początku do końca to był podstęp.

– Co się stało później?

– Nie chciałam, żeby ci dżentelmeni widzieli, jak wychodzę, więc zamknęłam drzwi wychodka prawie całkowicie i wyglądałam przez szparę, dopóki nie odeszli.

– I jest pani gotowa przysiąc, że słyszała te słowa?

– Przecież złożyłam przysięgę, sir. Zeznaję pod przysięgą.

– Owszem, pani Piggott, i rad jestem, że dostrzega pani wagę tego faktu. Co się wydarzyło po pani powrocie do zajazdu?

– Wkrótce potem dżentelmeni weszli, a pan Wickham udał się do pokoju na piętrze, który wyznaczyłam dla jego żony. Pani Wickham musiała już się przebrać, ponieważ pan Wickham zszedł i oznajmił, że kufer na powrót zamknięto i można go załadować do powozu. Dżentelmeni włożyli płaszcze i kapelusze, potem pan Piggott kazał Prattowi sprowadzić powóz.

– W jakim stanie znajdował się wtedy pan Wickham?

Po pytaniu prokuratora pani Piggott zamilkła, jakby nie miała pewności, do czego zmierzał. Cartwright zapytał z lekkim zniecierpliwieniem:

– Czy był trzeźwy, czy zdradzał oznaki pijaństwa?

– Oczywiście wiedziałam, że pił, sir, wyglądał tak, jakby miał więcej niż dość. Chyba trochę bełkotał, kiedy się zegnał. Ale wciąż trzymał się na nogach, o własnych siłach wsiadł do powozu i odjechali.

W sali sądowej zapadła cisza. Prokurator zajrzał do papierów, po czym rzekł:

– Dziękuję, pani Piggott. Czy może pani przez chwilę zostać na miejscu?

Jeremiah Mickledore wstał.

– A zatem, jeśli doszło do owej nieprzyjaznej wymiany zdań między panem Wickhamem a kapitanem Dennyem – nazwijmy ją nieporozumieniem – to nie zakończyła się ona krzykami ani przemocą. Czy podczas rozmowy podsłuchanej przez panią na podwórzu któryś z dżentelmenów dotknął drugiego?

– Nie, proszę pana, nic takiego nie widziałam. Pan Wickham byłby głupcem, gdyby wyzywał kapitana Denny’ego na pojedynek. Kapitan Denny był od niego sporo wyższy i znacznie mocniej zbudowany.

– Kiedy wsiadali do powozu, czy zauważyła pani, by któryś z nich miał broń?

– Kapitan Denny był uzbrojony, sir.

– Czyli wedle pani wiedzy kapitan Denny, niezależnie od opinii na temat postępowania towarzysza, mógł podróżować z nim powozem, nie obawiając się napaści? Był wyższym, mocniej zbudowanym mężczyzną, w dodatku uzbrojonym. Czy taką właśnie sytuację pani zapamiętała?

– Tak mi się wydaje, sir.

– Nie idzie o to, co się pani wydaje, pani Piggott. Czy widziała pani, jak obaj dżentelmeni wsiadają do powozu, przy czym kapitan Denny, wyższy z tej dwójki, był uzbrojony w broń palną?

– Tak, proszę pana.

– Czyli mimo iż wcześniej się sprzeczali, fakt, że podróżowali razem, nie wzbudzał pani niepokoju?

– Była z nimi pani Wickham, sir. Nie zaczęliby się bić w powozie w obecności damy. Poza tym Pratt nie jest w ciemni bity. W razie kłopotów najpewniej zaciąłby konie i zawrócił do zajazdu.

Jeremiah Mickledore wstał, by zadać ostatnie pytanie.

– Dlaczego nie złożyła pani tych zeznań w czasie śledztwa, pani Piggott? Nie zdawała pani sobie sprawy z ich wagi?

– Nikt mnie nie pytał, sir. Po śledztwie pan Brownrigg przyszedł do zajazdu i wtedy mnie zapytał.

– Przecież nawet przed rozmową z panem Brownriggiem musiała pani uświadomić sobie, że posiada dowody, które należało przedstawić w śledztwie.

– Sądziłam, że jeśli potrzebują moich zeznań, to przyjdą i zapytają; nie chciałam, żeby całe Lambton podśmiewało się ze mnie. To hańba, jeśli dama nie może pójść do wychodka bez późniejszych publicznych wypytywań. Niech pan się postawi na moim miejscu, panie Mickledore.

W sali sądowej dały się słyszeć przytłumione śmiechy. Pan Mickledore oświadczył, że nie ma więcej pytań, po czym pani Piggott, mocniej przyciskając kapelusz do głowy, wróciła na miejsce z ledwo skrywanym zadowoleniem, pośród szeptanych powinszowań popleczniczek.

Przyjęta przez Simona Cartwrighta linia oskarżenia stała się jasna, a Darcy pojął przebiegłość prokuratora. Cała historia miała zostać opowiedziana scena po scenie, narracja miała się rozwijać spójnie i wiarygodnie, wywołując w sali sądowej podniecenie podobne do tego, jakie spotyka się w teatrze. Czym bowiem jak nie rozrywką był proces o zabójstwo, myślał Darcy. Aktorzy przywdziewali kostiumy stosowne do wyznaczonych ról, przed pojawieniem się postaci w kolejnej odsłonie narastało wyczekiwanie i rozlegał się szmer radosnych komentarzy, wreszcie chwila największego napięcia dramatycznego, kiedy odtwórca głównej roli zajmował miejsce na ławie oskarżonych, skąd nie mógł uciec, nie stanąwszy najpierw przed ostatecznym wyborem: życie lub śmierć. Oto było prawo angielskie w praktyce, prawo szanowane w całej Europie, a jak inaczej, sprawiedliwiej, można było podjąć decyzję w całej jej straszliwej ostateczności? Darcy'ego wezwano, by stawił się w sądzie, ale rozglądając się po zatłoczonej sali, patrząc na jaskrawe kolory, falujące nakrycia głowy modnych ludzi i liche stroje biedaków, wstydził się, że jest jednym z nich.

Na świadka wezwano George'a Pratta. Stojąc przed sądem, wydał się Darcy'emu starszy, niż to zapamiętał. Ubranie miał czyste, choć nienowe, a włosy, najwyraźniej niedawno myte, sterczały w jasnych strąkach wokół twarzy, nadając stangretowi zastygły wyraz klauna. Powoli złożył przysięgę, wlepiając wzrok w kartkę, jakby miał do czynienia z obcym językiem, po czym spojrzał na Cartwrighta błagalnie, trochę jak dziecko, które coś przeskrobało.

Prokurator doszedł pewnie do wniosku, że najskuteczniejszą metodą przesłuchania będzie serdeczność.

– Zeznaje pan pod przysięgą, Pratt, co oznacza, że zobowiązuje się pan mówić w sądzie prawdę, zarówno odpowiadając na moje pytania, jak i mówiąc cokolwiek. Chciałbym, żeby opowiedział pan sądowi własnymi słowami, co się wydarzyło w piątkową noc, czternastego października.

– Miałem zawieźć pana Wickhama, kapitana Denny'ego oraz panią Wickham do Pemberley powozem pana Piggotta, następnie zostawić panią w domu, dżentelmenów zawieźć do King's Arms w Lambton. Ale pan Wickham i kapitan nie

dotarli do Pemberley, sir.

– Tak, wiemy o tym. Jak miał pan się dostać do Pemberley? Którą bramą?

– Bramą północno-zachodnią, sir, i dalej drogą przez las.

– Co się wydarzyło? Czy miał pan trudności w przejeżdżaniu przez bramę?

– Nie, sir. Jimmy Morgan ją otworzył. Ostrzegł, że nikomu nie wolno tamtędy przejeżdżać, ale znał mnie, a kiedy mu powiedziałem, że mam zawieźć panią Wickham na bal, przepuścił nas. Przejechaliśmy drogą może pół kilometra, gdy jeden z dżentelmenów – chyba kapitan Denny – zapukał i kazał mi się zatrzymać, więc posłuchałem. Kapitan Denny wysiadł z powozu i ruszył w las. Krzyczał, że nie chce mieć z tym nic wspólnego i że pan Wickham musi sobie radzić sam.

– Czy to dokładnie powiedział?

– Nie jestem pewien, sir – przyznał Pratt po chwili wahania. – Może powiedział: „Teraz radź sobie sam, Wickham. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego”.

– Co się stało potem?

– Pan Wickham wysiadł z powozu za kapitanem, wołał, że Denny jest głupcem i że ma wracać, ale on nie wrócił. Wtedy pan Wickham ruszył za nim w las. Dama wysiadła z powozu i wołała do męża, żeby wracał i jej nie zostawiał, ale pan Wickham nie zwracał na nią uwagi. Kiedy zniknął w lesie, pani Wickham wróciła do powozu i zaczęła żałośnie zawodzić. I tak staliśmy, sir.

– Nie myślał pan o tym, żeby pójść w las?

– Nie, sir. Nie mogłem zostawić pani Wickham ani koni, więc zostałem. Po pewnym czasie rozległy się strzały, pani Wickham zaczęła krzyczeć, wołała do mnie, że wszystkich nas wymordują i mam jak najszybciej jechać do Pemberley.

– Czy strzały rozległy się blisko?

– Nie potrafię stwierdzić, proszę pana. Ale na tyle blisko, że słyszałem je wyraźnie.

– Ile strzałów pan słyszał?

– Mogły być trzy albo cztery. Nie mam pewności, sir.

– Co stało się potem?

– Zaciąłem konie i pogalopowaliśmy do Pemberley, przy czym dama bez przerwy wrzeszczała. Kiedy podjechaliśmy do drzwi, niemal wypadła z powozu. W progu stał pan Darcy z jakimś towarzystwem. Nie pamiętam dokładnie, ale chyba było tam dwóch dżentelmenów, pan Darcy i dwie damy. Damy pomogły pani Wickham wejść do domu, a pan Darcy powiedział, że mam zostać przy koniach, bo

chce, żebym zabrał jego i kilku dżentelmenów z powrotem na miejsce, gdzie kapitan Denny i pan Wickham pobiegli w las. No to czekałem, sir. Potem dżentelmen, teraz wiem, że to pułkownik Fitzwilliam, bardzo szybko wjechał konno na podjazd i dołączył do grupy. Ktoś przydzwigał nosze, ktoś inny koce i latarnie, po czym trzech dżentelmenów – pan Darcy, pułkownik i nieznany mi człowiek – wsiedli do powozu i pojechaliśmy w las. Następnie dżentelmeni wyszli i ruszyli przodem pieszo, aż dotarliśmy do ścieżki do Woodland Cottage, pułkownik poszedł sprawdzić, czy rodzina jest bezpieczna, i kazać jej zaryglować drzwi. Potem trzech dżentelmeni ruszyli dalej, aż znalazłem miejsce, gdzie, jak mi się wydawało, zniknęli kapitan Denny i pan Wickham. Pan Darcy kazał mi czekać i poszli w las.

– Musiał pan mocno się niepokoić, Pratt.

– Owszem, sir. Strasznie się bałem, bo byłem sam, nie miałem broni, a czas dłużył się niemiłosiernie. Potem usłyszałem, jak nadchodzą. Ciało kapitana Denny'ego przytaszczyli na noszach, a panu Wickhamowi, który się zataczał, pomógł wsiąść do powozu trzeci dżentelmen. Zawróciłem konie i powoli ruszyliśmy w drogę powrotną do Pemberley: pułkownik i pan Darcy szli z tyłu z noszami, natomiast trzeci pan jechał powozem z panem Wickhamem. Potem mam mętlik w głowie, sir. Wiem, że nosze zabrano, pana Wickhama, który bardzo głośno krzyczał i ledwo stał na nogach, zaprowadzono do domu, a mnie kazano czekać. W końcu pułkownik wyszedł i powiedział, że mam zabrać powóz do King's Arms i powiadomić ich, że dżentelmeni nie przyjadą, ale później miałem szybko odjechać, zanim zaczną zadawać pytania. Po powrocie do Green Man miałem nie mówić nic o tym, co się stało, aby nie mieć kłopotów z policją. Pułkownik powiedział, że nazajutrz przyjdą ze mną porozmawiać. Martwiłem się, że po powrocie pan Piggott zacznie mnie wypytywać, ale on i pani Piggott poszli już spać. Wiatr ustał, zaczął lać deszcz. Pan Piggott uchylił okno sypialni i spytał, czy wszystko w porządku i czy zawiozłem damę do Pemberley. Odparłem, że tak, na co on kazał mi zająć się końmi i położyć się spać. Padałem z nóg, sir, a nazajutrz, kiedy policja przyjechała tuż po siódmej, spałem. Powiedziałem im, co się stało, tak jak mówię to teraz panu, sir; mówię wszystko, co pamiętam i niczego nie pomijam.

– Dziękuję, panie Pratt – powiedział Cartwright. – Pańskie zeznania były bardzo klarowne.

Pan Mickledore niezwłocznie wstał.

– Mam do pana parę pytań, panie Pratt. Czy kiedy pan Piggott polecił panu



zawieźć obu dżentelmenów do Pemberley, widział pan ich razem po raz pierwszy?

– Owszem, sir.

– Jakiego pana zdaniem były między nimi stosunki?

– Kapitan Denny był bardzo milczący, natomiast pan Wickham najwyraźniej pił, ale nie kłócili się ani nie sprzeczali.

– Czy kapitan Denny wzbraniał się przed wejściem do powozu?

– Nie, sir. Wsiadł całkiem rad.

– Czy zanim powóz zatrzymano, słyszał pan po drodze rozmowy między nimi?

– Nie, sir. Nie byłoby to łatwe przy tym wietrze i nierównej drodze, chyba żeby krzyczeli bardzo głośno.

– Ale nie krzyczeli?

– Nic takiego nie słyszałem, proszę pana.

– Czyli z tego, co panu wiadomo, grupa wyruszyła w dobrych nastrojach i nie miał pan powodu spodziewać się problemów?

– Zgadza się, sir.

– Rozumiem, że w czasie śledztwa opowiedział pan przysięgłym o kłopotach z końmi w lesie. To musiała być dla nich trudna podróż.

– O, tak, proszę pana. Jak tylko wjechały w las, zaczęły się rzucać, wierzgać i rzeć.

– Na pewno trudno było panu je okiełznać.

– Trudno jak cholera, sir. Żaden koń nie lubi zapuszczać się w las przy pełni księżyca, zresztą tak jak żaden człowiek.

– Czy zatem może pan być całkowicie pewien słów wypowiedzianych przez kapitana Denny'ego po wyjściu z powozu?

– Cóż, słyszałem, jak mówi, że dalej nie jedzie z panem Wickhamem i że pan Wickham musi sobie radzić sam, albo coś w tym rodzaju.

– Coś w tym rodzaju. Dziękuję, panie Pratt, nie mam więcej pytań.

Prattowi pozwolono odejść, co też uczynił, znacznie bardziej zadowolony niż wtedy, gdy stawał na miejscu dla świadków.

– Tu nie będzie żadnych problemów – szepnął Alveston do Darcy'ego. – Mickledore zdołał podać w wątpliwość zeznania Pratta. Teraz, panie Darcy, kolej na pana albo na pułkownika.

Kiedy wywołano jego nazwisko, zdziwienie Darcy'ego przybrało postać fizycznego szoku, choć przecież wiedział, że jego kolej wkrótce nadejdzie. Między rzędami wrogich oczu szedł przez salę sądową, usiłując okiełznać myśli. Najważniejsze to zachować spokój. Darcy postanowił unikać spojrzenia Wickhama, pani Younge oraz przysięgłego, który, ilekroć Darcy omiatał wzrokiem ławę, wpatrywał się w niego z nieprzyjaznym natężeniem. Odpowiadając na pytania, utkwiał wzrok w prokuratorze i tylko co pewien czas pozwolił sobie zerkać na przysięgłych lub sędziego, który siedział nieruchomo jak Budda, z pulchnymi dłońmi splecionymi na stole i półprzymkniętymi oczami.

Pierwsza część przesłuchania była prosta. W odpowiedzi na pytania Darcy opisał kolację, wymienił obecnych, opowiedział o odejściu pułkownika i panny Darcy, o przyjeździe zdenerwowanej pani Wickham, wreszcie o decyzji, by ruszyć powozem z powrotem do lasu w celu odkrycia, co się wydarzyło, i ewentualnej pomocy panu Wickhamowi oraz kapitanowi Denny'emu.

– Czy oczekiwał pan niebezpieczeństwa, może tragedii? – zapytał Simon Cartwright.

– Nic podobnego, sir. Miałem nadzieję, wręcz się spodziewałem, że najgorsze, co mogło spotkać tych dżentelmenów, to drobny wypadek w lesie, który uniemożliwił im dalszą podróż. Przypuszczałem, że spotkamy pana Wickhama i kapitana Denny'ego idących powoli do Pemberley lub z powrotem do zajazdu, zakładałem przy tym, że jeden będzie pomagał drugiemu. Dopiero słowa pani Wickham o strzelaninie, potwierdzone później przez Pratta, przekonały mnie, że rozsądnie będzie zorganizować ekipę ratunkową. Pułkownik Fitzwilliam wrócił w porę, by do nas dołączyć, w dodatku był uzbrojony.

– Wicehrabia Hartlep oczywiście złoży zeznania później. Czy możemy kontynuować? Czy może pan opisać przebieg wyprawy do lasu oraz wypadki prowadzące do odkrycia ciała kapitana Denny'ego?

Wcześniej Darcy nie potrzebował wypróbować zeznań, ale poświęcił trochę czasu na dobór właściwych słów i tonu głosu. Przekonywał sam siebie, że nie będzie opowiadał historii grupie przyjaciół, ale znajdzie się w sądzie. Rozwodzenie się na

temat ciszy, zakłócanej jedynie odgłosem ich kroków i skrzypieniem kół, byłoby niebezpiecznym folgowaniem sobie; należało się ograniczyć do faktów, przedstawionych pewnie i śmiało. Teraz opowiadał, jak pułkownik na krótko odłączył się od grupy, aby ostrzec panią Bidwell, jej umierającego syna i córkę przed potencjalnym zagrożeniem i polecić im zaryglować drzwi.

– Czy wyprawiając się do leśnego domu, wicehrabia Hartlep poinformował pana, że taki właśnie miał zamiar?

– Owszem.

– Jak długo go nie było?

– Myślę, że nie dłużej niż piętnaście, dwadzieścia minut, choć wtedy wydawało mi się, że dłużej.

– Potem ruszyliście w dalszą drogę?

– Tak. Pratt dość pewnie określił miejsce, gdzie kapitan Denny zagłębił się w las, więc moi towarzysze i ja zrobiliśmy to samo, po czym zaczęliśmy szukać drogi, którą mogli pójść tamci dwaj lub jeden z nich. Po kilku minutach, może dziesięciu, wyszliśmy na polanę, gdzie znaleźliśmy ciało kapitana Denny'ego, nad którym klęczał zapłakany Wickham. Natychmiast poznałem, że kapitan Denny nie żyje.

– W jakim stanie znajdował się pan Wickham?

– Był mocno wzburzony, a po jego słowach i oddechu poznałem, że pił, najpewniej dużo. Kapitan Denny miał zakrwawioną twarz, krew była też na dłoniach i twarzy pana Wickhama, pomyślałem, że dotykał przyjaciela.

– Czy pan Wickham się odezwał?

– Owszem.

– Co powiedział?

Oto więc padło budzące grozę pytanie i w umyśle Darcy'ego na chwilę zapanowała pustka. Wreszcie spojrział na Cartwrighta i rzekł:

– Myślę, sir, że przypominam sobie jego słowa dokładnie, choć może w nieco innym porządku. Według mnie powiedział: „Zabiłem go. To moja wina. Był moim przyjacielem, moim jedynym przyjacielem, a ja go zabiłem”. Potem powtórzył: „To moja wina”.

– Jak pan wtedy odebrał te słowa?

Darcy zdawał sobie sprawę, że cała sala sądowa czeka na jego odpowiedź. Skierował wzrok na sędziego, ten wolno otworzył oczy i spojrział na świadka.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie, panie Darcy.

Dopiero wówczas uzmysłowił sobie z przerażeniem, że musiał milczeć od dobrych kilku sekund. Zwracając się do sędziego, powiedział:

– Miałem przed sobą człowieka w stanie najwyższej udręki, klęczącego nad ciałem najlepszego przyjaciela. Zrozumiałem, że pan Wickham mówi, iż gdyby nie doszło między nimi do nieporozumienia, w którego wyniku kapitan Denny wysiadł z powozu i pobiegł w las, jego przyjaciel nie zostałby zamordowany. To była moja pierwsza myśl. Nie zauważyłem żadnej broni. Wiedziałem, że kapitan Denny był potężniej zbudowany i uzbrojony. Szczytem szaleństwa ze strony pana Wickhama byłoby udanie się w las za przyjacielem, bez broni i światła, w morderczych zamiarach. Nawet nie mógł być pewien, że znajdzie kapitana Denny'ego w gęstwinie zarośli i drzew, gdzie drogę oświetlał mu jedynie księżyc. Pomyślałem, że tego morderstwa nie mógł popełnić pan Wickham, ani w afekcie, ani z rozmysłem.

– Czy kiedy wchodził pan do lasu albo dotarł na polanę, widział pan lub słyszał kogokolwiek prócz lorda Hartlepa i pana Alvestona?

– Nie, sir.

– Czyli zeznaje pan pod przysięgą, że znalazł pan ciało kapitana Denny'ego, nad którym pochylał się zakrwawiony pan Wickham i mówił, nie raz, lecz dwukrotnie, że jest odpowiedzialny za śmierć przyjaciela?

Teraz zapadła dłuższa cisza. Darcy po raz pierwszy poczuł się jak zaszczute zwierzę.

– Takie są fakty, sir – odezwał się w końcu. – Pytał mnie pan, co wtedy według mnie te fakty oznaczały. Odpowiedziałem, w co wówczas wierzyłem i w co wierzę nadal, mianowicie że pan Wickham nie przyznawał się do zabójstwa, ale mówił prawdę: gdyby kapitan Denny nie opuścił powozu i nie wszedł w las, nie spotkałby swego zabójcy.

Jednak Cartwright nie skończył. Zmieniając taktykę, zapytał:

– Czy gdyby pani Wickham pojawiła się w Pemberley House niespodziewanie, bez zapowiedzi, zostałaby przyjęta?

– Tak.

– Jest ona, rzecz jasna, siostrą pani Darcy. Czy pan Wickham zostałby przyjęty, gdyby przybył w podobnych okolicznościach? Czy on i pani Wickham zostali zaproszeni na bal?

– To jest hipotetyczne pytanie, sir. Nie było powodu, dla którego mieliby zostać

zaproszeni. Od pewnego czasu nie utrzymywaliśmy kontaktów i nie znałem ich adresu.

– Według mnie, panie Darcy, pańska odpowiedź jest trochę nieszczerą. Czy zaprosiłby pan ich, gdyby znał pan adres?

W tej chwili Jeremiaś Mickledore wstał i zwrócił się do sędziego:

– Wysoki sędzio, jaki związek z zabójstwem kapitana Denny'ego może mieć lista gości pani Darcy? Z pewnością mamy prawo zapraszać do domu, kogo tylko chcemy, niezależnie od tego, czy jest naszym krewnym, czy nie, bez konieczności tłumaczenia się z naszych pobudek przed sądem, jeśli takie zaproszenie nie pozostaje w związku ze sprawą.

Sędzia poruszył się i zapytał niespodziewanie stanowczym tonem:

– Czy ma pan powody, by zadawać tego rodzaju pytania, panie Cartwright?

– Owszem, wysoki sędzio. Pragnę rzucić nieco światła na ewentualne relacje między panem Darcym a szwagrem, a tym samym pośrednio pozwolić przysięgłym wejrzeć w charakter pana Wickhama.

– Wątpię, by brak zaproszenia na bal pozwalał wejrzeć w prawdziwą naturę człowieka – stwierdził sędzia.

Jeremiaś Mickledore wstał ponownie i zwrócił się do Darcy'ego:

– Czy wie pan coś o postawie pana Wickhama podczas kampanii irlandzkiej w sierpniu 1798 roku?

– Owszem, sir. Wiem, że odznaczono go za odwagę w walce, został też ranny.

– Czy wedle pana wiedzy kiedykolwiek uwięziono go za przestępstwo, czy miał kłopoty z policją?

– O niczym takim mi nie wiadomo.

– A skoro jest mężem siostry pani Darcy, wiedziałby pan o takich rzeczach?

– Gdyby były poważne lub zdarzały się często, wiedziałbym.

– Powiedziano tu, że Wickham był pod wpływem alkoholu. Jakie kroki podjęto, żeby nad nim zapanować po przyjeździe do Pemberley?

– Położono go do łóżka, po czym posłano po doktora McFee, aby pomógł zarówno pani Wickham, jak i jej mężowi.

– Ale nie zamknięto go pod kluczem ani nie postawiono przy nim straży?

– Drzwi nie zostały zamknięte na klucz, ale pilnowało go dwóch ludzi.

– Czy to było konieczne, jeśli wierzył pan w jego niewinność?

– Pan Wickham był pijany, sir. Nie można było pozwolić, by włóczył się po

domu, zwłaszcza że mam dzieci. Poza tym martwiłem się o jego stan fizyczny. Jestem sędzią pokoju i wiedziałem, że po przybyciu sir Selwyna Hardcastle'a wszystkie osoby związane z tą sprawą powinny być zdolne do składania zeznań.

Pan Mickledore usiadł, natomiast Simon Cartwright podjął przesłuchanie.

– Ostatnie pytanie, panie Darcy. Grupa poszukiwawcza składała się z trzech ludzi, w tym z jednego uzbrojonego. Mieliście też broń kapitana Denny'ego, która nadawała się do użycia. Nie mieliście powodu przypuszczać, że kapitan Denny został zamordowany jakiś czas przed tym, gdy go znaleźliście. Zabójca mógł się ukrywać w pobliżu. Dlaczego nie wszczęliście poszukiwań?

– Uznałem, że na początek należy jak najszybciej wrócić do Pemberley z ciałem kapitana Denny'ego. Wytropienie kogoś kryjącego się w gęstym lesie byłoby praktycznie niemożliwe, poza tym założyłem, że zabójca już uciekł.

– Pewne osoby mogłyby uznać pańskie wyjaśnienia za nieprzekonywujące. Przecież po znalezieniu zamordowanego człowieka pierwszą reakcją jest próba ujęcia zabójcy.

– W tych okolicznościach nie przyszło mi to do głowy, sir.

– Istotnie, panie Darcy. Rozumiem, że nie przyszło to panu do głowy. Przecież był pan w obecności człowieka, którego, mimo pańskich zapewnień, uważał pan za zabójcę. Po cóż miałyby przychodzić panu do głowy, by szukać kogoś innego?

Zanim Darcy zdążył odpowiedzieć, Simon Cartwright umocnił swój triumf, wypowiadając ostatnie słowa:

– Muszę panu powinszować bystrości umysłu, panie Darcy. Nawet w chwilach, gdy większość z nas pod wpływem szoku byłaby skłonna do mniej rozumnych reakcji, najwyraźniej zachował pan nadzwyczajną zdolność klarownego myślenia. Ostatecznie miał pan przed oczyma scenę bezprecedensowej grozy. Spytałem o pańską reakcję na słowa oskarżonego, kiedy pan i pańscy towarzysze zastali go klęczącego z zakrwawionymi dłońmi nad ciałem zamordowanego przyjaciela. Bez zastanowienia zdołał pan wydedukować, że musiało dojść do sprzeczki, w której wyniku kapitan Denny wysiadł z powozu i uciekł w las; zdołał pan przypomnieć sobie różnicę wagi i wzrostu obu mężczyzn oraz jej znaczenie; zauważył pan też, że na miejscu zbrodni brakuje broni użytej do zadania którejkolwiek z ran. Zabójca z pewnością nie był na tyle uczynny, by zostawić broń na widoku. Dziękuję panu. Może pan wrócić na miejsce.

Ku zdziwieniu Darcy'ego tym razem pan Mickledore nie wstał, by przesłuchać

świadka, i Darcy zastanawiał się, czy to dlatego, że obrona nie mogła już w żaden sposób naprawić szkód, jakie on sam uczynił. Nie pamiętał powrotu na miejsce. Gdy w końcu usiadł, przepętnił go rozpaczliwy gniew na samego siebie. Darcy przeklinał się za to, że jest nieudolnym głupcem. Czyż Alveston nie poinstruował go starannie, jak ma odpowiadać na pytania? „Zanim odpowiesz, zastanów się, ale nie na tyle długo, by pomyśleli, że kalkulujesz; na pytania odpowiadaj w sposób prosty i dokładny, nie mów więcej niż to, o co pytają, unikaj ozdobników; jeżeli Cartwright chce więcej, może poprosić. Katastrofa na miejscu dla świadków wynika zazwyczaj z tego, że ktoś mówi za dużo, nie za mało”. Darcy powiedział za dużo, z katastrofalnym skutkiem. Pułkownik niewątpliwie zachowa się mądrzej, ale mleko już się rozlało.

Czując na ramieniu dłoń Alvestona, Darcy powiedział żałośnie:

– Wyrządziłem szkodę obronie, prawda?

– Nic podobnego. Pan, świadek oskarżenia, wygłosił bardzo skuteczną mowę obrończą, czego Mickledore nie może zrobić. Przysięgli wysłuchali jej, co jest ważne, a Cartwright nie jest w stanie wymazać pańskich słów z ich umysłów.

Kolejni świadkowie oskarżenia składali zeznania. Doktor Belcher opowiedział o przyczynie śmierci, konstable dość szczegółowo opisali bezowocne próby zidentyfikowania broni, choć w lesie pod liśćmi odkryto kamienie; pomimo wyczerpujących poszukiwań i przesłuchań nie znaleziono dowodów na obecność w lesie dezertera lub innej osoby w istotnym czasie.

Wreszcie wezwano pułkownika wicehrabiego Hartlepa, zapadła całkowita cisza, a Darcy zaczął się zastanawiać, czemu Simon Cartwright postanowił, by ten ważny świadek zeznawał jako ostatni. Czy miał nadzieję, że słowa pułkownika wywrą trwalsze, mocniejsze wrażenie, jeśli będą ostatnim zeznaniem wysłuchanym przez przysięgłych? Pułkownik wystąpił w mundurze, a Darcy przypomniał sobie, że później ma spotkanie w War Office. Wicehrabia Hartlep podszedł do miejsca dla świadków swobodnym krokiem jak na porannej przechadzce, lekko skłonił się sędziemu, złożył przysięgę i czekał, aż Cartwright rozpocznie przesłuchanie. Darcy odniósł wrażenie, że pułkownik okazuje pewne zniecierpliwienie, jak zawodowy żołnierz, który ma do wygrania wojnę, gotów okazać szacunek sądowi, jednocześnie dystansując się od sądowych niedorzeczności. W mundurze prezentował się bardzo godnie, zaliczano go zresztą do najprzystojniejszych, najbardziej szarmanckich oficerów armii brytyjskiej. Po sali rozniosły się szepty,

szybko uciszone, po czym Darcy ujrzał, jak modne damy pochylają się z napięciem do przodu, niczym przystrojone wstążkami pieski salonowe, które całe dygoczą, czując zapach smakowitego kąska.

Pułkownika drobiazgowo wypytano o wszystkie szczegóły związane z wydarzeniami od chwili, gdy wrócił do domu z wieczornej konnej przejażdżki i dołączył do ekspedycji, aż po przybycie sir Selwyna Hardcastle'a, który przejął śledztwo. Pułkownik opowiedział o tym, jak pojechał do zajazdu King's Arms w Lambton, gdzie przeprowadził prywatną rozmowę z pewnym gościem w czasie, gdy zamordowano kapitana Denny'ego. Następnie Cartwright zapytał o trzydzieści funtów znalezionych przy Wickhamie, na co pułkownik odparł spokojnie, że dał te pieniądze oskarżonemu, by umożliwić mu spłatę długu honorowego; tylko konieczność zeznawania w sądzie skłoniła pułkownika do złamania solennej obietnicy zawartej między nim a oskarżonym, że transakcja pozostanie poufna. Pułkownik nie zamierzał wymieniać nazwiska wierzyciela, ale nie był nim kapitan Denny, pieniądze zaś nie miały żadnego związku z jego śmiercią.

Pan Mickledore wstał na moment.

– Czy może pan zapewnić sąd, pułkowniku, że ta pożyczka czy darowizna nie była przeznaczona dla kapitana Denny'ego, nie ma też żadnego związku z zabójstwem?

– Tak.

Następnie Cartwright powrócił do znaczenia słów Wickhama wypowiedzianych nad ciałem przyjaciela.

– Jak świadek je odebrał?

Po chwili zastanowienia pułkownik rzekł:

– Nie potrafię czytać w myślach innego człowieka, sir, ale zgadzam się z opinią przedstawioną przez pana Darcy'ego. Według mnie w grę wchodził instynkt, a nie drobiazgową kalkulacją. Nie gardzę instynktem; kilkakrotnie uratował mi życie, jednak instynkt opiera się oczywiście na ocenie wszystkich istotnych faktów, co nie musi koniecznie prowadzić do błędu, jako że proces ma charakter podświadomy.

– Czy brali panowie pod uwagę zostawienie ciała kapitana Denny'ego i rozpoczęcie niezwłocznych poszukiwań zabójcy? Rozumie się, że gdyby do tego doszło, pan, jako wybitny dowódca, stanąłby na czele.

– Ja nie rozważałem takiej ewentualności, sir. Nie zapuszczam się na wrogie, nieznane terytorium z niewystarczającymi siłami, nie ochraniając tyłów.



Więcej pytań nie było i stało się jasne, że prokurator zebrał wszystkie zeznania.

– Mickledore popisał się błyskotliwością – szepnął Alveston. – Pułkownik potwierdził pańskie zeznania, podano też w wątpliwość wiarygodność Pratta. Budzi się we mnie nadzieja, choć mamy jeszcze przed sobą mowę obrońcą Wickhama oraz słowa, jakie sędzia skieruje do przysięgłych.

Chrapanie, jakie od czasu do czasu dało się słyszeć, pokazywało wyraźnie, że panująca w sali sądowej wysoka temperatura usypiała ludzi, teraz jednak zaczęli się szturchać i szeptać z zaciekawieniem, ponieważ Wickham w końcu stanął na miejscu dla świadków, by zabrać głos. Oskarżony mówił wyraźnie, miarowo, prawie beznamiętnie; Darcy odniósł wrażenie, że Wickham nie mówi, ale czyta słowa, które mogą uratować mu życie.

– Jestem oskarżony o zamordowanie kapitana Martina Denny'ego, ale nie przyznałem się do winy. Nie jestem odpowiedzialny za to zabicie, a jednak stoję tu, oddając się w ręce sprawiedliwości. Ponad sześć lat temu służyłem z kapitanem Dennyem w milicji, został wtedy moim bliskim przyjacielem i towarzyszem broni. Życie przyjaciela ceniłem na równi z własnym. Jeśli zostałby napadnięty, broniłbym go do śmierci; zrobiłbym to, gdybym był obecny, kiedy przypuszczono tchórzliwy atak, w którego wyniku stracił życie. Powiedziano tu, że Denny i ja pokłóciliśmy się w zajeździe przed wyruszeniem w tę fatalną podróż. To było zwykłe nieporozumienie między przyjaciółmi, sam ponoszę za nie winę. Kapitan Denny, który był człowiekiem honoru, a także osobą wielkiego serca, uważał, że robię źle, występując z wojska w sytuacji, gdy nie mam dobrego zawodu ani domu dla żony. Co więcej, uważał, że mój plan zostawienia pani Wickham w Pemberley, aby spędziła tam noc i nazajutrz wzięła udział w balu, jest nierozważny i sprawi kłopot pani Darcy. Przypuszczam, że Denny w końcu stracił do mnie cierpliwość, moja obecność stała się dla niego nie do zniesienia, co kazało mu zatrzymać powóz i pobiec w las. Ruszyłem za nim, żeby nakłonić go do powrotu. Tej nocy szalała burza, las jest miejscami nieprzebyty, bywa też niebezpieczny. Nie wypieram się przypisywanych mi słów, ale chciałem w ten sposób powiedzieć, że ponoszę odpowiedzialność za śmierć przyjaciela, ponieważ to z powodu naszej sprzeczki pobiegł w las. Owszem, piłem ostro i wielu rzeczy nie pamiętam, ale dokładnie przypominam sobie przerażenie, kiedy go znalazłem i ujrzałem jego zakrwawioną twarz. Oczy Denny'ego potwierdziły to, co już wiedziałem: że nie żyje. Szok, groza i żal mnie obezwładniły, ale nie na tyle, by nie podjąć próby schwytania zabójcy. Zabrałem pistolet Denny'ego i kilkakrotnie strzeliłem za, jak mi się zdawało,

uciekającą postacią, po czym pobiegłem za nią w las. Wypity alkohol dał mi się we znaki i nie pamiętam nic więcej do chwili, w której klęczałem obok przyjaciela i tuliłem jego głowę w dłoniach. Wtedy przybyła ekspedycja ratunkowa.

– Panowie przysięgli, oskarżenie skierowane przeciwko mnie nie ma szans powodzenia. Jeżeli uderzyłem przyjaciela w czoło oraz, co jeszcze bardziej bezlitosne, zadałem mu cios w kark, gdzie jest broń? Mimo drobiazgowych poszukiwań nie przedstawiono sądowi żadnych dowodów. Jeśli sugeruje się, że ruszyłem za przyjacielem z morderczymi zamiarami, jak zdołałem obezwładnić człowieka silniejszego i wyższego ode mnie, w dodatku uzbrojonego? Dlaczego miałbym to robić? Nie przedstawiono tu żadnego motywu. Fakt, że nie natrafiono na obcego czającego się w lesie, nie może oznaczać, że taki człowiek nie istniał; trudno się spodziewać, by czekał na miejscu popełnionej przez siebie zbrodni. Mogę jedynie przyrzec, pamiętając, że zeznam pod przysięgą, iż nie brałem żadnego udziału w zabójstwie kapitana Martina Denny' ego i ufnie oddaję się w ręce sprawiedliwości.

Zapadła cisza.

– To nie była dobra mowa – szepnął Alveston do Darcy' ego.

– Jak to niedobra? Sądziłem, że zrobił, co trzeba. Przedstawił główne argumenty, wskazał na brak dowodów na poważną kłótnię, nieznanie broni, irracjonalność pościgu za przyjacielem z morderczymi zamiarami, brak motywu. Co było nie tak?

– Trudno to wyjaśnić, ale słyszałem już wielu mów obrończych wygłaszanych przez oskarżonych i obawiam się, że ta może nie wystarczyć. Przy całej trosce o formę mowy brakowało w niej żywej iskry, która bierze się z przekonania o niewinności. Sposób przedstawienia argumentów, brak pasji, staranność; Wickham może powiedział, że nie popełnił tej zbrodni, ale nie czuje się niewinny. To jest coś, co przysięgli wyczuwają, nie pytaj jak. Może nie ponosi winy za to morderstwo, ale dźwiga na barkach brzemień odpowiedzialności.

– Podobnie jak my wszyscy. Czyż poczucie winy nie jest częścią bycia człowiekiem? Wickham musiał posiadać uzasadnione wątpliwości w umysłach przysięgłych. Mnie taka mowa by wystarczyła.

– Modłę się, by wystarczyła przysięgłym, ale nie jestem optymistą – odparł Alveston.

– Ale jeśli Wickham był pijany?

– Z pewnością twierdził, że był pijany w czasie, gdy popełniono morderstwo, jednak nie na tyle, by w zajeździe nie wsiąść do powozu o własnych siłach. Tego tematu nie drążono podczas przesłuchania, ale według mnie kwestia, jak bardzo był wtedy pijany, pozostaje otwarta.

W czasie mowy obrończej oskarżonego Darcy usiłował skupić na nim wzrok, ale nie mógł się oprzeć obserwowaniu pani Younge. Nie istniało ryzyko, że ich spojrzenia się spotkają. Pani Younge nie spuszczała wzroku z Wickhama, a co pewien czas Darcy widział, jak kobieta porusza ustami, jakby słuchała czegoś, co sama napisała; możliwe też, że się modliła. Kiedy ponownie spojrzął na ławę oskarżonych, Wickham patrzył w dal; zwrócił głowę ku sędziemu, gdy pan Justice Moberley rozpoczął mowę do przysięgłych.

Pan Justice Moberley nie robił wcześniej notatek. Teraz nachylił się ku przysięgłym, jakby sprawa nie dotyczyła pozostałych osób w sądzie, a piękny głos, który przykuł uwagę Darcy' ego, brzmiał na tyle donośnie, by słyszeli go wszyscy obecni. Zwięźle, acz starannie zreasumował zeznania, jakby czas nie naglił. Mowa zakończyła się słowami, które zdaniem Darcy' ego świadczyły o tym, że sędzia uwierzył obronie, i podniósł go na duchu.

– Panowie przysięgli, cierpliwie i uważnie wysłuchaliście zeznań w tym długim procesie, teraz zaś nadszedł czas, abyście je rozważyli i wydali werdykt. Oskarżony był wcześniej zawodowym żołnierzem, został odznaczony za odwagę, to jednak nie powinno wpływać na waszą decyzję, która ma się opierać na przedstawionych dowodach. Spoczywa na was wielka odpowiedzialność, wiem jednak, że wywiążecie się z obowiązku bez lęku, bezstronnie i z poszanowaniem prawa.

– Podstawowa zagadka tej sprawy, o ile mogę tak ją określić, brzmi: dlaczego kapitan Denny pobiegł w las, skoro mógł bezpiecznie i wygodnie pozostać w powozie? Jest nie do pomyślenia, by napastnik mógł go zaatakować w obecności pani Wickham. Oskarżony tłumaczył, dlaczego kapitan Denny nieoczekiwanie zatrzymał powóz, wy zaś będziecie się zastanawiać, czy takie wyjaśnienie was zadowala. Kapitan Denny nie żyje, nie może zatem wytłumaczyć swego postępowania, światło na tę kwestię rzucają wyłącznie zeznania pana Wickhama. Podobnie jak znaczna część tej sprawy również ten element opiera się na przypuszczeniach. Przedstawiając werdykt, musicie się kierować zeznaniami złożonymi pod przysięgą, nie zaś niczym niepopartymi opiniami. Musicie uwzględnić okoliczności, w jakich grupa ratownicza znalazła ciało Denny' ego i usłyszała słowa przypisywane oskarżonemu. Słyszeliście, jak on sam wyjaśnił ich sens, i sami musicie zdecydować, czy mu wierzycie, czy nie. Jeżeli macie niewzruszoną pewność, iż George Wickham jest winien zabójstwa kapitana Denny' ego, wydacie wyrok skazujący; jeżeli nie macie takiej pewności, oskarżony ma prawo zostać uniewinniony. Teraz zostawiam was z waszymi rozważaniami. Jeśli chcecie naradzić się nad wyrokiem w ustronnym miejscu, przygotowano odpowiedni pokój.

Pod koniec procesu Darcy czuł się tak wyczerpany, jakby sam zasiadał na ławie oskarżonych. Bardzo pragnął poprosić Alvestona o słowa otuchy, ale duma oraz świadomość, że nagabywanie go byłoby równie irytujące, jak jałowe, kazała mu zmilczeć. Nie pozostawało nic innego, jak mieć nadzieję i czekać. Przysięgli oddalili się, by naradzić się nad werdyktem, a pod ich nieobecność w sali sądowej ponownie zawrzało jak w olbrzymiej klatce z papugami; ludzie rozprawiali o zeznaniach i zakładali się o wyrok. Nie musieli długo czekać. Po niespełna dziesięciu minutach przysięgli wrócili. Darcy usłyszał donośny, autorytatywny głos urzędnika sądowego, który spytał przysięgłych:

– Kto jest waszym przewodniczącym?

– To ja, sir – wysoki śniady mężczyzna, który tak często przyglądał się Darcy'emu w czasie procesu i najwyraźniej przewodniczył ławie przysięgłych, wstał.

– Czy uzgodniliście werdykt?

– Tak.

– Czy według was oskarżony jest winny, czy niewinny?

– Winny – padła natychmiastowa odpowiedź.

– Czy takie jest zdanie was wszystkich?

– Tak.

Darcy wiedział, że z jego ust musiał się wydrzeć okrzyk. Na ramieniu poczuł uspokajającą dłoń Alvestona. W sądzie podniósł się harmider – mieszanka jęków, krzyków i protestów narastała, aż, jakby pod wpływem zbiorowego przymusu, hałas ucichł i oczy wszystkich zwróciły się na Wickhama. Ogarnięty wrzawą Darcy zamknął oczy, potem zmusił się, by unieść powieki i spojrzeć na ławę oskarżonych. Zastygła i blada twarz Wickhama przypominała maskę pośmiertną. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale żadne słowa nie padły. Kurczowo trzymał się krawędzi ławki i chyba się zatoczył; Darcy poczuł, jak jego własne mięśnie sztywnieją, patrzył, jak Wickham się opanowuje i z wyraźnym wysiłkiem znajduje siłę, by stanąć prosto. Patrząc na sędziego, odzyskał głos, początkowo łamiący się, potem jednak wyraźny i donośny:

– Nie popełniłem tej zbrodni, wysoki sędzie. Przysięgam na Boga, że jestem

niewinny. – Szeroko rozwartymi oczyma wodził rozpaczliwie po sali sądowej, jakby w poszukiwaniu przyjaznej twarzy, głosu, który potwierdziłby jego niewinność. Potem powtórzył z większą mocą: – Jestem niewinny, wysoki sędzie, niewinny.

Darcy zerknął na miejsce, gdzie siedziała pani Younge, w stonowanym stroju, milcząca pośród jedwabi, muslinów i poruszających się wachlarzy. Kobieta zniknęła. Musiała wyjść natychmiast po ogłoszeniu wyroku. Darcy wiedział, że musi ją odnaleźć; pragnął się dowiedzieć, jaką rolę odegrała w tragedii śmierci Denny'ego, odkryć, dlaczego siedziała w sądzie, ze wzrokiem utkwionym w Wickhamie, jak gdyby nawzajem dodawali sobie siły i odwagi.

Darcy zostawił Alvestona i zaczął torować sobie drogę do wyjścia. Drzwi zamknięto przed tłumem, który napierał od zewnątrz z rosnącą wrzawą, najwyraźniej zamierzając szturmować wtargnąć do sali sądowej. Wrzaski w sali znowu się nasiliły, ale tym razem brzmiały nie tyle żałośnie, ile gniewnie. Darcy'emu wydało się, że słyszy, jak sędzia grozi wezwaniem policji lub wojska w celu rozpędzenia wichrzycieli, ktoś obok Darcy'ego mówił:

– Gdzie jest czarna czapka<sup>[4]</sup>? Dlaczego, na Boga, nie mogą jej znaleźć i założyć mu na głowę?

Potem rozległ się triumfalny okrzyk, Darcy rozejrzał się i zobaczył, że towarzysze pewnego młodzieńca dźwignęli go w górę, ten zaś wymachiwał czarnym kwadratowym przedmiotem. Darcy zadrzał, pojmując, że to właśnie jest owa czapka.

Darcy walczył o utrzymanie miejsca przy drzwiach, a gdy tłum z zewnątrz uchylił je, zdołał się precyzyjnie i łokciami utorować sobie drogę do wyjścia. Tutaj też panował zgiełk, ta sama kakofonia jęków, krzyków, chóralnych wrzasków wyrażających, jak mu się zdało, raczej litość niż gniew. Pod sąd podjechał ciężki powóz, tłum usiłował ściągnąć stangreta z miejsca.

– To nie moja wina! – wołał stangret. – Sami widzieliście tę kobietę. Rzuciła się prosto pod koła!

Jak zbłąkane zwierzę leżała zmiażdżona pod masywnymi kołami, krew płynęła czerwoną strugą, tworząc kałużę pod końskimi kopytami. Czując jej woń, zwierzęta rżały i wierzgały, stangret z trudem nad nimi panował. Darcy spojrzął, odwrócił się i gwałtownie zwymiotował do rynsztoka. Kwaśny odór zdawał się zatrwać powietrze. Po chwili dobiegł go krzyk:

– Gdzie jest śmiertelny furgon? Dlaczego jej nie zabiorą? To nieprzyzwoite tak ją

tu zostawiać.

Pasażer powozu zamierzał wysiąść, ale na widok zbiegowiska cofnął się i zaciągnął zasłonę, najwyraźniej czekając, aż przyjadą konstable i zaprowadzą porządek. Tłum gęstniał, dzieci gapiły się, niczego nie pojmując, kobiety trzymały na rękach niemowlęta, które zaczęły płakać. Darcy nic nie mógł począć. Teraz musiał wrócić do sali sądowej, odszukać pułkownika i Alvestona w nadziei, że dodadzą mu otuchy; jednocześnie w głębi serca wiedział, że nie może na nią liczyć.

Wtedy ujrzał kapelusz ozdobiony purpurowymi i zielonymi wstążkami; musiał spaść jej z głowy, potoczył się po chodniku i znieruchomiał u jego stóp. Darcy patrzył na kapelusz jak w transie. Stojąca nieopodal zataczająca się kobieta, z niemowlęciem na ręku i flaszką dzinu w dłoni, przepchnęła się do przodu, pochyliła się i koślavo założyła sobie kapelusz na głowę.

– Jej już się nie przyda. – W uśmiechu wyszczerzyła zęby do Darcy'ego i odeszła.



Zamieszanie wywołane wypadkiem odciągnęło część osób od drzwi, toteż Darcy zdołał się precyzyjnie przemieszczać do środka z ostatnimi sześcioma widzami. Ktoś zawołał tubalnie:

– Przyznanie się do winy! Przyniosłem przyznanie się do winy!

W sali sądowej natychmiast wybuchła wrzawa. Przez chwilę wydawało się, że Wickhama ściągną z ławy oskarżonych, ale szybko otoczyli go urzędnicy sądowi. Stał przez pewien czas oszołomiony, po czym usiadł, zakrywając twarz dłońmi. Hałas narastał. Wtedy Darcy spostrzegł doktora McFee i wielbnego Percivala Oliphanta w otoczeniu konstabli. Zdumiony ich obecnością patrzył, jak ktoś wysuwa dwa ciężkie krzesła i obaj przybysze osuwają się na nie wyczerpani. Darcy próbował się przemieszczać do nich, ale tłum tworzył zbitą, nieprzebytą masę.

Ludzie wstali z miejsc i ruszyli w kierunku sędziego. Ten uniósł młotek i energicznie nim uderzył, wreszcie zdołał przekrzyczeć tłum i wrzawa ustała.

– Woźny, proszę zamknąć drzwi na klucz. W razie dalszych rozruchów każę opróżnić sąd. Dokument, który przed chwilą przejrzałem, jest ponoć podpisanym zeznaniem złożonym w obecności dwóch świadków, obecnego tu doktora Andrew McFee oraz wielbnego Percivala Oliphanta. Czy to wasze podpisy, panowie?

– Tak jest, wysoki sędzie – odezwali się jednocześnie doktor McFee i wielbny Oliphant.

– Czy ten dokument został spisany odręcznie przez osobę, która złożyła swój podpis nad waszymi?

– Częściowo, wysoki sędzie – odparł doktor McFee. – William Bidwell był u kresu życia i spisał to zeznanie w łóżku, ufam jednak, że pismo, choć chwiejne, jest wystarczająco czytelne. Ostatni akapit, co wskazuje zmiana charakteru pisma, napisałem sam pod dyktando Williama Bidwella. Wtedy był w stanie mówić, nie mógł jednak pisać. Zdołał jedynie złożyć swój podpis.

– Wobec tego proszę, aby obrona przeczytała ten dokument. Później postanowię, jak należy dalej postępować. Jeśli ktokolwiek będzie przerywał, zostanie usunięty z sali sądowej.

Jeremiah Mickledore wziął dokument, poprawił okulary, przesunął wzrokiem

po kartce, po czym zaczął czytać głośno i wyraźnie. W sali panowała cisza.

*Ja, William John Bidwell, składam niniejsze zeznanie z własnej woli, aby przedstawić wierną relację z wydarzeń, które miały miejsce w lesie Pemberley w nocy czternastego października bieżącego roku. Czynię to z pełną świadomością faktu, że kres mojego życia jest bliski. Leżałem w łóżku w pokoju frontowym na piętrze. W domu nie było nikogo oprócz mojego malutkiego siostrzeńca George'a, pozostawionego w łóżeczku. Mój ojciec pracował w Pemberley. Wcześniej z kurnika dobiegło głośne gdakanie, więc moja matka i siostra Louisa, obawiając się lisa, poszły sprawdzić, co to za hałas. Matka nie chciała, żebym wstawał z łóżka, bo byłem bardzo słaby, ale zapragnąłem wyrzecz na zewnątrz. Zdołałem się dźwignąć z łóżka i dotrzeć do okna. Wiał silny wiatr, świecił księżyc, a wyrzawszy przez okno, zobaczyłem, że z lasu wychodzi oficer w mundurze, staje i spogląda na dom. Ukryłem się za zasłoną, aby móc patrzeć, samemu nie będąc widzianym.*

*Wcześniej moja siostra Louisa powiedziała mi, że oficer milicji, stacjonujący w zeszłym roku w Lambton, próbował dokonać zamachu na jej cnotę. Instynktownie poczułem, że to jest właśnie ten człowiek, który przyszedł, aby ją zabrać. W innym razie po co stałby przed domem w taką noc? Ojca nie było, więc nie miał kto bronić Louisy, a ja stale się zamartwiałem, że jestem beznadziejnym inwalidą, nie mogę pracować, choć ojciec haruje jak wół, jestem zbyt słaby, by ochraniać własną rodzinę. Założyłem pantofle i zdołałem zejść na dół. Uzbrojony w pogrzebacz z paleniska, wyszedłem na dwór.*

*Oficer ruszył w moją stronę z ręką uniesioną na znak, że ma pokojowe zamiary, ale wiedziałem, że jest inaczej. Kuśtykając, podszedłem ku niemu, poczekałem, aż się do mnie zbliży, wtedy z całej siły uderzyłem go końcem pogrzebacza w czoło. To nie był silny cios, jednak przeciął skórę i spowodował krwawienie. Oficer usiłował otrzeć oczy, ale wiedziałem, że nic nie widzi. Potykając się, ruszył z powrotem w las, a mnie ogarnęło poczucie triumfu, które dodało mi sił. Oficer zniknął mi z oczu. Usłyszałem donośny łoskot, jakby padające drzewo. Wspierając się o drzewa, zagłębiłem się w las i zobaczyłem w świetle księżyca, że oficer potknął się o grób psa i padł na plecy, uderzając głową o nagrobek. To był mocno zbudowany mężczyzna, przewrócił się z gromkim łoskotem, nie sądziłem jednak, że skutek może być śmiertelny. Czuję tylko dumę, że zdołałem ocalić ukochaną siostrę. Zobaczyłem, że oficer klęka i zaczyna się odczołgiwać. Wiedziałem, że próbuje mi uciec, ale nie miałem sił, żeby za nim pójść. Cieszyłem się, że nie wróci.*

*Nie pamiętam, jak dotarłem do domu; przypominam sobie tylko, że oczyściłem pogrzebacz chusteczką, którą wrzuciłem do ognia. Moje następne wspomnienie to scena, kiedy matka pomaga mi wejść po schodach, kładzie mnie do łóżka i beszta za to, że wstałem. Nie*

powiedziałem nic o spotkaniu z oficerem. Nazajutrz usłyszałem, że pułkownik Fitzwilliam zaszedł później do domu i wspominał o dwóch zaginionych dżentelmenach, ale nic o tym nie wiedziałem.

Nawet po obwieszczeniu, że pan Wickham stanie przed sądem, nie powiedziałem ani słowa o całym zajściu. W ciągu miesięcy, które spędził w londyńskim więzieniu, nadal milczałem, później jednak pojąłem, że muszę się przyznać na wypadek, gdyby uznano go za winnego. Postanowiłem się wypowiadać wielebnemu Oliphantowi, on zaś powiadomił mnie, że proces pana Wickhama rozpocznie się za kilka dni, muszę więc niezwłocznie spisać to zeznanie, aby trafiło do sądu przed rozpoczęciem procesu. Pan Oliphant natychmiast posłał po doktora McFee, a dziś w nocy wyznałem im prawdę, spytałem też doktora, jak długo jeszcze według niego będę żył. Lekarz odparł, że nie może mieć pewności, ale raczej nie przeżyję następnego tygodnia. Doktor McFee także nakłaniał mnie do przyznania się do winy i podpisania zeznania, co też czynię. Napisałem samą prawdę, wiedząc, że wkrótce odpowiem za wszystkie grzechy przed boskim majestatem, w nadziei na Jego miłosierdzie.

– William Bidwell pisał to ponad dwie godziny, pokrzepiany piwem, które mu podawałem – powiedział doktor McFee. – Wielebny Oliphant i ja nie mieliśmy wątpliwości, że chory wie, iż jego kres jest bliski. Nie wątpimy, że w obliczu Boga napisał prawdę.

Po chwili ciszy w sali sądowej znowu wybuchła wrzawa, ludzie zerwali się na równe nogi, wrzeszczeli, tupali, kilka osób zaczęło skandować, inni podchwycili i wkrótce rozległy się okrzyki:

– Wypuścić go! Wypuścić go! Uwolnić go! – Ławę oskarżonych otaczało teraz tylu konstabli i urzędników sądowych, że prawie zasłaniali Wickhama.

Ten sam tubalny głos zażądał ciszy. Sędzia zwrócił się do doktora McFee:

– Czy może pan wytłumaczyć, dlaczego ten ważny dokument przedstawił pan sądowi na ostatnim etapie procesu, tuż przed ogłoszeniem wyroku? Takie niepotrzebnie dramatyczne wydarzenie jest obrazą dla mnie i tego sądu. Domagam się wyjaśnień.

– Składamy nasze szczerze przeprosiny, wysokie sędzie – powiedział doktor McFee. – Dokument jest datowany trzy dni temu, bo wtedy wielebny Oliphant i ja wysłuchaliśmy wyznania. Potem zapadła noc, nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyliśmy do Londynu moim powozem. Zatrzymaliśmy się tylko na krótki posiłek oraz by napić konie. Jak pan zobaczy, wysoki sędzie, wielebny Oliphant, który ma ponad sześćdziesiąt lat, jest całkowicie wyczerpany.

– Zbyt wiele mamy procesów, w których ważne dowody pojawiają się z opóźnieniem – powiedział sędzia nadąsanym tonem. – Mimo to wydaje się, że nie są panowie winni, i przyjmuję przeprosiny. Teraz zastanowię się z doradcami, jakie kroki należy podjąć. Oskarżony zostanie odwieziony do więzienia, gdzie przebywał, a w tym czasie sekretarz spraw wewnętrznych, lord kanclerz, lord najwyższy sędzia i inni wysocy rangą przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości rozważą kwestię ewentualnego ułaskawienia królewskiego. Sam, jako sędzia prowadzący proces, będę miał prawo głosu. W świetle tego dokumentu nie ogłoszę wyroku, jednak werdykt przysięgłych musi pozostać w mocy. Możecie mieć pewność, panowie, że angielskie sądy nie skazują na śmierć człowieka, którego niewinności dowiedziono.

W sali rozległy się pomruki, ale ludzie zaczęli wychodzić. Wickham stał, kurczowo trzymając się krawędzi ławy oskarżonych, aż knykcie mu zbieleły. Nieruchomy i blady wyglądał jak w transie. Jeden z konstabli po kolei poodginał mu palce jak dziecku. Między ławą przysięgłych a bocznymi drzwiami zrobiono przejście i Wickham został w milczeniu odprowadzony do celi.

# **Księga szósta**

Ulica Gracechurch

Uzgodniono, że Alveston powinien towarzyszyć panu Micklethorpe'owi na wypadek, gdyby obecność tego pierwszego okazała się konieczna przy formalnościach związanych z ułaskawieniem, toteż młody prawnik został w sali sądowej, Darcy zaś, stęskniony za Elizabeth, samotnie wrócił na ulicę Gracechurch. O szesnastej Alveston przyszedł sam i oznajmił, że cała procedura związana z królewskim ułaskawieniem powinna się zakończyć pojutrze późnym popołudniem, po czym będzie mógł odeskortować Wickhama z więzienia na ulicę Gracechurch. Wszyscy mieli nadzieję, że uda się to zrobić jak najbardziej niepostrzeżenie. Jeden wynajęty prywatny powóz miał czekać na tyłach więzienia Coldbath, drugi dla zmyłki miał stać od frontu. Na szczęście zdołali utrzymać w tajemnicy fakt, że Darcy i Elizabeth zatrzymali się u Gardinerów, a nie, jak się spodziewano, w modnym zajeździe, toteż jeśli dokładna godzina zwolnienia Wickhama nie dostanie się do publicznej wiadomości, istniała szansa, że przybędzie on na Gracechurch niezauważony. Wickham wrócił do więzienia Coldbath, ale tamtejszy kapelan, wielebny Cornbinder, który się z nim zaprzyjaźnił, zaproponował, by po wyjściu na wolność Wickham spędził wieczór u niego i jego żony. Więzień opowiedział o tym Darcy'emu i pułkownikowi, wyraził też życzenie, by udać się tam natychmiast, nie korzystając z zaproszenia państwa Gardinerów. Gardinerowie uznali za stosowne zaprosić Wickhama do siebie, ale odrzucenie zaproszenia przyjęto z ogólną ulgą.

– To prawdziwy cud, że Wickham został ocalony. Werdykt był pokrętny, irracjonalny, przecież nie powinni byli uznać go za winnego – powiedział Darcy.

– Nie mogę się z tym zgodzić – odparł Alveston. – Słowa, które przysięgli uważali za przyznanie się do winy, powtórzono dwukrotnie, poza tym za dużo spraw pozostało niewyjaśnionych. Czy kapitan Denny wysiadłby z powozu i pobiegł w gęsty, nieznany las w taką noc tylko po to, aby uniknąć zażenowania, kiedy towarzyszyłby pani Wickham po dotarciu do Pemberley? Ostatecznie ona jest siostrą pani Darcy. Czy nie wydawało się bardziej prawdopodobne, że Wickham wdał się był w Londynie w nielegalne interesy, Denny nie chciał mieć już z nimi nic wspólnego, więc należało go uciszyć przed wyjazdem z hrabstwa Derby? Było coś

jeszcze, co mogło się przyczynić do werdyktu, o czym dowiedziałem się z rozmowy z jednym z przysięgłych w sądzie. Jak się okazuje, przewodniczący ławy przysięgłych ma siostrzenicę, którą bardzo lubi. Mąż tej kobiety uczestniczył w rebelii irlandzkiej i zginął. Od tamtej pory przewodniczący ławy przysięgłych wieje nieprzejednaną nienawiścią do wojska. Gdyby ta sprawa wyszła na jaw, Wickham niewątpliwie mógłby zakwestionować obecność tego ławnika w składzie, ale on i poległy żołnierz nosili inne nazwiska, toteż było mało prawdopodobne, by sekret wyszedł na światło dzienne. Jeszcze przed procesem Wickham zapowiedział, że nie zamierza kwestionować składu ławy przysięgłych, do czego miał prawo, ani powoływać trzech świadków, by zeznawali na temat jego charakteru. Wydaje się, że od samego początku miał optymistyczne, lecz, ogólnie rzecz biorąc, naiwne nastawienie. Wcześniej był zasłużonym oficerem, został ranny, walcząc za ojczyznę, a teraz chętnie przystawał na to, by ojczyzna go osądziła. Jeżeli jego słowa złożone pod przysięgą nie wystarczyłyby, gdzie miał szukać sprawiedliwości?

– Jedna rzecz mnie trapi, Alveston, i chciałbym usłyszeć twoje zdanie – powiedział Darcy. – Czy naprawdę uważasz, że umierający człowiek mógł zadać ten pierwszy cios?

– Owszem – odparł Alveston. – W swojej praktyce adwokackiej zetknąłem się z przypadkami, w których ciężko chorzy ludzie znajdowali zdumiewające pokłady siły, kiedy wymagała tego konieczność. Cios był lekki, po jego zadaniu chory nie zapuścił się daleko w las, choć nie wierzę, że wrócił do łóżka o własnych siłach. Według mnie prawdopodobnie zostawił drzwi domu otwarte, jego matka wyszła, znalazła syna, po czym pomogła mu wrócić do domu i łóżka. To przypuszczalnie ona wytarła pogrzebacz i spaliła chustkę. Mimo to czuję, jestem pewien, iż sprawiedliwości nie stałoby się zadość, gdyby ujawniono te fakty. Zresztą nie ma na nie dowodów, sądzę więc, że musimy się cieszyć królewskim ulaskawieniem, które zostanie wydane. Musimy się radować, że Wickham, który podczas całej przeprawy wykazał nadzwyczajną odwagę, może rozpocząć, miejmy nadzieję, bardziej pomyślne życie.

Wczesna kolacja upłynęła w niemal całkowitym milczeniu. Dotychczas Darcy sądził, że ulga związana z uniknięciem przez Wickhama publicznej egzekucji na szubienicy okaże się tak wielkim błogosławieństwem, że inne obawy stracą na znaczeniu, ale kiedy największy niepokój zgasł, pomniejszych doszły do głosu w jego umyśle. Co też usłyszą po przyjeździe Wickhama? Czy nadal będzie chciał

emigrować, a jeśli tak, gdzie on i Lydia zatrzymają się, zanim wyruszą do portu? Jak Darcy i Elizabeth mieli uniknąć męki publicznej ciekawości podczas pobytu u Gardinerów i jaką rolę, jeśli w ogóle, odegrał w całej tej tajemniczej sprawie pułkownik? Darcy rozpaczliwie pragnął wrócić do Pemberley; choć wydawało mu się to nieracjonalne, gnębiło go przeczucie, że w domu dzieje się coś niedobrego. Doskonale wiedział, że podobnie jak on Elizabeth od miesiący nie sypiała dobrze, a obawa przed jakąś nieuchronną katastrofą w znacznej mierze wynikała z olbrzymiego znużenia psychicznego i fizycznego. Pozostali najwyraźniej także byli niezwykle zmęczeni, przez co nie mogli należycie się cieszyć zakrawającym na cud wybawieniem. Państwo Gardinerowie okazywali troskę, ale wyśmienita kolacja zamówiona przez panią Gardiner pozostała prawie nietknięta, a goście udali się na spoczynek niemal natychmiast po ostatnim daniu.

Przy śniadaniu nastrój wyraźnie się poprawił. Pierwsza noc bez straszliwego obciążenia przyniosła odpoczynek i głęboki sen; teraz byli bardziej gotowi stawić czoło wszystkiemu, co mógł przynieść dzień. Pułkownik nie wyjechał jeszcze z Londynu. Po przybyciu na ulicę Gracechurch przywitał się z Gardinerami i rzekł:

– Darcy, teraz mogę bezpiecznie opowiedzieć ci o pewnych sprawach związanych z moim udziałem w tej historii, o których masz prawo usłyszeć przed przyjazdem Wickhama. Wolę pomówić z tobą na osobności, choć później oczywiście przekażesz moje słowa pani Darcy.

Kiedy pułkownik wyjawiał pani Gardiner cel swej wizyty, pani domu zaproponowała, by razem z Darcym skorzystali z jej salonu, który wcześniej przewidująco przygotowała jako najwygodniejszy i najprzytulniejszy pokój w całym domu. Nazajutrz, po przyjeździe Wickhama z Alvestonem, miało się tam odbyć spotkanie, z pewnością trudne dla wszystkich zainteresowanych.

Tymczasem się usadowili, pułkownik wychylił się z fotela do przodu i rzekł:

– Uznałem, że najpierw powinienem pomówić z tobą, abyś mógł porównać moje słowa z opowieścią Wickhama. Żaden z nas nie ma powodów do dumy, ale podczas całej historii postępowałem najlepiej, jak umiałem; zakładałem też, że Wickham odwzajemnia się tym samym. Nie zamierzam usprawiedliwiać własnego zachowania, ograniczę się do jego wyjaśnienia, i postaram się streszczać.

Pod koniec listopada 1802 roku do domu w Londynie, gdzie mieszkałem, przyszedł list od Wickhama. Pisał w nim krótko, że wpadł w tarapaty i będzie wdzięczny, jeśli się z nim spotkam, bo miał nadzieję, że zdołam służyć mu radą



i pomocą. Nie chciałem się w to mieszać, ale byłem mu winien przysługę, a nie mogłem tej powinności zignorować. Podczas rebelii irlandzkiej Wickham uratował życie młodemu kapitanowi, który był moim chrześniakiem. Wkrótce po odniesieniu ran Rupert zmarł, ale dzięki pomocy Wickhama matka mego chrześniaka i ja sam mogliśmy się z nim pożegnać i sprawić, by odszedł w godnych warunkach. Żaden człowiek honoru nie mógł zapomnieć takiej przysługi, toteż po przeczytaniu listu Wickhama zgodziłem się z nim spotkać.

Historia okazała się dość typowa, opowiedział ją w prosty sposób. Jak ci wiadomo, żonę Wickhama, choć nie jego samego, regularnie przyjmowano w Highmarten. W takich okazjach Wickham zatrzymywał się w miejscowym zajezdzie lub w najtańszym domu z pokojami do wynajęcia, gdzie zabawiał się, jak mógł, dopóki pani Wickham nie zechciała do niego dołączyć. W tym czasie Wickhamowie wiedli wędrownie życie i nie powodziło im się dobrze. Po wystąpieniu z wojska, moim zdaniem była to wielce nierozważna decyzja, miał się różnych zajęć, nigdzie nie zagrzewając miejsca na dłużej. Ostatnio zatrudnił się u baroneta sir Waltera Elliota. Wickham nie wyjawiał, dlaczego odszedł, ale dał jasno do zrozumienia, że baronet okazał się zbyt podatny na wdzięki pani Wickham, by mogło się to podobać pannie Elliot, choć on sam zapewne też umizgiwał się do damy. Mówię ci to, aby dać obraz życia, jakie wiedli. Wickham poszukiwał więc nowego zajęcia, a tymczasem pani Wickham ulokowała się wygodnie, choć tymczasowo u pani Bingley w Highmarten, zostawiając mężowi wolną rękę.

Pamiętasz może, że lato 1802 roku było wyjątkowo ciepłe i piękne, toteż dla zaoszczędzenia pieniędzy George Wickham sypiał pod gołym niebem, co dla żołnierza nie stanowiło problemu. Zawsze lubił lasy Pemberley; szedł wiele kilometrów z zajazdu koło Lambton, by spędzać dni, czasem także noce, pod drzewami. Właśnie tam poznał Louisę Bidwell. Ona też czuła się osamotniona i znudzona. Przestała pracować w Pemberley, aby pomóc matce w opiece nad chorym bratem. Jej narzeczony pochłonięty obowiązkami odwiedzał ją tylko z rzadka. Ona i Wickham spotkali się przypadkiem w lesie. Wickham nigdy nie umiał się oprzeć ładnej kobiecie, więc rezultat był prawie nieunikniony, jeśli wziąć pod uwagę jego charakter i jej bezbronność. Zaczęli się często spotykać, aż Louisa powiedziała mu, że podejrzewa, iż nosi w łonie jego dziecko. Początkowo Wickham okazał dziewczynie większe współczucie i szczodrość, niż mogliby oczekiwać znający go ludzie; wydaje się, że naprawdę ją lubił, może nawet trochę się zakochał.

Niezależnie od jego motywów czy uczuć oboje sprokurowali plan. Louisa miała napisać do swej zamężnej siostry w Birmingham, pojechać do niej, kiedy tylko pojawi się ryzyko, że jej stan mógłby się ujawnić; potem zamierzała urodzić dziecko, które miało uchodzić za dziecko jej siostry. Wickham miał nadzieję, że państwo Simpkinsowie zgodzą się wychowywać dziecko jako własne, ale rozumiał, że będą potrzebowali pieniędzy. Właśnie z tego powodu zwrócił się do mnie, i doprawdy nie wiem, kogo innego mógłby poprosić o pomoc.

Chociaż nie miałem złudzeń co do jego charakteru, nigdy nie czułem wobec niego takiej goryczy jak ty, Darcy. Byłem gotów mu pomóc. Przyświecał mi też silniejszy motyw: chęć uchronienia Pemberley przed choćby cieniem skandalu. Biorąc pod uwagę małżeństwo George'a Wickhama z Lydią Bennet, to dziecko, choć nieślubne, byłoby spowinowaczone z tobą, panią Darcy oraz Bingleyami. Zgodnie z umową miałem mu pożyczyć trzydzieści funtów bez odsetek, które zwracałby w ratach, kiedy by mógł. Nie miałem złudzeń, że kiedykolwiek zobaczę te pieniądze, ale mogłem sobie pozwolić na taki gest, zresztą zapłaciłbym i więcej, byle tylko bękart George'a Wickhama nie zamieszkał w posiadłości Pemberley ani nie bawił się w tutejszych lasach.

– To była hojność granicząca z ekscentrycznością – stwierdził Darcy. – Wobec faktu, że dobrze znałeś tego człowieka, niektórzy nazwaliby ją wręcz głupotą. Podejrzewam, że przyświecał ci bardziej osobisty motyw niż chęć uchronienia lasów Pemberley przed skalaniem.

– Nawet jeśli tak było, nie przynosi mi to ujmy. Przyznaję, że w owym czasie karmiłem się nadzieją, która nie była może nierozsądna, ale nie mogła się ziścić, o czym teraz wiem z całą pewnością. Myślę, że gdybyś miał taką wiedzę jak ja, też byś opracował jakiś plan, aby uratować swój dom i siebie przed zażenowaniem i niesławą. – Nie czekając na reakcję, pułkownik ciągnął: – Plan był stosunkowo prosty. Po porodzie Louisa miała wrócić z dzieckiem do Woodland Cottage pod pretekstem, że jej rodzice i brat chcą poznać nowego członka rodziny. Oczywiście było ważne, aby Wickham zobaczył żywe, zdrowe dziecko. Pieniądze miały zostać przekazane rankiem w dniu balu lady Anne, kiedy Louisa i Wickham mogli być pewni, że wszystkie zainteresowane osoby z Pemberley będą zajęte. Na leśnej drodze miał czekać powóz. Następnie Louisa oddałaby chłopczyka siostrze i Michaelowi Simpkinsowi. W tym czasie w leśnym domu mieli przebywać jedynie pani Bidwell i Will; tylko oni zostali wprowadzeni w plan. Takiej tajemnicy

dziewczyna nie mogła ukrywać przed matką ani przed bratem, z którym była blisko związana, a który i tak nigdy nie opuszczał domu. Cała trójka postanowiła, że Bidwell o niczym się nie dowie. Louisa powiedziała matce i Willowi, że ojcem dziecka jest jeden z oficerów milicji, który wyjechał z Lambton w zeszłe lato. W tym czasie nie miała pojęcia o tym, że jej kochankiem był Wickham.

Pułkownik przerwał, nalał sobie kieliszek wina i sączył powoli. Darcy się nie odezwał, czekał. Dopiero po paru minutach pułkownik podjął:

– Tak więc wedle wiedzy Wickhama i mojej wszystko załatwiono zadowalająco. Ciotka i wuj mieli przyjąć i pokochać dziecko, ono zaś nie miało się nigdy dowiedzieć, kim są jego prawdziwi rodzice. Zgodnie z wcześniejszym planem Louisa miała korzystnie wyjść za mąż i na tym sprawa miała się zakończyć.

Wickham nie jest człowiekiem, który lubi działać samotnie, kiedy może znaleźć sojusznika lub towarzysza. Ten brak rozwagi tłumaczy szaleństwo, jakim było zabranie ze sobą panny Lydii Bennet, gdy uciekał przed wierzycielami i zobowiązaniami w Brighton. Teraz zwierzył się swemu przyjacielowi Denny'emu, a jeszcze bardziej szczegółowo pani Younge, która najwyraźniej odgrywała decydującą rolę w jego życiu od czasów młodości. Według mnie to dzięki regularnej pomocy finansowej pani Younge Wickhamowie mogli się utrzymać w okresach, kiedy George nie pracował. Poprosił on panią Younge, aby potajemnie udała się do lasu, a potem powiadomiła go, jak się miewa dziecko, co też uczyniła. Podała się za podróżną zwiedzającą okolicę i umówiła się w lesie z Louisą, która przyniosła niemowlę. Efekt spotkania okazał się jednak pod pewnym względem niefortunny: pani Younge zapałała sympatią do chłopca i postanowiła, że to nie Simpkinsowie go adoptują, ale ona. Późniejsza pozorna katastrofa okazała się pomyślna dla pani Younge. Michael Simpkins napisał, że nie jest gotów wychowywać nie swoje dziecko. Najwyraźniej w czasie pobytu Louisy stosunki między siostrami nie układały się dobrze, pani Simpkins miała już troje dzieci i niewątpliwie zamierzała urodzić kolejne. Simpkinsowie zgodzili się zaopiekować dzieckiem jeszcze przez trzy tygodnie, aby Louisa mogła znaleźć dla niego dom, ale nie dłużej. Louisa wyznała to Wickhamowi, on zaś pani Younge. Trudno się dziwić, że Louisa szalała z rozpaczy. Musiała szybko znaleźć dom dla dziecka. Propozycja pani Younge wydawała się rozwiązaniem wszystkich problemów.

Wickham powiadomił panią Younge o moim zainteresowaniu tą sprawą oraz o obiecanych trzydziestu funtach, które istotnie mu dałem. Pani Younge wiedziała,

że mam się pojawić w Pemberley na balu lady Anne, ponieważ zawsze to robiłem, kiedy miałem przepustkę. Wickham lubił być na bieżąco, jeśli chodzi o sprawy w Pemberley; dowiadywał się o nich głównie od żony, która często bywała w Highmarten. Pani Younge napisała do mnie do Londynu, że jest zainteresowana adopcją dziecka, zamierza się zatrzymać na dwa dni w King's Arms i chce porozmawiać ze mną o takiej ewentualności, bo wie, że jestem stroną w całej sprawie. Umówiliśmy się na dziewiątą wieczór w przeddzień balu lady Anne, ponieważ pani Younge zakładała, że wszyscy będą zbyt zajęci, by zauważyć moją nieobecność. Nie wątpię, Darcy, że według ciebie moje raptowne wyjście z pokoju muzycznego pod pretekstem konnej przejażdżki było nie tylko osobliwe, lecz także niegrzeczne. Nie miałem innego wyjścia, jak stawić się na spotkanie, choć domyślałem się, co zamierza dama. Pamiętasz pewnie, że podczas naszego pierwszego spotkania wywarła na nas wrażenie atrakcyjnej i wytwornej. Po jedenastu latach nadal wydała mi się piękna, choć mógłbym jej nie poznać. Pani Younge była bardzo przekonywająca. Na pewno przypominasz sobie, Darcy, że widziałem ją tylko raz, kiedy ty i ja przepytaliśmy ją na okoliczność zostania towarzyszką Georgiany; wiesz, jak potrafiła przekonywać i naciskać. Z pewnością powodziło jej się finansowo. Do zajazdu przyjechała własnym powozem ze stangretem i pokojówką. Przywiozła dokumenty z banku dowodzące, że jest w stanie utrzymać dziecko, powiedziała jednak, niemal z uśmiechem, że jest kobietą ostrożną i oczekuje podwojenia kwoty trzydziestu funtów, potem jednak nie miało już być żadnych pieniędzy. Gdyby adoptowała chłopca, na zawsze zniknąłby z Pemberley.

– Oddawałeś się w ręce kobiety, o której wiedziałeś, że jest zepsuta i trudni się szantażem – powiedział Darcy. – Jak mogła żyć w takim przepychu z samych tylko pieniędzy od lokatorów? Już z naszych poprzednich z nią układów wiedziałeś, jaką jest osobą.

– To były twoje układy, nie moje, Darcy – odparł pułkownik. – Przyznaję, że wspólnie podjęliśmy decyzję o powierzeniu jej opieki nad panną Darcy, ale to był jedyny raz, kiedy się z nią spotkałem. Może sam później miałeś z nią jakieś konszachty, ale nic mi o nich nie wiadomo, nic też nie chcę wiedzieć. Wysłuchawszy jej i obejrzawszy przywiezione przez nią dokumenty, nabrałem przekonania, że rozwiązanie sprawy dziecka Louisy jest zarówno rozsądne, jak i słuszne. Pani Younge najwyraźniej lubiła to dziecko, była gotowa wziąć na siebie

odpowiedzialność za jego przyszłe utrzymanie i wykształcenie; przede wszystkim chłopiec miał zostać zabrany z Pemberley, a wszelkie jego związki z tym domem zostałyby zerwane. Tym kierowałem się przede wszystkim; wierzę, że postąpiłbyś podobnie. Nie działałem wbrew życzeniom i zamiarom matki wobec jej dziecka.

– Czy Louisa naprawdę byłaby szczęśliwa, oddając dziecko szantażystce i utrzymance? Naprawdę wierzysz, że pani Younge nie zaczęłaby się domagać więcej pieniędzy?

– Darcy, czasami dziwię się, jak bardzo jesteś naiwny, jak niewiele wiesz o świecie, który wykracza poza twoje ukochane Pemberley. – Pułkownik się uśmiechnął. – Natura ludzka nie jest tak czarno-biała, jak zakładasz. Pani Younge to bez wątpienia szantażystka. Ta działalność przyniosła jej powodzenie, ale wiedziała, że aby nadal uprawiać ten proceder, musi robić to dyskretnie i z rozwagą. To szantażyści, którym powinęła się noga, kończą w więzieniu lub na szubienicy. Pani Younge pytała swoje ofiary, na ile je stać, i nigdy nie doprowadzała ich do ruiny ani do rozpacz; dotrzymywała słowa. Nie wątpię, że zapłaciłeś jej za milczenie, kiedy wymówiłeś jej pracę. Czy kiedykolwiek opowiadała o czasach, gdy zajmowała się panną Darcy? Po ucieczce Wickhama i Lydii przekonałeś panią Younge, by podała ci ich adres; musiałeś słono zapłacić za tę informację, ale czy kiedykolwiek pisnęła o tym choć słowem? Nie bronię jej, wiem, kim była, jednak negocjowało mi się z nią łatwiej niż z większością ludzi prawych.

– Nie jestem tak naiwny, jak przypuszczasz, Fitzwilliamie – powiedział Darcy. – Od dawna wiem, jak działa pani Younge. Co więc się stało z jej listem do ciebie? Ciekawe byłoby zobaczyć, jakimi obietnicami usiłowała cię nakłonić nie tylko do poparcia jej planu adopcji dziecka, ale także zapłacenia jej większej kwoty. Sam nie możesz być aż tak naiwny, by przypuszczać, że Wickham zwróciłby te trzydzieści funtów.

– List spaliłem, kiedy ty i ja spędzaliśmy noc w bibliotece. Czekałem, aż zaśniesz, po czym wrzuciłem go do ognia. Nie widziałem, do czego jeszcze mógłby się przydać. Nawet gdyby motywy pani Younge były podejrzone, gdyby złamała słowo, jak mógłbym wytoczyć jej proces? Zawsze stałem na stanowisku, że każdy list zawierający informacje, które nie powinny być publicznie znane, należy zniszczyć; nie ma innego zabezpieczenia. Co się tyczy pieniędzy, to zaproponowałem, zresztą z pełnym zaufaniem, by pani Younge namówiła Wickhama, aby się z nimi rozstał. Mogłem mieć pewność, że jej się powiedzie; miała doświadczenie oraz środki

perswazji, jakimi ja nie dysponowałem.

– A twoja wczesna pobudka po nocy spędzonej w bibliotece, twoja wizyta w pokoju Wickhama, żeby sprawdzić, co z nim: czy one też należały do planu?

– Gdybym go zastał rozbudzonego i trzeźwego, gdybym miał okazję, uzmysłowiłbym mu, że okoliczności, w jakich otrzymał trzydzieści funtów, muszą pozostać w tajemnicy, i że powinien się tego trzymać w każdym sądzie, chyba że sam ujawniłbym prawdę. Wtedy on mógłby swobodnie potwierdzić moje słowa. W razie przesłuchania przez policję lub w sądzie powiedziałbym, że dałem Wickhamowi trzydzieści funtów, aby umożliwić mu spłacenie długu honorowego, co zresztą było prawdą; powiedziałbym też, że dałem mu słowo, że nie zdradzę okoliczności zaciągnięcia tego długu.

– Wątpię, by jakikolwiek sąd naciskał na pułkownika lorda Hartlepa, by ten złamał dane słowo – stwierdził Darcy. – Moglibyście chcieć ustalić, czy te pieniądze miały zostać przekazane Denny'emu.

– Wtedy powinienem mieć możliwość, by odpowiedzieć przecząco. Dla obrony ważne było ustalenie tego w trakcie procesu.

– Zastanawiałem się, czemu, zanim wyruszyliśmy na poszukiwanie Wickhama i Denny'ego, pospieszyłeś do Bidwella. Pewnie chciałeś go odwieść od chęci pojechania z nami powozem i powrotu do Woodland Cottage. Zacząłeś działać, zanim Elizabeth zdążyła wydać polecenia Stoughtonowi i pani Reynolds. Wtedy uderzyło mnie, że jesteś niepotrzebnie, nawet niedorzecznie pomocny, teraz jednak rozumiem, czemu Bidwella należało tej nocy trzymać z dala od Woodland Cottage. Zapewne chciałeś też przestrzec Louise.

– Zachowywałem się niedorzecznie i teraz składam spóźnione przeprosiny. Oczywiście należało powiadomić obie kobiety, że plan zabrania dziecka nazajutrz może trzeba będzie porzucić. Cały fortel zaczął mnie nużyć i czułem, że nadszedł czas prawdy. Powiedziałem kobietom, że Wickham i kapitan Denny zaginęli w lesie, a Wickham, ojciec dziecka Louisy, jest mężem siostry pana Darcy'ego.

– Louise i jej matkę musiało to strasznie zdenerwować – rzekł Darcy. – Trudno sobie wyobrazić, jakiego szoku doznały, dowiedziawszy się, że dziecko, którym się opiekowały, jest bękartem Wickhama, a on z przyjacielem zablądził w lesie. Przecież słyszały odgłosy wystrzałów i musiały się obawiać najgorszego.

– W żaden sposób nie mogłem im dodać otuchy – powiedział pułkownik. – Nie było czasu. Pani Bidwell wykrzyknęła: „To zabije Bidwella! Syn Wickhama tu,

w Woodland Cottage! Skaza na Pemberley, straszny szok dla pana i pani Darcy, hańba dla Louisy, dla nas wszystkich!”. Ciekawe, że właśnie w tej kolejności wymieniła czekające ich nieszczęścia. Obawiałem się o Louise. O mały włos nie zemdląca, potem dowlokła się do krzesła przy kominku i usiadła, drżąc. Wiedziałem, że dziewczyna jest w stanie szoku, ale nic nie mogłem zrobić. Już i tak nie było mnie dłużej, niżbyście się z Alvestonem mogli spodziewać.

– Bidwell, a przed nim jego ojciec i dziad mieszkali w leśnym domu i służyli naszej rodzinie – oświadczył Darcy. – To zdenerwowanie stanowiło naturalny wyraz lojalności. Prawdą jest, że gdyby dziecko zostało w Pemberley czy choćby regularnie je odwiedzało, Wickham uzyskałby dostęp do mojej rodziny i mego domu, co budziłoby moją głęboką odrazę. Ani Bidwell, ani jego żona nigdy nie spotkali dorosłego Wickhama, jednak to, że jest moim szwagrem, a mimo to nigdy nie jest przyjmowany, musiało im powiedzieć, jak ostateczne było zerwanie stosunków między nami.

– Potem znaleźliśmy ciało Denny’ego, więc do rana pani Younge i wszyscy w King’s Arms, w ogóle w całej okolicy, mieli się dowiedzieć o morderstwie w lesie Pemberley oraz o aresztowaniu Wickhama – ciągnął pułkownik. – Czy ktokolwiek mógł wierzyć, że Pratt wyjechał tamtej nocy z King’s Arms, nie opowiedziawszy swojej historii? Nie wątpię, że reakcją pani Younge był natychmiastowy powrót do Londynu, bez dziecka. Nie musi to oznaczać, że na dobre porzuciła nadzieję na adopcję. Niewykluczone, że Wickham po przyjeździe oświeci nas w tej materii. Czy ma mu towarzyszyć pan Cornbinder?

– Tak sądzę – odparł Darcy. – Najwyraźniej wyświadczył Wickhamowi wielką przysługę, mam też nadzieję, że jego wpływ okaże się trwały, choć nie przesadzałbym z optymizmem. Cornbinder pewnie tak bardzo kojarzy się Wickhamowi z więzienną celą, widokiem stryczka, z miesiącami kazań, że wolałby nie spędzać z nim więcej czasu niż to konieczne. Kiedy przyjedzie, usłyszymy resztę tej żalostnej historii. Przykro mi, Fitzwilliamie, że musiałeś zostać wciągnięty w sprawę moje i Wickhama. To był niefortunny dzień, gdy spotkałeś Wickhama i dałeś mu te trzydzieści funtów. Wierzę, że przyjmując ofertę pani Younge zaadoptowania chłopca, działałeś w jego interesie. Mogę mieć tylko nadzieję, że to biedne dziecko, po tak okropnym wejściu w życie, znalazło szczęśliwy i trwały dom u Simpkinsów.

Wkrótce po lunchu urzędnik z kancelarii Alvestona przyniósł wiadomość, że królewskie ułaskawienie zostanie wydane po południu następnego dnia, wręczył też Darcy'emu list i powiedział, że nie trzeba na niego natychmiast odpowiadać. Nadawcą listu był wielebny Samuel Cornbinder z więzienia Coldbath. Darcy i Elizabeth usiedli i przeczytali go razem.

*Wielebny Samuel Cornbinder*

*Więzienie Coldbath*

*Szanowny Panie!*

*Zdziwi się pan, otrzymując teraz tę wiadomość od obcego człowieka, chociaż pan Gardiner, którego poznałem, mógł o mnie wspominać. Muszę zacząć od przeprosin za naruszenie pańskiej prywatności w czasie, gdy pan i pańska rodzina zamierzacie świętować uniewinnienie szwagra od niesprawiedliwego oskarżenia, dzięki czemu uniknie hańbiącej śmierci. Jeśli jednak będzie pan na tyle dobry, by się zapoznać z treścią mego listu, tuszę, iż zgodzi się pan, że poruszana przeze mnie kwestia jest nie tylko ważka, lecz także dość pilna, a dotyczy pana i pańskiej rodziny.*

*Wprzódy muszę się jednak przedstawić. Nazywam się Samuel Cornbinder i jestem jednym z kapelanów przydzielonych do więzienia Coldbath, gdzie w ciągu ostatnich dziewięciu lat miałem przywilej spieszyć z pomocą kapłańską zarówno do więźniów oczekujących na proces, jak i do skazanych. Do pierwszych należał pan George Wickham, który wkrótce osobiście wyjaśni panu okoliczności prowadzące do śmierci kapitana Denny'ego, do czego oczywiście ma pan prawo.*

*List ten przekażę szanownemu panu Henry'emu Alvestonowi, który dostarczy go wraz z wiadomością od pana Wickhama. George Wickham życzył sobie, aby przeczytał pan go, zanim sam się przed panem pojawi, by zrozumiał pan rolę, jaką odegrałem w jego planach na przyszłość. Pan Wickham znosił więzienie z chwalebny hartem ducha, chociaż – co rozumiałe – niekiedy ogarniało go przeczucie, że może zostać uznany za winnego. W takich chwilach moim obowiązkiem było kierować jego myśli ku Jedynemu, który może wybaczyć nam wszystko, co zaszło, i umocnić nas przed tym, co może nieść przyszłość. Nasze rozmowy z konieczności dostarczyły mi informacji o dzieciństwie oraz późniejszym życiu pana Wickhama. Muszę jasno zaznaczyć, że jako członek Kościoła anglikańskiego nie wierzę*



w osobistą spowiedź, chciałbym jednak pana zapewnić, że nie zdradzam spraw, z jakich zwierzają mi się więźniowie. Rozbudzałem nadzieje pana Wickhama na wyrok uniewinniający, a w chwilach optymistycznych – z radością donoszę, że było ich wiele – zwracał on swój umysł ku przyszłości i żonie.

Pan Wickham wyraził najsilniejsze pragnienie, by nie pozostawać w Anglii, ale szukać szczęścia w Nowym Świecie. Tak się pomyślnie składa, że mogę pomóc mu w tym postanowieniu. Mój brat bliźniak, Jeremiah Cornbinder, pięć lat temu wyemigrował do byłej kolonii Wirginii, gdzie otworzył przedsiębiorstwo zajmujące się hodowlą i sprzedażą koni; a dzięki umiejętnościom i wiedzy odniósł wielki sukces. Z uwagi na rozrastanie się przedsiębiorstwa obecnie szuka asystenta, człowieka znającego się na koniach, a nieco ponad rok temu napisał do mnie, że każdy kandydat, jakiego mu zarekomenduję, zostanie ciepło przyjęty na sześciomiesięczny okres próbny. Kiedy pan Wickham trafił do więzienia Coldbath, zaczęłam go odwiedzać i szybko stwierdziłam, że posiada przymioty i doświadczenie, które czyniłby go wyśmienitym kandydatem dla mego brata, gdyby – na co pan Wickham miał nadzieję i czego oczekiwał – oczyszczono go z poważnego oskarżenia. Pan Wickham świetnie jeździ konno, pokazał też, że jest odważny. Przedyskutowałam z nim tę kwestię i wprost pali się do chwycenia okazji. Chociaż nie rozmawiałem z panią Wickham, jej mąż zapewnia mnie, że z równym entuzjazmem myśli ona o wyjeździe z Anglii i możliwościach dostępnych w Nowym Świecie.

Jak pewnie pan się domyśla, problemem są pieniądze. Pan Wickham ma nadzieję, że okaże się pan na tyle dobry, by pożyczyć mu potrzebną kwotę, która pokryje koszty podróży i pozwoli przeżyć cztery tygodnie, zanim otrzyma pierwszą wypłatę. Pan Wickham będzie mógł zamieszkać w domu, za który nie musi płacić, a końska farma – bo tak można nazwać przedsiębiorstwo mego brata – znajduje się w odległości trzech kilometrów od Williamsburga. Pani Wickham nie będzie zatem pozbawiona towarzystwa ani luksusów, jakich przywykła wymagać szlachcianka.

Jeżeli zaaprobuje pan powyższe propozycje i zdoła pan pomóc, rad będę przyjąć pana o każdej dogodnej dla pana porze i miejscu, dokładnie wyjaśnię, jaka kwota jest wymagana, opowiem o proponowanym przez brata miejscu zamieszkania, okażę listy polecające, które upewnią pana o pozycji mego brata w Wirginii oraz o jego charakterze, który, rozumie się, jest wyjątkowy. Mój brat jest prawym człowiekiem i sprawiedliwym pracodawcą, nie będzie jednak tolerował nieuczciwości ani gnuśności. Gdyby pan Wickham mógł przyjąć ofertę, którą powitał z entuzjazmem, wszelkie pokusy zostałyby od niego oddalone. Ułaskawienie oraz fama dzielnego żołnierza uczynią go bohaterem narodowym, ale niezależnie od tego, jak

*krótko mogłaby się utrzymać taka sława, obawiam się, że ów rozgłos nie przysłuży się naprawie życia, której, jak mnie zapewnia, zamierza się poświęcić.*

*O każdej porze dnia i nocy jestem dostępny pod powyższym adresem, mogę też pana zapewnić o mojej dobrej woli w tej sprawie oraz o gotowości dostarczenia panu wszelkich informacji o przedstawionej wyżej ofercie, jakich pan zażąda.*

*Drogi panie, załączam wyrazy szczerego szacunku*

*Samuel Cornbinder*

Darcy i Elizabeth przeczytali list w milczeniu, potem bez komentarza Darcy podał go pułkownikowi.

– Myślę, że muszę się spotkać z tym wielebnym dżentelmenem. Dobrze się stało, że poznaliśmy ten plan, zanim spotkamy się z Wickhamem – powiedział Darcy. – Jeżeli oferta jest tak prawdziwa i stosowna, na jaką wygląda, z pewnością rozwiąże problem Bingleya i mój, jeśli nie Wickhama. Muszę się dowiedzieć, ile będzie mnie to kosztowało, ale jeśli George i Lydia zostaną w Anglii, raczej nie możemy się spodziewać, że obejdą się bez stałej pomocy.

– Podejrzewam, że zarówno pani Darcy, jak i pani Bingley łożyły na Wickhama z własnych środków – rzekł pułkownik. – Mówiąc bez ogródek, ta sprawa uwolni obie rodziny od zobowiązań finansowych. Co się tyczy przyszłego postępowania Wickhama, trudno mi dzielić ufność wielebnego dżentelmena co do jego poprawy, podejrzewam jednak, że Jeremiaś Cornbinder lepiej niż rodzina Wickhama zapewni, że będzie się dobrze prowadził. Z radością dołożę do potrzebnej kwoty, która, jak sobie wyobrażam, nie będzie zbyt uciążliwa.

– Odpowiedzialność spoczywa na mnie – odparł Darcy. – Niezwłocznie odpowiem panu Cornbinderowi w nadziei, że zdołamy się spotkać jutro przed przyjazdem Wickhama i Alvestona.

Wielebny Samuel Cornbinder przybył, w odpowiedzi na list Darcy' ego dostarczony mu przez posłańca, nazajutrz po mszy. Postać duchownego zaskoczyła Darcy' ego, ponieważ na podstawie jego listu wyobrażał sobie mężczyznę w średnim wieku lub starszego. Ze zdziwieniem stwierdził, że pan Cornbinder albo jest znacznie młodszy, niż sugerował jego styl literacki, albo też trudy i obowiązki pracy znosił, nie tracąc młodzieńczego wyglądu. Darcy wyraził wdzięczność za wszystko, co duchowny zrobił, aby pomóc Wickhamowi znieść więzienie, nie wspomniał jednak o domniemanym nawróceniu się Wickhama na drogę prawości, ponieważ nie czuł się kompetentny, by to komentować. Owszem, polubił pana Cornbindera, który nie był ani zbyt solenny, ani obłudny. Duchowny przywiózł list od brata ze wszystkimi potrzebnymi informacjami w celu umożliwienia Darcy' emu podjęcia decyzji, w jakim zakresie powinien i mógłby pomóc państwu Wickhamom w rozpoczęciu nowego życia, którego najwyraźniej szczerze pragnęli.

List z Wirginii przyszedł około trzech tygodni wcześniej. Pan Jeremiaś Cornbinder wyrażał w nim ufność w osąd brata, a także, nie podkreślając nadmiernie korzyści, jakie oferował Nowy Świat, kreślił krzepiący obraz życia, którego mógł oczekiwać rekomendowany kandydat.

*Nowy Świat nie jest azylem dla ludzi gnuśnych, zbrodniarzy czy starców, ale młody człowiek, oczyszczony z oskarżenia o morderstwo, który okazał hart ducha podczas próby oraz popisał się dzielnością na polu bitwy, zdaje się posiadać przymioty, dzięki którym zostanie tu serdecznie powitany. Szukam człowieka łączącego w sobie umiejętności praktyczne, najlepiej w dziedzinie hodowli koni, z dobrym wykształceniem; jestem pewien, że dołączy do społeczności, która pod względem inteligencji i zakresu zainteresowań kulturalnych dorównuje tym, jakie można znaleźć w każdym cywilizowanym mieście europejskim, i oferuje niemal nieograniczone możliwości. Mogę chyba spokojnie przewidywać, że potomkowie ludzi, do których dzisiaj ma on nadzieję dołączyć, zostaną obywatelami kraju równie potężnego, jeśli nie potężniejszego niż ten, który opuścili, kraju, który nadal będzie przykładem wolności i swobód dla całego świata.*

Wielebny Cornbinder powiedział:

– Tak jak mój brat może polegać na mojej rekomendacji pana Wickhama, ja

polegam na okazanej przez mego brata dobrej woli: robi, co w jego mocy, aby pomóc młodej parze zadomowić się i rozkwitnąć w Nowym Świecie. Bratu szczególnie zależy na żonatych emigrantach z Anglii. Kiedy napisałem, by zarekomendować pana Wickhama, do procesu pozostawały jeszcze dwa miesiące, ufałem jednak, że zostanie uniewinniony. Poza tym jest dokładnie tym człowiekiem, którego szuka mój brat. Szybko formułuję sądy o więźniach i dotychczas się nie myliłem. Szanuję pewność siebie pana Wickhama, domyślam się jednak, że niektóre aspekty jego życia kazałyby się wahać człowiekowi rozważnemu. Mimo to zdołałem utwierdzić brata w przekonaniu, że pan Wickham się zmienił i zamierza wytrwać w tej zmianie. Jego zalety z pewnością przewyższają wady, a mój brat nie jest tak nierozumny, by oczekiwać ideału. Wszyscy zgrzeszyliśmy, panie Darcy; nie możemy poszukiwać miłosierdzia, nie okazując go samemu. Jeżeli jest pan gotów opłacić koszty podróży i przekazać skromną kwotę, która pozwoli panu Wickhamowi i jego żonie utrzymać się w pierwszych miesiącach zatrudnienia, mogliby wypłynąć z Liverpoolu za dwa tygodnie na pokładzie *Esmeraldy*. Znam kapitana, ufam zarówno jemu, jak i warunkom panującym na statku. Podejrzewam, że potrzebuje pan kilku godzin, żeby to przemyśleć, i niewątpliwie przedyskutować z panem Wickhamem, ale dobrze by było, gdybym mógł usłyszeć pańską decyzję do jutrzejszego wieczoru, do godziny dziewiątej.

– Oczekujemy, że dziś po południu George Wickham przyjedzie tu ze swoim prawnikiem, panem Alvestonem. W świetle tego, co pan mówi, jestem pewien, że pan Wickham z wdzięcznością przyjmie ofertę pańskiego brata. Domyślam się, że państwo Wickhamowie zechcą teraz pojechać do Longbourn i pozostać tam do podjęcia decyzji o przyszłości. Pani Wickham będzie się chciała spotkać z matką i przyjaciółkami z dzieciństwa; gdyby wyemigrowała z mężem, jest mało prawdopodobne, by jeszcze kiedykolwiek ich zobaczyła.

– Niezwykle mało prawdopodobne – powiedział Samuel Cornbinder, wstając, aby się pożegnać. – Podróż przez Atlantyk nie jest lekka, niewielu moich znajomych w Wirginii podjęło lub pragnęło podjąć trud podróży powrotnej. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać tak szybko i przyjąć moją ofertę.

– Pańska wdzięczność jest szczodra, ale ja na nią nie zasługuję. Raczej nie będę żałował swojej decyzji. Może natomiast żałować pan Wickham.

– Nie sądzę, sir.

– Nie poczeka pan na jego przyjazd?

– Nie, sir. Wyświadczyłem mu już taką przysługę, jaką mogłem. Będzie chciał się ze mną widzieć dopiero dziś wieczorem.

To rzekłszy, z niezwykłą siłą uścisnął dłoń Darcy'ego, założył kapelusz i wyszedł.

O szesnastej usłyszeli kroki, potem głosy, i pojęli, że oto w końcu wróciła grupa z Old Bailey. Darcy zdał sobie sprawę z silnego dyskomfortu. Dobrze wiedział, jak bardzo powodzenie w życiu towarzyskim zależy od akceptowania przyjętych konwencji; od dzieciństwa wpajano mu zachowania, jakich oczekuje się po dżentelmenie. Co prawda matka od czasu do czasu wyrażała łagodniejszą opinię, że dobre maniery polegają także na poszanowaniu uczuć innych ludzi, zwłaszcza w towarzystwie osoby z niższej sfery. Ciotka Darcy'ego, lady Catherine de Bourgh, wyjątkowo wyraźnie lekceważyła tę zasadę. Teraz nie wiedział, jak się zachować, i ani konwencja, ani dobre rady nie podsuwały mu rozwiązań. Nie istniały reguły, które podyktowałyby mu, jak przyjąć kogoś, kogo obyczaj nakazywał nazywać szwagrem, a kto kilka godzin wcześniej został skazany na publiczne powieszenie. Oczywiście cieszył się, że Wickham wywinął się katu, ale czy owa radość nie wynikała w równym stopniu z odzyskanego spokoju ducha i ocalonej reputacji, jak i z uratowania Wickhama? Przyzwoitość i współczucie nakazywały oczywiście serdecznie uścisnąć mu dłoń, ale gest ten wydał się teraz Darcy'emu nie tylko niestosowny, ale też nieszczerzy.

Na odgłos pierwszych kroków państwo Gardinerowie wybiegli z pokoju. Darcy słyszał ich głośne powitania, nie słyszał jednak odpowiedzi. Potem drzwi się otworzyły i Gardinerowie weszli, delikatnie popychając Wickhama, z Alvestonem u boku.

Darcy miał nadzieję, że jego twarz nie zdradzi szoku ani zdziwienia. Nie mieściło mu się w głowie, że człowiek, który znalazł siłę, by stać z wysoko uniesionym czołem w ławie oskarżonych i spokojnie zapewniać o własnej niewinności, był tym samym Wickhamem, którego widzieli teraz przed sobą. George Wickham wydawał się mniejszy, ubranie, w jakim wystąpił na procesie, zdawało się za duże: lichy, tani, niedopasowany strój człowieka, który nie spodziewał się go długo nosić. Twarz wciąż zdradzała niezdrową więzienną bladość, ale gdy ich oczy się spotkały, Darcy'emu ukazał się na moment dawny Wickham, wyrachowany i może nieco pogardliwy. Wyglądał na wyczerpanego, jakby szok wywołany wyrokiem skazującym i ulga ułaskawienia przerastały

wytrzymałość ludzkiego organizmu. Mimo to dawny Wickham pozostał, a Darcy widział wysiłek i odwagę, z jaką usiłował stawić czoło wszystkiemu, co miało nadejść.

– Potrzebny panu sen, drogi panie – powiedziała pani Gardiner. – Może także jedzenie, ale nade wszystko sen. Pokażę panu pokój, gdzie może pan odpocząć i dokąd mogą panu przynieść posiłek. Czy nie lepiej się przespać albo przynajmniej odpocząć, zanim zacznie pan mówić?

Nie odrywając wzroku od zgromadzonych, Wickham odparł:

– Dziękuję pani za dobroć, ale jeśli zasnę, nie obudzę się przez wiele godzin, obawiam się też, że przywykłem do myśli, że nie obudzę się nigdy. Muszę pomówić z tymi dżentelmenami, ta sprawa nie może czekać. Czuję się dobrze, pani, ale gdyby znalazła się mocna kawa, może też mała przekąska...

Pani Gardiner zerknęła na Darcy'ego, potem powiedziała:

– Naturalnie. Wydano już polecenia, natychmiast się tym zajmę. Pan Gardiner i ja zostawimy tu panów, by mogli panowie porozmawiać. Rozumiem, że wielebny Cornbinder przyjedzie po pana po kolacji i że zaoferował panu gościnę w swoim domu, gdzie będzie pan mógł spokojnie odespać. Damy panu znać, jak tylko przyjedzie.

Po tych słowach Gardinerowie wyslizgnęli się z pokoju i cicho zamknęli drzwi.

Darcy otrząsnął się z chwilowego niezdecydowania, wystąpił do przodu z wyciągniętą ręką i powiedział tonem, który nawet jemu wydał się chłodny i formalny:

– Winszuję ci, Wickham, hartu ducha, jaki okazałeś w więzieniu, oraz uniewinnienia cię od niesprawiedliwego oskarżenia. Rozgość się, proszę, a kiedy się posilisz i zaspokoisz pragnienie, możemy porozmawiać. Wiele spraw należy omówić, możemy jednak uzbroidź się w cierpliwość.

– Wolę powiedzieć to teraz – odparł Wickham i osunął się na fotel.

Pozostali także zajęli miejsca. Zapadło niezręczne milczenie, toteż wszyscy poczuli ulgę, kiedy po chwili drzwi się otworzyły i służący wniósł sporą tacę z dzbankiem kawy, talerzem z pieczywem, serem i wędlinami. Natychmiast po wyjściu służącego Wickham nalał sobie kawy i wychylił filiżankę jednym haustem.

– Wybaczcie mi brak dobrych manier. Niedawno przebywałem w marnej szkole, jeśli idzie o praktykowanie cywilizowanego zachowania.

Przez kilka minut jadł chciwie, w końcu odsunął tacę i rzekł:

– Cóż, chyba lepiej zacznę. Pułkownik Fitzwilliam będzie mógł potwierdzić większość moich słów. Już i tak skreśliliście mnie jako złoczyńcę, więc wątpię, czy cokolwiek, co dodam do listy moich przewin, was zdziwi.

– Nie musisz się tłumaczyć. Już stałeś przed jedną ławą przysięgłych, my nie jesteśmy kolejną.

Wickham się zaśmiał, co zabrzmiało jak wysokie, krótkie, donośne szczeknięcie.

– Wobec tego muszę mieć nadzieję, że jesteście mniej uprzedzeni. Spodziewam się, że pułkownik Fitzwilliam powiadomił was o najważniejszych kwestiach.

– Powiedziałem tylko to, co wiem, czyli niewiele, i nie sądzę, by ktokolwiek z nas wierzył, że w trakcie procesu cała prawda wyszła na jaw. Czekaliśmy na twój powrót, by wysłuchać pełnej relacji, do której mamy prawo.

Wickham nie odezwał się od razu. Siedział wpatrzony w swoje splecione dłonie, w końcu wstał, jakby z wysiłkiem, i zaczął mówić niemal beznamiętnym głosem. Można było odnieść wrażenie, że swoją historię zna na pamięć.

– Powiedziano wam, że jestem ojcem dziecka Louisy Bidwell. Po raz pierwszy spotkaliśmy się w przedostatnie lato, kiedy moja żona przebywała w Highmarten, gdzie zwykle lubi spędzać kilka letnich miesięcy, a ponieważ nie przyjmują mnie w tym domu, zazwyczaj zatrzymywałem się w najtańszym miejscowym zajeździe, jaki znajdowałem. Traf chciał, że mogłem tam co pewien czas spotykać się z Lydią. Gdybym przypadkiem zapuścił się na teren posiadłości Highmarten, ziemia uległaby skażeniu, wolałem więc wędrować po lasach Pemberley. Tam spędziłem jedne z najszcześniejszych chwil dzieciństwa, a coś z tej młodzieńczej radości wracało, kiedy byłem z Louisą. Spotkałem ją przypadkiem, chodząc po lesie. Ją również gnębiła samotność. Louisa była praktycznie przykuta do domu w lesie, gdzie opiekowała się śmiertelnie chorym bratem i z rzadka mogła się widywać z narzeczoną, którego obowiązki i ambicja trzymały w Pemberley. Z tego, co o nim mówiła, wylaniał się obraz nudnego, starszego mężczyzny, któremu zależało jedynie na dalszej służbie; brakowało mu wyobraźni, by dostrzec, że jego narzeczoną nudzi się i jest niespokojna. Louisa jest też kobietą inteligentną, ale tej cechy narzeczoną nie doceniłby, nawet gdyby miał dość rozumu, by ją dostrzec. Przyznaję, że ją uwiodłem, ale zapewniam was, że jej nie zmuszałem. Nigdy nie musiałem przymuszać żadnej kobiety i jeszcze nigdy nie spotkałem młodej kobiety tak spragnionej miłości.

Odkrycie przez Louise, że jest w ciąży, było katastrofą dla nas obojga. Ogromnie



zdegenerowana dała mi jasno do zrozumienia, że nikt nie może się o tym dowiedzieć, oczywiście oprócz jej

matki, której raczej nie dałoby się utrzymać w niewiedzy. Louisa czuła, że nie powinna obciążać ostatnich miesięcy życia brata, ale kiedy zaczął się czegoś domyślać, wyznała prawdę. Zależało jej jednak na tym, by nie martwić ojca. Biedaczka wiedziała, że perspektywa okrycia hańbą Pemberley okazałaby się dla niego gorsza niż wszystko, co mogło spotkać ją samą. Nie rozumiałem, czemu jedno czy dwoje dzieci zrodzonych z miłości musi być taką hańbą, w dużych rodzinach zdarza się to dość często, ale Louisa nie podzielała mego poglądu. To ona wpadła na pomysł, aby w zмовie z matką wyjechać do zamężnej siostry, zanim jej stan wyjdzie na jaw. Tam też zamierzała zostać do porodu. Noworodek miał uchodzić za dziecko siostry, a ja zaproponowałem, by Louisa, jak tylko będzie mogła podróżować, wróciła z maleństwem, by pokazać je babci. Przed podjęciem wszelkich kroków musiałem się upewnić, że dziecko żyje i jest zdrowe. Louisa i ja zgodziliśmy się, że powinienem zdobyć pieniądze i za ich pomocą nakłonić Simpkinsów do przyjęcia dziecka i wychowania go jako własnego. Właśnie wtedy wysłałem rozpaczliwą prośbę do pułkownika Fitzwilliama, a gdy nadszedł czas zwrócenia Georgiego Simpkinsom, pułkownik dał mi trzydzieści funtów. Przypuszczam, że tyle już wiecie. Pułkownik Fitzwilliam powiedział, że kieruje się współczuciem dla żołnierza, który dawniej służył pod jego rozkazami, niewątpliwie jednak przyświecały mu też inne motywy. Louisa usłyszała od służących plotki, że pułkownik szuka w Pemberley żony. Dumny i rozumny człowiek, zwłaszcza jeśli jest zamożnym arystokratą, nie chce mieć nic wspólnego ze skandalem, szczególnie z tak pospolitą, brudną sprawką. Podobnie jak Darcy'emu pułkownikowi nie paliło się do oglądania mojego bękarta bawiącego się w lasach Pemberley.

– Przypuszczam, że nigdy nie wyjawieś Louisie swojej prawdziwej tożsamości?  
– powiedział Alveston.

– To byłoby szaleństwo, które tylko pogłębiłoby jej troskę. Zrobiłem to, co robi większość mężczyzn w mojej sytuacji. Winszuję sobie, że moja przekonująca historia mogła wzbudzić współczucie w podatnej młodej kobiecie. Powiedziałem jej, że nazywam się Frederick Delancey, zawsze podobały mi się te inicjały, że zostałem ranny, walcząc w kampanii irlandzkiej – zgodnie z prawdą – po powrocie do domu dowiedziałem się, że moja ukochana żona zmarła przy porodzie, a mój syn razem z nią. Tę nieszczęsną sagę, która znacznie wzmogła miłość i oddanie Louisy,

podkoloryzowałem, dodając, że muszę wyjechać do Londynu do pracy, ale później wrócę i ją poślubię, będziemy mogli zabrać dziecko od Simpkinsów i wychowywać je sami. Za namową Louisy wyryliśmy moje inicjały na drzewie jako rękojmię mojej miłości i oddania. Przyznaję, że miałem też nadzieję, że inicjały wywołają zamieszanie. Obiecałem, że jak tylko znajdę i opłacę mieszkanie w Londynie, wyślę pieniądze Simpkinsom.

– W niegodny sposób oszukał pan łatwowierną i z gruntu niewinną dziewczynę – powiedział pułkownik. – Przypuszczam, że po narodzinach dziecka zniknąłby pan na dobre, umywając ręce.

– Przyznaję się do oszustwa, ale rezultat wydawał się pożądany. Louisa wkrótce by o mnie zapomniała i wyszła za mąż za narzeczonego, natomiast dziecko wychowałiby jego krewni. Słyszałem o znacznie gorszych sposobach postępowania z bękartami. Niestety sprawy przybrały zły obrót. Kiedy Louisa wróciła do domu z dzieckiem i jak zwykle spotkaliśmy się przy grobie psa, przyniosła mi wiadomość od Michaela Simpkinsa. Nie chciał już przyjmować niemowlęcia na stałe, nawet za sową opłatę. On i jego żona mieli już trzy córki, a z pewnością miały się urodzić kolejne dzieci; Simpkinsowi nie podobała się perspektywa, że Georgie zostanie najstarszym synem w rodzinie, mającym pierwszeństwo przed każdym rodzonym synem Michaela, jaki przyszedłby na świat. Poza tym najwyraźniej doszło do nieporozumień między Louisą a jej siostrą, gdy mieszkała u nich w oczekiwaniu na poród. Przypuszczam, że kiedy w kuchni krzątają się dwie kobiety, sprawy rzadko układają się dobrze. Kiedy o tym, że Louisa urodziła dziecko, zwierzyłem się pani Younge, nalegała, by spotkać się w lesie z Louisą i dzieckiem. Pani Younge zakochała się w Georgiem i postanowiła go adoptować. Już wcześniej wiedziałem, że chce mieć dzieci, nie zdawałem sobie jednak sprawy, że ta potrzeba jest tak obeszładniająca. Georgie jest ładnym chłopcem, poza tym oczywiście jest mój.

Darcy poczuł, że dłużej nie zdoła milczeć. Tak wielu rzeczy musiał się dowiedzieć.

– Przypuszczam, że to pani Younge była ową ciemną postacią, którą pokojówki dostrzegły w lesie. Jak mogłeś w spisek związany z przyszłością twojego dziecka wplątać kobietę, której postępowanie, o ile nam wiadomo, stawia ją pośród najnikczemniejszych, zasługujących na pogardę przedstawicielek jej płci?

Tym razem Wickham niemal zerwał się z fotela. Zaciśnięte na poręczach knykcie zbieleły, twarz zaczerwieniła się z wściekłości.

– Powinniście się dowiedzieć prawdy. Eleanor Younge jest jedyną kobietą, która mnie kochała. Żadna inna, włączając w to moją żonę, nie otoczyła mnie taką opieką, nie okazała mi takiej dobroci, nie udzieliła mi takiego wsparcia, poczucia, że jestem dla niej ważny, jak moja siostra. Tak właśnie, moja przyrodnia siostra. Wiem, że to was zdziwi. Mój ojciec cieszył się reputacją najsprawniejszego, najbardziej lojalnego i zasługującego na podziw rządu nieboszczyka pana Darcy' ego, i rzeczywiście taki był. Moja matka traktowała go surowo, tak jak i mnie; w naszym domu nie było śmiechu. Ojciec był człowiekiem jak inni, więc kiedy jeździł w interesach pana Darcy' ego do Londynu na tydzień lub dłużej, wiódł tam inne życie. Nic nie wiem o kobiecie, z którą się związał, ale na łożu śmierci wyznał, że ma córkę. Muszę mu oddać sprawiedliwość, robił, co w jego mocy, aby ją utrzymać, ale niewiele wiem o jej dzieciństwie ponad to, że umieszczono ją w londyńskiej szkole, nie lepszej niż sierociniec. W wieku dwunastu lat uciekła i ojciec stracił z nią kontakt, a kiedy wiek i obowiązki w Pemberley zaczęły mu nadmiernie ciążyć, nie był już w stanie szukać córki. Mimo to, umierając, miał wyrzuty sumienia i błagał mnie, żebym zrobił, co tylko zdołam, aby je odnaleźć. Szkoła upadła znacznie wcześniej, o losach właściciela nic nie wiadano, ale udało mi się porozumieć z sąsiadami, którzy zaprzyjaźnili się z jedną z dziewcząt i nadal utrzymywali z nią kontakt. To od niej dostałem pierwsze wskazówki, gdzie mógłbym znaleźć Eleanor. W końcu ją znalazłem. Moja przyrodnia siostra bynajmniej nie żyła w nędzy. Po krótkim małżeństwie ze znacznie starszym mężczyzną odziedziczyła dość pieniędzy, by nabyć dom w Marylebone, gdzie wynajmowała pokoje młodym mężczyznom z dobrych domów, przyjeżdżającym do pracy w Londynie. Kochające mamy były bezbrzeżnie wdzięczne tej szacownej, macierzyńskiej damie, która stanowczo zabraniała młodym kobietom wstępu do swego domu, czy to w charakterze lokatorek, czy odwiedzających.

– Tyle mi wiadomo – powiedział pułkownik. – Nie wspomina pan jednak o tym, jak żyła pańska siostra, nie wspomina pan o nieszczęśnikach, których szantażowała.

Z pewnym trudem Wickham zapanował nad gniewem.

– Moja siostra wyrządziła w życiu mniej szkód niż wiele szacownych matron. Mąż nie zostawił jej dożywotniej pensji, musiała więc radzić sobie sama. Szybko się pokochaliśmy, może dlatego, że tak wiele nas łączyło. Eleanor była bystra. To ona zauważyła, że moją najsilniejszą, może jedyną mocną stroną jest to, że podobam się kobietom i umiem wkradać się w ich łaski. Najlepszą metodą na uniknięcie nędzy

było dla mnie poślubienie zamożnej kobiety, a siostra uważała, że posiadam przymioty, które mnie do tego predestynują. Jak wiecie, mój najbardziej obiecujący i najwcześniejszy plan spalił na panewce, kiedy Darcy pojawił się w Ramsgate i odegrał rolę oburzonego brata.

Pułkownik wstał, zanim Darcy zdążył się poruszyć.

– Jeśli życie panu miłe, nie wolno panu wymieniać pewnego imienia, ani w tym pokoju, ani gdziekolwiek indziej.

Wickham spojrział na pułkownika, a po jego twarzy przemknął błysk dawnej pewności siebie.

– Nie urodziłem się wczoraj, sir, dlatego wiem, kiedy dama nosi nazwisko, którego nie można pokalać skandalem, a jej reputacja jest świętsza ponad wszystko, wiem też, że sposób życia pewnych kobiet pomaga im zachować tę czystość. Moja siostra była jedną z nich. Wróćmy jednak do meritum. Tak się szczęśliwie złożyło, że życzenia mojej siostry podsunęły nam rozwiązanie problemu. Kiedy siostra Louisy odmówiła przyjęcia dziecka, należało znaleźć dla niego dom. Eleanor olśniewała Louisę opowieściami o życiu, jakie czekałoby chłopca, więc ta zgodziła się, by rankiem w dniu balu w Pemberley Eleanor przyjechała ze mną do leśnego domu i zabrała dziecko, które mieliśmy zawieźć do Londynu, gdzie zamierzałem szukać pracy. Eleanor miała się zająć dzieckiem do czasu, gdy Louisa i ja będziemy mogli się pobrać. Oczywiście nie zamierzaliśmy zdradzić adresu mojej siostry.

Właśnie wtedy plan się popsuł. Muszę przyznać, że głównie z winy Eleanor, która nie nawykła do zadawania się z kobietami i dbała o to, by tego nie robić. Z mężczyznami sprawy były proste, moja siostra umiała ich przekonywać i kusić. Nawet gdy musieli jej płacić, nigdy nie stawali się jej wrogami. Eleanor nie miała cierpliwości do sentymentalnych wahań Louisy. Dla Eleanor to była kwestia zdrowego rozsądku: dla Georgiego należało pilnie znaleźć dom, a ona mogła zapewnić dom znacznie lepszy niż ten Simpkinsów. Louisa po prostu nie lubiła Eleanor i przestała jej ufać; Eleanor za dużo mówiła o tym, że musi dostać trzydzieści funtów obiecanych Simpkinsom. W końcu Louisa zgodziła się, by zabrać dziecko zgodnie z planem, ale istniało ryzyko, że kiedy przyjdzie do rozstania, Louisa może zacząć się opierać. Właśnie dlatego chciałem, by Denny towarzyszył nam, kiedy pojedziemy po Georgiego. Mogłem mieć pewność, że Bidwell będzie w Pemberley, wszyscy służący będą pochłonięci pracą, wiedziałem też, że powóz mojej siostry bez problemu przejedzie przez północno-zachodnią bramę.

Zdumiewające, że takie drobne trudności można usunąć za pomocą paru szylingów. Wcześniej Eleanor umówiła się z pułkownikiem w King's Arms w Lambton na wieczór w przeddzień balu, aby powiadomić go o zmianie planów.

– Oczywiście nie widziałem pani Younge od czasu, gdy przesłuchiwałem ją w sprawie pracy guwernantki. Teraz oczarowała mnie tak samo jak wtedy. Szczegółowo przedstawiła mi swoją sytuację finansową. Mówiłem Darcy'emu, że jestem przekonany, iż jej propozycja była najlepsza dla dziecka, nadal zresztą uważam, że najlepiej by się stało, gdyby pani Younge adoptowała Georgiego. Kiedy wyruszyliśmy, aby sprawdzić sprawę strzałów, wstąpiłem do leśnego domu i uznałem za stosowne powiadomić Louise, że jej kochankiem jest Wickham, że jest żonaty oraz że on i jego przyjaciel zabłądzili w lesie. Potem nie mogło być nadziei, by pani Younge, powiernicy i przyjaciółce Wickhama, pozwolono wziąć dziecko.

– Ale nigdy nie dopuszczano możliwości, by Louisa mogła dokonać wyboru – powiedział Darcy, po czym zwrócił się do Wickhama: – Planowałeś w razie konieczności odebranie dziecka siłą.

– Zrobiłbym wszystko, żeby tylko Georgie trafił do Eleanor – odparł Wickham z wyraźną nonszalancją. – Był moim synem, jego przyszłość leżała nam obojgu na sercu. Odkąd zeszedliśmy z Eleanor, w żaden sposób nie mogłem się zrewanżować za jej wsparcie i miłość. Teraz miałem coś, co mogłem jej dać, ona rozpaczliwie tego pragnęła, nie zamierzałem pozwolić, by niezdecydowanie i głupota Louisy stanęły temu na przeszkodzie.

– Jakie życie czekało to dziecko u takiej kobiety? – spytał Darcy.

Wickham nie odpowiedział. Wszystkie oczy były zwrócone na niego, a Darcy ujrzał, z mieszaniną grozy i współczucia, że Wickham z trudem panuje nad sobą. Dotychczasowa pewność, niemal beztraska, z jaką opowiadał, się ulotniły. Drżącą ręką sięgnął po kawę, ale w oczach miał łzy i tylko strącił dzbanek ze stołu. Nikt się nie odezwał, nikt nie drgnął, dopóki pułkownik nie pochylił się po dzbanek i nie odstawił go na stół.

W końcu Wickham się opanował i powiedział:

– Dziecko byłoby kochane bardziej niż ja w dzieciństwie, bardziej niż ty, Darcy. Moja siostra nigdy nie urodziła dziecka, a teraz nadarzała się okazja, by mogła się opiekować moim. Nie wątpię, że domagała się pieniędzy, tak właśnie żyła, ale wydałaby je na dziecko. Eleanor widziała Georgiego. Jest piękny. Mój syn jest piękny. Teraz wiem, że ani jej, ani jego już nigdy nie zobaczę.

– Mimo to nie mogłeś się oprzeć pokusie, by wyznać wszystko Denny’emu – powiedział Darcy twardo. – Musiałeś stawić czoło tylko starej kobiecie i Louisie, ale za żadne skarby nie chciałeś, by Louisa wpadła w histerię i odmówiła wydania dziecka. Wszystko należało załatwić cicho, aby nie niepokoić chorego brata. Chciałeś, by towarzyszył ci inny człowiek, przyjaciel, któremu ufałeś, ale Denny, zrozumiałwszy, że gotów jesteś odebrać dziecko siłą i że obiecałeś Louisie małżeństwo, nie chciał w tym maczać palców i właśnie dlatego wysiadł z powozu. Nie mogliśmy pojąć, dlaczego oddalał się od drogi, która zaprowadziłaby go z powrotem do zajazdu, albo czemu, co jeszcze rozsądniejsze, nie pozostał w powozie i nie wysiadł w Lambton bez potrzeby tłumaczenia czegokolwiek. Denny zginął, ponieważ szedł uprzedzić Louise Bidwell o twoich zamiarach. Słowa, które wypowiedziałeś nad jego ciałem, były prawdziwe. Zabiłeś swojego przyjaciela. Zabiłeś go tak, jakbyś własnoręcznie przebił go mieczem. A Will, umierając w samotności, myślał, że ochraniał siostrę przed uwodzicielem. Zamiast tego zabił jedyne go człowieka, który mógł pomóc.

Jednak myśli Wickhama bieły ku innej śmierci.

– Kiedy Eleanor usłyszała słowo „winny”, jej życie dobiegło końca. Wiedziała, że za kilka godzin mnie powieszają. Stałaby pod szubienicą i patrzyła, jak się wyrrywam, o ile dodałoby mi to na koniec otuchy, ale istnieje groza, której nawet miłość nie jest w stanie znieść. Nie wątpię, że Eleanor już wcześniej zaplanowała własną śmierć. Straciła mnie i dziecko, mogła przynajmniej zapewnić sobie grób w niepoświęconej ziemi.

Darcy zamierzał powiedzieć, że na pewno uda się zapobiec tej ostatniej hańbie, ale Wickham uciszył go wzrokiem.

– Gardziłeś Eleanor za życia, więc nie traktuj jej protekcyjnie, kiedy nie żyje. Wielebny Cornbinder robi wszystko, co trzeba, i nie potrzebuje twojej pomocy. W pewnych dziedzinach życia jego autorytet przewyższa nawet władzę pana na Pemberley.

Nikt się nie odezwał.

– Co się stało z dzieckiem? – spytał w końcu Darcy. – Gdzie jest teraz?

– Zadbalem o to, by się tego dowiedzieć – odparł pułkownik. – Dziecko wróciło do Simpkinsów, a zatem, jak wszyscy wierzą, jest z matką. Zabójstwo Denny’ego spowodowało spore zamieszanie i napięcie w Pemberley, toteż Louisa bez trudu przekonała Simpkinsów, by przyjęli dziecko z powrotem i zapewnili mu

bezpieczeństwo. Anonimowo wysłałem im sporą sumę pieniędzy i z tego, co wiem, nie ma mowy o zabieraniu dziecka od Simpkinsów, choć wcześniej czy później mogą wyniknąć jeszcze jakieś problemy. Nie życzę sobie dalej wikłać się w tę sprawę, prawdopodobnie wkrótce pochłoną mnie bardziej naglące kwestie. Europa nigdy nie uwolni się od Bonapartego, dopóki nie zostanie całkowicie pokonany na lądzie i na morzu, a mam nadzieję, że dane mi będzie uczestniczyć w tej wielkiej bitwie.

Wszyscy czuli się wyczerpani, nikomu nie przychodziły już do głowy żadne słowa. Dlatego też z powszechną ulgą powitali panią Gardiner, która wcześniej, niż się spodziewano, otworzyła drzwi i oznajmiła, że przybył waleczny Cornbinder.

Po ogłoszeniu ułaskawienia Wickhama brzemień niepokoju zostało zdjęte z ich ramion, ale nie było wybuchu radości. Wcześniej znieśli już tyle, że tylko podziękowali z głębi serca za jego uwolnienie, po czym zaczęli się z przyjemnością szykować do powrotu do domu. Elizabeth wiedziała, że Darcy nie mniej niż ona pragnie ruszyć w drogę do Pemberley, sądziła przy tym, że mogliby wyruszyć nazajutrz. To okazało się jednak niemożliwe. Darcy musiał się spotkać z prawnikami w związku z przesłaniem pieniędzy wielebnemu Cornbinderowi, a za jego pośrednictwem Wickhamowi. Poprzedniego dnia przyszedł list od Lydii, która pisała, że przy najbliższej okazji zamierza przyjechać do Londynu, spotkać się z ukochanym mężem i razem z nim triumfalnie wrócić do Longbourn. Lydia planowała przyjazd rodzinnym powozem ze służącym i uważała za oczywiste, że zatrzyma się na ulicy Gracechurch. W miejscowym zajeździe bez trudu znajdzie się łóżko dla Johna. Ponieważ w liście nie padła wzmianka o godzinie przyjazdu, pani Gardiner natychmiast się zakrzętnęła wokół miejsca do spania i zdołała wygospodarować w stajni miejsce na trzeci powóz. Elizabeth uświadamiała sobie tylko ogromne zmęczenie i z najwyższym wysiłkiem powstrzymywała się od wybuchnięcia płaczem. Nade wszystko pragnęła teraz zobaczyć dzieci, wiedziała też, że z Darcym jest podobnie; postanowili wyruszyć pojutrze.

Nazajutrz ekspresową pocztą wysłali do Pemberley wiadomość, kiedy mogli się ich spodziewać w domu. Tak wiele spraw należało pozamykać, tak bardzo absorbowało pakowanie, że Elizabeth prawie nie widywała Darcy'ego. Serca obojga przepełniały tłumione słowa, a Elizabeth nie tyle czuła, ile wiedziała, że jest szczęśliwa, albo że będzie szczęśliwa, gdy tylko wróci do domu. Wcześniej obawiano się, że kiedy wieści o ułaskawieniu się rozniosą, na ulicę Gracechurch pospieszycy hałaśliwy tłum pragnący składać powinszowania, ale nic podobnego się nie stało. Rodzina, u której wielebny Cornbinder zatroszczył się o pokój dla Wickhama, okazała się bardzo dyskretna, nikt nie znał ich adresu, toteż tłum zgromadził się jedynie wokół więzienia.

Powóz Bennetów z Lydią przyjechał nazajutrz po lunchu, ale i to nie wzbudziło niczyjzego zainteresowania. Zarówno państwo Darcy, jak i Gardinerowie odczuli



ulgę, ponieważ Lydia zachowywała się znacznie dyskretniej i rozumniej, niż można się było spodziewać. Niepokój ostatnich miesięcy, świadomość, że mąż stoi przed sądem i grozi mu kara śmierci, stonowały jej hałaśliwy temperament. Lydia zdołała nawet podziękować pani Gardiner za gościnę, a w jej postawie dało się niemal wyczuć zrozumienie i wdzięczność za dobro i hojność Gardinerów. Wobec Elizabeth i Darcy'ego Lydia zachowywała się z mniejszą pewnością siebie, ale raczej nie spodziewali się podziękowań.

Wielebny Cornbinder wstąpił przed kolacją, aby zaprowadzić Lydię do Wickhama. Kilka godzin później wróciła pod osłoną mroku w wybornym humorze. Znowu był jej przystojnym, szarmanckim Wickhamem o nieodpartym uroku. O wspólnej przyszłości Lydia mówiła z głębokim przekonaniem, że cała przygoda stanie się początkiem sławy i bogactwa ich obojga. Zawsze była niespokojną osobą, a teraz stało się jasne, że tak jak Wickhamowi spieszno jej na zawsze porzucić angielską ziemię. Lydia zamieszkała z Wickhamem, który odzyskiwał siły, ale z trudem znosiła religijną atmosferę domu gospodarzy i modlitwy odmawiane przed każdym posiłkiem, toteż trzy dni później powóz Bennetów z turkotem potoczył się londyńskimi ulicami, aż oczom małżonków ukazał się miły widok drogi na północ, do hrabstwa Hertford i Longbourn.

Podróż do hrabstwa Derby miała zająć dwa dni, ponieważ Elizabeth czuła ogromne zmęczenie i nie chciała pozostawać w drodze przez wiele godzin. W poniedziałek koło południa przed drzwiami frontowymi podjechał powóz i po podziękowaniach, które trudno było wyrazić słowami, państwo Darcy ruszyli do domu. Przez większość podróży oboje drzemali, ale nie spali, gdy powóz przekroczył granicę hrabstwa i wjechał do Derby; z rosnącym zachwytem mijali znajome wioski i jechali pamiętanymi drózkami. Wczoraj wiedzieli tylko, że są szczęśliwi; teraz w każdym nerwie swej istoty czuli promieniejącą moc radości. Przyjazd do Pemberley nie mógł się bardziej różnić od wyjazdu. Cała służba, w wypranych i wyprasowanych uniformach, zebrała się na powitanie państwa; pani Reynolds ze łzami w oczach dygnęła, po czym, zbyt wzruszona, by mówić, w milczeniu powitała Elizabeth w domu.

Na początek państwo Darcy zaszli do pokoju dzieci, gdzie Fitzwilliam i Charles powitali ich piskami i podskokami zachwyty; pani Donovan przez pewien czas relacjonowała nowiny. Podczas tygodniowego pobytu w Londynie wydarzyło się tak dużo, że Elizabeth odnosiła wrażenie, jakby nie było jej wiele miesięcy. Potem nadeszła kolej pani Reynolds, by zdać sprawozdanie.

– Może być pani spokojna, że nie mam pani do powiedzenia nic niepokojącego, muszę jednak poruszyć pewną dość istotną sprawę.

Elizabeth zaproponowała, by jak zwykle przeszły do jej salonu. Pani Reynolds zadzwoniła i poleciła przynieść im obu herbatę, po czym usiadły przed kominkiem, zbudowanym bardziej dla uroku niż ciepła. Gospodyni zaczęła:

– Oczywiście słyszeliśmy o wyznaniu Willa w związku ze śmiercią kapitana Denny'ego, ludzie współczują pani Bidwell, choć niektórzy krytykują Willa za to, że nie zabrał głosu wcześniej i nie oszczędził tylu udreń, takiego cierpienia państwu i panu Wickhamowi. Niewątpliwie Will potrzebował czasu, by pojednać się z Bogiem, ale zdaniem pewnych osób zapłacił za ten czas zbyt wysoką cenę. Willa pochowano na dziedzińcu kościelnym, wielebny Oliphant przemawiał bardzo wzruszająco, pani Bidwell ucieszyło liczne grono gości, w tym wielu z Londynu. Kwiaty były wyjątkowo piękne, razem ze Stoughtonem poleciłam dostarczyć do

kościół wieniec od pana Darcy'ego i pani. Oboje byliśmy pewni, że właśnie tego by pani sobie życzyła. Muszę jednak pomówić o Louisie.

Dzień po śmierci kapitana Denny'ego Louisa przyszła do mnie i spytała, czy może ze mną poufnie porozmawiać. Zabrałam ją do mojego salonu, gdzie dziewczyna całkiem się załamała. Kiedy z najwyższą cierpliwością i trudem, zdołałam ją uspokoić, opowiedziała mi swoją historię. Aż do wizyty pułkownika w leśnym domu w noc tragedii nie miała pojęcia, że ojcem jej dziecka jest pan Wickham; obawiam się, że wcześniej strasznie dała mu się omotać. Nie chciała go więcej widzieć, w dodatku uprzedziła się też do dziecka. Pan Simpkins i jego żona już go nie chcieli, a Joseph Billings, który wiedział o Georgiem, nie był gotów poślubić Louisy, jeśli wiązało się to z odpowiedzialnością za dziecko innego mężczyzny. Louisa wyznała narzeczonemu, że miała kochankę, ale nie podała jego nazwiska. Zresztą według mnie i Louisy nigdy nie należy go zdradzać, aby oszczędzić Bidwellowi wstydu i udręki. Louisa za wszelką cenę pragnęła znaleźć przyzwoity, kochający dom dla Georgiego, dlatego też przyszła do mnie, a ja rada byłam pomóc. Może pani pamięta, jak opowiadałam o wdowie po moim bracie, pani Goddard, która od kilku lat prowadzi z powodzeniem szkołę w Highbury. Jedną z jej lokatorek, panna Harriet Smith, wyszła za miejscowego farmera Roberta Martina i parze dobrze się wiedzie. Mają trzy córki i syna, ale lekarz powiedział im, że raczej nie będą już mieli dzieci. Pani Smith z mężem bardzo chcą mieć jeszcze jedno dziecko, żeby ich własne miały się z kim bawić. Państwo Knightleyowie z Donwell Abbey są najważniejszą parą w Highbury, natomiast pani Knightley przyjaźni się z panią Martin i zawsze żywo interesowała się jej dziećmi. Pani Knightley była na tyle dobra, że przysłała mi list – proszę też pamiętać o listach, jakie dostałam od pani Martin – gdzie zapewnia mnie, że zaopiekuje się Georgiem, jeśli chłopczyk przyjedzie do Highbury. Odniosłam wrażenie, że nie sposób wyobrazić sobie lepszego miejsca dla małego, więc ustalono, że powinien jak najszybciej wrócić do pani Simpkins, aby można go był zabrać z Birmingham zamiast z Pemberley, gdzie niemal na pewno zauważono by powóz wysłany przez panią Knightley. Wszystko potoczyło się zgodnie z planem; późniejsze listy potwierdziły, że chłopczyk się zadomowił, jest szczęśliwy i ujmujący, cała rodzina bardzo go kocha. Oczywiście zachowałam dla pani całą korespondencję. Pani Martin z przykrością stwierdziła, że Georgie nie został ochrzczony, ale uczyniono to w kościele w Highbury i teraz nosi imię John, po ojcu pani Martin.

Przepraszam, że nie mogłam opowiedzieć pani o tym wcześniej, ale obiecałam Louisie, że to wszystko musi pozostać w tajemnicy, chociaż dałam jasno do zrozumienia, że pani trzeba o wszystkim powiedzieć. Prawda bardzo strapiłaby Bidwella, który wierzy, podobnie jak wszyscy w Pemberley, że mały Georgie wrócił do matki, pani Simpkins. Mam nadzieję, że postąpiłam słusznie, ale wiem, że Louisie bardzo zależało, aby ojciec dziecka nigdy go nie znalazł, i na tym, by chłopczyk dostał odpowiednią opiekę i miłość. Ona nie chce go więcej widzieć, nie chce dostawać sprawozdań o jego postępach, nie wie też, u kogo ulokowano chłopca. Wystarczy jej wiedza, że jej dziecko będzie kochane i może liczyć na troskliwą opiekę.

– Nie mogła pani postąpić lepiej – stwierdziła Elizabeth. – Oczywiście zachowam dyskrecję. Byłabym wdzięczna, gdybym mogła zrobić jeden wyjątek: panu Darcy'emu należy o wszystkim powiedzieć. Wiem, że tajemnica nie rozniesie się dalej. Czy Louisa wróciła do zaręczyn z Josephem Billingssem?

– Owszem, pani. Pan Stoughton zmniejszył mu nieco zakres obowiązków, aby Billings mógł spędzać więcej czasu z Louisą. Myślę, że pan Wickham zawrócił jej w głowie, ale wszystko, co do niego czuła, obróciło się w nienawiść. Teraz najwyraźniej z radością myśli o życiu, jakie czeka ją w Highmarten u boku Josepha.

Niezależnie od swoich wad Wickham był bystrym, przystojnym, ujmującym mężczyzną. Elizabeth zastanawiała się, czy w czasie, gdy Louisa – dziewczyna, którą wielebny Oliphant uważał za bardzo inteligentną – była z Wickhamem, dostrzegła możliwość innego, bardziej podniecającego życia. Niewątpliwie jednak podjęte kroki były najlepsze dla dziecka, może także dla niej. Louisa miała zostać główną pokojówką w Highmarten, żoną kamerdynera, a z czasem Wickham stanie się zaledwie blaknącym wspomnieniem. Ukłucie żalu wydało się Elizabeth irracjonalne i osobliwe.

# Epilog

Rankiem na początku czerwca Elizabeth i Darcy jedli śniadanie na tarasie. Słoneczny dzień obiecywał wspólną radość i przyjacielską atmosferę. Henry Alveston zdołał się wyrwać na trochę z Londynu i przyjechał poprzedniego wieczoru; na lunch i kolację mieli przybyć Bingleyowie.

– Byłbym wdzięczny, Elizabeth, gdybyś poszła ze mną na spacer nad rzekę – rzekł Darcy. – Muszę ci o czymś powiedzieć, od dawna noszę w sobie sprawy, o których już dawniej należało porozmawiać.

Elizabeth się zgodziła, więc pięć minut później zeszli trawnikiem ku nadrzecznej ścieżce. Oboje milczeli, dopóki nie dotarli do mostu, gdzie strumień się zwęzał i prowadził do ławki postawionej, kiedy lady Anne spodziewała się pierwszego dziecka, by zapewnić jej wygodne miejsce odpoczynku. Z ławki rozciągał się widok na Pemberley House, który Darcy i Elizabeth kochali; instynktownie zawsze kierowali się właśnie w to miejsce. Z rana było mglisto, co zdaniem głównego ogrodnika nieodmiennie zapowiadało upał, a drzewa, po pierwszych delikatnych, seledynowych listkach wiosny, teraz pokryły się gęstym listowiem; przybrzeżne letnie kwiaty i połyskliwa rzeka wspólnie celebrowały piękno i spełnienie.

Z ulgą powitano od dawna wyczekiwany list z Ameryki, który przyszedł do Longbourn, skąd Kitty przesłała go Elizabeth w postaci kopii. Wickham napisał tylko krótką relację, Lydia dodała od siebie kilka linijek. Nowy Świat powitali wprost ekstatycznie. Wickham pisał przede wszystkim o wspaniałych koniach, o planach swoich i pana Cornbindera, by hodować konie na wyścigi, natomiast Lydia donosiła, że Williamsburg pod każdym względem przewyższa nudne Meryton, że już się zaprzyjaźniła z kilkoma rodzinami oficerów stacjonujących w garnizonie pod miastem. Wydawało się, że Wickham w końcu znalazł zatrudnienie, które mógł utrzymać. Czy zdoła też utrzymać żonę, było pytaniem, od którego państwo Darcy pozostawali oddzieleni pięcioma tysiącami kilometrów oceanu i byli z tego powodu bardzo wdzięczni.

– Właśnie myślałem o podróży, jaką odbył Wickham i nasza siostra – powiedział Darcy. – Po raz pierwszy, w dodatku całkiem szczerze, mogę mu dobrze życzyć. Ufam, że ciężka próba, jaką przeszedł, może istotnie doprowadzić do naprawy charakteru, której tak pewien jest wielebny Cornbinder. Mam nadzieję, że Nowy Świat będzie nadal spełniał wszystkie oczekiwania Wickhama, jednak przeszłość

jest nierozzerwalnie związana z tym, kim jestem, toteż w tej chwili pragnę tylko już nigdy go nie oglądać. Jego próba uwiedzenia Georgiany była tak obmierzła, że nie potrafię o nim myśleć bez odrazy. Usiłowałem wyrzucić z siebie całe to zdarzenie, udawać, że nigdy nie miało miejsca; uznałem, że stanie się to łatwiejsze, jeśli nigdy nie będę o nim rozmawiał z Georgianą.

Elizabeth milczała. Wickham nie rzucał cienia na ich szczęście, nie mógł zniszczyć doskonałego zaufania, jakim się darzyli, wypowiedzianego lub nie. Jeżeli to nie było szczęśliwe małżeństwo, to słowa te były pozbawione znaczenia. O dawnej przyjaźni Wickhama z Elizabeth nigdy nie wspominali, kierując się obopólną delikatnością, byli jednak zgodni w opinii co do jego charakteru i stylu życia; Elizabeth podzielała stanowczą decyzję męża, by nigdy nie przyjmować Wickhama w Pemberley. Szanując tę samą delikatność, nigdy nie rozmawiała z Darcym o planowanej niegdyś ucieczce Georgiany. Darcy uważał, że w ten sposób Wickham zamierzał położyć rękę na majątku Georgiany i zemścić się za dawne, domniemane krzywdy. Serce Elizabeth tak przepelniały miłość i zaufanie do męża, że nie było miejsca na krytycyzm; wierzyła, że w swoim postępowaniu z Georgianą kierował się rozważą i troską, jednak nadszedł chyba czas, by brat i siostra porozmawiali o przeszłości, nawet jeżeli była bolesna.

– Czy to milczenie między tobą a Georgianą nie jest przypadkiem błędem, kochany? – powiedziała łagodnie. – Musimy pamiętać, że nic katastrofalnego się nie wydarzyło. W porę przyjechałeś do Ramsgate, a Georgiana wszystko wyznała, zresztą z ulgą. Nie możemy nawet być pewni, czy rzeczywiście by z nim uciekła. Powinieneś nauczyć się patrzeć na nią bez nieustannego przypominania sobie tego, co bolesne dla was obojga. Wiem, że Georgiana marzy o tym, by poczuć, że jej wybaczone.

– To mnie należy przebaczyć – odparł Darcy. – Śmierć Denny’ego zmusiła mnie, może po raz pierwszy, do skonfrontowania się z własną odpowiedzialnością. Nie tylko Georgiana ucierpiała z powodu mojego zaniedbania. Wickham nigdy nie uciekłby z Lydią, nigdy by jej nie poślubił ani nie wszedłby do twojej rodziny, gdybym przełknął dumę i powiedział o nim prawdę, kiedy po raz pierwszy pojawił się w Meryton.

– Raczej nie mogłeś tego zrobić, nie zdradzając sekretu Georgiany – zauważyła Elizabeth.

– Wystarczyło szepnąć słówko tam, gdzie trzeba. Jednak zło sięga znacznie dalej

w przeszłość, aż do mojej decyzji, by zabrać Georgianę ze szkoły i umieścić ją pod opieką pani Younge. Jak mogłem być tak ślepy, tak nieczuły, jak mogłem poniechać podstawowych środków ostrożności, ja, który jestem bratem, opiekunem, przecież obiecałem rodzicom, że się nią zaopiekuję i zadbam o jej bezpieczeństwo?! Georgiana miała wtedy tylko piętnaście lat i nie czuła się szczęśliwa w szkole. To była modna, droga uczelnia, ale brakowało tam serdeczniej troski i rzetelnej nauki; uczennicom nie wpajano rozsądku, ale dumę i wartości wyższych sfer. Owszem, Georgiana powinna była odejść, ale nie była gotowa na rozpoczęcie dorosłego życia. Podobnie jak ja w towarzystwie okazywała nieśmiałość, brakowało jej pewności siebie; sama to zauważyłaś, kiedy po raz pierwszy wstąpiłaś na poczęstunek do Pemberley.

– Zauważyłam też to, co widzę zawsze: zaufanie i miłość między wami – powiedziała Elizabeth.

Darcy ciągnął, jakby żona się nie odezwała:

– Żeby umieścić ją najpierw w Londynie, potem usankcjonować przeprowadzkę do Ramsgate! Georgiana powinna była mieszkać w Pemberley, tu był jej dom. Mogłem ją tu przywieźć, znaleźć dla niej stosowną towarzyszkę, może także guwernantkę, by kontynuować naukę, którą w zasadzie zaniedbano; mogłem z nią tu mieszkać, dawać braterskie wsparcie i miłość. Zamiast tego umieściłem ją pod opieką kobiety, którą zawsze, nawet teraz, gdy nie żyje i doczesna ugoda stała się niemożliwa, uważałem za uosobienie zła. Nigdy o tym nie mówiłaś, ale musiałaś się zastanawiać, czemu Georgiana nie została ze mną w Pemberley, jedynym miejscu, które uważała za dom.

– Przyznaję, że myślałam o tym od czasu do czasu, ale kiedy poznałam Georgianę i zobaczyłam was razem, nie mogłabym uwierzyć, że przyświecały ci inne motywy niż jej szczęście i dobro. Co się tyczy Ramsgate, dopuszczałam możliwość, że medycy zalecili jej morskie powietrze. Może Pemberley, gdzie umarli rodzice Georgiany, za bardzo było przesycone smutkiem, a twoje obowiązki w posiadłości mogłyby nie pozwolić ci poświęcać siostrze tyle czasu, ile byś pragnął. Widziałam, że jest z tobą szczęśliwa, miałam pewność, że zawsze postępowałaś jak kochający brat. – Elizabeth umilkła i dodała po chwili: – A co z pułkownikiem Fitzwilliamem? Dzielił z tobą obowiązki opiekuna Georgiany. Przypuszczam, że razem przepytawaliście panią Younge?

– Owszem. Posłałem po nią powóz, żeby przyjechała do Pemberley na rozmowę,



potem zaprosiliśmy ją, żeby została na obiad. Patrząc wstecz, widzę, jak łatwo zmanipulowała dwóch łatwowiernych mężczyzn. Pani Younge przedstawiła się jako idealna opiekunka młodej dziewczyny. Miała odpowiedni wygląd, mówiła, co trzeba, podawała się za dobrze urodzoną, wykształconą kobietę, pełną współczucia dla młodych, o nienagannych manierach i nieskazitelnym morale.

– Nie przywiozła listów polecających?

– Imponujące. Oczywiście sfalszowane. Wzięliśmy je za dobrą monetę przede wszystkim dlatego, że zwiódł nas wygląd pani Younge i to, że najwyraźniej nadawała się na guwernantkę. Chociaż powinniśmy byli napisać do poprzednich pracodawców, nie uczyniliśmy tego. Sprawdziliśmy tylko jeden list polecający, a zapewnienie, jakie otrzymaliśmy, napisane przez współlnika pani Younge, okazało się równie fałszywe jak jej własne podanie o pracę. Ja sądziłem, że Fitzwilliam napisał do jej pracodawców, on sądził, że sprawą zajmę się ja, zresztą przyznaję, że powinienem był to zrobić. Pułkownika wezwano z powrotem do regimentu i miał na głowie bardziej naglące sprawy. Nie mogę się usprawiedliwiać za siebie ani za niego, chociaż wtedy tak właśnie postępowalem.

– To było spore obciążenie dla dwóch młodych mężczyzn, żaden z was nie miał żony, nawet jeśli jeden z was był bratem – zauważyła Elizabeth. – Czy nie było krewnej lub bliskiej przyjaciółki rodziny, której lady Anne mogła zlecić obowiązki opiekunki Georgiany?

– W tym właśnie tkwił problem. Oczywiście wybór padał na lady Catherine de Bourgh, starszą siostrę mojej matki. Szukanie opiekunki gdziekolwiek indziej doprowadziłoby do trwałego zerwania między siostrami. Ale one nigdy nie były ze sobą blisko, bardzo się różniły. Moją matkę uważano za osobę surowych sądów, przepojoną dumą swojej klasy, jednak była czystym dobrem dla ludzi w kłopotach lub potrzebie, nigdy się nie myliła. Sama wiesz, jaka jest, czy raczej była, lady Catherine. Dzięki naszej dobroci okazanej jej w okresie żałoby serce lady Catherine zaczęło mięknąć.

– Nigdy nie mogę myśleć o wadach lady Catherine, nie pamiętając, że to właśnie jej wizyta w Longbourn, jej determinacja, by odkryć, czy jesteśmy zaręczeni, połączyła nas razem.

– Kiedy ciotka doniosła mi, w jaki sposób zareagowałaś na jej interwencję, zrozumiałem, że jest nadzieja. Na szczęście byłaś dorosłą kobietą, w dodatku zbyt dumną, by tolerować zuchwalstwo lady Catherine. To byłaby katastrofalna

opiekunka piętnastoletniej dziewczyny. Georgiana zawsze trochę się jej bała. Do Pemberley często przychodziły zaproszenia dla mojej siostry, bo lady Catherine chciała ją ściągnąć do Rosings, gdzie ona i jej kuzynka miałyby wspólną guwernantkę. Wychowywano by je jak siostry.

– Może z intencją, by zostały siostrami. Lady Catherine dała mi jasno do zrozumienia, że twoim przeznaczeniem było poślubienie jej córki.

– Takie przeznaczenie planowała sama lady Catherine, ale nie moja matka; to był dodatkowy powód, dla którego moja ciotka nie została jedną z opiekunek Georgiany. Mimo to, choć gardzę wtrącaniem się lady Catherine w życie innych ludzi, przypuszczam, że okazałaby się bardziej odpowiedzialna niż ja i pani Younge nie zdołałaby jej narzucić swojej woli. Kiedy oddałem Georgianę w ręce tej kobiety, wystawiłem na szwank nie tylko szczęście siostry, lecz może nawet życie. Pani Younge od początku wiedziała, do czego zmierza, a Wickham stanowił część jej planu. Interesował się tym, co się dzieje w Pemberley, opowiadał jej, że szukam towarzyszkę dla Georgiany, więc pani Younge czym prędzej zgłosiła się na to stanowisko. Dobrze wiedziała, że z talentem Wickhama do uwodzenia kobiet największą szansę na osiągnięcie stylu życia, do jakiego czuł się uprawniony, miał w ożenku dla pieniędzy. Georgianę wytypowano jako ofiarę.

– Czyli uważasz, że kiedy spotkałeś panią Younge, ona i Wickham mieli już gotowy plan, by okryć cię niesławą?

– Bez wątplenia. Ona i Wickham od początku planowali jego ucieczkę z Georgianą. Sam to przyznał, kiedy spotkaliśmy się na ulicy Gracechurch.

Przez pewien czas siedzieli w milczeniu, patrząc na strumień wirujący na płaskich kamieniach. W końcu Darcy się ocknął.

– Jest jednak coś jeszcze i trzeba to powiedzieć. Jak mogłem być tak nieczuły, jaką nedorzecznnością była próba rozłączenia Bingleya od Jane? Gdybym tylko zadał sobie trud, żeby z nią porozmawiać, poznać jej dobroć i łagodność, pojąłbym, że Bingley będzie szczęściarzem, jeśli zdobędzie jej miłość. Pewnie obawiałem się, że jeśli Bingley i twoja siostra się pobiorą, trudniej mi będzie przewyciężyć moją miłość do ciebie, namiętność, która stała się obezwładniającą potrzebą, a jednak przekonywałem siebie, że muszę ją zwalczyć. Z powodu cienia, jaki życie mojego pradziada rzucało na rodzinę, od dzieciństwa wpajano mi, że z wielkim majątkiem wiąże się wielka odpowiedzialność, a pewnego dnia los Pemberley oraz licznych osób, których dobro i szczęście zależy od posiadłości, spocznie na moich barkach.

Osobiste pragnienia i prywatne szczęście muszą zawsze stać na drugim miejscu, za tym świętym obowiązkiem.

Właśnie pewność, że to, co robię, jest niewłaściwe, przywiodła mnie do owej pierwszej haniebnej propozycji i w następstwie jeszcze gorszego listu, który miał choć częściowo usprawiedliwić moje postępowanie. W swoich oświadczeniach celowo użyłem słów, których żadna kobieta żywiąca jakąkolwiek sympatię czy lojalność wobec własnej rodziny, żadna kobieta z odrobiną dumy i szacunku nie mogła zaakceptować. Twoja pogardliwa odmowa oraz mój usprawiedliwiający list przekonały mnie, że wszelkie myśli o tobie zostały na zawsze zabite. Tak jednak nie miało się stać. Po naszym rozstaniu wciąż pozostawałaś w moim sercu i umyśle, a kiedy przyjechałaś z wujostwem do hrabstwa Derby i nieoczekiwanie spotkaliśmy się w Pemberley, pojąłem z absolutną pewnością, że nadal cię kocham i nigdy nie przestanę. Wtedy zacząłem, bez nadziei, pokazywać ci, że się zmieniłem, że stałem się człowiekiem godnym twojej ręki. Przypominałem małego chłopca popisującego się zabawkami, który rozpaczliwie szuka aprobaty.

Po chwili przerwy Darcy mówił dalej:

– Nagła zmiana po tym hańbiącym liście, który przekazałem ci w Rosings, bezczelność, nieusprawiedliwiona irytacja, arogancja i obraza wobec twojej rodziny, a wkrótce potem powitanie ciebie i Gardinerów w Pemberley, moja potrzeba, by naprawić szkody i pozyskać twój szacunek, może nawet liczyć na coś cieplejszego, była tak paląca, że przewyciężyła powściągliwość. Ale jak mogłaś wierzyć, że się zmieniłem? Jak mogła w to wierzyć jakakolwiek racjonalna istota? Nawet Gardinerowie, którzy musieli wiedzieć o mojej reputacji człowieka dumnego i aroganckiego, byli zdumieni przemianą. Przecież moje postępowanie wobec panny Bingley musiało ci się wydać karygodne. Zauważyłaś je, kiedy przyjechałaś do Netherfield odwiedzić chorą Jane. Skoro nie miałem żadnych zamiarów wobec Caroline Bingley, czemu robiłem jej nadzieję, tak często spotykając się z jej rodziną? Moja arogancja wobec niej była zapewne czasami upokarzająca. W dodatku Bingley, szczerą duszą, musiał liczyć na połączenie rodzin. Co do mnie, nie zachowywałem się ani jak przyjaciel, ani jak dżentelmen. Prawdę mówiąc, tak bardzo przepełniała mnie odraza do samego siebie, że przestałem się nadawać do życia wśród ludzi.

– Nie sądzę, by Caroline Bingley łatwo dała się upokorzyć, kiedy dąży do swego celu – powiedziała Elizabeth. – Jeśli jednak chcesz wierzyć, że rozczarowanie

Bingleya z powodu niepołączenia się waszych rodzin przewyższa niewygodę, jaką byłoby małżeństwo z jego siostrą, z pewnością nie zamierzam wyprowadzać cię z błędu. Nie można ci zarzucić, że oszukałeś Bingleya lub jego siostrę; nigdy nie było wątpliwości co do twoich uczuć. Co się tyczy zmiany twego postępowania wobec mnie, musisz pamiętać, że poznawałam cię i zakochywałam się w tobie. Może wierzyłam, że się zmieniłeś, bo całym sercem potrzebowałam w to wierzyć. Jeśli kierowałam się nie tyle racjonalnym myśleniem, ile instynktem, czy nie okazało się, że mam rację?

– Och, najdroższa, miałaś całkowitą rację.

– Mogę żałować tylu rzeczy, ilu ty żałujesz, ale twój list miał jedną dobrą stronę – ciągnęła Elizabeth. – Dzięki niemu po raz pierwszy zaczęłam myśleć, że mogłam się mylić co do George’a Wickhama. Jak mało było prawdopodobne, by człowiek, którego pan Bingley wybrał na najlepszego przyjaciela, mógł się zachowywać w sposób opisany przez pana Wickhama, tak się sprzeniewierzyć życzeniom ojca, postępować tak złośliwie. List, którym gardzisz, przyniósł jednak trochę pożytku.

– Fragmenty dotyczące Wickhama były jedynymi szczerymi słowami w całym liście – powiedział Darcy. – Czyż to nie dziwne, że tyle pisałem, aby rozmyślnie cię zranić i upokorzyć? A jednak nie mogłem znieść myśli, że po naszym rozstaniu już zawsze postrzegalabyś mnie tak, jak opisał mnie Wickham.

Elizabeth przysunęła się do męża i przez pewien czas siedzieli w milczeniu.

– Żadne z nas nie jest osobą, jaką każde było wtedy – podjęła. – Patrzmy w przeszłość tylko, jeśli dostarcza nam przyjemności, a w przyszłość z ufnością i nadzieją.

– Zastanawiałem się nad przyszłością – przyznał Darcy. – Wiem, że trudno jest wyrwać mnie z Pemberley, ale czy nie byłoby rozkosznie wrócić do Włoch i znowu odwiedzić miejsca, gdzie spędzaliśmy podróż poślubną? Moglibyśmy wyjechać w listopadzie i uniknąć angielskiej zimy. Jeśli nie podoba ci się rozstanie z chłopcami, nie musimy jechać na długo.

– Chłopcy byliby bezpieczni pod opieką Jane. – Elizabeth się uśmiechnęła. – Wiesz, jak uwielbia się nimi zajmować. Powrót do Włoch sprawiłby mi radość, ale trzeba to przełożyć. Właśnie miałam opowiedzieć ci o moich planach na listopad. Na początku tego miesiąca, kochanie, będę trzymać w ramionach naszą córeczkę.

Darcy nie mógł wykrztusić słowa, w oczach rozbłysły mu łzy, na jego twarzy odmalowała się radość i mocno uściśnął dłoń żony. Kiedy odzyskał głos, zapytał:

– Ale czy dobrze się czujesz? Przecież musisz się otulić szalem. Może lepiej wrócić do domu, żebyś mogła odpocząć. Czy na pewno powinnaś tu siedzieć?

– Czuję się znakomicie, czy nie jest tak zawsze? – roześmiała się Elizabeth. – Ta ławka jest najlepszym miejscem na przekazanie tych nowin. Pamiętaj, że właśnie tutaj odpoczywała lady Anne, kiedy nosiła cię w łonie. Oczywiście nie mogę obiecać córki. Przeczuwam, że jest mi pisane być matką synów, ale jeśli urodzi się chłopiec, zrobimy dla niego miejsce.

– Tak, najdroższa, zrobimy dla niego miejsce w pokoju dziecięcym i w naszych sercach.

W ciszy, jaka zapadła, ujrzeli Georgianę i Alvestona schodzących po schodach z Pemberley ku trawnikowi nad rzeką. Darcy powiedział z udaną surowością:

– Cóż ja widzę, pani Darcy? Nasza siostra i Alveston paradują, trzymając się za ręce, doskonale widoczni z okien Pemberley? Czyż to nie szokujące? Cóż to może oznaczać?

– Proszę samemu się domyślić, panie Darcy.

– Mogę tylko wnioskować, że pan Alveston ma coś istotnego do zakomunikowania, niewykluczone, że chce mnie o coś poprosić.

– Nie poprosić, kochany. Musimy pamiętać, że Georgiana nie znajduje się już pod opieką. Wszystko już ustalili, a teraz idą nie po to, by nas prosić, ale by nas powiadomić. Mogą jednak liczyć na jedną rzecz, mianowicie na twoje błogosławieństwo.

– Pobłogosławię ich z całego serca. Nie przychodzi mi do głowy żaden inny mężczyzna, którego z równą radością nazwałbym szwagrem. Dziś wieczorem porozmawiam z Georgianą. Koniec milczenia między nami.

Elizabeth i Darcy wstali z ławki i patrzyli, jak Georgiana z Alvestonem, których śmiech unosił się nad odwieczną muzyką strumienia, ręka w rękę biegną ku nim po lśniącej trawie.

---

[1] J. Austen, *Mansfield Park*, tłum. A. Przedpelska-Trzeciakowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1995, s. 441.

[2] J. Austen, *Duma i uprzedzenie*, tłum. A. Przedpelska-Trzeciakowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1996, s. 347.

[3] Hardcastle (ang.) – twardy zamek.

[4] Czarna czapka – czarne kwadratowe nakrycie głowy zakładane przez sędziego w sądzie brytyjskim podczas ogłaszania wyroku śmierci.